

Marc Levy
PIERWSZA
NOC



Marc Levy

**PIERWSZA
NOC**

Z francuskiego przełożyła
KRYSTYNA SZEŻYŃSKA-MAĆKOWIAK



Dedykuję Pauline i Louisowi

*Każdy z nas ma w sobie coś z Robinsona,
swój nowy ląd do odkrycia,
Piętaszka, którego musi spotkać.*

Eleonore Woolfield

*Ta historia jest prawdziwa,
ponieważ ją wymyśliłem.*

Boris Vian

Nazywam się Walter Glencorse, jestem dyrektorem administracyjnym Brytyjskiej Akademii Nauk w Londynie. Adriana poznałem bliżej niespełna rok temu, kiedy dość nagle musiał wrócić do Anglii z ośrodka badań astronomicznych na Atakamie w Chile, gdzie przeszukiwał niebo, wypatrując gwiazdy pierwotnej.

Adrian to wybitnie uzdolniony astrofizyk. Kilka ostatnich miesięcy bardzo nas do siebie zbliżyło i teraz byliśmy prawdziwymi przyjaciółmi.

Ponieważ Adrian marzył wyłącznie o tym, żeby kontynuować badania nad pochodzeniem wszechświata, a także dlatego, że znalazłem się w kłopotliwym położeniu zawodowym, bo finanse, jakimi przyszło mi zarządzać, były żałośnie skromne, nakłoniłem go do ubiegania się o bardzo wysoką dotację, którą przyznawała fundacja naukowa z Londynu.

Przez kilka tygodni uzgadnialiśmy razem prezentację jego projektu badawczego i ten czas pozwolił nam nawiązać głęboką przyjaźń, ale chyba już wspominałem, że się przyjaźnimy?

Nie wygraliśmy konkursu, a nagrodę zdobyła młoda kobieta, przebojowa i zdeterminowana pani archeolog. Prowadziła wykopaliska w dolinie Omo w Etiopii, lecz potężna burza piaskowa zniszczyła jej obóz i zmusiła do powrotu do Francji.

Tego wieczoru, gdy wszystko się zaczęło, ona także przebywała w Londynie i liczyła, że otrzyma dotację, co umożliwiłoby jej powrót do Afryki i wznowienie badań nad pochodzeniem ludzkości.

Życie to pasmo zdumiewających przypadków: Adrian spotkał już kiedyś tę młodą archeolog Keirę – połączyła ich miłość jednego lata. Nie widzieli się od tamtej pory.

Choć jedno świętowało triumf, a drugie godziło się z porażką, spędzili ze sobą noc. Rankiem Keira odeszła, pozostawiając Adrianowi ożywione wspomnienie idylli sprzed lat i niezwykle afrykański wisior, rodzaj kamienia wydobytego z krateru wulkanu przez młodego Etiopczyka Harry'ego, którego Keira przygarnęła i serdecznie pokochała.

W burzową noc, po wyjeździe Keiry, Adrian odkrył zdumiewające właściwości wisioru. Pod wpływem silnego światła, jakie daje na przykład błyskawica, kamień migotał blaskiem milionów drobnych punkcików.

Adrian szybko zrozumiał, co to było. Jakkolwiek mogłoby się to wydawać dziwne, układ punktów odpowiadał mapie nieba, ale nie był to pierwszy lepszy skrawek nieba, lecz ta część, która rozpościerała się nad Ziemią przed czterystu milionami lat.

Dokonawszy tak niezwykłego odkrycia, Adrian pojechał za Keirą do doliny Omo.

Niestety, tajemniczym wisiorem interesowali się nie tylko młodzi naukowcy. Podczas pobytu w Paryżu, odwiedzając siostrę, Keira poznała starego etnologa, profesora Ivory'ego. Człowiek ten skontaktował się ze mną i w końcu – w podstępny i podły sposób – zdołał mnie nakłonić, bym namówił Adriana do kontynuowania badań.

W zamian za tę przysługę dał mi drobną sumkę i obiecał hojną darowiznę na rzecz Akademii, jeśli Adrian i Keira osiągną zamierzony cel badań. Przystałem na ten układ. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że Adrian i Keira są tropieni przez tajną organizację, która – w przeciwieństwie do Ivory'ego – chciała im za wszelką cenę przeszkodzić w odnalezieniu pozostałych kamieni składających się na całość.

Dzięki wskazówkom starego profesora Keira i Adrian wiedzieli już, że przedmiot znaleziony w kraterze wulkanu nie jest jedynym takim kamieniem. Gdzieś na naszej planecie pozostaje ich jeszcze może pięć. Postanowili je wszystkie odnaleźć.

Trop wiódł z Afryki do Niemiec, z Niemiec do Anglii, z Anglii na pogranicze Tybetu, skąd nielegalnie polecili nad Birmą na wyspy archipelagu Andamany, gdzie Keira wykopała z ziemi na Narcondamie kamień uderzająco podobny do tego, który był w jej posiadaniu.

Gdy tylko połączyli oba fragmenty układanki, zaobserwowali zdumiewające zjawisko – kamienie przyciągały się jak magnesy, nabrały olśniewającej niebieskiej barwy i zaczęły migotać. To odkrycie jeszcze bardziej zachęciło Adriana i Keirę, więc wyruszyli do Chin, lekceważąc ostrzeżenia i pogrożki tajnej organizacji.

Wśród jej członków, którzy jako pseudonimów używają nazw wielkich miast, był angielski lord, sir Ashton, samotny jeździec, zdecydowany za wszelką cenę położyć kres podróży Keiry i Adriana.

Dlaczego namawiałem ich, żeby nie zaprzestali poszukiwań?! Dlaczego nie zrozumiałem ostrzeżenia, kiedy na naszych oczach zamordowano kapłana? Dlaczego nie doceniłem powagi sytuacji, dlaczego nie powiedziałem profesorowi Ivory'emu, żeby radził sobie bez mojej pomocy? Dlaczego nie uprzedziłem Adriana, że ten starzec nim manipuluje? Podobnie jak ja, który mieniłem się jego przyjacielem...

Podczas przygotowań do wyjazdu z Chin Keira i Adrian padli ofiarą strasznego zamachu. Na górskiej drodze jakiś samochód zepchnął ich terenówkę w przepaść. Wóz wpadł do Żółtej Rzeki. Adriana ocalili przed utonięciem mnisi, którzy stali na brzegu, gdy doszło do wypadku, ale zwłok Keiry nie udało się odnaleźć.

Odzyskawszy siły, Adrian wyjechał z Chin, nie chciał jednak wrócić do pracy w Londynie. Śmierć Keiry załamała go, więc schronił się w rodzinnym domu, na małej greckiej wyspie Hydrze. Adrian to syn Anglika i Greczynki.

Minęły trzy miesiące. Gdy jego zżerała tęsknota za ukochaną, a ja zmagalem się z potwornym poczuciem winy, do Akademii trafiła adresowana do Adriana przesyłka od anonimowego nadawcy z Chin.

W paczce znajdowały się rzeczy, które on i Keira pozostawili w klasztorze, a także kilka fotografii Keiry. Na czole dziewczyny zauważyłem bliznę. Byłem pewien, że wcześniej jej nie miała. Powiedziałem o tym Ivory'emu, a on przekonał mnie, że być może jest to dowód na to, iż Keira żyje.

Setki razy powtarzałem sobie, że muszę milczeć, że nie wolno mi nękać Adriana. Ale czy mógłbym ukrywać przed nim coś takiego?

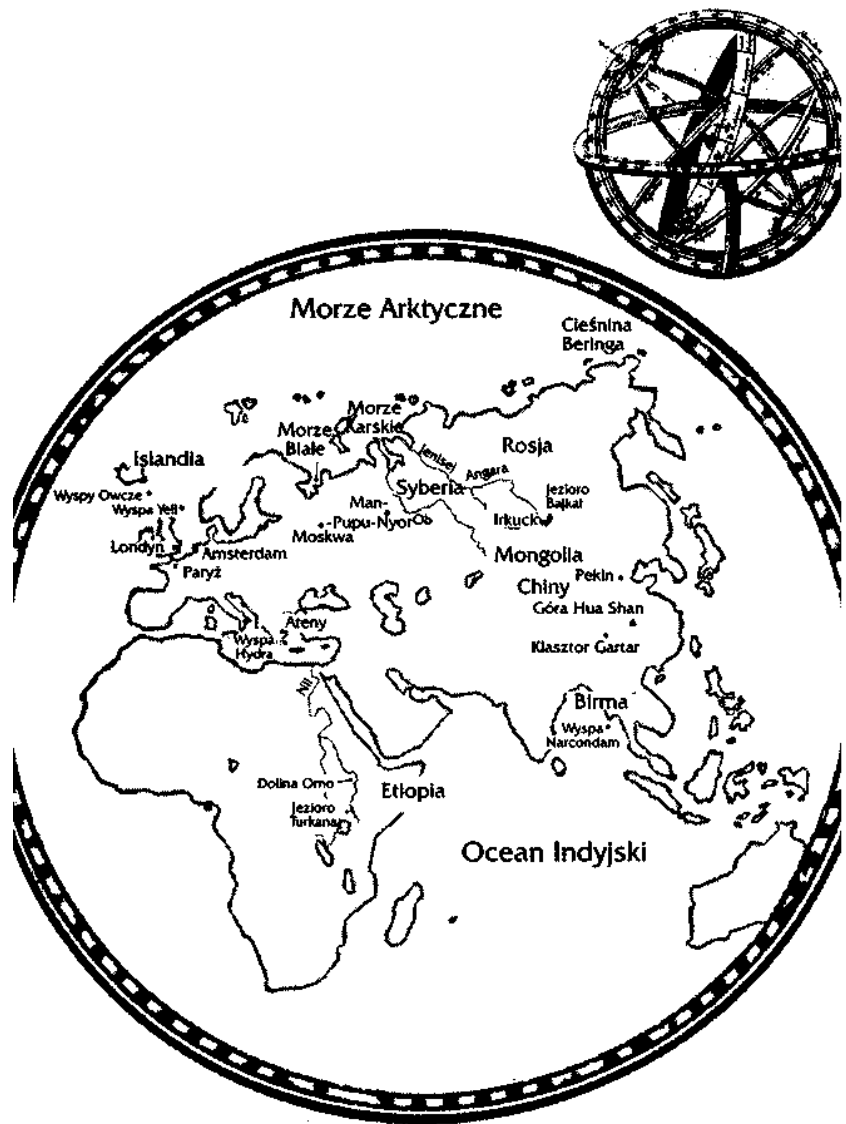
Kiedy więc Adrian usłyszał, z jaką wieścią przyjechałem, poleciał natychmiast do Pekinu.

Piszę ten list, aby pewnego dnia oddać go Adrianowi i w ten sposób wyznać mu moje winy. Co wieczór modlę się, żeby zdążył go przeczytać i żeby wybaczył mi krzywdę, jaką mu wyrządziłem.

Ateny, 25 września
Walter Glencorse
Dyrektor administracyjny Brytyjskiej Akademii Nauk

Notatnik Adriana





Pokój 307. Kiedy nocowałem tu po raz pierwszy, nie zwróciłem uwagi na widok, bo wówczas byłem szczęśliwy, a szczęście rozprasza. Siedzę przy tym małym biurku, na wprost okna, przede mną rozpościera się Pekin, a ja jeszcze nigdy nie czułem się aż tak zagubiony. Już na myśl o odwróceniu głowy i spojrzeniu na łóżko przeszywa mnie dotkliwy ból. Tęsknota za tobą zżera mnie jak powolna śmierć, która krok po kroku czyni spustoszenia. To jakby kret kopał sobie tunele w moim brzuchu. Próbowałem się nawet znieczulić, sownie zakrapiając śniadanie baidzi,

ale i ryżowa wódka mi nie pomogła.

Przez dziesięć godzin lotu nie zmrużyłem oka, więc musiałem się przespać przed dalszą podróżą. Nie pragnę niczego poza tymi kilkoma chwilami nieświadomości, chcę chwili zapomnienia, kiedy przed oczyma nie będą mi się przesuwały sceny przypominające o tym, co tu przeżyliśmy.

Jesteś tam?

Zapytałaś mnie o to zza zamkniętych drzwi łazienki, kilka miesięcy temu. Dziś słyszę już tylko plusk wody, która kapie kropla po kropli ze starego kranu, uderzając o niedomytą fajansową umywalkę.

Odsuwam krzesło, zarzucam płaszcz i wychodzę z hotelu. Wsiadam z taksówki przed parkiem Jingshan. Idę przez rozarium, skręcam na kamienny mostek nad stawem.

Jestem szczęśliwa, że tutaj przyjechaliśmy.

Ja także byłem szczęśliwy. Gdybym wtedy wiedział, jaki zgotujemy sobie los, niczego nieświadomi, zafascynowani odkryciami... *Gdyby można było zatrzymać czas, zrobiłbym to w tamtym właśnie momencie. Gdyby można było cofnąć się w czasie, wróciłbym do rozarium białych róż...*

Wróciłem w miejsce, w którym wypowiedziałem życzenie, między krzewy białych róż, w parkową alejkę. Ale czas się nie zatrzymał.

Północną Bramą wszedłem do Zakazanego Miasta i ruszyłem alejkami, kierując się tam, dokąd prowadziły wspomnienia.

Szukałem kamiennej ławki pod rozłożystym, jakby wykutym w skale drzewem, gdzie tak niedawno siedzieli dwoje starych Chińczyków. Może gdybym ich tu teraz zobaczył, znalazłbym ukojenia. Wtedy wydawało mi się, że w ich uśmiechach kryje się zapowiedź przyszłości dla nas dwojga, ale może starcy śmiali się, wiedząc, jaki czeka nas los.

W końcu znalazłem tę ławkę, była wolna. Położyłem się na niej. Gałęzie wierzby kołysały się na wietrze, a ich monotony taniec wprowadził mnie w senność. Zamknąłem oczy, ujrzałem twoją twarz i zasnąłem.

Obudził mnie policjant. Poprosił, żebym opuścił park, gdyż po zapadnięciu zmierzchu nikomu nie wolno tu przebywać.

Wróciłem do hotelu i zamknąłem się w swoim pokoju. Światła miasta rozpraszają mrok. Ściągnąłem z łóżka narzutę, rozłożyłem ją na dywanie i owinąłem się w nią. Reflektory samochodów rzucały na sufit dziwaczne cienie. Nie warto było marnować czasu, wiedziałem, że i tak nie zdołam zasnąć.

Zabrałem bagaże, zapłaciłem w recepcji rachunek i poszedłem na parking po samochód.

GPS wytyczył mi drogę do Xi'an. W okolicach wielkich miast noc się rozmywa, prawdziwe ciemności istnieją w rejonach wiejskich.

Zatrzymałem się w Shijiazhuang, żeby zatankować do pełna. Nie kupiłem nic do jedzenia. Gdybyś ze mną była, nawymyślałabyś mi od tchórzy, i pewnie miałabyś rację, ale skoro nie byłem głodny, wolałem nie wywoływać licha.

Sto kilometrów dalej zobaczyłem opustoszałą wioskę na wzgórzu. Skręciłem w wyboistą drogę, żeby obejrzeć wschód słońca nad doliną. Podobno miejsca zachowują pamięć chwil, które przeżyli w nich kochający się ludzie. Może to tylko przesąd, ale tego ranka chciałem wierzyć, że tak jest.

Ruszyłem wyludnionymi uliczkami, minąłem wodopój na rynku. Czarka, którą znalazłaś w ruinach konfucjańskiej świątyni, zniknęła. Wiedziałaś, że tak się stanie, że ktoś ją zabierze i zrobi z nią, co zechce.

Usiadłem na skalistym zboczu i czekałem na wschód słońca, tak imponujący w tym miejscu. Potem ruszyłem w dalszą drogę.

Przejazd przez Linfen był tak samo upiorny jak poprzednio – aż gorzkie od zanieczyszczeń powietrze drażniło mi gardło. Sięgnąłem do kieszeni po kawałek płótna, z którego zrobiłaś nam prowizoryczne maski. Znalazłem je wśród rzeczy odesłanych mi do Grecji. Nie pachniało już twoimi perfumami, ale osłaniając nim twarz, przypominałem sobie każdy twój gest.

Kiedy jechaliśmy przez Linfen, narzekałaś:

Obrzydliwy smród...

...ale wtedy gderałaś pod byle pretekstem. Tak bardzo bym chciał usłyszeć znowu twoje narzekania.

To tu, kiedy jechaliśmy przez cuchnące Linfen, ukłułaś się w palec, szperając w torebce, i znalazłaś ukrytą pod podszewką pluskwę. Już tamtego wieczoru powinienem był podjąć decyzję i przerwać podróż. Nie byliśmy przygotowani na to, co nas czekało, nie byliśmy poszukiwaczami przygód, tylko dwojgiem naukowców i zachowywaliśmy się jak para naiwnych dzieciaków.

Widoczność i tym razem była tu marna, musiałem więc uwolnić się od przykrych myśli i skupić na drodze.

Pamiętałem, że przed wyjazdem z Linfen zatrzymałem się na poboczu i po prostu wyrzuciłem pluskwę, nie zastanawiając się nad zagrożeniem, jakie mogła dla nas oznaczać. Myślałem wtedy tylko o tym, że ktoś śmiał naruszyć naszą prywatność, wdrzeć się w nasze życie. Zaraz potem wyznałem, że cię pragnę, ale nie powiedziałem ci, co w tobie kocham, trochę dlatego, że się wstydzilem, trochę – żeby przeciągać grę.

Zbliżyłem się do miejsca wypadku, tam gdzie mordercy zepchnęli nas w przepaść, i ręce drżały mi na kierownicy.

Powinieneś go przepuścić.

Adrianie, zwolnij, proszę.

Łzy kręciły mi się w oczach.

Nie mogę, on pędzi prosto na nas.

Zapięłaś pas?

A ty gniewnie odrzekłaś „tak”. Po pierwszym uderzeniu niemal rzuciło nas na przednią szybę. Jeszcze teraz widziałem, jak twoje palce bieleją, zaciskając się na skraju tablicy rozdzielczej. Ile było tych uderzeń zderzakiem, zanim koła zawisły w pustce, zanim wóz zsunął się w przepaść?

Pocałowałem cię, kiedy wody Żółtej Rzeki już nas pochłaniały, zapatrzyłem się w twoje oczy, gdy tonęliśmy, zostałem z tobą aż do końca, najdroższa.

Droga przede mną wciąż się wiała, a ja na każdym wirażu starałem się powściągać zbyt nerwowe gesty, w pełni panować nad samochodem. Czyżbym minął skrzyżowanie, za którym jest wąska droga wiodąca do klasztoru? Odkąd przyjechałem do Chin, myślałem tylko o tym miejscu. Lama, który nas tu

przyjął, to mój jedyny znajomy na obcej ziemi. Kto, jeśli nie on, mógł wskazać mi, jak cię odnaleźć, i podać informacje mogące podtrzymać słabą nadzieję, że jednak żyjesz? Twoje zdjęcie z bliźną na czole to tak niewiele, zaledwie kawałek papieru, który wyjmowałem z kieszeni sto

razy dziennie. Po prawej zauważyłem drogę. Zbyt późno zacząłem hamować, więc samochód wpadł w poślizg. Cofnąłem.

Koła terenówki ugrzęzły w jesiennym błocie. Lało przez całą noc. Zaparkowałem na skraju lasu i dalej poszedłem piechotą. Jeżeli pamięć mnie nie zawodziła, powinienem minąć bród, potem wspiąć się na drugie zbocze, a stamtąd zobaczyć dach klasztoru.



Dotarcie tam zajęło mi niecałą godzinę. O tej porze roku potok wzbierał, więc nie tak łatwo było się przez niego przeprawić. Duże, okrągłe kamienie ledwie wystawały nad wzburzoną wodę i były bardzo śliskie. Gdybyś mogła zobaczyć, jak niezdarnie próbowałem utrzymać równowagę, pewnie nie oszczędziłabyś mi drwiących uwag.

Ta myśl dodawała mi sił.

Ciężka ziemia lepiła mi się do podeszew i miałem wrażenie, że raczej się cofam, niż posuwam do przodu. Dotarcie na szczyt było nie lada wysiłkiem. Przemoczony, ubłocony musiałem wyglądać jak włóczęga, toteż zastanawiałem się, jak powitają mnie trzej mnisi, którzy wyszli mi naprzeciw.

Bez słowa gestem dali mi znak, bym poszedł za nimi. Wkrótce stanęliśmy przed furką, a ten, który po drodze stale sprawdzał, czy się nie zgubiłem, zaprowadził mnie do małej izby. Przypominała celę, w której nocowaliśmy. Poprosił, żebym usiadł, zanurzył warząchew w krystalicznej wodzie, klęknął przede mną, obmył mi ręce, nogi i twarz. Potem podał mi lniane spodnie, czystą koszulę i zostawił samego. Tego popołudnia już go nie widziałem.

Po pewnym czasie inny mnich przyniósł mi posiłek. Rozłożył na podłodze matę, domyśliłem się więc, że to właśnie w tej izdebce mam spędzić noc.

Słońce było coraz niżej i kiedy jego światło dogasało nad horyzontem, pojawił się w końcu ten, z którym pragnąłem się spotkać.

– Nie wiem, co pana tu sprowadza, ale jeśli nie zamierza mi pan oświadczyć, że postanowił schronić się tu przed światem, byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan jutro stąd odejść. I tak mieliśmy już przez pana poważne problemy.

– Czy wiadomo coś nowego o Keirze, kobiecie, która tu ze mną była? Pojawiła się może? – zapytałem z lękiem.

– Szczerze boleję, że spotkało was takie nieszczęście, ale jeżeli ktokolwiek dał panu nadzieję, że pańska przyjaciółka przeżyła ten straszny wypadek, to kłamał. Nie twierdzą, że wiem o wszystkim, co dzieje się w okolicy, ale proszę mi wierzyć, taka wiadomość na pewno by do mnie dotarła.

– To nie był wypadek! Bracie, mówiłeś nam, że wasza religia zabrania kłamać, toteż pytam po raz drugi: czy jesteś pewien, że Keira nie żyje?

– Proszę nie podnosić głosu w tych murach. Na mnie zresztą nie robi to żadnego wrażenia, podobnie jak na naszych uczniach. Nie jestem pewien, bo jakże mógłbym być? Rzeka nie oddała ciała pańskiej przyjaciółki. Wiem tylko tyle. Ale trudno się dziwić. Woda jest głęboka, a nurt bardzo szybki. Przykro mi, że muszę mówić o takich szczegółach, domyślam się, jak ciężko panu tego słuchać, ale sam pan pytał.

– A samochód? Odnaleziono go?

– Jeżeli to dla pana ważne, proszę zwrócić się do władz, chociaż zdecydowanie to panu

odradzam.

- Dlaczego?
- Powiedziałem, że mieliśmy problemy, ale mam wrażenie, że to pana nie obchodzi.
- Jakie problemy?
- Sądzi pan, że ten wypadek nie miał żadnych konsekwencji? Policja podjęła śledztwo.

Zaginiecie cudzoziemki na terytorium Chin nie jest banalną sprawą. A ponieważ władze niechętnie odnoszą się do naszych klasztorów, mieliśmy kilka dość nieprzyjemnych wizyt. Mnichów poddano ostrym przesłuchaniom, przyznaliśmy, że byliście naszymi gośćmi, bo kłamać nam nie wolno. Teraz chyba pan rozumie, że uczniowie tym razem odnoszą się do pana niezbyt przychylnie.

- Keira żyje, bracie, powinieneś mi wierzyć i pomóc.

– Kieruje się pan głosem serca. Rozumiem, że nadzieja jest panu potrzebna i że się pan jej trzyma, ale nie chcąc spojrzeć prawdzie w oczy, podsycy pan cierpienie, które pana zżera. Gdyby pańska przyjaciółka przeżyła, ktoś by ją zobaczył i powiadomiono by nas o tym. Tu, w górach, niczego nie da się ukryć. Niestety, obawiam się, że rzeka ją uwięziła, i szczerze nad tym ubolewam, łącząc się z panem w żalu. Teraz rozumiem, dlaczego odbył pan tę drogę przez góry, i przykro mi, że właśnie ja muszę przywołać pana do rozsądku. Bardzo trudno odbyć żałobę, nie mogąc pochować zwłok, nie mając grobu, przy którym można się pomodlić czy łączyć ze zmarłym, ale przecież dusza przyjaciółki zawsze jest przy panu i pozostanie tak długo, jak długo będzie pan ją kochał.

– Och, proszę oszczędzić mi tych frazesów! Nie wierzę ani w Boga, ani w tamten świat, lepszy od naszego.

– Ma pan prawo nie wierzyć, ale jak na człowieka, który odrzuca wiarę, często pojawia się pan w murach klasztoru.

- Gdyby wasz Bóg istniał, nie stałoby się to, co się stało.

– Gdyby mnie pan usłuchał, kiedy odradzałem wyprawę na górę Hua Shan, nie doszłoby do dramatu, który państwa spotkał. Skoro jednak nie zamierza pan tu pozostać, nie ma sensu przedłużać tej wizyty. Niech pan odpocznie u nas tej nocy. Rano proszę odejść. Nie wyganiem pana, nie mam do tego prawa, byłbym jednak wdzięczny, gdyby nie nadużywał pan naszej gościnności.

- Gdzie może teraz być, jeśli przeżyła?
- Niech pan wraca do domu!

Mnich wyszedł.

Przez całą noc nie zmrzyłem oka, szukając rozwiązania zagadki. Zdjęcie nie kłamało. Wpatrywałem się w nie przez dziesięć godzin lotu z Aten do Pekinu, nocą robiłem to przy blasku świecy. Blizna na czole była dla mnie niepodważalnym dowodem. Nie mogąc zasnąć, wstałem po cichu i odsunąłem skrzydło drzwi z liści ryżowych. W słabym świetle kierowałem się ku sali, w której spało sześciu mnichów. Jeden z nich zapewne wyczuł czyjaś obecność, bo przewrócił się na posłaniu i głęboko westchnął, na szczęście się nie obudził. Szedłem dalej na palcach, omijając śpiących na podłodze. Dotarłem na dziedziniec klasztoru. W poblasku kwadry Księżyca pośrodku dziedzińca zobaczyłem studnię. Podszedłem do niej i przysiadłem na obrzeżu.

Nagle usłyszałem jakiś szmer. Ktoś położył mi rękę na ustach, abym nie mógł krzyknąć. Rozpoznałem lamę. Skinął na mnie i razem wyszliśmy poza mury klasztoru. Idąc polem,

doszliśmy aż do wysokiej wierzby. Tam odwrócił się do mnie.

Pokazałem mu zdjęcie Keiry.

– Kiedy wreszcie dotrze do pana, że jest pan dla nas, a przede wszystkim dla siebie, zagrożeniem? Powinien pan wyjechać, narobił pan już dość szkód.

– Jakich szkód?

– Sam mi pan powiedział, że to nie był wypadek. Jak pan sądzi, dlaczego wyprowadziłem pana daleko poza klasztor? Nikomu nie mogę ufać. Ci, którzy pana ścigają, nie zmarnują szansy po raz drugi, a pan sam daje im tę okazję. Nie należy pan do dyskretnych, więc obawiam się, że już zauważono pańską obecność

w tej okolicy. Chyba że stał się cud. I oby trwał dość długo, żeby zdążył pan wrócić do Pekinu i wsiąść do samolotu.

– Nie wyjadę, dopóki nie odnajdę Keiry.

– Trzeba było troszczyć się o nią przedtem, teraz jest już za późno. Nie wiem, co odkryliście, i wcale nie chcę tego wiedzieć, ale zaklinam pana, niech pan wyjedzie!

– Proszę podać mi jakąś wskazówkę, choćby najdrobniejszą, wskazać ścieżkę, którą mogę podążać, a obiecuję, że zniknę o wschodzie słońca.

Mnich wpatrywał się we mnie w milczeniu. Potem odwrócił się i poszedł w stronę klasztoru. Podążyłem za nim. Słowem się nie odzywając, odprowadził mnie do celi.



Był już późny ranek – różnica czasu i zmęczenie po podróży dały o sobie znać. Zbliżało się południe, kiedy lama wszedł do mojej celi z miską ryżu i miską bulionu na drewnianej tacy.

– Gdyby ktoś zobaczył, że podaję panu śniadanie do łóżka, zarzuciłby mi, że chcę zmienić miejsce modłów w pokoje gościnne – powiedział z uśmiechem. – Niech pan coś zje przed podróżą. Bo przecież wkrótce pan wyrusza w drogę, prawda?

Skinąłem głową. Nie warto było nalegać, niczego więcej nie zdołałbym się już od niego dowiedzieć.

– W takim razie: szczęśliwej drogi – powiedział lama i wyszedł.

Unosząc miseczkę z bulionem, zauważyłem złożoną na czworo kartkę. Odruchowo ukryłem ją w dłoni i dyskretnie wsunąłem do kieszeni. Zjadłem i szybko się ubrałem. Nie mogłem się doczekać chwili, gdy będę mógł przeczytać wiadomość od lamy, jednakże dwóch uczniów już czekało pod drzwiami celi, żeby odprowadzić mnie na skraj lasu.

Kiedy się rozstawaliśmy, podali mi paczkę zawiniętą w szary papier i przewiązaną konopnym sznurkiem. Wsiadłem do samochodu i zaczekałem, aż odejdą. Dopiero wtedy sięgnąłem po kartkę i zacząłem czytać list od lamy.

Jeżeli nie chce Pan usłuchać moich rad, to proszę przynajmniej pamiętać o tym, co Pan teraz przeczyta. Podobno młody mnich przybył do klasztoru w Gartar kilka tygodni po Pańskim wypadku. Prawdopodobnie nie ma to nic wspólnego z Pańską sprawą, jednakże ta świątynia niezwykle rzadko wita nowych uczniów. Obiło mi się o uszy, że ten nie wygląda na uszczęśliwionego nowym życiem. Nikt nie potrafił mi powiedzieć, kim jest ten chłopak. Jeżeli będzie Pan trwał w uporze i postanowi kontynuować to nierozważne śledztwo, radzę jechać do Chengdu. Tam powinien Pan zostawić samochód. Region, do którego się Pan

wybiera, jest bardzo ubogi, taka terenówka zwracałaby uwagę, więc lepiej nie prowokować losu. W Chengdu proszę się przebrać w ubranie, które znajdzie Pan w paczce. Upodobni się Pan trochę do tubylców. Proszę jechać autobusem do Yala. Nie wiem, co jeszcze Panu poradzić... Żaden cudzoziemiec nie dostanie się do klasztoru w Gartar, ale kto wie – może los się do Pana uśmiechnie.

I niech Pan będzie ostrożny. Nie jest Pan sam. Przede wszystkim proszę spalić ten list.

Do Chengdu miałem osiemset kilometrów, czyli około dziewięciu godzin jazdy.

List od lamy nie dawał mi większych nadziei – może zresztą napisał go tylko po to, żeby się mnie pozbyć i wysłać jak najdalej. Nie, nie byłby zdolny do takiej podłości. Zapewne w drodze do Chengdu ta myśl nasunie mi się jeszcze wiele razy...

Po lewej stronie łańcuch górski rzucał mroczny cień na szarą, brudną dolinę. Droga biegła tą doliną ze wschodu na zachód. Przed sobą miałem potężne kominy huty.

Liuzhizhen, kamieniołomy, ciemne niebo nad parcelami pól, kopalnie odkrywkowe – z tego pejzażu wyzierał przejmujący smutek porzuconych fabryk na dawnych terenach przemysłowych.

Padalo, wciąż padało i wycieraczki ledwie nadażały z usuwaniem strumieni wody. Droga była śliska. Kierowcy ciężarówek, które wyprzedzałem, dziwnie na mnie patrzyli. Prawdopodobnie dlatego, że w tej okolicy pojawia się niewielu turystów.

Miałem za sobą dwieście kilometrów, zostało mi jeszcze około sześciu godzin jazdy. Coraz bardziej pragnąłem zadzwonić do Waltera, poprosić, żeby się do mnie przyłączył, samotność zaczynała mnie przytłaczać, nie mogłem jej już znieść. We wzburzonych wodach Żółtej Rzeki zatraciłem egoizm lat młodości. Spojrzałem w lusterko wsteczne i pobladłem. Walter powiedziałby mi, że to zmęczenie, wiedziałem jednak, że przekroczyłem granicę i nie mogę się już cofnąć. Szkoda, że nie poznałem Keiry wcześniej i że straciłem tyle lat, żyjąc w przekonaniu, iż szczęście znajdę w tym, czego dokonam. Ale szczęście jest skromniejsze, tkwi w drugim człowieku.

Przede mną, na horyzoncie, wznosiła się nad równiną ściana gór. Tablica informacyjna podawała zapisaną alfabetem łacińskim nazwę Chengdu oraz odległość – 660 kilometrów. Autostrada wdzieriała się tunelem w skałę. Radio zamilkło, ale to mi nie przeszkadzało, bo azjatycki pop i tak był dla mnie nieznośny. Potem, na odcinku dwustu pięćdziesięciu kilometrów, jechałem po mostach nad głębokimi wąwozami. Planowałem postój na stacji benzynowej w Guangyuan.

Podawali tam całkiem niezłą kawę.

Położyłem na siedzeniu pasażera paczkę herbatników i pojechałem dalej.

Przy wjeździe w wąską dolinę za każdym razem widziałem małe chatki. Do Mianyang dotarłem po ósmej wieczorem i od razu uderzyła mnie kontrastująca z tymi górskimi osadami nowoczesność miasta nauki i technologii. Nad rzeką wznosiły się wysokie wieżowce ze szkła i stali. Zapadała noc, a ja zmagalem się ze zmęczeniem. Musiałem się tu zatrzymać i odpocząć przed dalszą podróżą. Popatrzyłem na mapę. Czekala mnie droga do Chengdu, a stamtąd jeszcze do klasztoru w Gartar – wiele godzin jazdy autobusem. Nawet gdybym zrezygnował z noclegu, nie miałem szans na dotarcie do celu tego wieczoru.



Otrzymałem pokój w hotelu. Zostawiłem samochód na parkingu i wybrałem się na spacer po betonowej promenadzie nad rzeką. Deszcz ustał, w kilku restauracjach można było zjeść kolację w jeszcze mokrych ogródkach oświetlanych lampami gazowymi.

Tutejsze dania były dla mnie nieco za tłuste. W dali, z ogłuszającym hukiem, wystartował samolot. Wzbił się nad miastem i skręcił na południe. Prawdopodobnie to był ostatni lot tego wieczoru. Dokąd podróżowali pasażerowie siedzący przy rozświetlonych okienkach? Londyn i Hydra były tak odległe! Ogarnął mnie smutek. Jeżeli Keira żyje, to dlaczego z nikim się nie kontaktuje? Co mogłoby ją powstrzymać, przeszkodzić jej w daniu nam znaku życia? Czy stało się coś, co usprawiedliwia to milczenie? Może mnich ma rację, może oszalałem, bo tylko szalenciec żyje uludą. Zmęczony brakiem snu stawałem się bardziej podatny na posępne myśli, może udzielił mi się smutek tej mrocznej nocy. Miałem spocone ręce, wilgoć przenikała mnie do szpiku kości. Drżałem, to pocilem się z gorąca, to robiło mi się zimno. Kiedy podszedł kelner, domyśliłem się, że pyta, czy dobrze się czuję. Chciałem mu odpowiedzieć, ale nie mogłem wydusić z siebie ani słowa. Ocierałem tylko kark serwetką i czułem, że pot spływa mi po plecach, a głos kelnera staje się coraz dalszy. Światła w ogródku zaczęły migotać, świat zawirował i nagle wszystko zniknęło.



Zamroczenie wolno przemijało, ciemności się rozpraszały, znów nastawał dzień, a ja słyszałem głosy – dwa, może trzy. Ludzie mówili w języku, którego nie rozumiałem. Poczulem chłód na policzkach, musiałem otworzyć oczy.

Ujrzałem twarz starej kobiety. Gładziła moje czoło, dając do zrozumienia, że najgorsze już minęło. Zwilżyła mi wargi i wyszeptwała słowa, które pewnie miały mnie uspokoić.

Poczulem mrowienie – krew znów krążyła w moich żyłach. Zemdlałem. Ze zmęczenia albo na skutek choroby, która dopiero się wykluwa. A może zjadłem coś, czego nie powinienem... Nie wiedziałem, byłem zbyt słaby, żeby się nad tym zastanawiać. Przeniesiono mnie do restauracji i ułożono na kanapie w małej salce. Do opiekującej się mną staruszki podszedł mężczyzna, jej mąż. On także uśmiechał się do mnie, a twarz miał bardziej pomarszczoną niż ona.

Próbowałem coś powiedzieć, podziękować za troskliwość.

Starszy pan przytknął mi do ust filiżankę i zmusił do wypicia gorzkiego płynu. Chińska medycyna jest bardzo skuteczna, więc zbytnio się nie opierałem.

To chińskie małżeństwo uderzająco przypominało parę, którą ja i Keira spotkaliśmy kiedyś w parku Jingshan, było właściwie identyczne, i to dodało mi otuchy.

Powieki same mi się zamknęły, poczułem, że zapadam w sen.

Spać, spokojnie odzyskać siły – to było najlepsze rozwiązanie, więc się poddałem.

Paryż

Ivory krążył po salonie. Partia szachów przybrała niekorzystny dla niego obrót, a teraz Vackeers przesunął konika, zagrażając jego królowej. Ivory podszedł do okna, rozsunał zasłony i patrzył na płynący po Sekwanie statek spacerowy.

– Chcesz o tym porozmawiać? – zapytał Vackeers.

– O czym? – odpowiedział pytaniem.

– O tym, co ci nie daje chwili spokoju.
– Czyżbym wyglądał na zaniepokojonego?
– Sądząc po tym, jak dzisiaj grasz... Chyba że po prostu chcesz, żebym wygrał. Jeżeli tak, to wyznam, że konsekwencja, z jaką oddajesz mi tę partię, jest dla mnie niemal obelgą. Wolałbym, żebyś mi powiedział, co cię dręczy.

– Nic, ale tej nocy prawie nie zmrużyłem oka. Aż trudno uwierzyć, że jeszcze niedawno mogłem nie spać przez dwie doby. Czym zawiniliśmy Bogu, żeby zasłużyć sobie na karę tak okrutną jak starość?

– Nie zamierzam ci schlebiać, ale mam wrażenie, że z tobą Bóg obszedł się łagodnie.

– Nie miej mi tego za złe, ale chyba powinniśmy się już pożegnać. A nasza partia i tak skończyłaby się szachem i matem dla mnie po czterech kolejnych ruchach.

– Po trzech! Widzę, że jesteś bardziej przygnębiony, niż sądziłem, ale nie będę cię do niczego zmuszał. Jestem twoim przyjacielem. Kiedy zechcesz, kiedy uznasz, że to możliwe, powiesz mi, co jest powodem twych zmartwień.

Vackeers wstał i poszedł do przedpokoju. Włożył płaszcz i kiedy odwrócił głowę, Ivory wciąż wyglądał przez okno.

– Jutro wracam do Amsterdamu. Wpadnij do mnie na kilka dni, chłód nad kanałami pomoże ci w uwolnieniu się od bezsenności. Serdecznie zapraszam.

– Wydawało mi się, że nie powinniśmy się pokazywać razem.

– Sprawa została zamknięta. Nie musimy już prowadzić tej skomplikowanej gry. I proszę cię, przestań się obwiniać, nie jesteś odpowiedzialny za to, co się stało. Powinniśmy byli przewidzieć, że sir Ashton nie podda się tak łatwo. Ja także ubolewam, że rzeczy przybrały taki obrót, ale tego nie zdołasz już naprawić.

– Wszyscy domyślali się, że sir Ashton prędzej czy później wkroczy do akcji, ale hipokryzja była dla wszystkich najwygodniejsza. Obaj dobrze o tym wiemy.

– Ivory, przysięgam, że gdybym przewidział, do jakich uciekniesz metod, zrobiłbym, co w mojej mocy, żeby mu w tym przeszkodzić.

– A co było w twojej mocy?

Vackeers uważnie spojrzał na Ivory'ego, potem spuścił oczy.

– W każdym razie zapraszam cię do Amsterdamu, możesz przyjechać w każdej chwili. I jeszcze jedno: lepiej nie zapisujemy dzisiejszej partii szachów w tabeli wyników. Dobranoc, Ivory.

Ivory nie odpowiedział. Vackeers zamknął za sobą drzwi, wsiadł do windy i zjechał na parter. Jego kroki rozbrzmiały w holu. Po chwili rozległ się szcęk ciężkiej bramy. Vackeers przeszedł na drugą stronę ulicy.

Noc była pogodna. Idący bulwarem d'Orléans Vackeers odwrócił się i spojrzał na fasadę kamienicy – światła w salonie Ivory'ego zgasły. Wzruszył ramionami i poszedł dalej. Skręcił w ulicę Le Regrattier, a wtedy dwa krótkie mignięcia reflektorów przywołały go do zaparkowanego przy krawężniku Citroëna. Vackeers otworzył drzwi po stronie pasażera i wsiadł. Gdy kierowca zamierzał uruchomić silnik, powstrzymał go.

– Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym jeszcze chwilę zaczekać.

Mężczyźni siedzieli w milczeniu. Kierowca wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił zapalniczkę.

– Co takiego ciekawego może się tu wydarzyć? – zapytał Vackeersa.

- Interesuje mnie ta budka na wprost nas.
- Co pan opowiada? Przecież tu nie ma żadnej budki.
- Proszę zgasić papierosa.
- Czyżby nagle zaczął panu przeszkadzać dym tytoniowy?
- Nie, ale przeszkadza mi żarzący się punkcik.

Jakiś mężczyzna pojawił się na bulwarze. Przystanął i oparł się o balustradę.

- To Ivory? – zapytał kierowca Vackeersa.
- Nie, przecież to papież!
- Mówi do siebie?
- Telefonuje.
- Do kogo?
- Po co zgrywa pan durnia? Skoro wyszedł w środku nocy z domu, żeby zadzwonić z ulicy, to prawdopodobnie nie chce, żeby ktokolwiek się dowiedział, z kim rozmawia.
- I co nam da obserwowanie go, jeżeli i tak nie słyszymy rozmowy?
- W ten sposób potwierdzam swoje przeczucie.
- Już je pan potwierdził, więc może odjedziemy?
- Nie, bo interesuje mnie, co się teraz stanie.
- I pewnie pan się tego domyśla?
- Straszny z pana gaduła, Lorenzo! Kiedy się rozłączy, wyrzuci kartę telefonu do Sekwany.
- Planuje pan nurkowanie w rzece i poszukiwanie tego dowodu?
- Straszny z pana głupiec, żal mi pana.
- Zamiast mnie obrażać, mógłby pan po prostu powiedzieć, na co czekamy?
- Za chwilę sam się pan przekona.

Londyn

W małym mieszkaniu przy Old Brompton Road rozdzwonił się telefon. Walter wstał z łóżka, włożył szlafrok i przeszedł do salonu.

- No już, już! – burczał, zbliżając się do stolika, na którym stał aparat.
- Natychmiast poznał rozmówcę po głosie.
- Wciąż nic?
- Nic. Dziś przed wieczorem wróciłem z Aten. Od jego wyjazdu minęły dopiero cztery dni, mam nadzieję, że wkrótce dotrą do nas dobre wiadomości.
- I ja tego pragnę, mimo to wciąż się niepokoję, nie śpię po nocach. Czuję się bezsilny, a tego nigdy nie potrafiłem znieść.
- Prawdę mówiąc, ja też ostatnio kiepsko sypiam.
- Myśli pan, że grozi mu niebezpieczeństwo?
- Powiedziano mi, że nie, że musimy być cierpliwi, ale trudno mi się na to zdobyć. Diagnozy są ostrożne, naprawdę niewiele brakowało.
- Chcę wiedzieć, kto za tym stoi. Sprawdź to. Kiedy zamierza pan wrócić do Aten?
- Jutro wieczorem albo pojutrze, jeśli nie zdążę załatwić wszystkich pilnych spraw w Akademii.

- Proszę do mnie zadzwonić, kiedy będzie pan już na miejscu. I niech pan spróbuje trochę odpocząć.
- Pan też powinien dobrze się wyspać. Do usłyszenia.

Paryż

Ivory pozbył się karty telefonu i zawrócił. Vackeers i jego kierowca odruchowo wtulili się w fotele, mimo że z tej odległości obserwowany przez nich mężczyzna nie zdołałby ich rozpoznać. Po chwili Ivory zniknął za zakrętem.

– To już chyba koniec, możemy jechać? – zapytał Lorenzo. – Tkwię tu przez cały wieczór, zgłodniałem.

– Nie, jeszcze nie.

Vackeers usłyszał warkot ruszającego samochodu. Reflektory omiotły bulwar. Samochód zatrzymał się w miejscu, gdzie przed chwilą stał Ivory. Mężczyzna, który z niego wysiadł, podszedł do balustrady. Pochylił się, zerknął na brzeg rzeki, wzruszył ramionami i wsiadł do wozu. Odjechał z piskiem opon.

– Skąd pan wiedział? – zapytał Lorenzo.

– Paskudne przecucie. A teraz, kiedy zobaczyłem tablicę rejestracyjną tego samochodu, mam jeszcze gorsze.

– Co z tą tablicą?

– Zgrywa się pan, żeby mnie rozśmieszyć, czy to może zwykła głupota? Ten wóz należy do brytyjskich służb dyplomatycznych. Mam to panu wyjaśnić?

– Sir Ashton kazał śledzić Ivory'ego?

– Wydaje mi się, że jak na jeden wieczór, dość już zobaczyłem i usłyszałem. Byłby pan uprzejmy odwieźć mnie do hotelu?

– Dość tego, Vackeers, nie jestem pańskim szoferem. Prosił pan, żebym siedział w samochodzie, to miała być ważna misja, więc marzłem przez dwie godziny, kiedy pan popijał koniak w ciepłym mieszkaniu, i wszystko tylko po to, żeby zobaczyć, jak pański przyjaciel, diabli wiedzą dlaczego, wyrzuca do Sekwany kartę SIM i jak chwilę potem samochód służb konsularnych Jej Królewskiej Mości podjeżdża tu, prawdopodobnie z kimś, kto śledzi Ivory'ego, i widzi ten gest, którego znaczenia wciąż nie rozumiem. Teraz proponuję panu pieszą przechadzkę do hotelu, chyba że wyjaśni mi pan, co tu się dzieje.

– Biorąc pod uwagę stopień pańskiej nieświadomości, postaram się nieco rozjaśnić panu w głowie! Jeśli Ivory zadaje sobie trud, by o północy wyjść z domu i telefonować z ulicy, to najwyraźniej sprawa jest pilna, a on chce zachować ostrożność. Skoro Anglicy obserwują jego dom, to sprawa, która zajmuje nas od paru miesięcy, nie jest, jak się uważa, zamknięta. Nadąża pan, Rzymie?

– Proszę nie traktować mnie, jakbym był kompletnym idiotą – mruknął Lorenzo, ruszając.

Samochód potoczył się po bulwarze i wjechał na most Marie.

– A skoro Ivory jest taki ostrożny, to prawdopodobnie wyprzedza ich o krok – ciągnął Vackeers. – Wydawało mi się, że to ja wygrałem dzisiejszą partię, ale ten człowiek zawsze potrafił mnie zaskakiwać i chyba tak już będzie.

- Co pan zamierza?
 - Tymczasem nic. I ani słowa o tym, czego się pan dziś dowiedział. Za wcześnie na to. Jeżeli poinformujemy naszych przyjaciół, każdy zacznie intrygować i działać na własną rękę i jak dawniej nikt nie będzie mógł nikomu ufać. Wiem, że mogę polegać na Madrycie, a pan, Rzymie, po czyjej stronie się pan opowie?
 - W tej chwili, jeśli mnie wzrok nie myli, siedzę po pańskiej lewicy, a to chyba przynajmniej częściowa odpowiedź na to pytanie, prawda?
 - Musimy jak najszybciej zlokalizować tego astrofizyka. Idę o zakład, że już opuścił Grecję.
 - Niech pan wróci i wypyta swojego przyjaciela. Jeżeli trochę go pan przyciśnie, to może coś powie.
 - Podejrzewam, że wie niewiele więcej niż my, może zgubił trop. Był dziś wyraźnie nieobecny. Zbyt długo go znam, żeby dać się zwieść. On coś knuł. Ma pan jeszcze jakieś kontakty w Chinach? Może pan je uruchomić?
 - To zależy. Rzecz sprowadza się do tego, czego byśmy od nich oczekiwali i co możemy im dać w zamian.
 - Niech pan spróbuje się dowiedzieć, czy Adrian wylądował ostatnio w Pekinie, czy wynajął samochód i czy przypadkiem nie posługiwał się kartą kredytową w hotelu, sklepie czy bankomacie.
- Potem nie zamienili już ani słowa. Ulice Paryża były opustoszałe i po dziesięciu minutach Lorenzo zatrzymał się przed hotelem Montalembert.
- Jeśli chodzi o Chiny, zrobię, co w mojej mocy, ale liczę na rewanż – powiedział, wyłączając silnik.
 - Poczekajmy na efekty, potem przedstawi mi pan rachunek, Rzymie. Do zobaczenia wkrótce i dziękuję za przejażdżkę.
- Vackeers wysiadł z citroena i wszedł do hotelu. Poprosił recepcjonistę o klucz, oprócz niego dostał jednak także kopertę.
- Proszono, żeby to panu przekazać.
 - Jak dawno? – zapytał zdziwiony Vackeers.
 - Taksówkarz zostawił tę kopertę kilka minut temu.
- Coraz bardziej zaintrygowany Vackeers poszedł w stronę windy. Dopiero zamknąwszy za sobą drzwi apartamentu, na czwartym piętrze, przeczytał list.

Drogi Przyjacielu!

Niestety, obawiam się, że nie będę mógł skorzystać z Twojego uprzejmego zaproszenia i nie odwiedzę Cię w Amsterdamie. Zapewniam, że zrobiłbym to z przyjemnością, zwłaszcza że pragnąłbym wynagrodzić Ci moje dzisiejsze zachowanie, ale, tak jak podejrzewałeś, są sprawy, które zmuszają mnie do pozostania w Paryżu.

Mimo to mam nadzieję, że już niedługo się spotkamy. Właściwie jestem tego pewien.

Twój oddany przyjaciel

Ivory

PS W nawiązaniu do mojej nocnej przechadzki, przyzwyczyłeś mnie do dyskretniejszego działania. Kto palił papierosa, siedząc obok Ciebie w pięknym czarnym citroenie? A może zresztą – granatowym... Wzrok pogarsza mi się z każdym dniem...

Vackeers złożył list i mimowolnie się uśmiechnął. Ciężka mu już monotonia ostatnich dni. Wiedział też, że to prawdopodobnie ostatnia akcja w jego karierze, i myśl o tym, iż Ivory znalazł sposób – mniejsza o to jaki – aby uruchomić całą machinę, nie drażniła go, ale, przeciwnie, bardzo mu się podobała. Vackeers usiadł przy biurku, podniósł słuchawkę i wybrał numer poprzedzony kierunkowym do Hiszpanii. Przeprosił Isabel, że niepokoi ją w środku nocy, miał jednak wszelkie podstawy, by sądzić, że sprawa znów się zaczęła i że to, co chciał jej powiedzieć, nie może czekać do rana.

Mianyang, Chiny

Ocknąłem się wczesnym rankiem. Starsza pani, która czuwała przy mnie przez całą noc, drzemała w fotelu. Odrzuciłem koc i wstałem. Natychmiast uniosła powieki, ogarnęła mnie pełnym ciepła spojrzeniem i położyła palec na ustach, prosząc, bym nie hałasował. Potem wstała i poszła po stojący na żeliwnym piecyku czajniczek. Składana ścianka dzieliła pokój, w którym byliśmy, od restauracji. Wokół ujrzałem śpiących na rozesłanych na podłodze materacach członków rodziny. Dwaj mężczyźni około trzydziestki zajmowali miejsce przy oknie. Jednym z nich był ten, który obsługiwał mnie wczoraj przy kolacji, drugim jego brat, kucharz. Ich młodsza siostra, może dwudziestoletnia, spała przy węglowym piecyku. Mąż mojej opiekunki leżał na stole z głową na jaśku, a kołdrą naciągniętą aż pod brodę. Potem zobaczyłem, że spał w swetrze i ciepłej, wełnianej marynarce. Ja zajmowałem kanapę, którą starsi państwo rozkładali na noc. Co wieczór rodzina przesuwiała stoliki w restauracji, żeby zamienić mniejszą salkę w sypialnię. Byłem potwornie skrępowany, widząc, jak zakłóciłem ich życie i wdarłem się w prywatność, jeśli w tym domu ktokolwiek mógł marzyć o intymności. Któż w mojej londyńskiej dzielnicy gotów byłby oddać obcemu własne łóżko?

Starsza pani podała mi aromatyczną herbatę. Porozumiewaliśmy się za pomocą gestów.

Wziąłem od niej filiżankę i na palcach wyszedłem do sali. Kobieta zasunęła ściankę działową.

Ulica była wyludniona. Zatrzymałem się przy balustradzie nad rzeką i patrzyłem na płynącą na zachód wodę. Rzekę spowijała poranna mgiełka. Mała łódź, chyba dżonka, płynęła bardzo wolno, a człowiek, który nią sterował, skinął mi ręką. Odpowiedziałem na to powitanie.

Było mi zimno. Wsunąłem ręce do kieszeni i wyczułem pod palcami zdjęcie Keiry.

Dlaczego właśnie w tej chwili przypomniał mi się nasz wieczór w Nebrze? Pamiętam spędzoną z tobą noc, która – choć tak burzliwa – bardzo nas do siebie zbliżyła.

Wkrótce miałem wyruszyć do klasztoru w Gatar. Nie wiedziałem, ile czasu zajmie mi ta podróż ani jak się tam dostanę, ale w tej chwili się o to nie martwiłem, bo tylko idąc tym tropem, miałem szansę na odnalezienie ciebie, jeśli jeszcze żyłaś.

Dlaczego czułem się tak słaby?

Na ulicy, o parę kroków ode mnie, zobaczyłem kabinę telefoniczną i zapragnąłem usłyszeć głos Waltera. Kabina była przykładem kiczu z lat siedemdziesiątych, ale na szczęście telefon przyjmował karty kredytowe. Wybrałem numer i usłyszałem sygnał zajętej linii – najwyraźniej stąd nie można było połączyć się z zagranicą. Ponowiłem próbę dwukrotnie i zrezygnowałem.

Musiałem jeszcze podziękować Chińczykom, którzy zaopiekowali się mną tej nocy, zapłacić za kolację i wyjechać. Nie Pojęli pieniędzy, więc po długich i serdecznych podziękowaniach

pożegnałem się z nimi i wyszedłem.



Tuż przed południem dotarłem w końcu do Chengdu. Powietrze w mieście było cuchnące, atmosfera gorączkowa i drapieżna. Mimo to wśród drapaczy chmur i wielkich kompleksów mieszkaniowych przetrwały małe, odrapane domy. Odnalazłem drogę prowadzącą na dworzec autobusowy.

Jinli Street, pułapka na turystów, dawała nadzieję na spotkanie z rodakami, którzy może potrafią udzielić mi informacji.

W parku Nanjiao roślinność była zachwycająca, a łódzie rodem z innej epoki spokojnie pływały po jeziorze w cieniu melancholijnych wierzb.

W końcu zauważyłem dwoje młodych ludzi, którzy wyglądali na Amerykanów. Byli studentami i przyjechali w ramach wymiany międzyuczelnianej, by uzupełnić swe wykształcenie.

Uradowani spotkaniem z kimś, kto władał ich ojczystym językiem, wyjaśnili mi, że dworzec znajduje się na drugim końcu miasta. Dziewczyna wyjęła z plecaka notatnik, napisała coś i wręczyła mi kartkę. Doskonale posługiwała się chińskimi znakami. Skorzystałem z okazji i poprosiłem, żeby napisała mi także nazwę klasztoru w Gatar.

Zostawiłem samochód na parkingu pod gołym niebem. Wyjąłem z bagażnika ubranie, które dał mi lama, przebrałem się, spakowałem do torby sweter i kilka drobiazgów. Dalej pojechałem taksówką.

Kierowca spojrział na kartkę, którą mu podsunąłem, i po półgodzinie zatrzymał się przed dworcem autobusowym Wuguiqiao. Z cenną notatką po chińsku podszedłem do kasy i w zamian za dwadzieścia juanów otrzymałem bilet. Sprzedający wskazał mi dwunaste stanowisko i machnął ręką, dając do zrozumienia, że muszę się pospieszyć, jeśli chcę zdążyć przed odjazdem najbliższego autobusu.

Pojazd nie był ani nowy, ani za czysty, a ja wsiadłem jako ostatni, więc pozostało mi tylko miejsce z tyłu, między otyłą kobietą a bambusową klatką, w której podróżowały trzy bardzo ożywione kaczki. Biedaczki miały prawdopodobnie skończyć na talerzu tuż po tej podróży, ale czy mogłem je przestrzec przed tak smutnym losem?

Zostawiliśmy za sobą most na rzece Funan i przy zgrzycie skrzyni biegów ruszyliśmy szybką drogą.

Autobus zatrzymał się w Ya'an, gdzie wysiadł jeden z pasażerów. Nie miałem pojęcia, ile potrwa moja podróż, ale już teraz dłużyła mi się w nieskończoność. Pokazałem kartkę z nazwą klasztoru sąsiadce i podsunąłem jej zegarek. Wskazała na tarczy godzinę szóstą. Miałem więc tam dojechać wczesnym wieczorem. Gdzie przenocuję? Cóż, jakoś sobie poradzę.

Droga wiła się pośród górskich masywów. Jeżeli Gatar leży wysoko, to noce są tam zimne, więc szybkie znalezienie noclegu staje się koniecznością.

Im surowszy był otaczający mnie krajobraz, tym większe ogarniały mnie wątpliwości. Co mogłoby skłonić Keirę do zapuszczenia się w tak odludne okolice? Tylko w poszukiwaniu archeologicznych zdobyczy byłaby gotowa iść na koniec świata. Nie znajdowałem innego wyjaśnienia.

Po dwudziestu kolejnych kilometrach autobus zatrzymał się przy drewnianym moście zawieszonym na dwóch stalowych linach. Stan tej konstrukcji pozostawiał wiele do życzenia.

Kierowca kazał wszystkim pasażerom wysiąść, żeby zredukować ryzyko podczas przejazdu ciężkiej maszyny. Spoglądając w przepaść pod nami, błogosławiłem jego rozagę.

Ponieważ zajmowałem miejsce z tyłu, wysiadłem jako ostatni. Podniosłem się, gdy w autobusie nie było już prawie pasażerów. Nogą odsunąłem bambusowy pręt, który blokował drzwi klatki z niespokojnymi kaczkami skazanymi na pożarcie. Mogły odzyskać wolność, skręcając w prawo, mogły też przebiec pod fotelami – wybór należał do nich. Trzy kaczki beztrąsko pomaszzerowały w ślad za mną. Potem każda poszła własną drogą – jedna środkiem, druga pod rzędami foteli po prawej, a trzecia w lewo. Obym tylko zdążył wyjść przed nimi, w przeciwnym razie padną na mnie oskarżenia o współudział w ucieczce! Ale co mnie to właściwie mogło obchodzić – ich właścicielka była już na moście, szła, trzymając się poręczy i przysmykając oczy, żeby nie widzieć przepaści.

Mnie także brakowało odwagi podczas tej przeprawy. Pasażerowie, którzy zebrali się za mostem, uznali za swój obowiązek gestami i krzykami podpowiadać kierowcy, który ostrożnie jechał po rozklekotanych deskach. Słysząc było niepokojące skrzypienie, zgrzytały stalowe liny, most groźnie się kołysał, ale wytrzymał i po kwadransie wszyscy zajęli swoje miejsca. Wszyscy oprócz mnie. Skorzystałem z okazji i przesiadłem się na zwolnione miejsce w drugim rzędzie. Autobus ruszył, dwie kaczki zniknęły bez śladu, ale trzecia, niestety, wyszła na środek pojazdu i jak głupia pobiegła schronić się pod nogami swojej pani.

Kiedy mijaliśmy Dashencun, uśmiechnąłem się mimowolnie, widząc, jak moja była sąsiadka chodzi na czworakach, na próżno poszukując dwóch ptaków, które „wyfrunęły” z klatki. Wysiadła w Duogong, wyraźnie rozgniewana, czemu zresztą trudno było się dziwić.

Shabacun, Tianquan – miasta i miasteczka ciągnęły się po obu stronach drogi. Jechaliśmy wzdłuż rzeki, autobus piął się na zawrotną wysokość. Chyba się jeszcze całkiem nie wyżyłem choroby, bo czułem, jak przebiegają mnie dreszcze. Kołysany warkotem silnika zdrzemnąłem się na chwilę, ale obudziło mnie gwałtowne szarpnięcie.

Po lewej stronie drogi zobaczyłem sięgający chmur lodowiec Hailuogou. Zbliżaliśmy się do słynnej przełęczy Zheduo, najwyższego punktu podróży. Na poziomie czterech tysięcy trzystu metrów czułem, jak krew tętni mi w skroniach. Miałem migrenę. Pomyślałem o Atakamie. Co działo się z moim przyjacielem Erwanem? Od bardzo dawna nie kontaktowałem się z nim. Gdybym parę miesięcy temu nie zasłał w Chile, gdybym nie lekceważył zaleceń, które nam dano, gdybym słuchał Erwana, nie byłoby mnie tu teraz, a Keira nie zniknęłaby we wzburzonych wodach Żółtej Rzeki.

Pamiętam, że chcąc ukoić moje cierpienie, matka powiedziała mi na Hydrze: „To straszne, gdy traci się kogoś, kogo się kochało, ale jeszcze gorzej nigdy nie spotkać takiej osoby”. Myślała wówczas o moim ojcu, lecz wszystko nabiera innego sensu, gdy czujemy się odpowiedzialni za śmierć ukochanej.

Jeziro Moguecuo odbijało w spokojnym zwierciadle swych wód zaśnieżone wierzchołki drzew. Autobus nieco przyspieszył, zjeżdżając w dolinę Xinduqiao, istne przeciwieństwo Atakamy, krainę bujnej roślinności. Stada jaków pały się na soczystej trawie. Brzozy i wiązy zgodnie panowały nad rozległą równiną pośród gór. Znaleźliśmy się poniżej poziomu czterech tysięcy metrów i nareszcie uwolniłem się od migreny. Potem autobus gwałtownie się zatrzymał. Kierowca spojrzał na mnie, dając znak, że pora wysiadać. Oprócz tej drogi była tu jeszcze jedna, kamienista, biegnąca w kierunku góry Gongga Shan. Kierowca machnął ręką, coś krzyząc.

Domyśliłem się, że prosi, żebym odłożył rozmyślenia na czas, gdy znajdę się już za drzwiami, które otworzył specjalnie dla mnie, wpuszczając do autobusu lodowate powietrze.

Postawiłem bagaż na ziemi i czując, jak szczypią mnie policzki, z drzeniem patrzyłem na odjeżdżający autobus, dopóki nie zniknął za zakrętem.

Zostałem sam na rozległej równinie, którą omiatał wiatr od gór. Przyglądałem się krajobrazowi jak z odległej epoki, ziemi koloru owsa i piasku. Nigdzie jednak nie widziałem murów klasztoru, którego szukałem. Nocleg pod gołym niebem groził zamarznięciem, musiałem więc iść, tylko dokąd? Nie wiedziałem, ale i tak jedynie ruch mógł mnie ocalić przed zgubnym wyziębieniem.

Ogarnięty absurdalną nadzieją, że zdołam uciec przed nocą, biegłem krótkimi odcinkami, od drzewa do drzewa, w stronę zachodzącego słońca.

W dali dostrzegłem czarne płótno namiotu pasterzy. Opatrzność nade mną czuwała.

W sercu bezkresnej równiny ujrzałem małą Tybetankę, która się do mnie zbliżała. Miała trzy, może cztery lata, istna kruszyna o policzkach rumianych jak dojrzałe w słońcu jabłka i błyszczących oczach. Chociaż byłem obcy, nie bała się mnie i chyba nikt się nie bał o nią, skoro mogła chodzić, gdzie chciała. Śmiała się w głos, rozbawiona moim odmiennym wyglądem, i jej śmiech wypełnił dolinę. Wyciągnęła ręce i podbiegła bliżej, zatrzymała się w odległości kilku metrów i zawróciła do swoich. Z namiotu wyszedł mi na spotkanie mężczyzna. Podałem mu rękę, ale on splótł dłonie, skłonił głowę i wskazał, bym z nim poszedł.

Dwie czarne płócienne płachty rozpięte na drewnianych tyczkach tworzyły szpiczasty dach namiotu. Wewnątrz było dużo miejsca. Płomienie trawiły suche drwa na kamiennym palenisku, na którym kobieta gotowała lokalną odmianę gulaszu. Dym unosił się w powietrzu. Mężczyzna gestem poprosił, bym usiadł, a potem nalał do kubków wódki ryżowej i wypił ze mną.

Tego wieczoru jadłem kolację z nowo poznaną rodziną. Przy posiłku ciszę przerywał tylko śmiech dziewczynki o policzkach rumianych jak jabłka. W końcu mała usnęła, tuląc się do matki.

Po zmroku mężczyzna wyszedł ze mną przed namiot. Usiadł na kamieniu i poczęstował mnie zwiniętym przed chwilą papierosem. Razem patrzyliśmy w niebo. Już od dawna nie obserwowałem tak nieba. Zauważyłem jedną z najpiękniejszych konstelacji, które widać jesienią na wschód od Andromedy. Wskazywałem palcem gwiazdy i podawałem gospodarzowi ich nazwy. „Perseusz”, powiedziałem głośno. Mężczyzna zwrócił oczy na właściwy skrawek nieba i powtórzył: „Perseusz”, a potem roześmiał się równie radośnie jak jego córeczka, beztrudnie i tak promiennie, jak świeciły gwiazdy nad naszymi głowami.



Nocowałem w ich namiocie, gdzie nie doskwierał mi ani chłód, ani wiatr. Wczesnym rankiem pokazałem gospodarzowi kartkę, ale nie umiał czytać, więc nawet na nią nie spojrział. Wstawał dzień, a jego czekało mnóstwo zajęć.

Pomagając mu w zbieraniu chrustu, próbowałem wypowiadać słowo „Gartar” i zmieniać wymowę, aby w końcu oddać dźwięk, który będzie dla niego zrozumiałą. On jednak nie reagował, zupełnie obojętny na moje wysiłki.

Gdy nabieraliśmy wystarczająco dużo drewna, zajęliśmy się wodą. Pasterz podał mi pusty bukłak, przerzucił podobny przez ramię i pokazał mi, jak nieść w nim wodę, a potem

poprowadził ścieżką wiodącą na południe.

Szliśmy około dwóch godzin. Z wysoka zobaczyłem rzekę płynącą pośród bujnych łąk. Pasterz znacznie mnie wyprzedził. Kiedy znalazłem się na górze, on już się kąpał. Zdjąłem koszulę i także wszedłem do wody. Była tak zimna, że nie wątpiłem, iż rzeka bierze początek w jednym z widocznych w dali lodowców.

Pasterz trzymał bukłak pod wodą. Postąpiłem tak samo i wkrótce oba się napełniły. Z trudem przeniosłem swój na brzeg.

Po kąpieli mój gospodarz zerwał garść wysokiej trawy i zaczął mocno nacierać nią ciało. Gdy się już osuszył, ubrał się i usiadł, żeby chwilę odpocząć. „Perseusz”, powiedział, wznosząc palec ku niebu. Potem wskazał zakole rzeki kilkaset metrów od nas. Kąpało się tam może dwudziestu mężczyzn, około czterdziestu innych pracowało w polu, orząc i przygotowując idealnie proste bruzdy. Wszyscy byli ubrani tak samo i od razu domyśliłem się, kim są.

– Gartar! – szepnął pasterz.

Podziękowałem mu i już chciałem biec do mnichów, ale pasterz wstał i chwycił mnie za ramię. Spojrzał, marszcząc brwi, a po chwili pokręcił głową, radząc, bym tam nie szedł. Pociągnął mnie za rękaw i wskazał drogę powrotną. Ponieważ z jego twarzy wyczytałem strach, usłuchałem i poszedłem za nim w dół zbocza. Odwróciłem się jeszcze, żeby spojrzeć na mnichów. Ci, którzy przed chwilą myli się w rzece, mieli już na sobie szaty i pracowali, robiąc dziwaczne bruzdy, rysujące się niczym gigantyczny elektrokardiogram. Mnisi zniknęli mi z oczu, gdy zeszliśmy nieco niżej po drugiej stronie zbocza. Wiedziałem, że kiedy tylko nadarzy się okazja, wyknę się mojemu gospodarzowi i wrócę tu, by zejść w dolinę.

Byłem życzliwie przyjęty przez pasterską rodzinę, ale zgodnie z tradycją musiałem zasłużyć na codzienną strawę.

Kobieta wyszła z namiotu, żeby zaprowadzić mnie do stada jaków pasących się w pobliżu. Nie zwróciłem uwagi na naczynie, którym machała, podśpiewując. Kobieta przyklękła przy jednym z tych dziwacznych zwierzaków i zaczęła dojenie. Po chwili wstała, prosząc, bym zajął jej miejsce. Widocznie uznała, że pokaz trwał wystarczająco długo, bym opanował tak prostą czynność. Zostawiła mnie, a ze spojrzenia, które rzuciła na wiaderko, zrozumiałem, że mogę wrócić dopiero, gdy będzie pełne po brzegi.

Sprawa nie była jednak tak prosta, jak wydawało się mojej gospodyni. Może moja niepewna ręka, a może podły charakter tej cholerycznej azjatyckiej krowy, która ani myślała pozwolić, żeby byle kto cisnął ją za wymiona, spowodowały, że gdy tylko zbliżałem dłoń, zwierzę cofało się albo robiło krok do przodu. Użyłem wszystkich możliwych podstępów – próbowałem pieszczoty, groźby, prosiłem, obrażałem się, gniewałem – ale na próżno.

Osóbka, która przysłała mi z pomocą, miała zaledwie cztery lata. Nie mam się czym chwalić, przeciwnie – ale tak właśnie było.

Dziewczynka o buzi okrągłej i rumianej jak dojrzałe jabłko pojawiła się nagle na środku pastwiska. Przypuszczam, że kręciła się w pobliżu od dawna i że doskonale się bawiła, obserwując moje nieudolne zmagania z jakimś. W końcu dała upust radości, wybuchając śmiechem, i w ten sposób się zdradziła. Jakby chciała przeprosić za to, że ze mnie zadrwiła, podeszła, lekko trąciła mnie ramieniem, zręcznie chwyciła wymiona jaka i znowu parsknęła śmiechem, kiedy mleko trysnęło do wiaderka. Okazało się to tak łatwe, że musiałem podjąć wyzwanie, które rzuciła mi dziewczynka. Zresztą po chwili pchnęła mnie lekko w stronę

zwierzęcia. Przykłęknąłem, a ona obserwowała każdy mój gest i klaskała, gdy w końcu udało mi się wydoić odrobinę mleka. Potem położyła się na trawie, splotła ręce i pilnowała mnie. Choć była tylko małą dziewczynką, jej obecność dodawała mi otuchy. Popołudnie upłynęło w atmosferze spokoju i radości. Nieco później wraz z córeczką moich gospodarzy wróciłem do obozu.

Obok namiotu, w którym spędziłem minioną noc, wyrosły dwa inne, a przy ognisku spotkały się już trzy rodziny. Gdy wraz z dziewczynką zbliżałem się do obozu, na spotkanie wyszli nam mężczyźni. Mój gospodarz gestem poprosił, abym się nie zatrzymywał. Kobiety czekały na mleko, a mężczyźni musieli przepędzić bydło. Poczujęm się dotknięty tym odsunięciem od zadania znacznie bardziej męskiego niż dojenie tutejszych krów.

Dzień się kończył. Patrzyłem na słońce, przewidując, że najwyżej za godzinę będzie już ciemno. Znowu myślałem wyłącznie o jednym – wymknąć się moim nowym przyjaciółom i wrócić na górę, żeby obserwować, co dzieje się w dolinie klasztoru. Chciałem iść tropem mnichów, gdy wyruszą w drogę powrotną, ale mój gospodarz pojawił się przy namiocie, kiedy ja wciąż jeszcze snułem plany. Ucałował żonę, wziął córeczkę na ręce i przytulił ją, a potem wszedł do domu. Po chwili pojawił się

odświeżony i zauważył, że siedzę na uboczu, zapatrzony w horyzont. Usiadł obok i poczęstował mnie papierosem. Pokręciłem głową, uśmiechając się. On zapalił i zwrócił oczy na szczyt wzgórza. Milczał. Nie wiem, dlaczego zapragnąłem pokazać mu twoją twarz. Może tylko dlatego, że tak straszliwie mi Ciebie brakowało. Może szukałem pretekstu, żeby znowu spojrzeć na twoją fotografię. Nie mógłbym się z nim podzielić niczym cenniejszym.

Wyciągnąłem ją z kieszeni i pokazałem mu. Uśmiechnął się, biorąc ją na chwilę do ręki. Oddał mi zdjęcie, zaciągnął się, zgasił niedopałek w palcach i odszedł.

Po zapadnięciu zmierzchu zjedliśmy posiłek wraz z dwiema pozostałymi rodzinami. Moja mała przyjaciółka usiadła obok mnie. Ani jej matce, ani ojcu nie przeszkadzało, że tak do mnie przylgnęła, przeciwnie – matka pogłaskała ją po głowie i podała mi jej imię. Mała nazywała się Rhitar. Później dowiedziałem się, że było to imię dziecka, którego starszy brat lub siostra zmarli. Miało chronić przed urokami. Czy Rhitar śmiała się tak radośnie, żeby zagłuszyć żal po dramacie, jaki się rozegrał, zanim przyszła na świat? A może chciała przypomnieć rodzicom, że wraz z nią do ich domostwa powróciło szczęście? Rhitar zasnęła, tuląc się do matki, ale nawet pogrążona w głębokim śnie uśmiechała się.

Po posiłku mężczyźni przebrali się w szerokie spodnie, a kobiety rozpięły prawe rękawy szat, by powiewały na wietrze. Wszyscy trzymali się za ręce, tworząc krąg – kobiety po jednej stronie, mężczyźni po drugiej. Śpiewali, a kobiety machały rękawami. Na koniec pieśni wszyscy wydawali okrzyk. Potem zaczęli wirować w drugą stronę, coraz szybciej. Biegali, podskakiwali, krzyczeli i śpiewali do utraty tchu. Zaprosili mnie do tego wesołego tańca, a ja dałem się mu ponieść, upojony wódką ryżową i tybetańską muzyką.



Ktoś ujął mnie za ramię. Uniosłem powieki i zobaczyłem w półmroku twarz mojego gospodarza. Skinął, prosząc, żebym z nim wyszedł z namiotu. Bezkresną równinę oświetlała srebrzysta poświata ostatnich godzin nocy. Pasterz zabrał ze sobą mój bagaż i niósł go na plecach. Nie miałem pojęcia, co zamierza, ale domyślałem się, że prowadzi mnie tam, gdzie

rozejdą się nasze drogi. Podążaliśmy ścieżką, którą szliśmy wczoraj. Przez całą drogę nie powiedział ani słowa. Po godzinie marszu, gdy dotarliśmy na szczyt najwyższego wzgórza, skręcił w prawo. Miałem wrażenie, że zna każdą ścieżkę pośród leszczyny i zarośli, że wie o każdym leżącym tu kamieniu. Gdy znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni, jeszcze nie świtało. Mój przewodnik ułożył się na ziemi i nakazał mi zrobić to samo. Przykrył mnie zeschniętymi liśćmi i mchem, a potem pokazał, jak się ukrywać. Leżeliśmy tak w ciszy, niczym na czatach, nie wiedziałem tylko, czego wypatrywać. Przyszło mi na myśl, że wziął mnie ze sobą na polowanie, i zastanawiałem się, na jaką czekamy zwierzynę, nie mając przy sobie żadnej broni. Może chodziło mu o sprawdzenie sideł.

Mylilem się w swoich przewidywaniach, jednakże musiałem czekać ponad godzinę, by zrozumieć, po co mnie tu przyprowadził.

W końcu zaczęło świtać. W promieniach wschodzącego słońca wyrosły przed nami mury potężnego klasztoru, który przypominał fortecę.

– Gatar – szepnął porozumiewawczym tonem, po raz drugi wypowiadając tę nazwę.

Nocą podałem temu tybetańskiemu pasterzowi nazwę gwiazdy panującej nad jego doliną, rankiem on mi odpłacił, wskazując miejsce, które pragnąłem odnaleźć bardziej niż najwspanialszą z gwiazd bezkresnego wszechświata.

Gestem nakazał mi się nie ruszać, jakby przerażała go myśl, że moglibyśmy zostać zauważeni. Osobiście nie widziałem

powodu do obaw, bo od klasztoru dzieliło nas ponad sto metrów. Kiedy jednak moje oczy oswoiły się już z półmrokiem, zauważyłem na murach otaczających ten przybytek ubranych w długie szaty ludzi, którzy przechadzali się jak wartownicy.

Jakiego zagrożenia mogli się spodziewać? Czy chronili się przed chińskimi żołnierzami wysyłanymi tu, by ich prześladować nawet w tym odludnym miejscu? Ale ja nie byłem wrogo nastawiony. Gdybym mógł, poderwałbym się i pobiegł do nich, niestety, mój towarzysz położył mi rękę na ramieniu i przytrzymał.

Wtem bramy klasztoru się otworzyły i kolumna mnichów robotników wyruszyła drogą wiodącą na wschód, ku ogrodowi warzywnym. Zaraz potem ciężkie wrota znowu się zamknęły.

Pasterz gwałtownie wstał i cofnął się w zarośla. Pod osłoną gęstych leszczyn podał mi plecak i domyśliłem się, że to nasze pożegnanie. Uścisnąłem jego rękę. Ten serdeczny gest wywołał uśmiech na jego twarzy. Przez chwilę patrzył mi uważnie w oczy, potem odwrócił się i odszedł.

Nigdy nie czułem się tak samotny jak na tej tybetańskiej równinie, gdy wysiadłszy z autobusu, którym przyjechałem z Chengdu, obawiałem się, że nie zdołam znaleźć schronienia przed nocą i chłodem. Czasem wystarczy jedno spojrzenie, zwyczajna obecność, jeden gest, żeby zrodziła się przyjaźń, nawet jeśli dzielą nas różnice, które zdają się wykluczać i wzbudzają lęk. Wystarczy czyjaś wyciągnięta dłoń, aby w pamięci pozostała twarz, której nie zdoła wymazać nawet czas. Pragnę do ostatnich chwil życia zachować w pamięci twarz tego Tybetańczyka, a także pyzată, rumianą jak dojrzałe jabłko buzię jego córeczki.



Idąc skrajem lasu, utrzymywałem sporą odległość od grupy mnichów podążających przez dolinę. Ze swojego szlaku mogłem ich swobodnie obserwować i policzyłem, że było ich co najmniej sześćdziesięciu. Jak poprzedniego dnia, najpierw zrzucili szaty, żeby przed

rozpoczęciem pracy wykąpać się w krystalicznej wodzie.

Poranek przemijał. Choć słońce stało już wysoko, czułem się zziębnięty, a po plecach zaczynał mi spływać pot. To było okropne. Drżałem na całym ciele. Zacząłem szperać w plecaku i nie bez zdziwienia odkryłem tam torbę z suszonym mięsem – prezent od mojego gospodarza. Zjadłem połowę, zachowując resztę na wieczór. Postanowiłem, że kiedy mnisi odejdą, pobiegnę napić się wody z rzeki. Do tego czasu musiałem jakoś radzić sobie z pragnieniem, które zaostrzyło mocno solone mięso.

Dlaczego w tej podróży wszystko – głód, zimno, skrajne zmęczenie – odczuwałem z taką mocą? Złożyłem to na karb dużej wysokości i nie zastanawiając się już nad tym, przez resztę popołudnia rozmyślałem nad sposobem dostania się za mury klasztoru. Do głowy przychodziły mi najbardziej szalone pomysły i zacząłem się już obawiać, że tracę rozum.

O szóstej mnisi przerwali pracę i wyruszyli w drogę powrotną. Kiedy zniknęli za zboczem, wyszedłem z ukrycia i pobiegłem nad rzekę. Zanurzyłem się w wodzie, a potem piłem, aż zaspokoilem pragnienie.

Wyszedłem na brzeg i rozejrzałem się w poszukiwaniu miejsca na nocleg. Nie miałem najmniejszej ochoty spędzić nocy w zaroślach, ale powrót na równinę, do moich gospodarzy, równałby się przyznaniu do porażki, a co gorsza, byłby nadużyciem ich gościnności. Żywnienie mnie przez dwa dni i tak musiało ich sporo kosztować.

W końcu wypatrzyłem szczelinę w zboczu góry. Postanowiłem wykopać sobie tam norę, gdzie – osłonięty ziemią, przykryty śpiworem – przetrwam zimną noc. Czekaając, aż się ściemni, zjadłem resztki suszonego mięsa i wypatrywałem pierwszej gwiazdy, jak wypatruje się przyjaciela, który pomoże uwolnić się od złych myśli.

Zapadła noc, a ja pogrążałem się we śnie, z którego raz po raz wybijało mnie przyprawiające o drżenie zimno.

Ile upłynęło czasu, zanim obudził mnie szelest? Coś się zbliżało. Musiałem opanować strach – jeśli dzikie zwierzę polowało w tym rejonie, to wolałem nie paść jego łupem, a z pewnością większe szanse na przeżycie dawało mi pozostanie w kryjówce niż próby ucieczki w ciemnościach. Decyzja była roztropna, ale ze strachu serce podchodziło mi do gardła. Co to mógł być za drapieżnik? I właściwie co ja tu robię, skulony w norze o tysiące kilometrów od domu? Co tu robię, z lepiącymi się od brudu włosami, odmrożonymi palcami, paskudnym katarem, co robię, zagubiony na tej obcej ziemi, uganiając się za duchem kobiety, za którą szaleję, chociaż pół roku temu nie istniała w moim życiu? Chciałbym wrócić do Erwana, na Atakamę, albo do mojego przytulnego domu i dobrze znanych londyńskich ulic, chciałbym, żeby mnie tu nie było, nie chcę, żeby jakiś wygłodzony wilk wyżarł mi trzewia. Nie poruszać się, nie drgnąć, wstrzymać oddech, zamknąć powieki, żeby blask księżycy nie oświetlił białek moich oczu. To dyktował rozsądek, ale jak można słuchać jego głosu, kiedy strach chwyta za gardło i brutalnie dusi. Czułem się jak dwunastoletni, kompletnie bezradny, pozbawiony wiary w siebie chłopiec. Wtedy zauważyłem pochodnię. Więc może to tylko jakiś włóczęga, który połasczył się na mój skromny dobytek? W takim razie powinienem się bronić!

Musiałem wyjść z tej nory, stawić czoło nocy i niebezpieczeństwu. Nie po to przemierzyłem taki kawał drogi, żeby dać się okraść pierwszemu lepszemu zbirowi albo zrobić z siebie zwierzynę łowną drapieżnika.

Otworzyłem oczy.

Pochodnia przesuwiała się w stronę rzeki, a człowiek, który ją niósł, doskonale znał teren. Szedł pewnym krokiem, nie obawiając się żadnych nierówności terenu, żadnych przeszkód. Potem

wbił pochodnię w miękką ziemię na wzgórku. W blasku płomienia ujrzałem dwie postacie. Jedna była nieco drobniejsza, ale obie wydawały mi się chłopięce. Podczas gdy jeden przybysz zatrzymał się, drugi poszedł na brzeg, zrzucił tunikę i zanurzył się w zimnej wodzie. Teraz nie czułem już strachu, tylko nadzieję. Może ci dwaj mnisi złamali zasady, żeby wykapać się pod osłoną nocy. Może – złodzieje czasu – zechcą mi pomóc w dostaniu się za mury broniące klasztoru. Czołgałem się, ukryty w trawie, żeby zbliżyć się do rzeki. Nagle wstrzymałem oddech.

W pełnym wdzięku zgrabnym ciele nic nie było mi obce. Zarys ud, krągłości pośladków, talia, brzuch, ramiona, szyja, dumnie uniesiona głowa...

Jesteś tu, kąpiesz się nago w rzece, niewiele różniąc się od tamtej, w której widziałem cię umierającą. Twoja sylwetka w poświacie księżycy przypomina zjawę, ale ja poznałbym cię wśród tysięcy. Jesteś tu, ledwie kilka metrów ode mnie, a ja nie wiem, jak się do ciebie zbliżyć. Jak stanąć przed tobą w tym stanie i nie przestraszyć cię, jak powstrzymać cię od krzyku, który zaalarmuje twojego strażnika? Rzeka osłania cię po pas, dłońmi zaczerpujesz wodę, by obmyć twarz. Zbliżam się do brzegu, zanurzam ręce, żeby zmyć z policzków ziemię.

Towarzyszący ci mnich nie zauważył mnie, stał odwrócony plecami, w dodatku zachowując sporą odległość, prawdopodobnie – żeby nie ulec pokusie i nie zwrócić oczu na twe nagie ciało. Serce tłukło mi się w piersi, mgła zasnuwała oczy, kiedy skradałem się jeszcze bliżej. Wyszłaś na brzeg w moją stronę. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, zatrzymałaś się, przechyliłaś głowę na bok, uważnie mi się przyjrzałaś i poszłaś dalej, jakbym nie istniał.

Twoje oczy były nieobecne, gorzej – nie poznawałem w nich ciebie. Ubrałaś się w milczeniu, jakbyś nie potrafiła wypowiedzieć ani słowa, a potem zwróciłaś się do mnicha, który cię eskortował. Ten sięgnął po pochodnię i oboje ruszyliście ścieżką w drogę powrotną. Szedłem za wami, starając się nie zdradzać swej obecności, i może tylko raz czy dwa, gdy trącony przeze mnie kamień potoczył się w dół, mnich odwrócił głowę, ale zaraz potem ruszył dalej. Gdy dotarliście pod klasztor, poszliście wzdłuż muru do bramy. Potem zobaczyłem, jak wasze sylwetki znikają w dole. Pochodnia jeszcze migotała, ale wkrótce straciłem ją z oczu. Czekałem dopóty, dopóki mogłem, drżąc z zimna. Wreszcie rzuciłem się biegiem do miejsca, w którym zniknęliście, mając nadzieję, że znajdę drogę, jednak – niestety – natknąłem się na masywne drewniane drzwi. Były zamknięte. Przykucnąłem, aby dojść do siebie, a potem, niczym dzikie zwierzę, powróciłem do kryjówki na skraju lasu.



Była późna noc. Z odrętwienia, w jakie zapadłem, wyrwało mnie uczucie, że się duszę. Miałem zgrabiące kończyny. Temperatura gwałtownie spadła. Sztywnymi z zimna palcami nie byłem w stanie nawet rozwiązać sznurka przy plecaku, żeby sięgnąć po cieplejsze ubranie. Wyczerpany, każdy gest wykonywałem jakby w zwolnionym tempie. Przypominały mi się opowieści o alpinistach, których góra łagodnie kołysała, by pogrążyć ich w wiecznym śnie. Teren, na którym się znalazłem, leżał cztery tysiące metrów nad poziomem morza, jak więc mogłem wykazać się taką niefrasobliwością, by wierzyć, że bez odpowiedniego ekwipunku przetrwam tu noc? Zdechnę w tym leszczynowym zagajniku, o parę metrów od muru, za którym

zniknęłaś. Podobno w chwili śmierci przed człowiekiem otwiera się ciemny tunel, na którego końcu błyszczy światło. Ja niczego takiego nie widziałem, jedynym blaskiem tej nocy byłaś ty, gdy ujrzałem, jak kąpiesz się w rzece.

Zanim straciłem przytomność, poczułem jeszcze, jak czyjeś ręce chwytają mnie i wyciągają z nory. Ktoś włókł moje ciało, a ja nie mogłem wstać, unieść głowy i sprawdzić, kto to taki i dokąd mnie zabiera. Ten ktoś podtrzymywał mnie, prowadził ścieżką, a ja raz po raz mdlałem. Ostatni obraz, jaki zapamiętałem, to mur wokół klasztoru i otwierająca się przed nami brama. Może nie żyłaś, a ja wreszcie miałem się z tobą połączyć.

Ateny

– Gdyby się pan naprawdę nie niepokoił, nie ryzykowałby pan przyjazdu. I proszę mi nie wmawiać, że zaprosił mnie pan na kolację, żeby nie spędzać tego wieczoru w samotności. Jestem przekonany, że posiłki podawane do pokoju w hotelu King George są znacznie smaczniejsze, a obsługa lepsza niż w tej chińskiej restauracji. Nawiasem mówiąc, moim zdaniem dość nierozważnie wybrał pan stolik. W tych okolicach...

Ivory uważnie popatrzył na Waltera, sięgnął po plasterek kandyzowanego imbiru i gestem zachęcił rozmówcę, by i on skosztował tego przysmaku.

– Po prostu myślę tak samo jak pan. Uważam, że to trwa zbyt długo. A najgorsza jest dla mnie bezsilność.

– Może wie pan, czy za tym wszystkim kryje się Ashton? – zapytał Walter.

– Nie mogę tego potwierdzić z całą pewnością. I nie bardzo potrafię sobie wyobrazić, że byłby zdolny posunąć się tak daleko. Moim zdaniem zniknięcie Keiry zupełnie mu wystarczało, jeśli oczywiście nie dowiedział się o podróży Adriana. Wtedy mógłby chcieć go ubiec. To istny cud, że nie osiągnął celu.

– Mało brakowało – mruknął Walter. – Sądzi pan, że lama poinformował Ashtona o Keirze? Tylko dlaczego miałby to zrobić? Skoro nie zamierzał pomóc Adrianowi w jej odnalezieniu, to po co odsyłał jej rzeczy?

– Nic nie dowodzi, że lama miał coś wspólnego z tą przesyłką. Przecież ktoś z jego otoczenia mógł wykraść aparat naszej pani archeolog, kiedy kąpała się w rzece, a potem odłożyć rzeczy na miejsce tak, że nikt się nie zorientował.

– Ale kto miałby przekazać informację i dlaczego podejmowałby takie ryzyko?

– Może po prostu któryś z mnichów ze wspólnoty był świadkiem jej kąpieli i nie potrafił się pogodzić z łamaniem zasad, których ślubował przestrzegać.

– Jakich zasad?

– Jedną z nich jest unikać kłamstwa. A może zmuszony do zachowania tajemnicy lama skłonił jednego z braci do przekazania informacji.

– Chyba za panem nie nadążam.

– Powinien pan zacząć grać w szachy, Walterze. Nie wystarczy mieć nad przeciwnikiem jeden ruch przewagi, trzeba trzech lub czterech, antycypacja jest warunkiem zwycięstwa. Wróćmy jednak do lamy. Może przyszło mu wybierać między dwoma nakazami, których w tej sytuacji nie dawało się ze sobą pogodzić: nie kłamać i nie czynić niczego, co mogłoby godzić w

życie. Wyobraźmy sobie, że życie Keiry zależy od utrzymania innych w przekonaniu, iż ona nie żyje. I oto nasz mędrzec znalazł się w kłopotliwym położeniu: gdyby powiedział prawdę, ściągnąłby na dziewczynę niebezpieczeństwo i sprzeniewierzyłby się najświętszym zasadom swej wiary. Jednocześnie kłamiąc, aby inni myśleli, że zmarła, choć przeżyła, narusza inną z reguł. Przyzna pan, że to przykra sytuacja? W szachach mówi się o pacie. Vackeers, mój przyjaciel, tego nie znosi.

– Jakim cudem pana rodzice spłodzili osobnika o tak pokręconej psychice i umysłowości? – rzucił Walter, sięgając po plasterek imbiru.

– Podejrzewam, że moi rodzice nie mieli z tym nic wspólnego, chociaż chętnie przypisałbym im ten sukces. Nawet ich nie znałem. Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, opowiem o swoim dzieciństwie innym razem, teraz mamy ważniejsze sprawy.

– Czy przypuszcza pan, że lama, nie mogąc uporać się z tym dylematem, nakłonił jednego z uczniów do wyjawienia prawdy, sam zaś chronił życie Keiry, milcząc?

– W całym tym rozumowaniu nie interesuje nas lama i mam nadzieję, że jest pan tego świadom?

Walter wyduł usta, nie pozostawiając pytającemu cienia wątpliwości. Rozumowanie Ivory'ego było dla niego zupełnie niezrozumiałe.

– Trudno się z panem rozmawia, przyjacielu – podjął profesor.

– Być może, ale przecież to ja zwróciłem uwagę na pozostawione na wierzchu zdjęcie, ja porównałem je z innymi fotografiami i wysnułem dobrze znane panu wnioski.

– To prawda, jednakże sam pan powiedział, że zdjęcie leżało na wierzchu!

– Powinienem być milczeć, tak jak ten pański lama. Nie siedzielibyśmy tu teraz, wyczekując na wiadomość od Adriana i modląc się, żeby mógł jeszcze się z nami skontaktować.

– Może się powtarzam, ale zdjęcie leżało na wierzchu! Trudno było uznać to za czysty przypadek, to musiała być wiadomość. Musimy tylko ustalić, czy Ashton poznał prawdę w tym samym czasie co my.

– A może to my chcieliśmy za wszelką cenę uznać to zdjęcie za wiadomość?! Może byliśmy gotowi wróżyć z fusów, bo to było dla nas tak ważne! Wskrzesał pan Keirę, żeby skłonić Adriana do dalszej pracy dla pana!

– Zechce pan oszczędzić mi tych prymitywnych interpretacji. Wolałby pan patrzeć, jak marnuje talent, zadręczając się na tej wysepce, gdzie znaleźliśmy go w oplakany stan? – Ivory nie ustępował, również podnosząc głos. – Uważa pan, że jestem tak okrutny, żeby wysłać go na poszukiwanie przyjaciółki, w której ocalenie sam szczerze nie wierzę? Nie jestem potworem!

– Źle mnie pan zrozumiał! – zaprzeczył podenerwowany Walter.

Ich krótka sprzeczka zwróciła uwagę gości siedzących przy sąsiednim stoliku. Walter podjął zniżonym głosem.

– Powiedział pan, że nie lama jest dla nas istotny. W takim razie kto?

– Ten, kto naraził Adriana na śmiertelne niebezpieczeństwo, ten, kto się bał odnalezienia Keiry i był gotów na wszystko, byle temu zapobiec. Domyśla się pan, kto to taki?

– Niech pan nie będzie taki wyniosły, nie jestem pana podwładnym.

– Remont dachu Akademii kosztuje majątek, domyślam się więc, że hojny sponsor, który w cudowny sposób uzupełnia pański budżet, nie ujawniając pana pracodawcom, jak marnym jest

pan administratorem, zasługuje chyba na pewne względy, prawda?

– Wystarczy, wyraził się pan dość jasno. Oskarża pan sir Ashtona!

– Czy wie, że Keira żyje? Możliwe. I nie może sobie pozwolić na najmniejsze ryzyko? Prawdopodobnie. Muszę przyznać, że gdybym wcześniej na to wpadł, nie pozwoliłbym Adrianowi tak bardzo się narażać. Teraz boję się już nie tylko o Keirę, ale przede wszystkim o niego.

Ivory poprosił o rachunek, zapłacił i wstał od stolika. Walter zabrał z wieszaka ich okrycia i dogonił go już na ulicy.

– Proszę, zapomniał pan o płaszczu.

– Wpadnę jutro – powiedział Ivory, zatrzymując taksówkę.

– Czy to rozważne?

– Już to robiłem, a teraz czuję się odpowiedzialny. Muszę się z nim zobaczyć. Kiedy dostaniemy jego kolejne wyniki badań?

– Otrzymujemy je co rano. Są coraz lepsze, najgorsze mamy chyba za sobą, ale nawrót jest wciąż możliwy.

– Kiedy przyjdzie czas, proszę zadzwonić do mnie do hotelu, ale nie z komórki. Proszę iść do budki telefonicznej.

– Naprawdę pan uważa, że mój telefon jest na podsłuchu?

– Drogi Walterze, nie mam zielonego pojęcia! Dobrej nocy.

Ivory wsiadł do taksówki, a Walter postanowił wrócić do domu piechotą. Ateński wieczór był ciepły, choć jesień chyliła się ku końcowi. Lekki wiatr omiatał miasto, powietrze było świeże, pomagało uporządkować myśli.

W hotelu zatrzymał się przy recepcji i poprosił o dostarczenie do pokoju szachów, które znajdowały się w barze; o tak późnej porze prawdopodobieństwo, że wśród gości znajdą się inni amatorzy gry, było znikome.



Po godzinie siedzący w saloniku swego apartamentu Ivory przerwał partię, którą rozgrywał sam ze sobą, i poszedł do sypialni. Leżał z rękami pod głową, przypominając sobie wszystkich, z którymi przez lata kariery nawiązał kontakt w Chinach. Lista była długa, z przykrością jednak stwierdził, że nie żyła już chyba żadna z figurujących na niej osób. Starszy pan zapalił światło i odrzucił kołdrę, pod którą było mu za gorąco. Usiadł na skraju łóżka, wsunął stopy w kaptcie i spojrzał w lustrzane drzwi garderoby.

Och, Vackeers, dlaczego nie mogę na ciebie liczyć teraz, kiedy jesteś mi tak potrzebny? Bo nie możesz na nikogo liczyć, stary durniu, a to dlatego, że nikomu nie potrafisz zaufać! Widzisz, dokąd doprowadziła cię ta bezsensowna arogancja. Zostałeś sam, a mimo to wciąż ci się wydaje, że możesz prowadzić grę.

Wstał i zaczął krążyć po pokoju.

Jeżeli to otrucie, drogo mi za to zapłacisz, Ashton.

I otwartą ręką zrzucił pionki z szachownicy.

To, że już po raz drugi tego wieczoru wpadł w gniew, wprawiło go w zadumę. Długo przypatrywał się leżącym na dywanie pionkom – czarnemu i białemu koniowi, które znalazły się tuż obok siebie. O pierwszej nad ranem Ivory postanowił złamać zasadę, którą sam sobie

wyzaczył – podniósł słuchawkę i połączył się z numerem w Amsterdamie. Kiedy usłyszał głos Vackeersa, zadał mu dość osobliwe pytanie: czy jakaś trucizna mogłaby wywołać objawy ostrego zapalenia płuc?

Vackeers nie potrafił udzielić mu odpowiedzi, obiecał jednak jak najszybciej to sprawdzić. Może z uprzejmości, a może z przyjaźni nie zapytał, dlaczego Ivory telefonuje o tak późnej porze.

Klasztor w Gartar

Dwaj mężczyźni podtrzymywali mnie, a trzeci mocno nacierał tors. Siedząc na krześle, z nogami w miednicy z ciepłą wodą, wolno odzyskiwałem siły i byłem już niemal gotów wstać. Mnisi rozebrali mnie z mokrych, brudnych ubrań i przebrali w sarong. Moje ciało dochodziło do normalnej temperatury, choć wciąż jeszcze drżałem. Do izby wszedł mnich. Postawił na podłodze miskę bulionu i miseczkę ryżu. Unosząc ciepłą zupę do ust, uświadomiłem sobie, że jestem bardzo słaby. Tuż po posiłku położyłem się na macie i zapadłem w sen.

Wczesnym rankiem pojawił się inny mnich. Poprosił, żebym z nim poszedł. Prowadził mnie pod arkadami. Co dziesięć metrów mijaliśmy otwarte drzwi i widziałem, że wiodą do dużych sal, gdzie uczniowie słuchają nauk swoich mistrzów. Poczujęm się jak w szkole w mojej pocziwej Anglii. Jeszcze jedno skrzydło tego gigantycznego czworoboku, a potem weszliśmy do sali, w której nie było żadnych sprzętów.

Mnich zostawił mnie tam samego i tak przesiedziałem większą część przedpołudnia. Okno wychodziło na wewnętrzny dziedziniec klasztoru, na którym rozegrało się dziwne widowisko. Gong właśnie obwieścił południe i setka mnichów nadsięgnęła rzędem, by usięść w równych odstępach i skupię się na modlitwie. Mimowolnie wyobraziłem sobie, że jedną z ubranych w długie szaty postaci jest Keira. Jeżeli to, co zapamiętałem z minionej nocy, nie było tylko urojeniem, musiała ukrywać się gdzieś w tej świątyni, mogła być nawet na dziedzińcu wśród tybetańskich mnichów, uczestniczyć w ich modłach. Dlaczego ją przetrzymywali? Myślałem tylko o tym, jak ją odnaleźć i jak zabrać daleko stąd.

Ujrzałem smugę światła na podłodze – odwróciłem głowę i zobaczyłem stojącego w drzwiach mnicha. Towarzyszący mu uczeń wszedł i zbliżył się do mnie. Na głowie miał kaptur. Gdy go uniosł, zamarłem, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

Na czole miałaś długą bliznę, ale to wcale nie ujmowało ci urody. Chciałem wziąć cię w ramiona, jednakże odskoczyłaś. Miałaś krótkie włosy i byłaś bledsza niż zwykle. Patrząc na ciebie, a nie móc cię dotknąć było dla mnie okrutnym cierpieniem. To, że byłaś tak blisko i nie mogłem cię przytulić, rodziło potworną frustrację. Patrzyłaś na mnie, nie pozwalając się zbliżyć, jakby czas uścisków minął, jakby twoje życie podążyło torem, na którym dla mnie nie było miejsca. Jeżeli jeszcze się łudziłem, to twoje słowa – raniące mocniej niż dystans, jaki mi narzuciłaś – rozwiały wszelkie wątpliwości.

- Musisz stąd odejść – szepnęłaś słabym głosem.
- Przyszedłem, żeby cię zabrać.
- Nie prosiłam cię o to, musisz odejść i zostawić mnie w spokoju.

- A twoje badania, te kamienie... z nas możesz zrezygnować, ale nie z nich!
 - Niczego już nie szukam, wisior doprowadził mnie tu i znalazłam znacznie więcej, niż zamierzałam znaleźć.
 - Nie wierzę. Ten klasztor na końcu świata nie jest twoim miejscem.
 - To kwestia punktu widzenia, sam wiesz najlepiej, że świat jest okrągły. A jeśli chodzi o moje życie, to przez ciebie o mało go nie straciłam. Byliśmy szaleni. Nie będzie drugiej szansy. Odejdź, Adrianie!
 - Nie, dopóki nie wypełnię obietnicy, jaką ci złożyłem. A przysięgałem, że oddam cię dolinie Omo.
 - Nie wrócę tam! Jedź do Londynu, jedź, dokąd chcesz, byle jak najdalej stąd.
- Osłoniłaś głowę kapturem, spuściłaś oczy, a potem ruszyłaś wolnym krokiem. W ostatniej chwili odwróciłaś się do mnie, zimna i obca.
- Twoje rzeczy są już czyste – rzuciłaś, spoglądając na torbę, którą przyniósł mnich. – Możesz spędzić tu noc, ale jutro rano musisz odejść.
 - A Harry? Jego się też wyrzekłaś?
- Ujrzałem łzę spływającą ci po policzku i zrozumiałem milczącą prośbę, z jaką się do mnie zwróciłaś.
- Te drzwi, które prowadzą do fosy – zapytałem – te, przez które wychodzisz nad rzekę, jak do nich dojść?
 - Są w podziemiach, dokładnie pod nami, ale proszę cię, nie idź tam.
 - O której je otwierają?
 - O jedenastej wieczorem – odpowiedziałaś przed wyjściem.
- Przez resztę popołudnia siedziałem w izdebce, w której cię ujrzałem i w której znów cię utraciłem. Do późnych godzin krążyłem po niej niczym więzień po celi.



Wieczorem przyszedł mnich, który wyprowadził mnie na dziedziniec i pozwolił rozprostować nogi na świeżym powietrzu, gdy mnisi zakończyli ostatnią modlitwę. Było już dość chłodno i zrozumiałem, że noc będzie najlepszym strażnikiem tego więzienia. Nie zdołałem pokonać równiny, przetrwać na zimnie. Już tego doświadczyłem. Jednak musiałem znaleźć jakieś rozwiązanie bez względu na ryzyko.

Wykorzystałem spacer, na który mi zezwolono, aby się rozejrzeć. Klasztor miał dwa poziomy i jeszcze podziemie, o którym wspomniała Keira. Na wewnętrzny dziedziniec wychodziło dwadzieścia pięć okien. Na parterze wokół budynku biegły wysokie arkady. Na każdym rogu znajdowały się kręcone kamienne schody. Liczyłem kroki. Żeby dotrzeć z celi do schodów, potrzebowałem najwyżej sześciu minut, jeśli nikt nie stanie mi na drodze.

Zjadłem kolację, położyłem się na macie i udawałem, że śpię. Wkrótce usłyszałem pochrapywanie strażnika. Drzwi nie były zamknięte na klucz, nikomu nie przyszłoby do głowy, by w środku nocy opuszczać klasztor.

W korytarzu panowała cisza i spokój. Mnisi, którzy przechadzali się po schodach, pełniąc wartę, nie mogli mnie zauważyć, bo pod arkadami było na to za ciemno. Przemykałem się tuż pod murem.

Mój zegarek wskazywał dwudziestą drugą pięćdziesiąt. Jeżeli Keira podała mi dokładną

godzinę, jeżeli dobrze zrozumiałem jej intencję, zostało mi dziesięć minut, żeby w jakiś sposób dostać się do podziemi i odnaleźć drzwi, które wczoraj widziałem z mojej leśnej kryjówki.

Za pięć jedenasta znalazłem się wreszcie przy schodach. Zamknięte na solidny żelazny haczyk drzwi blokowały do nich dostęp. Musiałem otworzyć je, nie robiąc hałasu, bo tuż obok spało dwudziestu mnichów. Zgrzytnęły zawiasy, a ja pchnąłem skrzydło na tyle, żeby przejść.

W ciemnościach po omacku szedłem po wytartych i śliskich kamiennych stopniach. Dość trudno było tu utrzymać równowagę, a nie wiedziałem nawet, jak długa czeka mnie droga do podziemi klasztoru.

Fosforyzowane wskazówki zegarka zbliżały się do dwudziestej trzeciej. W końcu poczułem pod stopami płaskie podłoże. Kilka metrów dalej pozostawiono pochodnię, która słabo oświetlała przejście. Dostrzegłem też następną. Idąc, usłyszałem nagle szelest za plecami i ledwie zdążyłem się odwrócić, gdy dopadło mnie stado nietoperzy. Ich skrzydła muskały mnie, cienie drżały w słabym blasku pochodni. Musiałem iść przed siebie, było już pięć po jedenastej. Spóźniłem się, a drzwi wciąż nie było. Może wybrałem złą drogę?

„Drugiej szansy nie będzie”, powiedziała Keira.

Nie mogłem się pomylić, nie teraz.

Czyjaś ręka chwyciła mnie za ramię i pociągnęła w bok, za kolumnę. Ukryta w alkwie Keira objęła mnie i mocno przytuliła.

– Boże, jak ja za tobą tęskniłam – wyszeptalaś.

Nie odpowiedziałem, tylko ująłem twą twarz w dłonie i pocałowałem. Ten długi pocałunek miał smak ziemi i kurzu, pachniał solą i potem. Oparłaś głowę o mój tors, a gdy gładziłem cię po włosach, rozplakałaś się.

– Adrianie, musisz odejść, naprawdę musisz odejść, wystawiasz nas oboje na niebezpieczeństwo. Warunkiem pozostawienia cię przy życiu było uznanie mnie za zmarłą. Gdyby ktoś się dowiedział, że tu jesteś, że się widzieliśmy, zabiliby cię.

– Mnisi?

– Nie. – Zaniósłś się szlochem. – Oni są naszymi sprzymierzeńcami, uratowali mnie z Żółtej Rzeki, leczyli i ukrywają. Mówię o tych, którzy chcieli nas zabić, Adrianie. Oni nie zrezygnują. Nie wiem, co zrobiliśmy ani dlaczego nas ścigają, ale nie cofną się przed niczym, żeby przeszkodzić nam w kontynuacji poszukiwań. Jeżeli dowiedzą się, że jesteśmy razem, odnajdą nas. Lama, którego spotkaliśmy, ten, który się z nas śmiał, gdy szukaliśmy białej piramidy, uratował nas... a ja coś mu przyrzekłam.

Ateny

Ivory drgnął. Ktoś zadzwonił do drzwi. Pokojowy przyniósł mu pilną wiadomość – ktoś zatelefonował do recepcji i poprosił, aby natychmiast mu ją przekazać. Ivory wziął kopertę, podziękował i zaczął do odejścia młodego człowieka, aby ją otworzyć.

Rzym prosił o pilny kontakt z bezpiecznego telefonu.

Ivory szybko się ubrał i wyszedł z hotelu. Kupił kartę telefoniczną w pobliskim kiosku, a potem połączył się z Lorenzem z budki telefonicznej.

– Mam zaskakujące wiadomości.

Ivory wstrzymał oddech i uważnie słuchał rozmówcy.

- Moi chińscy przyjaciele natrafili na ślad pani archeolog.
- Żyje?
- Tak, ale raczej nieprędko wróci do Europy.
- A to dlaczego?
- Trudno będzie panu to przełknąć, ale została zatrzymana i uwięziona.
- To absurd! Pod jakim zarzutem?

Lorenzo, zwany Rzym, układał puzzle, ale Ivory'emu wciąż brakowało wielu elementów. Kiedy terenówka Adriana i Keiry wpadła, do Żółtej Rzeki, na brzegu znajdowali się mnisi z góry Hua Shan. Trzech mężczyzn skoczyło do wody, aby ratować tonących z rwącego nurtu. Adriana wyciągnięto na brzeg jako pierwszego. Robotnicy, którzy przejeżdżali obok, ciężarówką odwieźli go do szpitala. Co było dalej, Ivory doskonale wiedział, ponieważ pojechał do Chin, żeby się nim zaopiekować, a potem zabrać do Europy. Losy Keiry potoczyły się inaczej. Mnisi trzykrotnie wracali do wody, zanim udało się wydobyć ją z wraku, który dryfował. Kiedy wynieśli ją na brzeg, ciężarówka już odjechała. Nieprzytomną kobietę zabrali do klasztoru. Lama szybko dowiedział się, że ten zamach był zlecony przez okoliczną triadę, której macki sięgały aż do Pekinu. Ukrył Keirę i naraził się na pobicie przez ludzi, którzy złożyli mu wizytę kilka dni później. Przysiągł im, że choć jego uczniowie nurkowali, próbując ocalić Europejkę, nie zdołali jej pomóc. Kobieta utonęła. Trzech mnichów, którzy ją ratowali, poddano równie srogiemu przesłuchaniu, ale żaden nie zdradził prawdy. Keira przez dziesięć dni była nieprzytomna, wdała się infekcja, która opóźniła jej powrót do zdrowia, ale w końcu mnisi postawili ją na nogi.

Kiedy doszła już do siebie i mogła odbyć podróż, lama wysłał ją daleko od swego klasztoru, gdzie mogła być wciąż poszukiwana. Postanowił przebrać ją w mnisie szaty, które miała nosić, dopóki sprawa nie ucichnie.

– I co się stało? – pytał Ivory.

– W to pan już nie uwierzy – odparł Lorenzo. – Niestety, nie udało się zrealizować planu lamy bez przeszkód.

Rozmawiali jeszcze dziesięć minut. Kiedy Ivory odłożył słuchawkę, jego karta była wyczerpana. Pobiegł do hotelu, spakował się i odjechał taksówką. Już z komórki zadzwonił do Waltera, żeby uprzedzić go o swym przyjeździe.

Pół godziny później dotarł do wysokiego budynku wznoszącego się na jednym z ateńskich wzgórz. Wsiadł do windy i wjechał na trzecie piętro. Potem gorączkowo szukał w korytarzu pokoju 307. Zapukał do drzwi i wszedł. Walter z otwartymi ustami słuchał jego opowieści.

– Teraz, drogi Walterze, wie pan już wszystko albo prawie wszystko.

– Osiemnaście miesięcy? To straszne! Wie pan, jak można ją uwolnić?

– Nie mam pojęcia, jak to zrobić, ale spójrzmy na to pozytywnie: teraz jesteśmy przynajmniej pewni, że żyje.

– Ciekaw jestem, jak Adrian przyjmie tę wiadomość. Boję się, że przerazi go myśl o jej życiu w chińskim więzieniu.

– Cieszyłbym się, gdybym mógł mu już o tym powiedzieć – odparł Ivory, wzdychając. – Czy coś o nim wiadomo?

– Niestety, nic, ale wszyscy są dobrej myśli. Powiedziano mi, że to kwestia dnia, a może

nawet kilku godzin i będziemy mogli z nim porozmawiać.

– Oby ten optymizm nie był bezpodstawny. Dziś wracam do Paryża, muszę znaleźć sposób na wyciągnięcie Keiry z więzienia. Niech się pan zaopiekuje Adrianem. Jeżeli będzie pan miał okazję z nim mówić, proszę mu na razie o niczym nie wspominać.

– Nie byłbym w stanie ukryć przed nim informacji o Keirze, to wykluczone. Zresztą udusiłby mnie za to.

– Nie to miałem na myśli. Proszę nie wspominać mu o naszych podejrzeniach, jeszcze jest za wcześnie. Mam swoje powody, żeby je ukrywać. Do zobaczenia, Walterze, wkrótce się odezwę.

Gartar

– Co obiecałaś temu lamie?

Spojrzałaś na mnie oczyma pełnymi smutku. Wzruszyłaś ramionami i wyjaśniłaś mi, że ludzie, którzy dokonali zamachu, gotowi są podjąć pościg także poza granicami, jeśli tylko dowiedzą się, że przeżyłaś. Gdyby nie mogli dopaść ciebie, najpierw zajęliby się mną. W zamian za wszystko, co dla nas uczynił, lama poprosił tylko, żebyś dała mu dwa lata swego życia. Dwa lata w odosobnieniu. Mogłaś je dobrze wykorzystać, rozmyślając nad dalszym życiem, podejmując decyzje. „Drugiej szansy nie będzie, uprzedził cię. Dwa lata na refleksję nad życiem, którego omal się nie utraciło, to chyba niezbyt wygórowana cena”. Kiedy sytuacja nieco się uspokoi, lama znajdzie sposób, żeby przerzucić cię za granicę.

– Dwa lata za ocalenie nas obojga, to wszystko, o co mnie prosił, a ja zgodziłam się zawrzeć z nim taki pakt. Wytrzymałam to wszystko, bo wiedziałam, że przynajmniej tobie nic nie grozi. Gdybyś wiedział, jak często w tej samotni wyobrażałam sobie, jak mija ci dzień, i wracałam do miejsc, w których bywaliśmy. Gdybyś wiedział, jak często wspominałam twój londyński domek... Wypełniałam swoje dni chwilami z wyobraźni i wspomnień.

– Przyrzekam ci, że...

– Później, Adrianie – powiedziałaś, kładąc mi rękę na ustach. – Jutro odejdziesz. Muszę wytrzymać tylko półtora roku. Nie martw się o mnie, życie nie jest tu takie trudne, jak mogłoby się wydawać: jestem na świeżym powietrzu, mam czas na rozmyślenia. Mam dużo czasu. Nie patrz na mnie jak na świętą czy nawiedzoną. I nie uważaj, że jesteś aż taki ważny. Nie robię tego dla ciebie, tylko dla siebie.

– Dla siebie? Co możesz na tym zyskać?

– Nie utracę cię po raz drugi. Gdybym nie powiedziała mnichom, że jesteś w lesie, nie przeżyłbyś minionej nocy.

– To ty im o mnie powiedziałaś?

– Chyba nie sądziłeś, że pozwolę ci skonać z zimna!

– Mniejsza o obietnice składane lamie. Wynosimy się stąd! Zabiorę cię, choćbym miał użyć przemocy. Jestem gotów nawet cię ogłuszyć.

Po raz pierwszy od dawna zobaczyłem twój uśmiech, prawdziwy, szczery. Dotknęłaś ręką mojego policzka i go pogładziłaś.

– Dobrze, uciekajmy. Zresztą nie wytrzymałabym, gdybym miała patrzeć, jak odchodzisz. I zniechęciłabym cię, gdybyś mnie tu zostawił.

– Ile czasu minie, zanim twoi strażnicy zauważą, że nie ma cię w celi?
– Mylisz się, to nie są moi strażnicy, wolno mi chodzić, dokąd chcę.
– A ten mnich, który towarzyszył ci nad rzeką? Nie pilnował cię?
– Raczej eskortował, w razie gdyby coś mi się przytrafiło po drodze. W klasztorze nie ma ani jednej kobiety poza mną, dlatego co wieczór chodzę się kąpać w rzece. Właściwie robiłam tak całe lato i wczesną jesienią, ale wczoraj wieczorem wyszłam po raz, ostatni.

Sięgnąłem do plecaka, wyjąłem sweter i spodnie i podałem ci je.

– Co robisz?
– Przebierz się w to, zaraz ruszamy.
– Wczorajsza noc niczego cię nie nauczyła? Na zewnątrz jest teraz koło zera stopni, a za godzinę będzie minus dziesięć. Nocą nie mamy szansy na przejście przez ten płaskowyż.
– Jeżeli spróbujemy to zrobić w dzień, zauważą nas! Myślisz, że wytrzymamy godzinę wędrówki?
– Do pierwszej wioski jest godzina drogi... ale samochodem. A my nie mamy samochodu.
– Nie mówię o wiosce, ale o obozowisku pasterzy.
– Skoro to było obozowisko pasterzy, może go już nie być.
– Będzie, a jego mieszkańcy udzielą nam pomocy.
– Nie chcę się z tobą kłócić, skoro twierdzisz, że pasterze wciąż tam są! – mruknęłaś, wkładając sweter i spodnie.
– Gdzie są te cholerne drzwi, które prowadzą na zewnątrz? – zapytałem.
– Przed tobą... Ale to dopiero początek drogi!

Na zewnątrz pociągnąłem cię w stronę lasu, ty jednak oparłaś się temu i poprowadziłaś mnie ścieżką biegnącą ku rzece.

– Nie ma sensu krążyć między drzewami, mamy niewiele czasu, temperatura spada.

Znałaś tę okolicę lepiej niż ja, więc usłuchałem i pozwoliłem się prowadzić. Nad rzeką zobaczyłem ścieżkę wiodącą na wzgórze. Potrzebowaliśmy dziesięciu minut, żeby tam dotrzeć, potem trzech kwadransów na pokonanie szczytu i dojście do wielkiej doliny, w której znajdowało się obozowisko. Pięćdziesiąt pięć minut dzieliło nas od wyplątania się z tej sytuacji.

Noc była mroźniej sza, niż sobie wyobrażałem. Już drżałem z zimna, chociaż nie widziałem jeszcze rzeki. Nie odzywałaś się, bez reszty skupiona na drodze. Nie mogłem mieć do ciebie pretensji o to milczenie, prawdopodobnie oszczędzałaś siły, sam czułem, jak moje topnieją z każdym krokiem.

Gdy znaleźliśmy się na końcu pola uprawianego przez mnichów, zacząłem się martwić, że cię tak narażam. Już od długich minut walczyłem z odrętwieniem.

– Nie dam rady – rzuciłaś, ciężko dysząc.

Przy każdym wypowiedzanym słowie z ust wydobywał ci się obłok pary. Przytuliłem cię mocno, nacierałem ci plecy. Chciałem cię pocałować, ale usta sztywniały mi z zimna. Szybko przywołałaś mnie do porządku.

– Nie mamy minuty do stracenia, nie możemy tak stać, chodźmy jak najprędzej do tego obozowiska, bo tu zamarzniemy.

Było mi tak zimno, że drżałem na całym ciele.

Wydawało się, że zbocze góry rosło, w miarę jak się po nim wspinaliśmy. Trzeba było wytrzymać, jeszcze trochę się wysilić, od szczytu dzieliło nas najwyżej dziesięć minut. Stamtąd,

w tak jasną noc, mogliśmy zobaczyć stojące w dali namioty. Na samą myśl o panującym w nich ciepłe odzyskiwaliśmy siły i nadzieję. Wiedziałem, że kiedy dotrzemy na szczyt, zejście w dolinę zajmie nam najwyżej kwadrans, a nawet jeśli zabraknie nam sił, wystarczy krzyknąć, żeby uzyskać pomoc moich zaprzyjaźnionych pasterzy. Wierzyłem, że usłyszą nas pośród panującej wokół ciszy.

Przewracałaś się trzy razy, a ja trzy razy pomagałem ci wstać. Za czwartym ujrzałem przerażającą błądź twojej twarzy. Usta miałaś tak sine jak wówczas, gdy na moich oczach tonęłaś w wodach Żółtej Rzeki. Uniosłem cię, wsunąłem ramię pod twoją pachę i wziąłem na rękę.

Idąc, krzychałem, że musisz się trzymać, że zabraniam ci spać.

– Przestań na mnie wrzeszczeć – jęknęłaś. – I tak potwornie się męczę. Mówiłam, że to nie ma sensu, ale nie chciałaś mnie słuchać.

Sto metrów. Do szczytu zostało nam jeszcze sto metrów. Przyspieszyłem kroku i poczułem, że zrobiłaś się lżejsza, jakbyś odzyskiwała siły.

– Ostatni oddech – powiedziałaś – ostatni zryw przed śmiercią. No, pospiesz się, nie patrz na mnie tym maślanym wzrokiem. Już ci się nie chce śmiać?

Starasz się, z trudem poruszasz zdrętwiałymi ustami, wymawiając słowa, a jednak prostujesz się, odpychasz mnie i ruszasz w drogę sama, wyprzedzając mnie.

– Wleciesz się, Adrianie, wleciesz się!

Pięćdziesiąt metrów! Wyprzedzasz mnie, na próżno przebieram nogami, nie mogę się z tobą zrównać. Dojdiesz na szczyt na długo przede mną.

– Idziesz? No, pospiesz się!

Trzydzieści metrów! Szczyt jest już niedaleko, prawie tam dotarłaś. Ale to ja muszę tam być pierwszy, chcę zobaczyć obozowisko, które ocali nam życie, zanim ty je ujrzysz.

– Nie dasz rady, jeżeli będziesz się tak włókić, nie mogę już po ciebie wrócić, przyspiesz, Adrianie, pospiesz się!

Dziesięć metrów! Doszłaś na szczyt, stanęłaś wyprostowana jak strzała, oparłaś dłonie na biodrach. Widziałem twoje plecy, gdy w milczeniu spoglądałaś w dolinę. Pięć metrów! Poczułem, że zaraz rozsądzi mi płuca. Cztery metry! To już nie drzenie, ale drgawki, które miały całym moim ciałem. Zabrakło mi sił, zachwiałem się i upadłem. Nie zwracałaś na mnie uwagi. Musiałem jakoś wstać, zostały mi dwa, może trzy metry, ale ziemia była taka miękka, a niebo piękne w blasku pełni. Czułem, jak lekki wiatr pieści mi policzki i kołysze do snu.

Pochyliłaś się nade mną. Gwałtowny atak kaszlu niemal rozrywał mi płuca. Noc była widna, tak jasna, że widziałem cię jak w dzień. To musiał być efekt mrozu, ale czułem się niemal oślepiiony, nie mogłem znieść tego blasku.

– Popatrz – powiedziałaś, pokazując dolinę – mówiłam ci, że twoi przyjaciele odeszli. Nie możesz mieć im tego za złe. To pasterze, Adrianie. Chociaż uważasz ich za przyjaciół, nigdy nie zostają na długo w jednym miejscu.

Z trudem uniosłem powieki. W dolinie, tam gdzie znajdowało się obozowisko, na które tak liczyłem, ujrzałem mury klasztoru. A zatem krążyliśmy, zgubiliśmy się w ciemności. Ale przecież to niemożliwe, to nie była ta sama dolina, nie widziałem nigdzie lasku.

– Przykro mi – szepnęłaś. – Nie miej do mnie żalu.

Przecież obiecałam, a nie wolno łamać obietnic. Ty przyrzekłeś, że odwiedzisz mnie do Addis Abeby, i wiem, że gdybyś mógł, dotrzymałbyś słowa, prawda? Pomyśl, jak cierpisz z powodu własnej bezsilności, i postaraj się mnie zrozumieć. Bo ty mnie rozumiesz, prawda?

Pocałowałaś mnie w czoło. Twoje usta były zimne jak lód. Uśmiechnęłaś się i odeszłaś. Poruszałaś się tak pewnie, jakby zimno przestało mieć na ciebie wpływ. Szłaś spokojnie pośród nocy, kierując się do klasztoru. Nie miałem siły, żeby cię zatrzymać, a tym bardziej – żeby cię dogonić. Byłem więźniem ciała, które zatraciło zdolność ruchu, jakby krępowały je mocne więzy. Byłem bezsilny, jak powiedziałaś, zanim mnie porzuciłaś. Kiedy dotarłaś pod mur otaczający klasztor, otwarły się przed tobą masywne wrota. Odwróciłaś się jeszcze raz, a potem weszłaś.

Byłaś zbyt daleko, żebym mógł cię usłyszeć, a jednak twój dźwięczny głos brzmiał mi w uszach.

– Cierpliwości, Adrianie. Może się jeszcze spotkamy. Półtora roku to nie tak długo, jeśli się kocha. Nie bój się, poradzisz sobie, drzemie w tobie potężna siła, a ktoś już po ciebie idzie, jest bardzo blisko. Kocham cię, Adrianie, kocham cię.

Ciężkie wrota świątyni w Gatar zamknęły się za twoją smukłą sylwetką.

Krzyczałem twe imię wśród nocy, wyłem jak wilk, który wpadł w sidła i już patrzy w oczy śmierci. Szarpałem się, ciągnąłem ze wszystkich sił, choć wciąż byłem odrętwiały. Krzyczałem, gdy usłyszałem na tym pustkowiu głos: „Uspokój się, Adrianie”. Ten głos wydał mi się znajomy, przypominał przyjaciela. Walter po raz kolejny powtórzył pozbawione sensu zdanie:

– Do diabła, Adrianie, uspokój się już! W końcu zrobisz sobie krzywdę!

Ateny, Szpital Uniwersytecki, Klinika Chorób Płuc

– Do diabła, uspokój się wreszcie, Adrianie! W końcu zrobisz sobie krzywdę!

Otworzyłem oczy i chciałem wstać, ale byłem przywiązany. Nad sobą zobaczyłem twarz Waltera, który wyglądał na zdesperowanego.

– Czy tym razem naprawdę już do nas wróciłeś, czy może to kolejna faza majaczenia?

– Gdzie jesteśmy? – szepnąłem.

– Najpierw odpowiedz na moje pytanie: czy wiesz, do kogo teraz mówisz? Kim jestem?

– Przestań, Walterze! Chyba kompletnie oszalałeś?

Walter klasnął w dłonie. Nie rozumiałem jego entuzjazmu. Podbiegł do drzwi i krzyknął do kogoś na korytarzu, że się obudziłem, jakby ten fakt bardzo go cieszył. Stał przez chwilę, wychylając głowę na zewnątrz, potem odwrócił się rozczarowany.

– Nie wiem, jak można żyć w tym kraju! Wygląda na to, że wszystko zamiera w porze obiadowej. Nie ma nawet pielęgniarki, aż trudno w to uwierzyć. A, prawda, obiecałem ci powiedzieć, gdzie jesteśmy. Otóż znajdujemy się na trzecim piętrze szpitala w Atenach, w Klinice Chorób Płuc, w pokoju trzysta siedem. Kiedy już będziesz mógł wstawać, musisz koniecznie

nacieszyć się panoramą, jest naprawdę ładna. Rzadko zdarza się, żeby ze szpitalnego okna rozciągał się widok na redę. Twoja matka i urocza ciocia Elena stanęły na głowie, żeby załatwić ci jednoosobowy pokój. Szpitalna administracja nie miała chwili wytchnienia. Czarująca ciocia

Elena i twoja mama to święte kobiety, wiem, co mówię.

– Co ja tu robię i dlaczego jestem skrępowany?

– Zrozum, że decyzji o przywiązaniu cię nie podjęto bez powodu. Zdarzały ci się ataki delirium, i to tak gwałtowne, że uznano za konieczne chronić cię przed tobą samym. Pielęgniarki miały już dość znajdowania cię na podłodze w środku nocy. Aż trudno uwierzyć, że tak bardzo rzucałeś się we śnie! Przypuszczam, że nie wolno mi tego robić, skoro jednak wszyscy tu urządzili sobie sjęstę, pozostając jedyną władzą i postanawiam cię oswobodzić.

– Walterze, powiesz mi w końcu, dlaczego jestem w szpitalu?

– Nic nie pamiętasz?

– Gdybym cokolwiek pamiętał, nie zadawałbym ci tych pytań!

Walter podszedł do okna i popatrzył na port.

– Nie wiem... – szepnęła w zamyśleniu. – Wolałbym, żebyś najpierw nabrał sił, obiecuję, że o wszystkim wtedy pomówimy.

Usiadłem na łóżku i zakręciło mi się w głowie. Walter podbiegł, żeby uchronić mnie przed upadkiem.

– Teraz rozumiesz, o czym mówiłem. Połóż się i uspokój. Twoja matka i urocza ciotka dość się już martwiły, zrób im więc przyjemność i bądź przytomny, kiedy przyjdą tu przed wieczorem. Nie wolno ci się męczyć. To polecenie! Pod nieobecność lekarzy, pielęgniarek i całych śpiących Aten ja tu rządę!

Zaschło mi w ustach, więc Walter podał mi szklankę wody.

– Tylko ostrożnie, przyjacielu, podają ci kroplówki i właściwie nie wiem, czy wolno ci pić. Błagam cię, nie bądź trudnym pacjentem!

– Walterze, daję ci minutę! Masz mi powiedzieć, dlaczego się tu znalazłem, albo powyrywam te rurki!

– Nie powinienem był cię rozwiązywać!

– Pięćdziesiąt sekund!

– Bardzo brzydko, że uciekasz się do drobnego szantażu, rozczarowałeś mnie, Adrianie!

– Czterdzieści!

– Po spotkaniu z matką!

– Trzydzieści!

– Dobrze, zaraz po wizycie lekarza, jeżeli potwierdzą, że już z tobą lepiej!

– Dwadzieścia!

– Jesteś strasznie niecierpliwy! Od tyłu dni czuwam przy tobie, a ty pozwalasz sobie rozmawiać ze mną w ten sposób!

– Dziesięć!

– Adrianie! Natychmiast zabierz rękę od tej kroplówki! Uprzedzam cię, jeżeli na tym bielutkim prześcieradle pojawi się choć jedna kropla krwi, nie odpowiem na żadne z twoich pytań!

– Pięć!

– Dobrze, wygrałeś, wszystko ci wyjaśnię, ale zapewniam, że kiedyś się z tobą policzę!

– Słucham, Walterze!

– Zupełnie nic nie pamiętasz?

– Nic.

- A mój przyjazd na Hydre?
 - Tak, to pamiętam.
 - Kawę, którą piliśmy w ogródku knajpki obok sklepu twojej cioteczki?
 - To też.
 - Zdjęcie Keiry, które ci wtedy pokazałem?
 - Oczywiście, że pamiętam.
 - To dobry znak... A dalej?
 - To mgliste wspomnienia. Wiem, że pojechaliśmy do Aten, że pożegnaliśmy się na lotnisku, bo ty wracałeś do Londynu, a ja leciałem do Chin. Ale nie jestem już nawet pewien, czy to była rzeczywistość, czy niekończący się koszmar.
 - Nie, nie, mogę cię uspokoić, to wszystko prawda. Wsiadłeś do samolotu, chociaż daleko nie zaleciałeś. Ale wróćmy do mojego przyjazdu na Hydre. Właściwie nie, po co tracić czas, mam dla ciebie dwie wiadomości!
 - Zaczynaj od złej.
 - Nie mogę! Dopóki nie poznasz dobrej, nie zdołasz zrozumieć złej.
 - Cóż, skoro nie mam wyboru, zaczynaj od dobrej.
 - Keira żyje, to już nie hipoteza, ale pewnik!
- Podskoczyłem na łóżku.
- Skoro najważniejsze mamy za sobą, powiedz mi, co sądzisz o krótkiej przerwie, małym antrakcie do chwili przyjścia twojej matki albo lekarza.
 - Walterze, przestań wreszcie kręcić i przejdź do złej wiadomości.
 - Załatwmy najpierw jedno. Pytałeś, co tu robisz, więc słuchaj. Musisz wiedzieć, że przez ciebie zawrócił siedem cztery siedem, a to nie wszystkim się zdarza. Zawdzięczasz życie rozsądkowi i odpowiedzialności stewardesy. Godzinę po starcie bardzo źle się poczułeś i zasnąłeś. Prawdopodobnie tonąc w Żółtej Rzece, złapałeś jakąś paskudną bakterię, która wywołała ciężkie zapalenie płuc. Wróćmy jednak do lotu do Pekinu. Wyglądałeś, jakbyś mocno spał, kiedy jednak stewardesa podeszła do ciebie, podając posiłki, zauważyła, że jesteś niezwykle blady
- i że pot wystąpił ci na czoło. Próbowwała cię obudzić, ale bezskutecznie. Oddychałeś z trudem, miałeś bardzo słabe tętno. Uznano, że sytuacja jest na tyle poważna, by podjąć decyzję o lądowaniu w Atenach. Z lotniska zostałeś przewieziony do szpitala. Dowiedziałem się o tym nazajutrz po powrocie do Londynu i natychmiast przyleciałem do Aten.
- Czyli nie dotarłem do Chin?
 - Bardzo mi przykro, ale nie.
 - A gdzie jest Keira?
 - Uratowali ją ci sami mnisi, którzy was przyjęli w rejonie góry... nie pamiętam jej nazwy.
 - Hua Shan!
 - Wierzę ci na słowo! Wyleczyli ją, ale, niestety, kiedy tylko doszła do siebie, zainteresowała się nią policja. Tydzień po zatrzymaniu stanęła przed sądem i została skazana za przekroczenie granicy i poruszanie się po terytorium Chin bez dokumentów, a zatem bez oficjalnego zezwolenia.
 - Jak mogła mieć te dokumenty, skoro leżały w samochodzie, na dnie rzeki?!
 - W pełni się z tobą zgadzam, obawiam się jednak, że broniący jej adwokat z urzędu nie

rozwoził się nad takimi szczegółami. Keirę skazano na osiemnaście miesięcy więzienia. Przebywa w Gatar, dawnym klasztorze zamienionym w zakład karny. To w prowincji Syczuan, w rejonie Tybetu.

– Półtora roku?

– Tak, a według naszych służb konsularnych, z którymi się kontaktowałem, mogło być gorzej.

– Gorzej?! Walterze, półtora roku! Zdajesz sobie sprawę, co oznacza półtora roku w chińskim więzieniu?

– Więzienie to więzienie, ale muszę przyznać, że masz rację.

– Ktoś próbował nas zabić, a Keira trafiła za kratki?

– Według chińskich władz jest winna. Zwrócimy się w jej

sprawie do ambasad, będziemy prosili o udzielenie jej pomocy, zrobimy wszystko, co się da. Będę ci pomagał w miarę moich możliwości.

– Naprawdę sądzisz, że nasze ambasady zechcą się w to wmieszać, ryzykując pogorszenie stosunków gospodarczych z powodu jednej dziewczyny?

Walter znów podszedł do okna.

– Obawiam się, że ani jej, ani twoje cierpienia nikogo szczególnie nie wzruszą. Przypuszczam, że pozostanie nam uzbroid się w cierpliwość i modlić, żeby jakoś zniosła to więzienie. Jest mi naprawdę bardzo przykro, Adrianie, wiem, że ta sytuacja jest straszna, ale... co ty robisz z tą kroplówką?

– Wychodzę stąd. Muszę dotrzeć do więzienia w Gatar, muszę jej powiedzieć, że będę walczył o jej uwolnienie.

Walter rzucił się na mnie, chwycił za rękę z siłą, której w tym stanie nie mogłem się przeciwstawić.

– Słuchaj uważnie, Adrianie. Kiedy tu trafiłeś, twój system immunologiczny właściwie nie istniał, infekcja zżerała cię z godziny na godzinę, sytuacja była bardzo groźna. Przez kilka dni majaczyłeś w gorączce, która mogła cię w każdej chwili zabić. Lekarze kilkakrotnie wprowadzali cię w stan śpiączki farmakologicznej, żeby chronić twój mózg. Siedziałem przy twoim łóżku na zmianę z twoją matką i uroczą ciotką Eleną. Twojej matce w dziesięć dni przybyło dziesięć lat, więc skończ z tą dziecinadą i zachowaj się, jak przystało na dorosłego człowieka!

– Dobrze, Walterze, wszystko jest jasne, możesz mnie już puścić.

– Uprzedzam, że jeżeli jeszcze raz zbliżysz swoją rękę do kroplówki, moja wylądjuje na twoim policzku!

– Obiecuję, że nawet nie drgnę.

– Tak już lepiej. Mam dość wysłuchiwanie tych bredni.

– Nawet nie wiesz, jak niesamowite miałem sny.

– Może trudno ci w to uwierzyć, ale między pomiarami temperatury a paskudnymi posiłkami w szpitalnym barze zostawało mi dość czasu na wsłuchiwanie się w te bzdury. Jedyną pociechą były dla mnie w tym piekle ciasta, które przynosiła uroczą ciocia Elena.

– Wybacz, Walterze, ale nie bardzo rozumiem, co nowego zaszło między tobą a Eleną?

– Nie wiem, o czym mówisz!

– O mojej „uroczej” ciotce.

– Mam chyba prawo uważać, że jest uroczą? Ma cudowne poczucie humoru, cudownie

gotuje, uroczo się śmieje, rozmowa z nią to rozkosz. Nie wiem, co cię tak dziwi!

– Jest od ciebie starsza o dwadzieścia lat...

– No, brawo, zaskoczyłeś mnie, nie spodziewałem się, że jesteś taki rygorystyczny! Keira jest od ciebie młodsza o dziesięć, ale różnica w tę stronę najwyraźniej ci nie przeszkadza! Jesteś zwyczajnym seksistą!

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że zadurzyłeś się w mojej ciotce? A co z panną Jenkins?

– Z panną Jenkins prowadzimy rozmowy o naszych weterynarzach, więc chyba przyznasz, że daleko nam do zmysłowej nirwany.

– A z ciotką osiągnąłeś poziom doznań zmysłowych? Nic nie mów, nawet nie chcę tego słuchać!

– Nie przypisuj mi tego, czego nie powiedziałem! Rozmawiamy z Eleną o wielu sprawach i doskonale się bawimy. Chyba nie masz nam za złe, że chcemy się trochę rozerwać po tym, co przez ciebie przeżyliśmy. To byłby już szczyt wszystkiego.

– Róbcie, co wam się podoba. Nie moja sprawa!

– Cieszę się, że sam na to wpadłeś.

– Walterze, muszę dotrzymać słowa, nie mogę beczynnienie czekać. Muszę pojechać po Keirę do Chin i zabrać ją w dolinę Omo. Nie powinienem był jej zostawiać.

– Najpierw musisz wyzdrowieć, potem zobaczymy, co się da zrobić. Wkrótce przyjdą tu lekarze, odpocznij, ja muszę coś załatwić.

– Walterze?

– Słucham?

– Co mówiłem, majacząc?

– Powtórzyłeś imię Keiry tysiąc siedemset sześćdziesiąt trzy razy, chociaż to tylko szacunkowa liczba, bo na pewno coś przeoczyłem; za to mnie wołałeś tylko trzy razy i trochę mi przykro. Poza tym mówiłeś dość niespójnie. Pomiędzy napadami konwulsji zdarzało ci się otwierać oczy, ale patrzyłeś w pustkę, i to było przerażające. Potem znowu traciłeś przytomność.

Do pokoju weszła pielęgniarka. Walter poczuł ulgę.

– Wreszcie się pan ocknął – powiedziała, zmieniając kroplówkę.

Wsunęła mi termometr do ust, zmierzyła ciśnienie i zapisała wyniki w karcie.

– Za chwilę przyjdą lekarze – powiedziała.

Jej twarz i korpulentna sylwetka kogoś mi przypominały. Kiedy wyszła z pokoju, kręcąc biodrami, przypomniałem sobie pasażerkę autobusu jadącego w stronę Gatar. Mężczyzna, który mył podłogę w korytarzu, zerknął do pokoju i szeroko się do nas uśmiechnął. W swetrze i grubej wełnianej kurtce wyglądał jak brat bliźniak męża właścicielki restauracji z moich gorączkowych snów.

– Czy ktoś mnie tu odwiedzał?

– Matka, ciotka i ja. Dlaczego pytasz?

– Bez powodu. Śniliście mi się.

– To straszne! Zabraniam ci o tym mówić!

– Nie wygłupiaj się. Był z tobą staruszek profesor, którego poznałem w Paryżu, znajomy Keiry. Nie potrafię odróżnić snu od jawy.

– Nie przejmuj się tym. Z czasem wszystko się unormuje, zobaczysz. Co do staruszka

profesora, to bardzo mi przykro, ale nie pomogę ci wyjaśnić, kim był. Obiecuję, że nie pisnę o tym ani słowa twojej ciotce, bo mogłaby się poczuć urażona, gdyby usłyszała, że w snach pojawia ci się jako starzec.

– To pewnie przez tę gorączkę.

– Pewnie tak, ale nie wiem, czy ją by to pocieszyło. Odpocznij trochę, za długo rozmawialiśmy. Wrócę tu wieczorem. Muszę zadzwonić do naszego konsulatu, pomęczyć ich trochę w sprawie Keiry. Robię to codziennie o tej samej porze.

– Walterze!

– Co znowu?

– Dziękuję!

– Nareszcie!

Walter wyszedł z pokoju, a ja próbowałem wstać. Nogi uginały się pode mną, ale opierając się o fotel przy łóżku, a potem o stół na kółkach i w końcu o kaloryfer, zdołałem dojść do okna.

Widok rzeczywiście był ładny. Szpital stał na zboczu, nad zatoką. W dali można było dostrzec Pireus. Od dzieciństwa tyle razy widziałem ten port, ale nigdy właściwie mu się nie przyjrzałem – szczęście sprawia, że jesteśmy nieuważni. Dziś z okna szpitalnego pokoju numer 307 patrzyłem na niego inaczej.

W dole, na ulicy, zobaczyłem Waltera, gdy wchodził do kabiny telefonicznej. Pewnie dzwonił do konsulatu.

Na pozór tak niezdarne, był wspaniałym człowiekiem. Miałem szczęście, że znalazłem w nim przyjaciela.

Paryż, Wyspa Świętego Ludwika

Ivory wstał i odebrał telefon.

– Co nowego?

– Dwie wiadomości: dobra i raczej kiepska.

– Proszę zacząć od tej drugiej.

– To dziwne...

– Co?

– To zaczynanie zawsze od złej wiadomości... Zacznę od dobrej, bo bez niej ta druga nie będzie miała żadnego sensu! Dziś rano spadła mu gorączka, odzyskał przytomność.

– To rzeczywiście wspaniała wiadomość, bardzo się cieszę. Ogromny ciężar spadł mi z serca.

– Przede wszystkim to prawdziwa ulga, bo bez Adriana gasła nadzieja na kontynuację pańskich poszukiwań, prawda?

– Szczerze się o niego martwiłem. Sądzi pan, że w przeciwnym razie ryzykowałbym, pojawiając się u niego w szpitalu?

– Być może nie powinien pan być tego robić. Obawiam się, że za swobodnie rozmawialiśmy przy jego łóżku, mam wrażenie, że zachował strzępy naszej rozmowy.

– Pamięta coś? – zapytał Ivory.

– To tylko okruchy, zbyt zamazane, żeby zwracał na nie uwagę. Zresztą przekonałem go już, że majaczył.

- To niewybaczalny błąd, byłem nieostrożny.
 - Chciał go pan zobaczyć tak, żeby on pana nie widział, a lekarze zapewniali, że jest nieprzytomny.
 - Medycyna to wciąż mało precyzyjna nauka. Jest pan pewien, że on się niczego nie domyśla?
 - Proszę się nie niepokoić, zaprzęta go teraz coś znacznie ważniejszego.
 - To pewnie ten nowy problem, o którym pan napomknął?
 - Nie. Martwi mnie, że postanowił jechać do Chin. Mówiłem panu, że nie wytrzyma półtora roku czekania na Keirę. Nie będzie siedział z założonymi rękami. Woli stać pod oknem celi Keiry. Dopóki ona nie odzyska wolności, nie zainteresuje go pan niczym innym. Kiedy tylko pozwolą mu wyjść ze szpitala, poleci do Pekinu.
 - Wątpię, by dostał wizę.
 - W takim razie dotrze do Gatar piechotą przez Bhutan. Jest gotowy na wszystko.
 - Musi podjąć poszukiwania, absolutnie nie mogę czekać na to półtora roku.
 - Dokładnie to samo powiedział mi o kobiecie, którą kocha. Uważam, że obaj musicie nauczyć się cierpliwości.
 - W moim wieku osiemnaście miesięcy nabiera innej wagi. Nie wiem, czy mogę liczyć, że jeszcze mi tyle zostało.
 - Proszę tak nie mówić, jest pan w świetnej formie. A poza tym życie stu procent ludzi kończy się śmiercią – podjął Walter. – Wychodząc z tej kabiny, mogę wpaść pod samochód.
 - Niech go pan powstrzyma bez względu na wszystko. Proszę mu wyperswadować jakiegokolwiek działania przez najbliższe dni. A przede wszystkim niech mu pan nie pozwoli na kontakt z konsulatem, a tym bardziej z chińską policją.
 - A to dlaczego?
 - Ponieważ załatwienie tej sprawy wymaga dyplomacji, a on nie przejawia zdolności w tej dziedzinie.
 - Może mi pan wyjaśnić, co pan knuje?
 - W szachach nazywa się to rozsadą. Wkrótce, za dzień albo dwa, powiem panu coś więcej. Do usłyszenia, Walterze, proszę ostrożnie przechodzić przez jezdnię.
- Po tej rozmowie Walter opuścił budkę i poszedł rozruszać nogi.

Londyn, St. James Square

Czarna taksówka zatrzymała się przed elegancką fasadą wiktoriańskiej rezydencji. Ivory wysiadł, zapłacił, zabrał bagaż i zaczekał, aż samochód odjedzie. Wtedy pociągnął łańcuch wiszący po prawej stronie kutych w żelazie drzwi. Rozbrzmiał dzwonek, potem Ivory usłyszał odgłos kroków kamerdynera, który podszedł otworzyć. Ivory wręczył mu wizytówkę.

- Zechce pan powiadomić sir Ashtona, że pragnę się z nim spotkać w dość pilnej sprawie.

Kamerdyner odparł, że jest mu przykro, ale pana nie ma w mieście i prawdopodobnie nie da się z nim skontaktować.

- Nie wiem, czy sir Ashton przebywa w rezydencji w Kent, gdzie zwykle poluje, czy też u którejś z kochanek, i prawdę mówiąc, nic mnie to nie obchodzi. Wiem tylko, że jeśli miałbym

wyjechać bez spotkania z sir Ashtonem, to być może narazi się pan na jego gniew. Dlatego radziłbym się z nim skontaktować.

Przejdę się i pooglądam te piękne domy, a kiedy wrócę i znowu zadzwonię, poda mi pan adres, pod którym sir Ashton chce się ze mną zobaczyć.

Ivory zszedł po kilku stopniach na ulicę i z niewielką walizką w ręku ruszył na przechadzkę. Po dziesięciu minutach, gdy wolnym krokiem szedł wzdłuż ogrodzenia parku, podjechała do niego luksusowa limuzyna. Kierowca, który z niej wysiadł, otworzył drzwi, oznajmiając, że otrzymał polecenie odwiezienia pana Ivory'ego w miejsce oddalone od Londynu o dwie godziny.

Angielska prowincja była tak urokliwa, jak we wspomnieniach Ivory'ego, choć nie tak rozległa i nie tak soczyście zielona, jak łąki w jego ojczystej Nowej Zelandii, musiał jednak przyznać, że pejzaże, które się przed nim roztaczały, cieszyły jego oczy.

Siedząc wygodnie na tylnym siedzeniu, postanowił wykorzystać czas podróży i nieco wypocząć. Zbliżało się południe, kiedy zgrzyt żwiru pod oponami wyrwał go z drzemki. Samochód jechał imponującą aleją, którą wyznaczał nienagannie utrzymany eukaliptusowy żywopłot. Zatrzymał się przed wejściem ozdobionym pnącymi się po kolumnach różami. Służący powitał gościa i poprowadził do saloniku, gdzie czekał już pan domu.

- Koniak, burbon czy gin?
- Jeśli można, proszę o szklankę wody. Witam, sir Ashtonie.
- Nie widzieliśmy się chyba od dwudziestu lat?
- Od dwudziestu pięciu. I proszę mi nie wmawiać, że wcale się nie zmieniłem. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy: obaj się postarzeliliśmy.
- Przypuszczam, że nie ta kwestia pana do mnie sprowadza.
- Proszę sobie wyobrazić, że tak! Ile czasu mi pan daje?
- Pan to określi. Jest pan moim gościem.
- Miałem na myśli czas, jaki pozostał nam jeszcze do przeżycia na tym świecie. W naszym wieku to najwyżej dziesięć lat?
- Skądże miałbym wiedzieć? Zresztą wolę nie myśleć o takich sprawach.
- Wspaniała posiadłość – rzekł Ivory, patrząc na park rozpościerający się za weneckimi oknami. – Ponoć pańska rezydencja w Kent dorównuje tej.
- Przekażę moim architektom pańskie pochwały. Czyżby to był powód naszego spotkania?
- Posiadłości mają pewną przykrą cechę: nie można zabrać ich ze sobą do grobu. Taka kumulacja bogactwa, uzyskana kosztem ogromnego wysiłku i poświęceń, w ostatniej godzinie nic nie znaczy. Gdyby nawet zaparkować tego jaguara przed cmentarzem, to wykładane skórą i drewnem wewnątrz niewiele by panu pomogło.
- Ale te bogactwa, przyjacielu, przejdą na własność następnych pokoleń, podobnie jak kiedyś przeszły w nasze ręce po śmierci ojców.
- W pańskim przypadku to rzeczywiście imponująca scheda.
- Chętnie pogawędziłbym z panem o tym i owym, ale mam napięty rozkład czasu, byłbym więc wdzięczny, gdybyśmy przeszli do rzeczy.
- Otóż czasy się zmieniły i zastanawiałem się nad tym choćby wczoraj, czytając gazety. Wielcy bogacze trafiają za kratki i do końca życia gniją w ciasnych celach. Żegnajcie, pałace, luksusowe rezydencje. Dziewięć metrów kwadratowych to wszystko, jeśli ma się trochę szczęścia, bo to metraże VIP-owskie! A tymczasem spadkobiercy trwonią majątki, starając się

zmienić nazwisko, żeby zmyć z siebie hańbę po przodkach. Najgorsze, że nikt nie może już czuć się bezpieczny, bezkarność stała się towarem luksusowym, na który nie stać czasem nawet najbogatszych i najpotężniejszych. Głowy spadają jedna po drugiej, taka zapanowała moda. Wie pan lepiej niż ja, że politykom brak pomysłów, a te, które rodzą się w ich głowach, są raczej marne. Co lepiej zamaskuje brak prawdziwych projektów społecznych niż podsycanie gniewu ludu wobec bogatych i prowadzenie igrzysk? Najbogatsi są po części odpowiedzialni za ubóstwo innych, dziś wszyscy o tym wiedzą.

– Chyba nie fatygował się pan aż tu, żeby karmić mnie tą rewolucyjną prozą i wychwalać idee sprawiedliwości społecznej.

– Rewolucyjna proza? Nie docenia mnie pan, jestem skrajnym konserwatystą. Ale miano obrońcy sprawiedliwości uznaję za komplement.

– Przejdźmy do rzeczy, Ivory, naprawdę zaczyna mnie pan irytować.

– Chcę panu zaproponować pewien układ, coś, jak by pan powiedział, sprawiedliwego. W zamian za klucz do celi, w której mógłby pan dokonać żywota, gdybym wysłał do „Daily News” czy „Observera” dotyczące pana dokumenty będące w moim posiadaniu, żądam uwolnienia pewnej młodej pani archeolog. Teraz pan wie, co mnie tu sprowadza?

– Jakie dokumenty? Jak pan śmie mi grozić?

– Nadużycie władzy, czerpanie nielegalnych zysków, oszustwa finansowe w Izbie Deputowanych, konflikty interesów w związku z posiadaniem kilku firm, przywłaszczenie dóbr publicznych, oszustwa podatkowe... Przyjacielu, jest pan fenomenem, nie ma pan żadnych skrupułów, nie waha się pan nawet przed zleceniem zabójstwa naukowca. Jakiej trucizny użył pański płatny morderca, żeby wyeliminować Adriana, i jak mu ją podał? W napoju spożytym na lotnisku, w trunku zasewwowanym na pokładzie tuż przed startem? A może to świństwo działało przez kontakt? Lekkie ukłucie podczas kontroli bezpieczeństwa? Teraz może mi pan już powiedzieć, jestem taki ciekawy!

– Przede wszystkim jest pan żalonym starcem.

– Ostra infekcja płucna na pokładzie samolotu lecącego w długi rejs do Chin. Trudno zrobić z tego chwytliwy tytuł powieści kryminalnej, zwłaszcza że i samej zbrodni daleko do doskonałości!

– Pańskie bezczelne, bezpodstawne oskarżenia nie wyprowadzą mnie z równowagi. Niech się pan wynosi, zanim każę pana wyrzucić.

– Za naszych czasów prasa nie ma czasu na weryfikację informacji, solidność dawnych artykułów z pierwszych stron przegrała z sensacyjnością nagłówków. Trudno potępiać za to dziennikarzy, bo konkurencja w erze Internetu jest ostra. Wziąć na tapetę lordzika to gwarancja wzrostu sprzedaży! Nie obawia się pan, że z racji wieku nie doczeka pan zakończenia prac komisji śledczej? Prawdziwa władza nie mieszka już w salach sądowych ani parlamentach, gazety dają pożywkę dla procesów, dostarczają dowodów, przedstawiają zeznania ofiar, sędziom pozostaje wydanie wyroku. A co do znajomych i przyjaciół, to na nikogo nie można już liczyć. Żadna władza nie narazi się na kompromitację, zwłaszcza dla ratowania jednego ze swych przedstawicieli. Wszyscy jak ognia boją się gangreny. Sprawiedliwość jest niezawisła i przecież na tym polega piękno demokracji. Niech pan sobie przypomni tego amerykańskiego finansistę, który dopuścił się oszustwa stulecia. W ciągu dwóch, trzech miesięcy sprawa została załatwiona.

– Do diabła, czego pan ode mnie chce?

– Dlaczego pan nie słucha? Przecież już powiedziałem: proszę użyć swej władzy i uwolnić panią archeolog. Ze swej strony obiecuję w zamian łaskawość. Przemilczę i każę przemilczeć innym to, co knuł pan przeciwko niej i jej przyjacielowi, nieszczęsny głupcze! Jeśli ujawnię, że po nieudanej próbie zabójstwa zlecił pan jej uwięzienie, wyrzucą pana z rady, żeby oddać tę funkcję komuś godniejszemu.

– Jest pan naprawdę żaloszny, a ja nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

– W takim razie pozostaje mi pana pożegnać, sir Ashton.

Czy nadużyję pańskiej uprzejmości, prosząc, aby kierowca odwiózł mnie przynajmniej na dworzec? W zasadzie mógłbym się przejść, ale gdyby po drodze coś mi się stało, i to właśnie gdy wychodzę od pana, skutki mogłyby być oplakane.

– Samochód jest do pańskiej dyspozycji, niech pan każę kierowcy jechać, dokąd pan chce, tylko niech się pan już wynosi!

– To bardzo szlachetne z pana strony. Dlatego i ja będę szlachetny i dam panu czas na namysł do wieczora. Zatrzymałem się w Dorchester, proszę zadzwonić, kiedy pan podejmie decyzję. Dokumenty, które powierzyłem rano posłańcowi, trafią do adresatów dopiero jutro, jeśli oczywiście nie zadzwonię teraz, żeby zmienić decyzję. Zapewniam, że biorąc pod uwagę to, co można w nich znaleźć, proszę o naprawdę niewiele.

– Jeżeli sądzi pan, że ulegnę tak prymitywnemu szantażowi, jest pan w wielkim błędzie.

– Kto tu mówi o szantażu? Przecież ten drobny układ nie przyniesie mi żadnych korzyści osobistych. Jaki piękny dzień! Proszę się nim w pełni nacieszyć.

Ivory zabrał bagaż i odszedł korytarzem prowadzącym do wyjścia. Kierowca palił papierosa przy rozarium. Na widok Ivory'ego podbiegł do auta i otworzył pasażerowi drzwi.

– Niech pan spokojnie dopali papierosa, przyjacielu – powiedział profesor. – Mam dużo czasu.

Sir Ashton wyglądał z okna gabinetu, czekając, aż Ivory zajmie miejsce w jaguarze. Kiedy auto się oddaliło, dał upust złości. Zza ukrytych w bibliotece drzwi wyszedł mężczyzna.

– Aż mi zapało dech w piersi. Muszę przyznać, że tego się nie spodziewałem – powiedział.

– Ten stary dureń groził mi w moim własnym domu. Za kogo on się uważa?

Gość sir Ashtona milczał.

– No co? Dlaczego robi pan takie miny? Chyba nie zamierza mu pan wtórować! – grzmiał sir Ashton. – Jeżeli ten dziadyga ośmieli się publicznie mnie oskarżyć, adwokaci rozerwą go na strzępy. Nie mam sobie absolutnie nic do zarzucenia! Mam nadzieję, że pan mi wierzy?

Gość sir Ashtona sięgnął po kryształową karafkę i napełnił kieliszek porto, które wypił duszkiem.

– Do cholery, niech pan coś powie! – uniósł się sir Ashton.

– Gdybym mógł, powiedziałbym tylko „o cholera”, ale wtedy nasza przyjaźń byłaby narażona na krótkie zawieszenie, może kilkudniowe, może kilkutygodniowe.

– Wynoś się, Vackeers, wyjdź stąd razem ze swoją arogancją!

– Zapewniam, że to nie arogancja. Jest mi naprawdę przykro, że to pana spotkało, ale na pańskim miejscu nie lekceważyłbym Ivory'ego. Jak sam pan powiedział, jest trochę szalony, a przez to jeszcze bardziej niebezpieczny.

I Vackeers wyszedł, nic już nie mówiąc.

Londyn, hotel Dorchester, wieczór

Zadzwoił telefon. Ivory otworzył oczy i spojrzął na stojący na kominku zegar. Rozmowa trwała krótko. Odczekał chwilę, a potem sam połączył się z komórki.

– Chciałbym ci podziękować. Dzwonił dosłownie przed chwilą. Twoja pomoc była naprawdę nieoceniona.

– Niewiele zrobiłem.

– Wręcz przeciwnie. Co byś powiedział na partyjkę szachów? W Amsterdamie, u ciebie, w przyszły czwartek? Masz ochotę?

Po zakończeniu rozmowy z Vackeersem Ivory ponownie wybrał numer. Walter uważnie słuchał instrukcji profesora i nie omieszkął pogratulować mu tej mistrzowskiej rozgrywki.

– Niech pan sobie nie robi nadmiernych nadziei, Walterze, to nie koniec naszych problemów. Nawet jeżeli uda się nam sprowadzić do domu Keirę, wciąż będzie jej groziło niebezpieczeństwo. Sir Ashton nie da za wygraną, dziś przycisnąłem go do muru, w dodatku na jego terenie, ale nie miałem wyboru.

Proszę zaufać mojemu doświadczeniu: zemści się przy pierwszej okazji. I niech to wszystko zostanie między nami, na razie nie ma sensu niepokoić Adriana, lepiej, żeby nie wiedział, komu zawdzięcza pobyt w szpitalu.

– A co do Keiry? Jak mam mu to wyjaśnić?

– Niech pan zmyśla, fantazjuje, niech pan powie, że to pańska zasługa.

Ateny, nazajutrz

Elena i mama spędziły ze mną całe przedpołudnie. Jak codziennie, odkąd trafiłem do szpitala, przyplłynęły pierwszą łodzią, która wyruszała z Hydry o siódmej rano. W Pireusie były o ósmej. Tam pobiegły do autobusu i już po półgodzinie wysiadły przed szpitalem. Zjadły śniadanie w kawiarni i przyszły do mojego pokoju obładowane jedzeniem, kwiatami i życzeniami powrotu do zdrowia od całego miasteczka. Jak codziennie, wyszły wczesnym popołudniem i pojechały autobusem do Pireusu, a stamtąd ostatnią łodzią popłynęły na Hydrę. Odkąd zachorowałem, Elena nie otwierała sklepu, a mama przesiadywała w kuchni, żeby przyprawionymi miłością i nadzieją potrawami umilać dzień powszedni pielęgniarek, które czuwały nad zdrowiem jej syna.

Zbliżało się południe i mam wrażenie, że nieustanna paplanina obu pań zaczynała mnie męczyć bardziej niż objawy paskudnego zapalenia płuc.

Właśnie wtedy ktoś zapukał do drzwi, a matka i ciotka natychmiast zamilkły. Jeszcze nigdy nie byłem świadkiem takiego cudu. To było tak, jakby w środku słonecznego dnia ucichł śpiew cykad. Walter natychmiast zauważył moje zdumienie.

– Czy coś się stało? – zapytał.

– Nie, absolutnie nic.

– Przecież widzę, macie wszyscy jakieś dziwne miny.

– Skądże znowu, gawędziliśmy z moją uroczą ciocią Eleną i mamą, kiedy tu wszedłeś. Nic się nie stało.

– A o czym mówiliście?

Inicjatywę przejęła matka.

- Mówiłam właśnie, że ta choroba może spowodować nieprzewidziane komplikacje.
- Naprawdę? – zaniepokoił się Walter. – A co mówią lekarze?
- Och, oni... powiedzieli, że być może wypiszą go w przyszłym tygodniu. Ale ja, jego matka, twierdzę, że mój syn troszeczkę skretyniał. To moja diagnoza, jeżeli jest pan ciekaw. Może pójdzie pan z moją siostrą na kawę, Walterze, a ja tymczasem powiem Adrianowi parę słów.
- Byłoby mi bardzo miło, najpierw jednak muszę z nim pomówić, proszę nie mieć mi tego za złe, ale to męska rozmowa.
- Skoro nie chcą tu kobiet, wychodzimy! – oznajmiła Elena, wstając. Zabrała ze sobą matkę i została sam z Walterem.
- Mam wspaniałe wiadomości – powiedział, siadając na skraju łóżka.
- Mimo wszystko zacznij od najgorszej.
- Musimy zdobyć paszport w ciągu tygodnia, ale nie da się go wyrobić pod nieobecność Keiry!
- Nie rozumiem, o czym mówisz.
- Domyślałem się, że tak zareagujesz, ale chciałeś, żebym zaczął od najgorszej informacji. Ten ciągły pesymizm działa mi na nerwy. No dobrze, teraz posłuchaj, bo jeśli mówię, że przynoszę dobre nowiny, to nie bez powodu. Wspominałem ci, że w radzie Akademii mam kilku wysoko postawionych znajomych.

Walter wyjaśnił mi, że Akademia realizuje programy badawcze i wymianę z kilkoma dużymi chińskimi uczelniami. Nie wiedziałem o tym. Powiedział mi też, że z każdą podróżą zacieśniają się pewne relacje na różnych szczeblach hierarchii dyplomatycznej. Walter wyjaśnił, że dzięki swoim znajomościom uruchomił pewne procesy, które nieprzerwanie się toczą... Chińska doktorantka, która kończyła już pracę w Akademii, a której ojciec był sędzią i cieszył się przychylnością rządzących, a także kilku brytyjskich dyplomatów z sekcji wizowej oraz konsul z Turcji, wieloletni pracownik ambasady w Pekinie, gdzie miał jeszcze pewne znajomości – wszyscy ci ludzie z różnych stron świata działali, dopóki nie udało się doprowadzić do tego, co musiało się stać w Syczuanie. Gdy pozyskano przychylność lokalnych władz, te zaczęły się zastanawiać, czy adwokat z urzędu, broniąc młodej Europejki, nie przeoczył podczas przesłuchań pewnych kwestii ze względu na słabą znajomość języka. Problemy w porozumiewaniu się z klientką wyjaśniałyby, dlaczego nie powiedział prowadzącemu sprawę sędziemu, że cudzoziemka skazana za brak dokumentów miała wymagany paszport i wize. Władza wykazała dobrą wolę, przygotowano grunt, a Keira mogła zostać ułaskawiona, pod warunkiem że dowód jej tożsamości będzie szybko okazany sądowi w Chengdu. Potem pozostanie już tylko jechać po nią i zabrać z terytorium Chińskiej Republiki Ludowej.

- Mówisz poważnie? – zapytałem, podrywając się z łóżka i chwytając Waltera w ramiona.
- A wyglądam na kogoś skorego do żartów? Mógłbyś okazać odrobinę wdzięczności i zauważyć, że tak bardzo chciałem skrócić twoją udrękę, iż nawet nie odetchnąłem i biegłem jak szalony.

Z radości zacząłem tańczyć, pociągając za sobą Waltera.

Tańczyliśmy wciąż w szpitalnym pokoju, kiedy wróciła matka. Popatrzyła na nas i się cofnęła. Usłyszeliśmy, jak ciężko wzdycha i jak Elena mówi do niej: „Chyba tego znowu nie zrobisz?”.

Zakręciło mi się w głowie i musiałem się położyć.

– Powiedz, kiedy odzyska wolność?

– Już zapomniałeś o tej gorszej wiadomości, którą tak bardzo chciałeś usłyszeć na początku?

Powtórzę: chiński sędzia zgodził się uwolnić Keirę, jeżeli w ciągu tygodnia okazemy jej paszport. A ponieważ bezcenny dokument spoczywa na dnie rzeki, musimy zdobyć nowy. Jednak pod nieobecność zainteresowanej i w tak krótkim czasie jest to niemal niemożliwe. Czy teraz rozumiesz powagę problemu?

– Mamy tylko sześć dni?

– Z tego jeden na dotarcie do sądu w Chengdu, czyli pięć na wyrobienie nowego dokumentu.

Nie wiem, co zrobić, jeśli nie zdarzy się cud.

– Czy ten paszport musi być nowy?

– Mam nadzieję, że gorączka wywołana zapaleniem płuc nie uszkodziła ci mózgu, ale na wszelki wypadek przypominam, że nie jestem urzędnikiem celnym! Wydaje mi się, że jeśli paszport jest ważny, to spełnia warunki. Dlaczego pytasz?

– Ponieważ Keira ma podwójne obywatelstwo: francuskie i angielskie, a mój mózg jest w pełni sprawny. Dziękuję za troskę. Doskonale pamiętam, że do Chin wjechała z paszportem brytyjskim i w nim miała wizę, sam odbierałem dokumenty z biura. Keira zawsze nosiła paszport przy sobie. Kiedy znaleźliśmy tę pluskwę, wyróciliśmy jej torebkę do góry dnem i jestem pewien, że nie było w niej francuskiego paszportu.

– Dobra wiadomość, tylko gdzie on może być? Nie chciałbym psuć ci nastroju, ale mamy naprawdę mało czasu na odnalezienie go.

– Nie mam pojęcia...

– W takim razie powiem tylko, że nie poczyniliśmy większych postępów. Zadzwoń do kogoś i zaraz do ciebie wrócę.

Twoja ciotka i matka czekają na korytarzu, a nie chciałbym, żeby uznały nas za gburów.

Walter wyszedł, a mama i ciotka Elena natychmiast weszły. Matka usiadła w fotelu, włączyła wiszący na wprost łóżka telewizor i nie odzywała się do mnie, co wyraźnie bawiło Elenę.

– Przyznasz, że Walter jest uroczy? – powiedziała ciotka, przysiadając na brzegu łóżka.

Spojrzałem jej prosto w oczy. Przy matce chyba lepiej było nie podejmować teraz tego tematu.

– I całkiem przystojny, prawda? – podjęła, ignorując moją cichą prośbę. Matka odpowiedziała za mnie, nie odrywając oczu od ekranu.

– I dość młody, jeżeli interesuje cię, co o tym myślę. Ale nie musicie zwracać na mnie uwagi. Po męskiej rozmowie w cztery oczy czas na pogawędkę siostrzeńca z ciotką, bo na rozmowy z matką nie warto przecież tracić czasu! Kiedy obejrzę ten program do końca, pójdę na plotki do pielęgniarek. Kto wie, może od nich dowiem się czegoś o moim synu?

– Teraz już rozumiesz, skąd tyle rozpraw o tragedii greckiej – rzuciła Elena, zerkając kątem oka na moją matkę, która siedziała plecami do nas, wpatrzona w telewizor, chociaż wyciszyła go, żeby nie uronić ani słowa z naszej rozmowy.

Emitowano właśnie dokument na temat pasterskich plemion wędrujących po tybetańskich płaskowyżach.

– Psiakość, pokazywali to przynajmniej cztery razy – westchnęła matka, wyłączając telewizor. – Możesz mi wytłumaczyć, dlaczego robisz takie miny?

– Czy w tym filmie występowała mała dziewczynka?

– Nie wiem, być może, ale dlaczego pytasz?

Wolałem nie odpowiadać. Walter zapukał do drzwi, a Elena zaproponowała mu krótką przerwę na kawę dla nich dwojga.

Wstając, dodała, że jej siostra powinna nacieszyć się synem. Walter ochoczo skorzystał z tej propozycji.

– Żebym mogła nacieszyć się synem! Co ona plecie? – obruszyła się matka, kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi. – Szkoda, że nie mogłeś jej obserwować przez całą swoją chorobę, odkąd jest tu ten twój przyjaciel! Zachowuje się jak podłotek. To żalosne.

– Zakochać się można w każdym wieku. Skoro czuje się szczęśliwa...

– Uszczęśliwia ją nie to, że się zadurzyła, ale to, że ktoś ją adoruje.

– Może i ty pomyślałabyś wreszcie o ułożeniu sobie życia? Już dostatecznie długo nosisz żalobę. Wpuszczając kogoś innego pod swój dach, nie musisz wyrzucać taty z serca.

– I ty mi to mówisz? W moim domu zawsze będzie tylko jeden mężczyzna: twój ojciec. Choć spoczywa w grobie, wciąż przy mnie jest, rozmawiam z nim rano, kiedy wstaję, mówię do niego w kuchni i na tarasie, kiedy zajmuję się kwiatami, i na drodze, kiedy idę do miasteczka, i wieczorem, kiedy kładę się spać. To, że twój ojciec zabrakło, nie oznacza, że jestem sama. Elena to co innego, nie dane jej było przejść przez życie z kimś takim jak mój mąż.

– To chyba wystarczający powód, żeby pozwolić jej poplirtować, nie sądzisz?

– Nie chcę stawać twojej ciotce na drodze do szczęścia, ale wolałabym, żeby nie robiła tego z przyjacielem mojego syna. Wiem, zaraz powiesz, że jestem staroświecka, ale każdy z nas ma wady. Mogła przecież upolować tego znajomego Waltera, który przyjechał cię odwiedzić.

Usiadłem na łóżku. Matka natychmiast wykorzystała okazję, żeby poprawić mi poduszki.

– O kim mówisz?

– Nie wiem, widziałam go tylko tu, w korytarzu, parę dni temu. Byłeś nieprzytomny. Nie miałam okazji się z nim przywitać, wyszedł, kiedy przyszedłam. Tak czy inaczej, to przystojny mężczyzna o smagłej cerze. Wydał mi się bardzo elegancki. A poza tym nie był o dwadzieścia lat młodszy od Eleny, ale mniej więcej o tyle starszy.

– I nie wiesz nawet, jak się nazywał?

– Tylko się minęliśmy. Teraz spróbuj odpocząć, musisz nabrać sił. Czas zmienić temat, bo już słyszę, jak te dwie turkaweczki gruchają pod drzwiami. Wejdą tu lada chwila.

Elena przyszła po mamę. Jeżeli chciały zdążyć na ostatnie połączenie z Hydrą, musiały się pospieszyć. Walter odprowadził je do windy i po chwili wrócił.

– Twoja ciotka opowiedziała mi kilka historyjek z twójgo dzieciństwa. Jest bardzo dowcipna.

– Skoro tak twierdzisz!

– Coś cię martwi, Adrianie?

– Mama powiedziała mi, że kilka dni temu widziała cię tu w towarzystwie znajomego, który ponoć przyjechał mnie odwiedzić. Kto to był?

– Twoja matka musiała coś pomylić. Podejrzewam, że widziała, jak rozmawiam z kimś, kto szukał swojego bliskiego. No tak, już kojarzę... Na pewno chodziło jej o tego starszego pana, który przyszedł do kuzynki. Wskazałem mu pokój pielęgniarek.

– Chyba już wiem, jak zdobyć paszport Keiry.

– Świetnie, to interesuje mnie znacznie bardziej niż jakiś obcy człowiek. Mów.

– Chyba mogłaby nam pomóc Jeanne, jej siostra.

- Czy wiesz, jak się z nią skontaktować?
- Tak, a właściwie... nie – powiedziałem nieco zażenowany.
- Tak czy nie?
- Nigdy nie odważyłem się do niej zadzwonić, bałem się rozmowy o wypadku.
- Nie kontaktowałeś się z siostrą Keiry od trzech miesięcy? Ani razu do niej nie zadzwoniłeś?
- Nie byłem w stanie powiedzieć jej przez telefon, że Keira nie żyje, a podróż do Paryża była ponad moje siły.
- Tchórz! To żalosne, wyobrazasz sobie, jak ona musi się zamartwiać? Poza tym jak to możliwe, że nie próbowała was szukać?
- Bardzo często zdarzało się, że Jeanne i Keira długo się nie kontaktowały.
- W takim razie jak najszybciej musisz się z nią porozumieć. A mówiąc „jak najszybciej”, myślę: jeszcze dziś!
- Powiniennem do niej pojechać.
- Nie wygłupiaj się, jesteś przykuty do łóżka, a nie mamy ani chwili do stracenia – odparł Walter, wciskając mi słuchawkę do ręki. – Uporaj się ze swoim sumieniem i dzwoń.

Już od dawna próbowałem uporać się z sumieniem, ale wciąż na próżno. Kiedy Walter wyszedł, zostawiając mnie samego w pokoju, odszukałem numer do muzeum przy bulwarze Branly. Jeanne poszła na zebranie i była nieuchwytna. Dzwoniłem co kilka minut, aż w końcu telefonistka powiedziała, żebym dał sobie spokój. Domyślałem się, że Jeanne nie ma ochoty na rozmowę ze mną, że wini mnie za milczenie Keiry, a równocześnie ma do mnie żal, że nie skontaktowałem się z nią znacznie wcześniej. Zadzwoniłem jeszcze jeden, ostatni raz i wyjaśniłem telefonistce, że muszę pilnie rozmawiać z Jeanne, że to kwestia życia i śmierci jej siostry.

- Czy Keirze coś się stało? – zapytała drżącym głosem Jeanne.
- Obojgu nam coś się stało – odrzekłem z ciężkim sercem. – A teraz jest mi pani potrzebna.

Opowiedziałem jej o naszych przygodach, banalizując tragiczny epizod Żółtej Rzeki, wspominałem o wypadku, pomijając okoliczności, w jakich do niego doszło. Dałem słowo, że Keirze nic już nie grozi, wyjaśniłem, że przez głupi problem z dokumentami została aresztowana i jest przetrzymywana w Chinach. Nie użyłem słowa „więzienie”, czułem bowiem, że każde kolejne zdanie jest dla Jeanne ciężkim ciosem. Raz po raz tłumiała szloch, a ja także musiałem powściągać emocje. Nie umiem kłamać, naprawdę kiepsko mi to wychodzi. Jeanne błyskawicznie zorientowała się, że sytuacja jest znacznie poważniejsza niż opisana przeze mnie. Wiele razy kazała mi przysięgać, że jej siostra jest cała i zdrowa. Obiecałem jej, że przywiozę Keirę i że wszystko będzie w porządku. Wyjaśniłem, że aby to zrobić, muszę jak najszybciej mieć jej paszport. Jeanne nie wiedziała, gdzie leży dokument, ale postanowiła natychmiast wyjść z pracy i jeśli będzie trzeba, przewrócić mieszkanie do góry nogami. Miałem czekać na jej telefon.

Ta rozmowa wprawiła mnie w przygnębienie. Głos Jeanne rozbudził we mnie tęsknotę, rozłąka z Keirą ciążyła mi teraz znacznie bardziej. Ból ożył.

Jeanne jeszcze nigdy nie jechała przez Paryż tak szybko. Trzy razy zlekceważyła czerwone światło, o mało nie zderzyła się z półciężarówką, otarła się o inny samochód na moście Aleksandra III i w ostatniej chwili odzyskała panowanie nad swoim małym wozem, ale już przy

wtórce klaksonów. Jechała buspasami, a na zbyt zatłoczonym bulwarze odważyła się nawet skręcić na chodnik, o mało nie potrafiła rowerzysty, ale na szczęście jakimś cudem bez większych strat dotarła do domu.

W holu kamienicy zapukała do dozorczyńni, błagając, żeby ta pomogła jej w poszukiwaniach. Pani Hereira nigdy dotąd nie widziała Jeanne w takim stanie. Ponieważ dostawcy zatrzymali windę na trzecim piętrze, niemal biegiem pokonały schody. Kiedy już weszły do mieszkania, Jeanne kazała pani Hereirze szukać w kuchni i salonie, a sama zajęła się sypialniami. Nie wolno było liczyć na łut szczęścia, należało opróżnić wszystkie półki w szafach, wszystkie szuflady, byle tylko w końcu znaleźć paszport Keiry.

W ciągu godziny przetrząsnęły całe mieszkanie. Żaden włamywacz nie zrobiłby takiego bałaganu. Wyrzucone z biblioteki książki leżały na podłodze, ubrania przefruwały z pokoju do pokoju, fotele straciły poduszki, nawet na łóżku nie było już narzuty. Jeanne zaczynała tracić nadzieję, kiedy zelektryzował ją krzyk pani Hereiry, która myszkowała po przedpokoju. Komódka pełniąca funkcję biurka została opróżniona, a dozorczyńni triumfalnie potrząsała małą bordową książeczką. Jeanne chwyciła kobietę w ramiona i serdecznie ucałowała.



Walter właśnie wrócił do hotelu i kiedy odebrałem telefon od Jeanne, byłem sam. Długo rozmawialiśmy. Prosiłem, żeby opowiadała mi o Keirze, pragnąłem zapełnić lukę obrazami z jej dzieciństwa. Jeanne chętnie spełniła moje życzenie, bo prawdopodobnie tęskniła za siostrą tak samo jak ja. Obiecała, że wyśle paszport listem ekspresowym. Podałem jej adres szpitala w Atenach i dopiero wtedy zapytała, jak się czuję.



Dwa dni potem wizyta lekarzy znacznie się przedłużyła. Ordynator oddziału chorób płuc wciąż zastanawiał się nad dalszym postępowaniem, a mój przypadek bardzo go interesował, ponieważ nikt nie potrafił wyjaśnić, jak tak ostre zapalenie płuc mogło się rozwinąć bez żadnych wstępnych objawów. Muszę przyznać, że wsiadając na pokład samolotu, czułem się doskonale. Lekarz powtórzył, że gdyby stewardesa nie wykazała tak dużego poczucia odpowiedzialności i nie powiadomiła kapitana o chorobie pasażera albo gdyby ten nie postanowił zawrócić, prawdopodobnie zmarłbym przed lądowaniem w Pekinie. Zespół lekarski nie potrafił wyjaśnić zagadki mojej choroby, której nie wywołał żaden wirus. Z czymś takim nigdy się tu nie spotkano. Najważniejsze, podsumował ordynator, wzruszając ramionami, że dobrze zareagowałem na leczenie. Stałem nad przepaścią, ale udało mi się uratować głowę – nic mi już nie zagrażało. Jeszcze parę dni rekonwalescencji i mogłem wrócić do normalnego życia. Ordynator obiecał, że za tydzień wypisze mnie ze szpitala. Gdy wychodził z pokoju, przyniesiono mi list od Jeanne, a w nim paszport Keiry. Otworzyłem kopertę kryjącą ten beczenny dokument i znalazłem liścik od Jeanne.

„Przywieź ją jak najszybciej, liczę na ciebie. Poza nią nie mam nikogo bliskiego”.

Złożyłem kartkę i otworzyłem paszport. Na zdjęciu Keira wyglądała na nieco młodszą. Postanowiłem się ubrać.

Wchodząc do pokoju, Walter zobaczył mnie w koszuli i slipkach i zapytał, co zamierzam.

– Jadę po nią i nawet nie próbuj mnie powstrzymywać, bo naprawdę szkoda na to czasu, nic

nie wskórasz.

Nie tylko nie próbował, ale nawet pomógł mi w ucieczce. Zbyt denerwowało go, że szpital pustoszał w porze ateńskiej sjesty, żeby nie wykorzystać tego faktu, gdy było nam to na rękę. Czatował w korytarzu, kiedy pakowałem rzeczy, potem doprowadził mnie do windy, unikając tych nielicznych miejsc, w których mimo wszystko mogliśmy się natknąć na kogoś z personelu.

Mijając sąsiedni pokój, zobaczyłem małą dziewczynkę, która samotnie stała w drzwiach. Była ubrana w piżamkę w biedronki. Poznała Waltera i pomachała mu.

– Co tu robisz, kotku? – zapytał, podchodząc do niej. – Mama jeszcze do ciebie nie przyszła?

Walter odwrócił się do mnie, a ja domyśliłem się, że dobrze zna moją małą sąsiadkę.

– Ta biedroneczka często cię odwiedzała – powiedział, porozumiewawczo mrugając do dziewczynki.

Słyszając to, ja także przykucnąłem, żeby przywitać się z małą. Rzuciła mi figlarne spojrzenie i się roześmiała. Policzki miała rumiane jak dojrzałe jabłko.

Bez najmniejszych problemów dotarliśmy na parter. W windzie natknęliśmy się na salowego, ale nie zwrócił na nas uwagi. Za to kiedy otworzyły się drzwi windy, stanęliśmy twarzą w twarz z moją matką i ciotką Eleną. Pewnie nie mogło nas spotkać nic gorszego – próba ucieczki zakończyła się klęską, dla nas zaczął się koszmar. Matka zaczęła wrzeszczeć, żądając, żebym jej wyjaśnił, dlaczego wstałem. Chwyciłem ją za rękę i błagałem, żeby spokojnie ze mną poszła i nie wywoływała skandalu, ale chyba łatwiej byłoby ją namówić do odtańczenia sirtaki na środku szpitalnej kawiarni.

– Lekarze pozwolili mi na krótką przechadzkę – skłamał Walter, chcąc uspokoić matkę.

– I na tę krótką przechadzkę zabrał ze sobą torbę podróżną? Skoro już zaczął nam pan pomagać, to może przy okazji załatwi mi pan łóżko na geriatry, co? – ofuknęła Waltera.

Spojrzała na dwóch pielęgniarzy, którzy szli przez hol, i natychmiast odgadłem jej zamiary – chciała zawlec mnie do szpitalnego pokoju, choćby siłą.

Zerknąłem na Waltera. Wystarczyła krótka chwila, żebyśmy się porozumieli – podczas gdy mama złorzeczyła, pobiegliśmy do drzwi wyjściowych i znaleźliśmy się na zewnątrz, zanim ochrona zrozumiała, że ta krzycząca kobieta domaga się, by mnie zatrzymać.

Było mi daleko do szczytu formy. Na rogu ulicy poczułem palący ból w piersiach i dopadł mnie gwałtowny atak kaszlu. Z trudem chwyciłem oddech, serce waliło mi jak szalone i musiałem stanąć. Walter obejrzał się i zobaczył dwóch ochroniarzy biegnących w naszą stronę. Wykazał się wprost genialnym refleksem – utykając, podszedł do nich i ze zbolą miną powiedział im, że został pobity przez dwóch mężczyzn, którzy uciekli boczną uliczką. Kiedy ochroniarze ruszyli we wskazanym kierunku, Walter zatrzymał taksówkę i skinął na mnie.

Przez całą drogę nie odezwał się, a ja z niepokojem obserwowałem go, zdziwiony milczeniem, którego przyczyny nie rozumiałam.



Jego hotelowy pokój stał się naszą kwaterą główną. To tam przygotowaliśmy moją podróż. Łóżko było dostatecznie szerokie, abyśmy mogli spać w nim obaj. Walter położył zwinięty w rulon koc, rozdzielając je na pół. Kiedy odpoczywałem w ciągu dnia, on telefonował. Czasami wychodził, podobno – żeby się przewietrzyć. Właściwie niewiele mówił, prawie się do mnie nie

odzywał.

Nie wiem, jakim cudem zdołał załatwić mi chińską wizę w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Dziękowałem mu za to setki razy. Jednakże od naszej ucieczki ze szpitala nie był już sobą.

Któregoś wieczoru, kiedy siedzieliśmy w pokoju przy kolacji, a Walter włączył telewizor, uporczywie unikając rozmowy ze mną, chwyciłem pilota i wyłączyłem odbiornik.

– Możesz mi wyjaśnić, dlaczego zachowujesz się, jakbyś był obrażony?

Walter wyrwał mi pilota z ręki i włączył telewizor. Wstałem, wyciągnąłem wtyczkę z kontaktu w ścianie i usiadłem na wprost przyjaciela.

– Jeżeli zrobiłem coś, co ci się nie podobało, wyjaśnijmy to wreszcie.

Walter długo na mnie patrzył, a potem wyszedł bez słowa do łazienki. Na próżno dobijałem się do niego – nie chciał otworzyć drzwi. Pojawił się po kilku minutach, już w piżamie, i uprzedził, że jeżeli nie podoba mi się piżama w kratkę i pozwolę sobie na najdrobniejszy żart, to pójdzie spać pod drzwiami. Potem

nakrył się po szyję i zgasił światło, nie mówiąc nawet „dobranoc”.

– Walterze – przerwałem panującą w pokoju ciszę – co ja ci zrobiłem, co się stało?

– Tylko tyle, że chwilami pomaganie ci staje się bardzo uciążliwe.

Znowu zapadła cisza, a ja uświadomiłem sobie, że właściwie nie podziękowałem mu za wszystko, co dla mnie ostatnio zrobił. Ta niewdzięczność na pewno go uraziła, więc głośno przeprosiłem przyjaciela. Walter odparł, że ma gdzieś moje przeprosiny. Gdybym jednak znalazł jakiś sposób, żeby moja matka, a zwłaszcza ciotka wybaczyły nam skandaliczne zachowanie w szpitalu, byłby mi wdzięczny. I zaraz przewrócił się na bok i zamilkł.

Włączyłem lampkę i usiadłem na łóżku.

– Co znowu? – mruknął Walter.

– Naprawdę zakochałeś się w Elenie?

– A co cię to może obchodzić? Myślisz wyłącznie o Keirze, nie interesuje cię nic poza własnymi problemami, tylko to jest dla ciebie ważne. Kiedy nie prowadzisz badań i nie szukasz tych idiotycznych odłamków, trzeba zajmować się twoim zdrowiem. Kiedy już nie chorujesz, wraca sprawa twojej pani archeolog i zawsze wzywasz na pomoc poczciwego Waltera. Walter to, Walter tamto, ale jeśli ja próbuję ci się zwierzać, nawet mnie nie słuchasz. I nie mów, że nagle zainteresowały cię moje uczucia, bo kiedy raz próbowałem być z tobą szczerzy, wyśmiałeś mnie!

– Naprawdę nie miałem takiego zamiaru.

– Ale tak to wyszło! Dasz mi wreszcie spać?

– Nie, najpierw skończymy tę rozmowę.

– Jaką rozmowę? – zdenerwował się Walter. – Przecież tylko ty mówisz.

– Walterze, czy zakochałeś się w mojej ciotce?

– Przykro mi, że sprawiłem jej przykrość, pomagając ci w ucieczce ze szpitala. Zadowolisz się takim wyjaśnieniem?

Siedziałem, pocierając brodę i rozmyślając.

– Jeżeli załatwię ci pełne rozgrzeszenie i wybaczenie, przestaniesz się na mnie dąsać?

– Najpierw to zrób, potem zobaczymy.

– Zajmę się tym jutro rano.

Wyraz twarzy Waltera natychmiast się zmienił, miałem nawet wrażenie, że się lekko uśmiechnął. Przewrócił się na bok i zgasił światło.

Po pięciu minutach znowu zabłysło światło, a Walter poderwał się z łóżka.

– A dlaczego nie chcesz załatwić tego jeszcze dziś?

– Mam dzwonić do Eleny o tej godzinie?

– Przecież dopiero dziesiąta. Zdobyłem dla ciebie chińską wizę w ciągu dwóch dni, więc chyba mógłbyś załatwić mi przebaczenie u własnej ciotki w jeden wieczór?

Wstałem i zadzwoniłem do matki. Przez dobry kwadrans słuchałem jej połajanek, nie mogąc wtrącić ani słowa. Kiedy wreszcie zabrakło jej słów, zapytałem tylko, czy gdyby zaszła taka potrzeba i gdyby było to realne, nie ruszyłaby na koniec świata, żeby uratować przed niebezpieczeństwem mojego ojca. Wiedziałem, że popadła w zadumę, i nie musiałem nawet jej widzieć, żeby odgadnąć, że się uśmiecha. Życzyła mi jeszcze szczęśliwej podróży i prosiła, żebym nie przedłużał tego wyjazdu. Kiedy będę w Chinach, przygotuje kilka dobrych dań na przywitanie Keiry.

Już miała przerwać połączenie, kiedy przypomniałem sobie, dlaczego do niej dzwoniłem, i poprosiłem, żeby oddała słuchawkę ciotce Elenie. Elena poszła już do pokoju gościnnego, udało mi się jednak namówić matkę, żeby ją zawołała.

Zdaniem Eleny nasza ucieczka była niezwykle romantyczna, a Waltera uznała za przyjaciela, jakiego trudno znaleźć. Kazała mi obiecać, że nigdy nie powtórzę matce tego, co teraz usłyszałem. Poszedłem do Waltera, który krążył po łazience.

– I co? – zapytał z niepokojem.

– Myślę, że w ten weekend, kiedy polecę do Pekinu, ty będziesz mógł popłynąć na Hydrę. Ciotka będzie czekała w porcie, żeby zjeść z tobą kolację. Radzę zamówić dla niej musakę, to jej wielka słabostka, ale zachowaj to dla siebie, nie zdradź się, że ci o tym powiedziałem.

A potem, wyczerpany, zgasilem światło.

W najbliższy piątek Walter odprowadził mnie na lotnisko. Samolot wystartował punktualnie. Kiedy wzbijał się w górę nad Atenami, patrzyłem na Morze Egejskie, które znikало pod skrzydłami maszyny, i zmagalem się z dziwnym uczuciem, że już to wszystko widziałem. Za dziesięć godzin miałem wylądować w Chinach...

Pekin

Po załatwieniu formalności celnych wsiadłem do samolotu lecącego do Chengdu.

Na lotnisku czekał na mnie młody tłumacz przysłany przez chińskie władze. W jego towarzystwie jechałem przez całe miasto do sądu. Potem przez kilka długich jak wieczność godzin siedziałem na niewygodnej ławce, czekając, aż sędzia prowadzący sprawę Keiry zechce mnie przyjąć. Za każdym razem, kiedy zamykały mi się oczy, a głowa opadała – cóż, nie spałem od dwudziestu godzin – mój opiekun trącał mnie łokciem i ciężko wdychał, żeby dać mi do zrozumienia, że uważa moje zachowanie za wielce niestosowne w tym miejscu. Późnym popołudniem drzwi, pod którymi czekaliśmy, wreszcie się otworzyły. Korpulentny mężczyzna wyszedł z biura z plikiem dokumentów pod pachą. Nawet na mnie nie spojrzął, ale poderwałem się z miejsca i ku oburzeniu tłumacza pobiegłem za nim. Mój nieszczęsny kompan szybko pozbiierał swoje rzeczy i po chwili mnie dogonił.

Sędzia przystanął i obrzucił mnie takim spojrzeniem, jakbym był dziwacznym zwierzęciem. Podałem mu cel swojej wizyty – ustalono, że mam mu przedłożyć paszport Keiry, aby dokonał kasacji wyroku w jej sprawie i podpisał zwolnienie z więzienia.

Tłumacz wyłożył mi wszystko najlepiej, jak potrafił, ale jego niepewny głos zdradzał paniczny lęk przed władzą człowieka, do którego się zwracał w moim imieniu. Sędzia nie krył irytacji – nie byłem umówiony, nie miał teraz czasu dla mnie, pojutrze wyjeżdża do Pekinu, został przeniesiony, a ma tu jeszcze dużo pracy.

Stałem mu na drodze i nieco za sprawą zmęczenia straciłem panowanie nad sobą.

– Czy żeby zyskać szacunek, musi pan być okrutny i obojętny na los innych? Czy nie wystarczy panu możliwość sądenia ludzi? – zapytałem.

Mój tłumacz zzieleniał. Barwa jego twarzy była niepokojąca, bełkotał i kategorycznie odmówił przełożenia moich słów. Odciągnął mnie na bok.

– Postradał pan rozum? Wie pan, kim on jest. Jeżeli powtórzę mu to, co pan powiedział, obaj spędzimy najbliższą noc w więzieniu.

Nie obchodziły mnie jego przestrogi, odepchnąłem go i ruszyłem biegiem za sędzią, który skorzystał z okazji, żeby odejść. Znowu zagroziłem mu drogę.

– Dziś wieczorem, kiedy otworzy pan butelkę dobrego szampana, żeby uczcić awans, musi pan powiedzieć żonie, że stał się pan osobistością tak potężną, tak ważną, iż los niewinnej kobiety nie jest już w stanie zakłócić spokoju pańskiego sumienia. I objadając się ciasteczkami, proszę pomyśleć o własnych dzieciach, wyjaśnić im, co znaczy honor, moralność, szacunek, niech im pan powie, jaki świat pan dla nich buduje, świat, w którym niewinne kobiety gniją w więzieniu, bo sędziowie mają zajęcia ważniejsze od troski o sprawiedliwość. Niech pan powie to w moim imieniu swojej rodzinie, a poczuję się, jakbym uczestniczył w zabawie razem z Keirą!

Tym razem tłumacz pociągnął mnie z całej siły, błagając, żebym, zamilkł. Kiedy tak mnie napominał, sędzia popatrzył na nas i wreszcie zwrócił się do mnie.

– Biegle władam angielskim, studiowałem w Oksfordzie. Pański tłumacz ma rację, z pewnością nie jest pan dobrze wychowany i nie brak panu tupetu.

Spojrzał na zegarek.

– Proszę dać mi ten paszport i zaczekać. Zajmę się pańską sprawą.

Niemal wyrwał mi z ręki dokument, a potem szybkim krokiem wrócił do gabinetu. Minęło może pięć minut, gdy stanęli za mną dwaj policjanci. Ledwie zdążyłem zauważyć ich obecność, a już mnie skuli i wyprowadzili. Roztrzęsiony tłumacz biegł za mną, zapewniając, że nazajutrz skontaktuje się z ambasadą. Policjanci kazali mi odejść, a mnie brutalnie wepchnęli do furgonetki. Po trzech godzinach jazdy po wybojach znalazłem się na dziedzińcu więzienia w Gatar, które w niczym nie przypominało imponującego klasztoru z moich koszmarów.

Zabrano mi torbę, zegarek, pasek i spodnie, zdjęto także kajdanki, a potem pod strażą odprowadzono do celi, gdzie poznałem współwięźnia. Był to mężczyzna po sześćdziesiątce, bezzębny, bez śladu zarostu na twarzy. Wiele bym dał, żeby się dowiedzieć, jakie popełnił przestępstwo, ale trudno mi było liczyć na szczerą i długą rozmowę. Mężczyzna zajmował górną pryczę, więc mnie przypadła ta dolna. Było mi to obojętne, dopóki nie zobaczyłem tłustego szczura włóczącego się po korytarzu. Nie miałem pojęcia, jaki czeka mnie los, ale Keira i ja znaleźliśmy się w tym budynku, blisko siebie, i ta myśl dawała mi siłę przetrwania w więzieniu, gdzie jedyne gwiazdy były czerwone i znajdowały się na czapkach strażników.

Po godzinie drzwi się otworzyły, a ja ruszyłem w ślad za moim kompanem z celi w długim łańcuchu więźniów, którzy w równym rytmie schodzili po schodach wiodących do jadalni. Znalazłem się w ogromnej sali, gdzie moja jasna cera wywołała sensację. Siedzący przy stołach więźniowie obserwowali mnie i obawiałem się najgorszego, kiedy jednak wyczerpały się ich pomysły na żarciki, wszyscy wpatrzyli się w swoje miski. Zupa, w której pływał ryż i kawałki mięsa, skłoniła mnie do przejścia na dietę, i to bez żalu. Korzystając z tego, że wszystkie głowy były spuszczone, patrzyłem w stronę krat oddzielających nas od części sali, w której jadły kobiety. Serce biło mi mocniej, bo gdzieś tam, wśród więźniarek, musiała siedzieć Keira. Między nami było kilka metrów. Jak jej powiedzieć, że tu jestem, nie ściągając na siebie gniewu strażników? Rozmowa była zabroniona, mój sąsiad zasłużył sobie na cios pałką po głowie za to, że poprosił siedzącego obok o podanie solniczki. Licząc się z karą, jaka zostanie mi wymierzona, poderwałem się z miejsca i krzyknąłem: „Keira”. Zaraz potem usiadłem.

Od tej chwili ucichł szcęk sztućców, nikt nie śmiał głośniej przeżuwać. Strażnicy rozglądali się po sali, nie ruszając się z miejsc. Żadnemu nie udało się zlokalizować zuchwalca, który ośmielił się złamać regulamin. Ta głucha cisza trwała przez kilka minut, aż nagle usłyszałem znajomy głos i swoje imię.

Wszyscy więźniowie zwrócili głowy w stronę kobiet, wszystkie więźniarki patrzyły na więźniów, tak samo zareagowali strażnicy i strażniczki. Obie strony wielkiej sali obserwowały się.

Wstałem i podszedłem w stronę kraty, ty zrobiłaś to samo. Szliśmy między stolikami, zbliżając się do siebie, a wokół panowała niezmacona cisza.

Strażnicy byli tak zaskoczeni, że żaden nawet nie drgnął.

Więźniowie krzyczeli chórem „Keira”, więźniarki odpowiadały „Adrian”.

Byłaś już ledwie o kilka metrów ode mnie. Miałaś bladą, zmęczoną twarz, płakałaś tak jak ja. Podeszliśmy do kraty, silni mocą tej jakże wyczekiwanej chwili, i żadne z nas nie myślało

o pałkach, których razy na nas spadną. Nasze ręce splotły się przez kraty, palce się złączyły, przywarłem twarzą do metalu, twoje usta dotknęły moich. Powiedziałem „kocham cię” w stołówce chińskiego więzienia, a ty wyszeptawszy, że też mnie kochasz. A potem zapytałaś, co robię w tym więzieniu. Przyjechałem cię uwolnić. „Siedząc za kratami?”, zdziwiłaś się. Miałaś rację – uległem emocjom i nie pomyślałem o tym szczególe... I nie miałem czasu na refleksję, bo uderzony w nogi zgiąłem kolana, a po ciosie w plecy padłem na ziemię. Wywleczono mnie z sali, a ja słyszałem, jak krzyczysz moje imię. Strażnicy ciągnęli mnie, a ja wykrzykiwałem twoje. *Hydra*

Walter przeprosił Elenę, ale okoliczności były wyjątkowe – nigdy nie zostawiłby włączonego telefonu, gdyby nie czekał na nowiny z Chin. Elena poprosiła, żeby odebrał połączenie. Walter wstał od stolika i odszedł w stronę portu. Ivory pytał, czy coś już wiadomo.

– Nie, profesorze, nic. Samolot wylądował w Pekinie, to już coś. Jeżeli moje obliczenia są dokładne, do tej pory zdążył spotkać się z sędzią i przypuszczam, że teraz jest w drodze do więzienia, może nawet są już razem. Dajmy im obojgu nacieszyć się sobą w spokoju, na który tak bardzo zasłużyli. Wyobraża pan sobie, jacy są szczęśliwi, będąc nareszcie razem? Obiecuję zadzwonić, kiedy tylko się do mnie odezwie.

Walter rozłączył się i wrócił do stolika.

– Niestety – powiedział do Eleny – to tylko kolega z Akademii, potrzebował pewnych informacji.

I wrócili do przerwanej rozmowy, jedząc zamówiony przez Elenę deser.

Więzenie w Gartar

Beztróskim zachowaniem przy kolacji zaskarbiłem sobie sympatię współwięźniów. Kiedy wracałem do celi, prowadzony przez dwóch strażników, przechodzący obok mężczyźni przyjaźnie klepali mnie po plecach. Sąsiad z celi poczęstował mnie papierosem, który musiał tu być cennym podarunkiem. Chętnie zapaliłem, ale po świeżo przeżytym zapaleniu płuc natychmiast dostałem ataku kaszlu, co serdecznie rozbawiło mojego nowego kumpla.

Drewniana deska, czyli moje tutejsze łóżko, była przykryta warstwą słomy cienką jak koc, toteż kiedy się położyłem, ból obitych pałkami pleców stał się nieznośny. Tylko potworne zmęczenie sprawiło, że zdołałem szybko zasnąć. Widziałem Keirę i teraz przez całą tę okropną noc miałem jej twarz przed oczami.

Rano obudził nas gong słyszalny w całym więzieniu. Mój towarzysz zszedł z pryczy. Włożył skarpetki i spodnie, które wisały na poręczy łóżka.

Strażnik otworzył drzwi celi, mój sąsiad wziął miskę i wyszedł na korytarz. Strażnik nakazał mi siedzieć spokojnie. Domyśliłem się, że po wczorajszym wybryku postanowiono nie wypuszczać mnie do stołówki, i zmartwiłem się, bo przecież odliczałem godziny do chwili, gdy znowu zobaczę tam Keirę. Musiałem czekać.

Przez cały ranek z obawą myślałem o karze, jaka ją spotkała. Była już taka blada... Teraz ja, ateista, padłem na kolana, żeby błagać dobrego Boga o uwolnienie Keiry z więzienia. Modliłem się jak dziecko.

Usłyszałem z dziedzińca głosy więźniów. Prawdopodobnie nadeszła pora spaceru. Pozbawiono mnie tego przywileju. Siedziałem w celi, coraz bardziej niepokojąc się o Keirę. Wszedłem na parapet, żeby wyrzeć przez okienko, bo miałem nadzieję, że ją zobaczę. Więźniowie szli w szeregach w stronę polanki. Wspiąłem się na palce, poślizgnąłem i spadłem z taboretu. Zanim zdołałem się podnieść, na dziedzińcu nikogo już nie było.

Słońce stało wysoko, musiało być południe. Nie mogli przecież pozwolić, żebym skonał z głodu tylko po to, aby nauczyć mnie dyscypliny. Nie liczyłem na pomoc tłumacza w wyciągnięciu mnie stąd. Pomyślałem raczej, że Jeanne, do której dzwoniłem przed wylotem z Aten, obiecując poinformować ją o rozwoju sytuacji, zaniepokoi się i zacznie działać. Może domyśli się, że spotkało mnie coś złego, może powiadomi ambasadę w ciągu kilku najbliższych dni.

Bliski załamania wsłuchałem się w kroki na korytarzu. W drzwiach pojawił się strażnik i dał znak, żebym za nim poszedł. Minęliśmy szereg cel, metalowymi schodami zeszliśmy na dół i udaliśmy się do biura, w którym wczoraj skonfiskowano moje rzeczy. Teraz zostały mi zwrócone. Kazano mi podpisać jakiś formularz i nie wyjaśniając, o co chodzi, wypchnięto na dziedzińiec. Po kilku minutach brama zakładu karnego otworzyła się na krótką chwilę – byłem wolny. Na parkingu dla gości czekał samochód, z którego wysiadł mój tłumacz.

Podziękowałem mu za uwolnienie i przeprosiłem, że wątpiłem w szczerosc jego obietnic.

– Nie musiałem się wysilać – powiedział. – Kiedy zabrali pana policjanci, sędzia wyszedł z gabinetu i poprosił, żebym przyjechał tu po pana w południe. Prosił też, żebym panu powtórzył, że ma nadzieję, iż noc w więzieniu nauczy pana grzeczności. Ja tylko tłumaczę.

– A co z Keirą? – zapytałem.

– Proszę się odwrócić – odparł spokojnie.

Zobaczyłem, że brama znów się otwiera, tym razem przed tobą. Niosłaś na ramieniu tobolek, rzuciłaś go na ziemię i podbiegłaś do mnie.

Nigdy nie zapomnę chwili, gdy padliśmy sobie w ramiona przed więzieniem w Gartar. Tuliłem cię tak mocno, że prawie się dusiłaś, a jednak śmiałaś się i wirowaliśmy upojeni szczęściem. Tłumacz na próżno pokastywał, chrząkał, prosił, przywołując nas do porządku – nic nie byłoby w stanie nas od siebie oderwać.

Pomiędzy pocałunkami błagałem, żebyś mi wybaczyła, żebyś mi darowała, że wciągnąłem cię w tę szaleńczą przygodę. Zamknęłaś mi usta dłonią.

– Przyjechałaś, przyjechałaś, żeby mnie stąd zabrać – szeptałaś.

– Przecież obiecałem, że odwiozę cię do Addis Abeby, pamiętasz?

– Sama wymogłam na tobie tę obietnicę i strasznie się cieszę, że jej dotrzymałaś.

– Jak ci się udało przetrwać to wszystko?

– Nie wiem, czas potwornie mi się dłużył, naprawdę potwornie, ale wykorzystawałam go, żeby wszystko przemyśleć. W końcu nie miałam nic innego do roboty... Jednakże nie zawieszysz mnie szybko do Etiopii, bo chyba wiem, gdzie znaleźć kolejny fragment. Nie ma go w Afryce.

Wsiedliśmy do samochodu tłumacza i pojechaliśmy do Chengdu, skąd wszyscy troje poleciliśmy do Pekinu.

Tam zagroziłaś naszemu tłumaczowi, że nie wyjedziesz z Chin, jeśli przedtem nie zabierze nas do hotelu, żebyś mogła wziąć porządny prysznic. Popatrzył na zegarek i dał nam godzinę wyłącznie dla nas.

Pokój 409. Nie zwróciłem uwagi na widok z okna. Już ci mówiłem, że człowiek szczęśliwy jest roztargniony. Gdy siedziałem przy tym małym biurku, roztaczała się przede mną panorama Pekinu, ale to mnie nie obchodziło – nie chciałem patrzeć na nic poza łóżkiem, w którym odpoczywałaś. Od czasu do czasu otwierałaś oczy, przeciągałaś się i mówiłaś, że dopiero teraz rozumiałaś, jak dobrze jest wylegiwać się w czystej pościeli. Tuliłaś się do poduszki, ciskałaś nią we mnie, a ja znów cię pożądałem.

Tłumacz musiał być wściekły, bo byliśmy już w pokoju znacznie ponad godzinę. Wstałaś, a ja patrzyłem, jak idziesz do łazienki, więc nazwałaś mnie podglądaczem, ale nawet nie próbowałem się tłumaczyć. Zauważyłem blizny na twoich plecach i na nogach. Odwróciłaś się i wyczytałem z twoich oczu, że nie chciałaś o tym mówić, nie w tamtej chwili. Słyszałem szum wody, kiedy brałaś prysznic, i ten znajomy dźwięk przywrócił mi siły, a tobie nie pozwalał usłyszeć kaszlu, który nękał mnie jak zhora. Pewne rzeczy nie będą już takie jak przedtem, Chiny odebrały mi obojętność, która dodawała otuchy. Boję się być sam w tym pokoju, nawet przez kilka minut, nawet oddzielony od ciebie tylko cienką ścianką, ale nie boję się już przyznać do tego przed sobą, nie boję się do ciebie iść i nie boję się opowiedzieć ci o tym.

Na lotnisku spełniłem inną obietnicę – kiedy tylko otrzymaliśmy karty pokładowe, zaprowadziłem cię do kabiny telefonicznej i zadzwoniliśmy do Jeanne.

Nie wiem, która z was zaczęła, ale nagle, na środku ogromnej hali lotniska, rozplakałaś się. A właściwie śmiałaś się i płakałaś na przemian.

Czas płynął, musieliśmy iść. Powiedziałaś Jeanne, że ją kochasz i że zadzwonisz zaraz po przylocie do Aten.

Kiedy odłożyłaś słuchawkę, znów wybuchnęłaś płaczem i nie mogłem cię utulić.

Nasz tłumacz był chyba bardziej zmęczony niż my. Przeszliśmy kontrolę paszportową i zauważyłem, że wtedy nareszcie mu ulżyło. Musiał być szczęśliwy, że wreszcie się nas pozbył, i pewnie dlatego z uporem machał nam zza szyby.

Gdy wsiedliśmy do samolotu, było już ciemno. Oparłaś głowę o okienko i zasnęłaś jeszcze przed startem.

Podchodząc do lądowania w Atenach, samolot wpadł w obszar turbulencji. Wzięłaś mnie za rękę i ścisłaś tak mocno, jakbyś bała się chwili zetknięcia z ziemią. Wtedy, chcąc cię czymś zająć, wyjąłem znaleziony na wyspie Narcondam fragment naszego „skarbu”.

- Wspomniałaś, że domyślasz się, gdzie są pozostałe części.
- Czy samoloty są naprawdę tak zbudowane, żeby wytrzymać takie wstrząsy?
- Nie masz się czego bać. Co z tym fragmentem?

Wolną ręką – bo drugą coraz silniej ścisłaś moją dłoń – wyjęłaś wisior. Wahaliśmy się, czy przysunąć obie części do siebie, i wycofaliśmy się w ostatniej chwili zniechęceni przez dziurę powietrzną.

- Opowiem ci o wszystkim, kiedy będziemy na ziemi – jęknęłaś.
- Daj mi przynajmniej jakąś wskazówkę!
- Daleka Północ, gdzieś między Morzem Baffina a Morzem Beauforta. To parę tysięcy kilometrów do zbadania. Wszystko ci wyjaśnię, ale najpierw chcę poznać twoją wyspę.

Hydra

W Atenach wsiedliśmy do taksówki, a po dwóch godzinach płynęliśmy promem na Hydrę. Siedziałaś w kabinie, ja poszedłem na tylną burtę.

- Tylko mi nie mów, że cierpisz na chorobę morską...
- Po prostu lubię świeże powietrze na morzu.
- Drzysz, ale chcesz stać na wietrze? Przyznaj się, to choroba morska, dlaczego nie chcesz powiedzieć prawdy?
- Bo dla Greka nie być żeglarzem to niemal grzech. I nie rozumiem, co cię w tym śmieszy!
- Znam kogoś, kto nie tak dawno kpił ze mnie, bo cierpię na lęk przestrzeni...
- Wcale nie kpiłem – odpowiedziałem, opierając się o balustradę.
- Jesteś szarozielony i trzęsiesz się jak galareta. Wejźmy do środka, bo naprawdę się rozchorujesz.

Po kolejnym ataku kaszlu pozwoliłem ci zaciągnąć się do kabiny. Czułem, że znowu mam gorączkę, wołałem jednak o tym nie myśleć, żeby nie mącić szczęścia, jakim był dla mnie pobyt z tobą na Hydrze.

Czekałem, aż dopłyniemy do Pireusu, i dopiero stamtąd zadzwoniłem do matki, żeby uprzedzić ją o naszym przyjeździe.

Kiedy wpływalismy do portu, wyobrażałem sobie, jak nas powitają. Modliłem się, żeby matka nie urządziła dla nas przyjęcia, bo padalismy z nóg i marzyliśmy wyłącznie o wygodnym łóżku i długim, niezmaconym śnie.



Mama czekała w domu. Po raz pierwszy w życiu widziałem ją onieśmiałoną. Stwierdziła, że oboje wyglądamy fatalnie. Przygotowała lekki posiłek i podała go na tarasie. Ciotka Elena została u siebie, abyśmy mogli spędzić ten wieczór tylko we troje. Przy stole matka zasypywała cię pytaniami i na próżno gromiłem ją wzrokiem – nie dawała ci spokoju. Dałaś się wciągnąć w jej grę, chętnie odpowiadałaś na wszystkie zapytania. Mój atak kaszlu przyspieszył zakończenie wieczoru. Mama zaprowadziła nas do mojego pokoju. Pościel pachniała lawendą, a do snu kołysał nas szum morza i fale rytmicznie rozbijające się o skały.

Obudziłaś się wczesnym rankiem i wyszłaś na palcach. Pobyt w więzieniu odzwyczaił cię od wylegiwania się w łóżku. Słyszałem wprawdzie, jak zamykasz za sobą drzwi, ale czułem się zbyt słaby, żeby iść w twoje ślady. Rozmawiałaś w kuchni z matką, miałem wrażenie, że się polubiłyście. Szybko zasnąłem.

Później dowiedziałem się, że Walter przed południem przyplłynął na Hydrę. Elena zadzwoniła do niego poprzedniego dnia wieczorem, mówiąc o naszym przyjeździe, więc natychmiast przyleciał do Grecji. Kiedyś wyznał mi nawet, że te ciągłe podróże z Londynu na Hydrę dość mocno nadszarpnęły jego oszczędności.

Wczesnym popołudniem Walter, Elena, Keira i mama weszli do mojego pokoju. Ich twarze wyrażały niepokój, bo ujrzeli mnie leżącego w łóżku, rozpalonego. Matka położyła mi na czole kompres nasączony olejkiem eukaliptusowym, ale jej stary lek nie zdołał pokonać trawiącej mnie gorączki. Kilka godzin potem odwiedziła mnie kobieta, której nie spodziewałem się już nigdy zobaczyć, ale przecież Walter zwykł wszystko notować, więc numer telefonu lekarki, która była naszym pilotem, także znalazł się na kartkach jego czarnego notesu. Doktor Sophie Schwartz przysiadła na brzegu łóżka i ujęła mnie za rękę.

– Niestety, tym razem nie gra pan komedii, ma pan potworną gorączkę, biedaku.

Ośluchała mnie i błyskawicznie zdiagnozowała nawrót zapalenia płuc, o którym wspomniała jej moja matka. Uważała, że powinienem natychmiast zostać przewieziony do Aten, ale pogoda na to nie pozwalała – nadciągała burza, szalał sztorm, a jej mały samolot nie mógł wystartować w takich warunkach. Zresztą nie byłbym w stanie odbyć podróży.

– Na wojnie jak na wojnie – powiedziała do Keiry. – Musimy sobie radzić tak, jak możemy.

Sztorm trwał trzy dni. Przez siedemdziesiąt dwie godziny nad wyspą wiał meltemi. Potężny wicher nad Cykladami gwałcił drzewa, uderzał w ściany domów, zrzucał dachówki. Z pokoju słyszałem, jak fale rozbijają się o skały.

Mama przeniosła Keirę do pokoju gościnnego, kiedy jednak gasły światła, Keira przychodziła do mnie i kładła się na łóżku. W rzadkich chwilach, jakie pozostawiała sobie na odpoczynek, czuwała nade mną pani doktor. Walter przełamywał strach i wjeżdżał na wzgórze na osle, żeby dwa razy dziennie mnie odwiedzać. Widziałem, jak przemoczony do suchej nitki wchodzi do pokoju. Siadał na krześle i mówił mi, jak błogosławi tę burzę. Pensjonat, w którym zwykł się zatrzymywać, utracił część dachu i Elena zaoferowała mu gościnę u siebie. Byłem wściekły, że zepsułem pierwsze dni pobytu Keiry na wyspie, ale obecność przyjaciół i rodziny uswiadomiła

mi, że samotność na płaskowyżu Atakama należała dziś do przeszłości.

Czwartego dnia meltemi się uspokoił, a wraz z nim odeszła gorączka.

Amsterdam

Vackeers ponownie czytał list, gdy ktoś zapukał do drzwi. Nie spodziewał się nikogo, więc niemal odruchowo odsunął szufladę biurka i włożył do niej list. Do pokoju wszedł Ivory, którego mina nie wróżyła niczego dobrego.

– Gdybyś mnie uprzedził, że jesteś w Amsterdamie, wysłałbym na lotnisko samochód.

– Przyjechałem pociągiem, miałem zaległą lekturę.

– Kazałbym też przygotować coś na kolację – dodał Vackeers, dyskretnie wsuwając szufladę.

– Widzę, że jak zwykle tryskasz radością – mruknął Ivory.

– Niewiele osób odwiedza mnie w pałacu, zwłaszcza bez uprzedzenia. Chodźmy na kolację, potem zagramy.

– Tym razem nie przyjechałem, żeby stoczyć z tobą pojedynek na szachownicy, ale żeby porozmawiać.

– Cóż za powaga! Przyjacielu, wydaje mi się, że coś cię martwi.

– Wybacz, że przyjechałem, nie umawiając się z tobą, ale miałem powody, żeby tak postąpić, a chciałem coś z tobą omówić.

– W restauracji, niedaleko stąd, jest taki dyskretny stolik. Zapraszam cię tam. Pogadamy po drodze.

Vackeers włożył płaszcz. Przeszli przez główną salę pałacu królewskiego przy placu Dam. Mijając ogromną planisferę na marmurowej posadzce, Ivory przystanął, by zerknąć na rozpościerającą się u jego stóp mapę świata.

– Poszukiwania będą kontynuowane – oznajmił przyjacielowi.

– Tylko mi nie mów, że cię to zaskoczyło, bo mam wrażenie, że zrobiłeś wszystko, żeby do tego doprowadzić.

– I mam nadzieję, że nie będę żałował.

– Skąd ten posępny ton? Nie poznaję cię, zawsze się cieszyłeś, mogąc zburzyć ustalony ład. Teraz wywołasz niezły zamęt, powinieneś być w siódmym niebie... Zastanawiam się zresztą, co tobą powoduje: czy chcesz poznać prawdę o początku świata, czy może zemścić się na pewnych ludziach, którzy kiedyś cię zranili?

– Przypuszczam, że początkowo chodziło mi o jedno i o drugie, ale teraz wciągnąłem w tę sprawę innych ludzi, i to oni narażali życie, a co gorsza, wciąż je narażają.

– I to cię przeraża? To znaczy, że piekielnie się ostatnio postarzałeś.

– Nie jestem przerażony, ale mam poważny dylemat.

– Nie myśl, że ten wspaniały hol mi się nie podoba, ale uważam, że nasze głosy są tu zbyt dobrze słyszalne, żeby prowadzić takie rozmowy. Jeżeli pozwolisz, wyjdziemy.

Vackeers ruszył ku zachodniej ścianie sali, gdzie znajdowały się ukryte w kamiennym murze drzwi, i zszedł po schodach do podziemi pałacu. Prowadził Ivory'ego drewnianą galerią wzdłuż kanału. Ze względu na panującą tam wilgoć, podłogę bywało śliskie.

– Idź ostrożnie, wolałbym, żebyś nie wpadł do tej brudnej, zimnej wody. Poprowadzę cię, a

ty patrz pod nogi – powiedział Vackeers, włączając latarkę.

Minęli przejście, którego Vackeers używał czasami, aby wejść do sali informatycznej. Nie zatrzymując się, poszli dalej.

– Już blisko – poinformował Ivory'ego. – Jeszcze parę kroków i będziemy na podwórku. Nie wiem, czy ktoś widział, jak wchodzisz do pałacu, ale ręczę, że nikt nie zobaczy, jak z niego wychodzisz.

– Nigdy nie oswoję się z tym dziwnym labiryntem.

– Mogliśmy iść drogą do Nowego Kościoła, ale tam panuje jeszcze większa wilgoć, przemoczylibyśmy nogi.

Vackeers pchnął drzwi. Pokonali kilka schodków w górę i znaleźli się na powietrzu. Owiął ich zimny wiatr, więc Ivory postawił kołnierz płaszcza. Przyjaciele powędrowali Hoogstraat – ulicą, która biegnie wzdłuż kanału.

– A teraz powiedz mi, co cię tak niepokoi? – podjął Vackeers.

– Moja dwójka podopiecznych jest znowu razem.

– To chyba dobra nowina. Po tym brutalnym ciosie, jaki zadaliśmy sir Ashtonowi, powinniśmy raczej cieszyć się ich radością, niż robić posępne miny.

– Nie wierzę, żeby Ashton tak łatwo się poddał.

– Uważam, że nieco przesadziłeś, atakując go w jego własnym domu, a przecież sugerowałem, że lepiej byłoby załatwić to dyskretniej.

– Nie mieliśmy czasu, nasza pani archeolog musiała jak najszybciej odzyskać wolność. Wystarczająco długo siedziała za kratami.

– Więzienie miało swoją dobrą stronę: skutecznie chroniło ją przed Ashtonem, a dzięki temu chroniło także tego astrofizyka.

– Ten szaleniec dopadł i jego.

– Możesz to udowodnić?

– Jestem pewien, że kazał go otruć! Widziałem ogromną ilość belladony w alejkach ogrodu Ashtona. Owoce tej rośliny wywołują ciężkie choroby płuc.

– Jestem pewien, że belladona rośnie u wielu ludzi, co nie oznacza, że wszyscy są maniakkalnymi trucicielami.

– Vackeers, obaj dobrze wiemy, do czego zdolny jest ten człowiek. Być może działałem zuchwale i ostro, jednakże nie bez powodu, bo naprawdę myślałem...

– Myślałeś, że najwyższy czas podjąć poszukiwania! Posłuchaj, Ivory! Rozumiem twoją determinację, ale podjęcie tych prac wiąże się z zagrożeniem. Jeżeli twoi podopieczni zaczną szukać kolejnego fragmentu, będę zmuszony powiadomić o tym innych. Nie mogę bez końca narażać się na oskarżenie o zdradę.

– W tej chwili Adrian przechodzi ciężkie komplikacje po zapaleniu płuc i razem z Keirą przebywa w Grecji.

– W takim razie mam nadzieję, że zdecydują się odpoczywać tam bardzo długo.

Ivory i Vackeers skręcili na most nad kanałem. Ivory przystanął i oparł się o balustradę.

– Lubię to miejsce – westchnął Vackeers. – Uważam, że to najpiękniejszy zakątek Amsterdamu. Popatrz tylko na te widoki.

– Vackeers, potrzebuję twojej pomocy. Wiem, że jesteś wierny, i nie zamierzam prosić, żebyś zdradzał grupę, ale jak bywało w przeszłości, prędzej czy później zaczną tworzyć się

przymierza. Sir Ashton obliczy wówczas, ilu ma wrogów...

– Ty też będziesz ich liczył. A ponieważ nie zasiadasz już z innymi, chciałbyś, żebym był twoim rzecznikiem i zapewnił ci jak największe poparcie. Tego ode mnie oczekujesz?

– Owszem, ale nie tylko – westchnął Ivory.

– Czego jeszcze? – zdziwił się Vackeers.

– Potrzebny mi dostęp do środków, którymi już nie dysponuję.

– Jakiego rodzaju środki masz na myśli?

– Twój komputer, żeby dostać się do serwera.

– Nie, nie mogę się na to zgodzić. Natychmiast nas wykryją i będę spalony.

– Nie wykryją, pod warunkiem że zgodzisz się przyłączyć do terminalu pewien drobiazg.

– Jaki drobiazg?

– Urządzenie, które umożliwi połączenie dyskretne i niewykrywalne.

– Nie doceniasz grupy. Pracujący w niej młodzi informatycy należą do najlepszych, są wśród nich także świetni hakerzy.

– Obaj gramy w szachy lepiej od całej tej młodzieży, zaufaj mi – powiedział Ivory, podając Vackeersowi małą skrzynkę.

Vackeers spojrział na nią ze swoistym obrzydzeniem.

– Chcesz mnie mieć na podsłuchu?

– Chcę tylko wykorzystać twój kod, żeby dostać się do sieci. Zapewniam cię, że niczego nie ryzykujesz.

– Jeżeli padnie na mnie podejrzenie, to mogę zostać aresztowany i postawiony przed sądem.

– Vackeers, mogę na ciebie liczyć czy nie?

– Zastanowię się nad tym, co mi proponujesz, i odpowiem, kiedy podejmę decyzję. Przez twoje pomysły odechciało mi się jeść.

– Właściwie ja też nie byłem głodny – odparł Ivory.

– Czy to wszystko jest rzeczywiście warte takiego wysiłku? Potrafisz przynajmniej powiedzieć, jakie są ich szanse na sukces? – spytał Vackeers, ciężko wzdychając.

– Zdani wyłącznie na siebie nie mają cienia szansy, jeżeli jednak przekazemy im informacje, które zgromadziłem w ciągu trzydziestu lat pracy, nie można wykluczyć, że odnajdą brakujące fragmenty.

– Może jeszcze powiesz, że domyślasz się, gdzie ich szukać?

– Jeszcze niedawno wątpiłeś w ich istnienie, a dziś zastanawiasz się już tylko, gdzie mogą być ukryte.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Wręcz przeciwnie.

– To gdzie one są?

– Pierwszy odnaleziono w centrum, drugi na południu, trzeci na wschodzie. Sam zgadnij, gdzie mogą być dwa pozostałe. Rozważ moją prośbę, Vackeers, wiem, że to nie błahostka i że taka decyzja wiele cię kosztuje, ale przecież powiedziałem: jesteś mi potrzebny.

Ivory pożegnał się z przyjacielem i odszedł. Vackeers pobiegł za nim.

– A co z naszą partią szachów? Chyba nie zamierzasz tak odejść?

– A masz coś na skromną domową kolację?

– Powinno się znaleźć trochę sera i kilka tostów.

– Jeżeli postawisz kieliszek dobrego wina, nie będę narzekał, ale przygotuj się na przegraną, jesteś mi winien rewanż!

Ateny

Siedzieliśmy z Keirą na tarasie. Dzięki troskliwej opiece pani doktor odzyskiwałem siły, a ostatniej nocy nie obudził mnie już atak kaszlu. Nabierałem też kolorów, co w pewnej mierze uspokoiło obawy matki. Moja lekarka wykorzystała przymusowy pobyt w naszym domu, żeby przebadać także Keirę, i zapisała jej rozmaite zioła oraz witaminy. Więzienie pozostawiło po sobie pewne ślady.

Morze było spokojne, wiatr ucichł i mały samolot pani doktor mógł dziś wystartować. Spotkaliśmy się przy stole nakrytym do śniadania tak, jakby mama zamierzała ugościć swymi najlepszymi daniami królową. Trudno się temu dziwić, bo przez okres mojej choroby mama i pani doktor spędziły razem wiele godzin, opowiadając sobie o różnych rzeczach, wspominając, przesiadując i w kuchni, i w salonie. Mamę zafascynowały przygody latającej lekarki, która przenosiła się z wyspy na wyspę, by pomagać chorym. Przed wyjazdem pani doktor kazała mi obiecać, że przynajmniej kilka dni poświęcę na rekonwalescencję, a dopiero potem zacznę myśleć o jakimkolwiek działaniu. Na prośbę matki, która obawiała się, że zlekceważę poradę, powtórzyła to dwukrotnie. Potem obie panie powędrowały do portu, a my wreszcie choć na chwilę zostaliśmy sami.

Po ich wyjściu Keira usiadła przy mnie.

– Hydra to urocza wyspa, Adrianie, a twoja mama jest wspaniałą kobietą. Bardzo tu wszystkim polubiłam, ale...

– Ja też już nie mogę – wpadłem jej w słowo. – Marzę, żeby stąd z tobą uciec. Czy to cię pociesza?

– Owszem! – westchnęła Keira.

– Udało nam się wyrwać z chińskiego więzienia, więc myślę, że stąd wyjedziemy bez większych problemów.

Keira zapatrzyła się w morze.

– Co się stało?

– Dziś śnił mi się Harry.

– Chcesz tam wrócić?

– Chcę go zobaczyć. Śnił mi się nie po raz pierwszy, w więzieniu w Gatar często przychodził do mnie w nocy.

– Jeżeli chcesz, to pojedziemy do doliny Omo, tak jak ci to obiecałem. Wrócę tam z tobą.

– Nie wiem nawet, czy na moje miejsce już kogoś przysłano, a poza tym musimy podjąć nasze poszukiwania.

– Już zbyt dużo nas kosztowały, nie możesz znowu się narażać.

– Nie chciałabym się chwalić, ale wróciłam z Chin w lepszym stanie niż ty. Poza tym wydaje mi się, że decyzja o podjęciu lub zarzuceniu poszukiwań należy do nas obojga.

– Moją opinię już znasz.

– Gdzie masz swój fragment układanki?

Wstałem i poszedłem do swojego pokoju, aby wyjąć go z szuflady szafki nocnej, gdzie leżał od mojego przyjazdu do domu. Kiedy wróciłem na taras, Keira zdjęła wisior i położyła go na stole. Połączyła oba kawałki, a wtedy powtórzyło się zjawisko, którego świadkami byliśmy na wyspie Narcondam.

Tajemnicze kamienie zmieniły barwę na lazurową i rozbłysły intensywnym blaskiem.

– Chcesz, żebyśmy na tym poprzestali? – zapytała Keira, wpatrując się w błyszczące coraz słabiej przedmioty. – Jeżeli wrócę do doliny Omo, nie rozwiązując tej tajemnicy, nie będę już w stanie wykonywać mojej pracy jak należy. Całymi dniami będę się zastanawiała, co ujawniłby nam ten obiekt, gdybyśmy połączyli wszystkie jego fragmenty. A skoro już mówisz o obietnicach, złożyłeś mi jeszcze jedną, że zyskam setki tysięcy lat dla moich badań naukowych. Jeżeli ci się wydaje, że zapomniałam o tej propozycji, to jesteś w błędzie!

– Pamiętam, co ci obiecałem, Keiro, ale to było, zanim na naszych oczach zamordowano kapłana, zanim niewiele brakowało, byśmy spadli w przepaść, zanim runęliśmy ze stromego brzegu do rzeki, zanim trafiłaś do chińskiego więzienia. Poza tym powiedz mi, czy mamy choćby pomysł na to, gdzie prowadzić poszukiwania?

– Już ci mówiłam: na dalekiej północy. Dokładnie jeszcze nie wiem, ale to już jakiś trop.

– Dlaczego właśnie tam?

– Ponieważ myślę, że to podpowiada nam tekst spisany w języku gyyz. Zastanawiałam się nad tym bez końca, siedząc w więzieniu. Musimy jechać do Londynu, żebym mogła popracować w bibliotece Akademii, muszę mieć dostęp do wielu prac, poza tym chcę omówić coś z Maksem, mam do niego kilka pytań.

– Zamierzasz jechać na spotkanie z tym twoim drukarzem?

– Nie rób takiej miny, to śmieszne. Poza tym wcale nie powiedziałam, że chcę się z nim zobaczyć. Wspomniałam tylko, że chcę porozmawiać. Pracował nad transkrypcją manuskryptu, jeżeli coś w nim odkrył, choćby drobiazg, warto wykorzystać jego wiedzę. Muszę jeszcze coś z nim zweryfikować.

– W takim razie wracajmy, Londyn to dobra wymówka, żeby opuścić Hydrę.

– Najpierw wpadniemy do Paryża.

– To jednak chcesz się zobaczyć z Maksem?

– Raczej z Jeanne! I chcę odwiedzić Ivory'ego.

– Wydawało mi się, że profesor zrezygnował z pracy w muzeum i wyjechał w podróż.

– Ja też wyjechałam w podróż, a sam widzisz, że wróciłam. Kto wie, może i on jest już w domu?

Keira poszła spakować rzeczy, a ja postanowiłem przygotować matkę na wiadomość o naszym wyjeździe. Informacja ta bardzo zasmuciła Waltera, który wykorzystał już urlop nie tylko na ten, ale i na przyszły rok, a miał nadzieję, że spędzi na Hydrze jeszcze najbliższy weekend. Zaproponowałem, żeby nie zmieniał swoich planów, bo możemy spotkać się za tydzień w Akademii, gdzie i ja zamierzałem się pojawić. Tym razem nie chciałem już pozwolić Keirze na samodzielną pracę, zwłaszcza że oznajmiła mi, iż pragnie najpierw jechać do Paryża. Kupiłem więc dwa bilety do Francji.

Amsterdam

Ivory zasnął na kanapie w salonie. Vackeers okrył go pledem i poszedł do sypialni. Przez dużą część nocy próbował uporządkować myśli, które spędzały mu sen z powiek. Stary przyjaciel prosił go o pomoc, ale ceną za to wsparcie mogła być całkowita kompromitacja. To były już ostatnie miesiące jego kariery zawodowej, więc myśl o tym, że miałby się dać przyłapać na zdradzie, była wyjątkowo przykra. Wstał wcześniej rano i przygotował sobie śniadanie. Gwizdek czajnika obudził Ivory'ego.

– To była krótka noc, prawda? – rzucił, siadając przy kuchennym stole.

– Delikatnie rzecz ujmując, ale dla takiej rozgrywki warto było zrezygnować z paru godzin snu. – Vackeers się uśmiechnął.

– Nawet nie wiem, kiedy zasnąłem, nigdy wcześniej mi się to nie zdarzało, przepraszam, że zrobiłem ci kłopot.

– To drobiazg, mam tylko nadzieję, że po nocy na starym chesterfieldzie możesz jakoś rozprostować kości.

– Przypuszczam, że jestem trochę starszy od twojej kanapy – zaśmiał się Ivory.

– Schlebiasz sobie, odziedziczyłem ją po ojcu – wyjaśnił Vackeers.

Zapadła cisza. Ivory wpatrywał się w Vackeersa, pijąc herbatę i jedząc grzanki.

– I tak nadużyłem już twojej gościnności – powiedział, wstając. – Nie chcę ci przeszkadzać w szykowaniu się do wyjścia. Muszę wrócić do hotelu.

Vackeers nie odpowiedział, patrząc, jak Ivory kieruje się do przedpokoju.

– Dziękuję za przemiły wieczór, przyjacielu – podjął, sięgając po płaszcz. – Wyglądamy dziś fatalnie, ale muszę przyznać, że już dawno nie grało się nam tak dobrze.

Zapiął płaszcz i wsunął ręce do kieszeni. Vackeers wciąż milczał.

Ivory wzruszył ramionami i odsunął zasuwkę. Dopiero wtedy zauważył kartkę leżącą w widocznym miejscu, na małym stoliku przy drzwiach. Vackeers nie spuszczał go z oka. Ivory zawahał się, sięgnął po kartkę i zobaczył szereg cyfr i liter. Vackeers wciąż go obserwował, siedząc na krześle w kuchni.

– Dziękuję – szepnął Ivory.

– Za co? – burknął Vackeers. – Chyba nie zamierzasz mi dziękować za to, że wykorzystałeś moją gościnność, żeby przetrząsnąć moje szuflady i wykraść kod dostępu do komputera.

– Nie, faktycznie, zabrakłoby mi tupetu.

– Uspokoileś mnie.

Ivory zamknął za sobą drzwi. Miał niewiele czasu – zaledwie tyle, żeby wpaść po rzeczy do hotelu i wsiąść do pociągu. Na ulicy zatrzymał taksówkę.

Vackeers krążył po mieszkaniu, chodząc między przedpokojem a salonem. Postawił filiżankę na stoliku i podszedł do telefonu.

– Mówi Amsterdam – powiedział, słysząc głos w słuchawce. – Proszę powiadomić wszystkich, że musimy zorganizować naradę. Dziś wieczorem, godzina dwudziesta, konferencja telefoniczna.

– Dlaczego nie chce pan sam tego załatwić, tak jak zwykle, korzystając z sieci? – zapytał Kair.

– Ponieważ zepsuł mi się komputer.

Vackeers odłożył słuchawkę i poszedł do łazienki.

Paryż

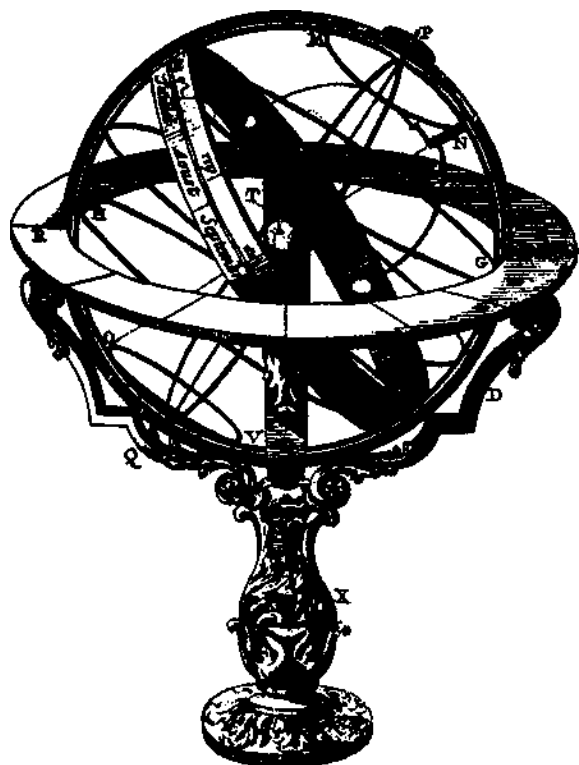
Keira pobiegła do Jeanne, a ja wolałem zostawić je same, by mogły się sobą nacieszyć. Przypomniało mi się, że w dzielnicy Marais jest antykwariat, który sprzedaje najpiękniejsze aparaty optyczne w mieście – raz w roku otrzymywałem pocztą katalog na mój londyński adres. Większość tego sprzętu była dla mnie stanowczo za droga, ale przecież za oglądanie nie trzeba płacić, a musiałem jakoś wypełnić sobie te trzy godziny.

Stary antykwariusz siedział przy biurku, czyszcząc wspaniałe astrolabium. Kiedy wszedłem do sklepu, nie zwrócił na mnie uwagi, ale gdy zatrzymałem się przy sferze armilarnej o niezwyklej konstrukcji, oderwał się od pracy.

– Model, który ma pan przed sobą, młody człowieku, to dzieło Gualterusa Arseniusa albo, jeśli pan woli, Gauthiera Arseniusa. Niektórzy mówią, że nad udoskonaleniem tego cudu pracował z nim brat Regnerus – oświadczył, wstając.

Podszedł do mnie i otworzył gablotę, żeby zaprezentować mi cenny zabytek.

– To jedno z najpiękniejszych dzieł, jakie powstały w szesnastym wieku we flamandzkich pracowniach. Nazwisko Arseniusa nosiło wielu konstruktorów. Zajmowali się nie tylko wyrobem astrolabiów i sfer armilarnych. Gauthier był krewnym



Sfera armilarna

matematyka Gemmy Frisiusa, którego traktat, wydany w Antwerpii w roku tysiąc pięćset pięćdziesiątym trzecim, to jeden z najstarszych wykładów poświęconych zasadom triangulacji, a także metodzie określania położenia geograficznego. Ma pan przed sobą niezwykle rzadki okaz, dlatego i cena jest odpowiednia.

– To znaczy?

– Gdyby to był oryginał, powiedziałbym, że jest bezcenny – podjął antykwariusz, wstawiając astrolabium do gabloty. – Niestety, to tylko kopia wykonana prawdopodobnie pod koniec osiemnastego wieku przez bogatego holenderskiego kupca, który pragnął zaimponować znajomym. Nudzę się. – Antykwariusz westchnął. – Może pozwoli się pan poczęstować filiżanką kawy? Już tak dawno nie miałem przyjemności rozmawiać z astrofizykiem.

– Skąd pan wie, że jestem astrofizykiem? – zapytałem zdumiony.

– Niewielu jest ludzi, którzy tak dobrze potrafią posługiwać się tego typu instrumentami, a na kupca pan nie wygląda, więc nie trzeba być zbyt domyślnym, żeby odgadnąć, czym się pan zajmuje. Jakiego rodzaju przyrządów szuka pan w moim sklepiku? Mam kilka propozycji znacznie bardziej przystępnych cenowo.

– Pewnie pana rozczaruję, ale interesują mnie tylko stare obudowy aparatów fotograficznych.

– To dziwne hobby, ale zawsze można zapoczątkować nową kolekcję. Jeśli pan pozwoli, pokażę panu coś, co będzie dla pana pasjonujące, jestem tego pewien.

Stary antykwariusz podszedł do biblioteki i wydobył z niej grube, oprawione w skórę dzieło. Położył je na biurku, poprawił okulary i z wielką ostrożnością przewracał karty księgi.

– O, proszę – powiedział – niech pan spojrzy na tę rycinę sfery armilarnej, którą wykonano z tak niezwykle starannością. To dzieło Erasmusa Habermela, który wyrabiał przybory matematyczne dla cesarza Rudolfa Drugiego.

Pochyliłem się nad ryciną i oniemiałem, widząc to, co do złudzenia przypominało rysunek, który wraz z Keirą znaleźliśmy pod łapą kamiennego lwa na górze Hua Shan. Usiadłem na krześle, które podsunął mi antykwariusz, i uważniej przyjrzałem się temu zdumiewającemu rysunkowi.

– Widzi pan – powiedział antykwariusz, patrząc mi przez ramię – jak zadziwiająco precyzyjna jest ta praca. W sferach armilarnych zawsze najbardziej fascynowało mnie nie to, że pozwalają ustalić położenie ciała niebieskiego na niebie w danej chwili, ale – dodał – raczej to, czego nam nie pokazują, a co mimo wszystko odgadujemy.

Uniosłem głowę znad cennej księgi i spojrzałem na niego ciekaw, co powie.

– To próżnia i jej przyjaciel czas! – rzekł wesoło. – Jakie to dziwne pojęcie: „próżnia”! Próżnia jest wypełniona tym, co dla nas niewidoczne. A czas płynie i wszystko odmienia, odmienia drogę gwiazd, kołysze kosmos jednostajnym ruchem.

To on ożywia ogromnego pająka życia, który łączy po pajęczynie wszechświata. Irytujący jest wymiar czasu, o którym nic nie wiemy, prawda? Sympatyczny z pana facet, podoba mi się to pana zafascynowanie drobiazgiem. Sprzedam panu tę księgę za tyle, ile sam za nią zapłaciłem.

Antykwariusz pochylił się i szeptem podał mi sumę, jaką chciał uzyskać za to dzieło. Tęskniłem już za Keirą, więc kupiłem księgę.

– Proszę do mnie kiedyś zajrzeć – zachęcał antykwariusz, odprowadzając mnie do drzwi. – Mam jeszcze inne cuda, które chętnie panu pokażę. Zapewniam, że nie zmarnuje pan tu czasu. –

Uśmiechnął się na pożegnanie.

Po moim wyjściu zamknął drzwi na klucz i widziałem przez witrynę, jak znika na zapleczu.

Znalazłem się na ulicy z opasłym tomem pod pachą i zacząłem się zastanawiać, dlaczego właściwie go kupiłem. Komórka rozedrgała mi się w kieszeni. Odebrałem i usłyszałem głos Keiry. Zaproponowała, żebyśmy się spotkali nieco później u Jeanne, która cieszyła się, mogąc przyjąć nas wieczorem, i zaproponowała nocleg. Miałem spać na kanapie w salonie, siostry spędziłyby noc w dużym łóżku w sypialni. I jakby taki plan nie upiększał wystarczająco tego dnia, dodała, że teraz odwiedzi

Maksa. Drukarnia znajdowała się niezbyt daleko od mieszkania Jeanne, właściwie było to bardzo blisko – dziesięć minut piechotą. Dodała, że naprawdę jej zależy, żeby coś z nim omówić, i obiecała zatelefonować, kiedy tylko się z tym uporają.

Z kamiennym spokojem oznajmiłem jej, że z przyjemnością przyjdę na kolację, a potem się rozłączyliśmy.

Na rogu ulicy Lions-Saint-Paul zastanawiałem się, co właściwie mam robić i dokąd iść.

Tak często zdarzało mi się złościć, że muszę wykradać każdą minutę dla siebie, że nigdy nie mam ani odrobiny wolnego czasu, a teraz, późnym popołudniem, idąc bulwarami nad Sekwaną, doznałem dziwnego i przykrego wrażenia, że utknąłem między dwoma odcinkami dnia, które nie dawały się połączyć. Ludzie, którzy lubią się snuć po mieście, pewnie wiedzą, jak postąpić w takiej sytuacji. Widywałem ich często – siedzących na ławkach, czytających albo rozmyślających, zauważałem ich, przechodząc obok parku lub skweru, ale nigdy nie zastanawiałem się nad ich losem. Miałem ochotę wysłać do Keiry wiadomość, ale postanowiłem tego nie robić. Walter z pewnością by mi to odradził. Chciałem iść do niej, do tej drukarni Maksa. Stamtąd moglibyśmy razem pójść do Jeanne, a po drodze kupić jej kwiaty. Właśnie o tym marzyłem, gdy znalazłem się w pobliżu Wyspy Świętego Ludwika. Moje marzenie, które tak łatwo było spełnić, z pewnością nie byłoby gestem dobrze odebranych. Keira oskarżyłaby mnie o zazdrość, a to przecież nie w moim stylu, przynajmniej oficjalnie...

Usiadłem w ogródku małego bistro na rogu ulicy Deux-Ponts. Otworzyłem książkę i zagłębiłem się w lekturze, kątem oka patrząc na zegarek. Tuż obok zatrzymała się taksówka, wysiadł z niej mężczyzna ubrany w prochowiec. W ręku niósł małą walizkę. Oddalił się szybkim krokiem, skręcając w quai d'Orléans. Byłem pewien, że gdzieś go już widziałem, ale nie potrafiłem sobie przypomnieć, gdzie i w jakich okolicznościach.

Po chwili zniknął za bramą jednej z kamienic.



Keira usiadła na brzegu biurka.

– W fotelu będzie ci wygodniej – powiedział Max, odrywając oczy od dokumentu, który analizował.

– Odwykłam od miękkich mebli.

– Naprawdę spędziłaś trzy miesiące w więzieniu?

– Przecież już ci to mówiłam, Max. Skup się na tekście i powiedz, co o tym myślisz.

– Myślę, że odkąd się zadajesz z tym facetem, który miał być tylko kolegą, twoje życie stało się totalnym chaosem. Nie mogę zrozumieć, dlaczego chcesz się z nim widywać po tym, co ci się przytrafiło. Do cholery, ten typ zrujnował twoje życie zawodowe, przerwał ci poszukiwania, że

nie wspomnę o utracie funduszy, które uzyskałaś na ten projekt. Tego rodzaju prezentów los nie daje dwa razy. A ty zachowujesz się, jakbyś uważała to wszystko za normalne.

– Max, od pouczania mam wykwalifikowaną w tej dziedzinie siostrę i zapewniam cię, że choćbyś stanął na głowie, nie dorośniesz jej nawet do pięt, więc nie trać czasu. Co sądzisz o mojej teorii?

– A co zrobisz, jeżeli ci odpowiem? Czy pojedziesz na Kretę i będziesz badała dno morskie, czy może popłyniesz wpław do Syrii? Jesteś gotowa na każde szaleństwo, działasz chaotycznie. Mogłaś zginąć w tych Chinach, jesteś nieodpowiedzialna.

– Może i tak, ale sam widzisz, że nic mi się nie stało, chociaż po więzieniu przyda mi się wizyta u dobrej kosmetyczki.

– Nie udawaj głupiej gąski.

– Max, kotku, uwielbiam, kiedy przybierasz wobec mnie ten profesorski ton. Chyba właśnie to najbardziej mnie w tobie pociągało, kiedy byłam jeszcze studentką, ale te czasy już minęły.

Nic nie wiesz o Adrianie, nie masz pojęcia o przebiegu naszej podróży, więc jeśli drobna przysługa, o którą cię proszę, wymaga od ciebie zbyt dużego wysiłku, to trudno, oddaj mi tę kartkę i już mnie tu nie ma.

– Spójrz mi prosto w oczy i wyjaśnij, w jaki sposób ten tekst może ci pomóc w badaniach, które prowadzisz od tylu lat?

– Max, powiedz mi, byłeś profesorem archeologii czy może się myłę? Ile lat poświęciłeś, by zostać badaczem, a potem wykładowcą, żeby skończyć jako drukarz? Czy możesz, patrząc mi prosto w oczy, wyjaśnić, jaki związek z tym, co osiągnąłeś w przeszłości, ma twój nowy fach? Życie jest pełne nieoczekiwanych zwrotów, Max. Dwa razy dałam się wyrzucić z doliny Omo, więc może już czas, żebym przemyślała swoją przyszłość.

– Czyżbyś aż tak bardzo zadurzyła się w tym gościu, żeby pleść te potworne bzdury?

– Ten gość, jak go nazywasz, ma może mnóstwo wad, jest roztargniony, czasem nie z tego świata, niesamowicie niezręczny, ale ma w sobie coś, czego nie znalazłam u żadnego innego. On mnie pociąga, Max. Faktycznie, odkąd z nim jestem, moje życie to jeden wielki zamęt, ale on mnie rozśmiesza, wzrusza, prowokuje, a przede wszystkim daje poczucie bezpieczeństwa.

– Czyli jest znacznie gorzej, niż sądziłem. Kochasz go.

– Nie licz, że usłyszysz, iż wcale tak nie powiedziałam.

– Bo powiedziałaś, a jeśli nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy, to jesteś potwornie głupia.

Keira zsunęła się z biurka i podeszła do szyby, za którą widać było drukarnię. Patrzyła na maszyny, które z ogromną prędkością przewijały wielkie rolki papieru. Antresolę wypełniał stukot maszyn tnących papier. Nagle stanęły i zapadła cisza w drukarni, która kończyła już pracę.

– To cię niepokoi? – zapytał Max. – A co z twoją ukochaną wolnością?

– Możesz przeanalizować ten tekst czy nie? – szepnęła.

– Ślęczałem nad tym twoim tekstem dziesiątki razy od naszego ostatniego spotkania. W ten sposób, choć cię nie było, myślałem o tobie.

– Max, proszę cię...

– Ale o co? Żeby ukrywał, że wciąż coś do ciebie czuję? A co cię to obchodzi? To nie twój, ale mój problem.

Keira podeszła do drzwi gabinetu. Obróciła gałkę i zerknęła na Maksa.

– Zostań tu, zołzo! – powstrzymał ją Max. – Usiądź sobie na biurku, skoro ci tu wygodnie, i

poczekaj, aż ci powiem, co myślę o twojej teorii. Być może się pomyliłem. Myśl, że uczeń mógł przerosnąć mistrza, nie jest najmiłsza, ale sam jestem sobie winien. Mogłem pozostać wykładowcą. Być może w tym tekście termin „punkt odziemny” pomyłono z „punktem podziemnym”, co oczywiście zmienia sens. *Hipogeum* to także miejsce pochówku, które poprzedzało grobowce budowane przez Egipcjan oraz Chińczyków, przy czym należy pamiętać o pewnej różnicy: do tych późniejszych, z komorami grobowymi, wchodziło się korytarzami, natomiast *hipogea* budowano pod ziemią, a nie w sercu piramidy czy też innej konstrukcji. Prawdopodobnie to, co mówię, nie jest dla ciebie nowością, jednakże taka interpretacja nabiera spójności. Manuskrypt w gyyz pochodzi prawdopodobnie z czwartego lub piątego tysiąclecia przed naszą erą. A to oznacza, że cofamy się w czasy prehistoryczne, kiedy tworzyły się ludy azjatyckie.

– Ale Semici, którzy byli twórcami gyyzyjskiego tekstu, nie należą do ludów azjatyckich, jeśli oczywiście dokładnie zapamiętałam uniwersyteckie wykłady.

– Słuchałaś ich pilniej, niż mogłbym przypuszczać! To prawda, że nie należą, ich język jest afroazjatycki, bliższy berberyjskiemu i egipskiemu. Pojawili się na Pustyni Syryjskiej w szóstym tysiącleciu przed naszą erą, ale z pewnością te ludy zetknęły się ze sobą i mogły przekazać sobie różne opowieści. Ciebie, ze względu na teorię, jaką przyjął, powinni zainteresować ci, którzy przynależą do ludu raczej pomijanego przeze mnie w wykładach akademickich, czyli Pelazgów z hipogeum. Na początku czwartego wieku Pelazgowie wyruszyli z Grecji i osiedlili się na południu Italii. Pojawili się na Sardynii. Potem powędrowali do Anatolu, a stamtąd wyruszyli na morze, aby założyć nową cywilizację na wyspach i na wybrzeżach Morza Śródziemnego. Nie mamy dowodów na to, że nie kontynuowali wędrówki w kierunku Egiptu i nie zahaczyli o Kretę. Chcę ci powiedzieć, że Semici albo ich przodkowie mogli opisywać w tym tekście wydarzenia z historii Pelazgów z hipogeum.

– Myślisz, że jeden z tych Pelazgów mógł popłynąć Nilem aż do Nilu Błękitnego?

– Do Etiopii? Wątpię, a w każdym razie takiej wyprawy nie podjąłby jeden człowiek, tylko grupa. Dwa, trzy pokolenia mogłyby pokonać taką drogę. Osobiście jestem raczej skłonny przyjąć, że wędrówka miała przeciwny kierunek: od źródeł do delty. Może ktoś przewiózł twój tajemniczy obiekt na tereny Pelazgów. Musisz bardziej mnie wtajemniczyć, Keiro, jeżeli naprawdę chcesz, żebym ci pomógł.

Keira przechadzała się po biurze.

– Czteryście milionów lat temu pięć fragmentów tworzyło jeden obiekt o zdumiewających właściwościach.

– Keiro, sama wiesz, że to śmieszne. Żadna istota żywa nie osiągnęła wtedy poziomu rozwoju umożliwiającego obróbkę jakiegokolwiek materii. Wiesz równie dobrze jak ja, że to niemożliwe! – oburzył się Max.

– Gdyby Galileusz powiedział, że ktoś wysłał kiedyś radioteleskop na granice naszego Układu Słonecznego, spalono by go żywcem, zanim dokończyłby zdanie. Gdyby Ader utrzymywał, że człowiek będzie spacerował po Księżycu, jego statek kosmiczny zamieniłby się w kupę złomu, zanim by się oderwał od Ziemi. Jeszcze dwadzieścia lat temu wszyscy uważali, że Lucy to najstarszy przodek człowieka, i gdybyś wówczas napomknął, że matka ludzkości liczy dziesięć milionów lat, straciłbyś pracę na wydziale!

– Dwadzieścia lat temu byłem jeszcze studentem!

– Jednym słowem, gdybym miała wymienić wszystko, co uważano za niemożliwe, a co stało się faktem, musielibyśmy spędzić ze sobą wiele nocy.

– Już jedna by mnie uszczęśliwiła.

– Jesteś wulgarny, Max! Wiem, że cztery czy pięć tysięcy lat przed naszą erą ktoś znalazł ten obiekt. Z niezrozumiałych jeszcze dla mnie powodów, a jednym z nich mógł być strach, jaki budziły właściwości tego przedmiotu, ten lub ci, którzy go znaleźli, postanowili nie zważać na jego moc i zniszczyć go, a jego fragmenty rozdzielić. I chyba właśnie to ujawnia nam pierwszy wers manuskryptu.

Podzieliłem tablicę rzeczy do zapamiętania, powierzyłem mistrzom zespoły części, które ona łączy...

– Nie chciałem ci przerywać, ale „tablica rzeczy do zapamiętania” to prawdopodobnie termin oznaczający coś związanego z wiedzą naukową. Jeżeli miałbym przyjąć twój tok myślenia, to powiedziałbym, że być może podzielono ją, aby każda część niosła pewną informację w najdalsze zakątki świata.

– Możliwe, ale zakończenie dokumentu sugeruje co innego. Żeby mieć czyste sumienie, należałoby się dowiedzieć, dokąd trafiły te części. Mamy dwie z nich, znaleziono także trzecią, ale to jeszcze nie są wszystkie. Teraz posłuchaj, Max. Siedząc w więzieniu, wciąż myślałam o tekście spisanim w gyyz, a przede wszystkim o słowie z drugiej części zdania: *powierzyłem mistrzom...* Kim byli twoim zdaniem ci mistrzowie?

– Erudydami, mędrkami. Prawdopodobnie przewodzili plemionom. Mistrz to ten, który naucza.

– A więc byłeś moim mistrzem? – Keira uśmiechnęła się, patrząc na niego z lekką ironią.

– W pewnym sensie tak.

– Przedstawię ci teraz moją teorię, drogi mistrzu – podjęła. – Pierwszy fragment układanki znalazł się w kraterze wulkanu na wyspie na jeziorze przy granicy Etiopii i Kenii. Drugi znaleźliśmy także w kraterze wulkanu, tym razem na wyspie Narcondam w archipelagu Andamany. Słowem, jeden był na południu, drugi na wschodzie. Oba znajdowały się w odległości kilkuset kilometrów od źródła albo od ujścia wielkiej rzeki. Nil i Nil Błękitny w pierwszym, a Irawadi i Jangcy w drugim wypadku.

– Co z tego wynika? – wtrącił Max.

– Załóżmy, że z jakiegoś powodu, którego nie potrafię jeszcze wyjaśnić, ten obiekt został celowo rozbity na cztery albo pięć części i że każdą umieszczono w określonym punkcie globu. Skoro jeden był na wschodzie, drugi na południu, a trzeci, odnaleziony najwcześniej, bo dwadzieścia czy trzydzieści lat temu...

– Gdzie jest?

– Nie mam pojęcia. I przestań mi ciągle przerywać, Max, to irytujące. Mogę się założyć, że z dwóch pozostałych jeden jest na północy, a drugi na zachodzie.

– Absolutnie nie chcę cię irytować, bo czuję, że i tak potwornie się denerwujesz, ale północ i zachód to dość rozległe tereny...

– Dobra, jeżeli zamierzasz się ze mnie naśmiewać, to lepiej będzie, jeśli już pójde.

Keira poderwała się z miejsca i znowu podeszła do drzwi biura Maksa.

– Keiro, przestań! Nie zachowuj się jak jakiś mały kucyk, nie rozumiesz, że ty też jesteś irytująca? Do diabła, czy to ma być dyskusja, czy twój monolog?

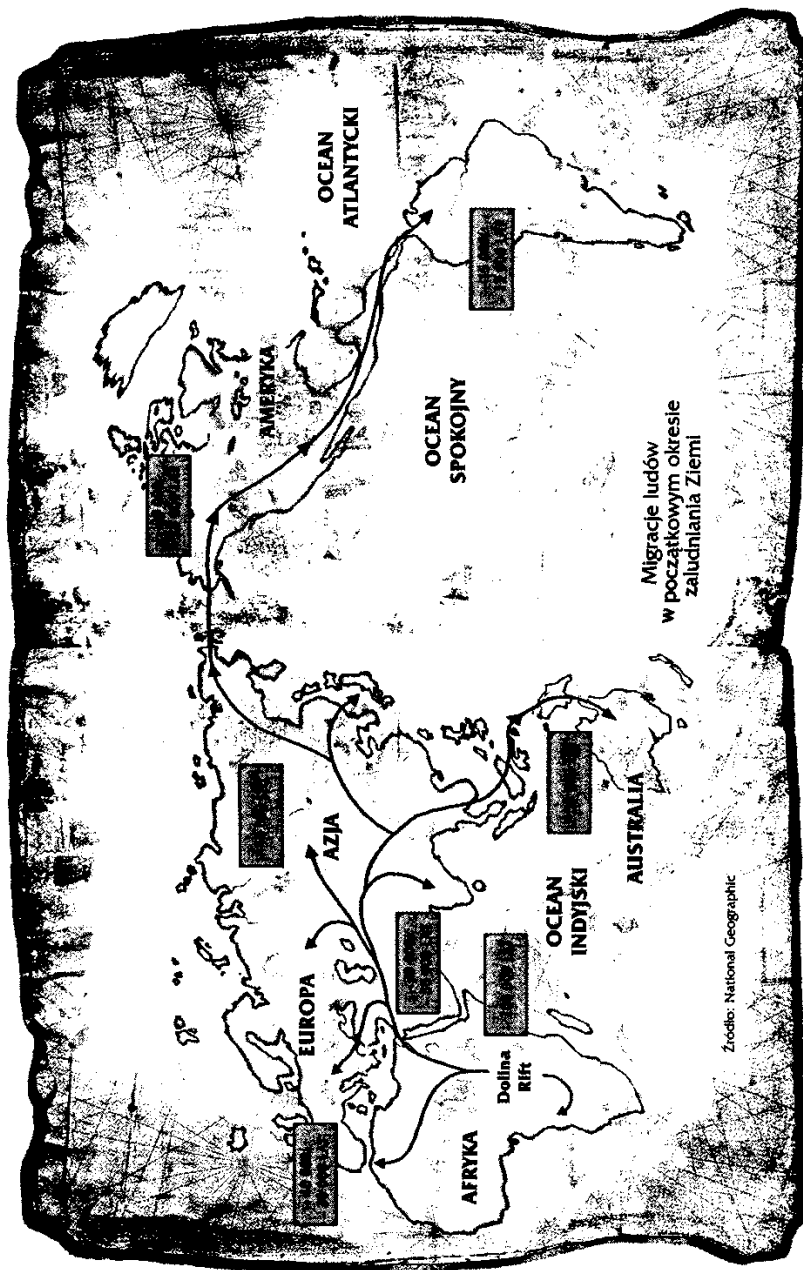
Mów dalej, rozwiń myśl, nie będę ci już wpadał w słowo.

Keira wróciła i usiadła obok Maksa. Sięgnęła po kartkę i narysowała planisferę, a na niej przybliżone zarysy kontynentów.

– Znamy główne szlaki najwcześniejszych migracji, które doprowadziły do zaludnienia planety. Pierwsza grupa wyrusza z Afryki, torując drogę do Europy, druga podąża do Azji – mówiła Keira, rysując długą strzałkę na kartce – i kieruje się prosto ku Morzu Andamańskiemu. Część idzie dalej, w stronę Indii, przemierza Birmę, Tajlandię, Kambodżę, Wietnam, Indonezję, Filipiny, Nową Gwineę i Papuę, aby dojść do Australii. Inni – dorysowała kolejną strzałkę – wybierają drogę na północ, przemierzają ziemie obecnej Mongolii i Rosji, aby wzdłuż rzeki Jany dojść do Cieśniny Beringa. W okresie zlodowacenia ta trzecia grupa obeszła Grenlandię i po skutych lodem brzegach przed piętnastoma, a może dwudziestoma tysiącami lat dotarła w rejony pomiędzy Alaską a Morzem Beauforta. Potem zdobywali kontynent północnoamerykański, docierając aż do Monte Verde, gdzie czwarta grupa osiadła przed dwunastoma, piętnastoma tysiącami lat*. Być może tymi samymi szlakami podążali ci, którzy cztery tysiące lat temu przewozili interesujące nas obiekty. Plemię posłańców wyruszyło w kierunku Andamanów, kończąc swą podróż na wyspie Narcondam, inne podążyło do źródeł Nilu, na pogranicze Kenii i Etiopii.

* Źródła: Susan Anton, New York University; Alison Brooks, George Washington University; Peter Forster, University of Cambridge; James F. O'Connell, University of Utah; Stephen Oppenheimer, Oxford; Spencer Wells, National Geographic Society; Ofer Bar-Yisef, Harvard University.

– Iz tego wnosisz, że dwa inne „ludy posłańców” udały się na zachód i północ, żeby pozostawić tam te fragmenty?



- Tekst głosi: *Powierzylem mistrzom zespoły części, które ona łączy. Każda grupa posłańców, jako że takiej wędrówki nie można było odbyć za życia jednego pokolenia, przekazywała fragment podobny do mojego wisiorka mistrzom pierwszych kolonii.*
- Twoja hipoteza jest spójna, ale to nie oznacza, że trafiona. Przypomnij sobie, czego cię uczyłem. To, że teoria wydaje się logiczna, nie wystarcza, by uznać ją za prawdziwą.
- Ale mówiłeś też, że nieodnalezienie czegoś nie dowodzi, iż to nie istnieje!
- Czego ode mnie oczekujesz, Keiro?
- Żebyś mi powiedział, co byś zrobił na moim miejscu – odparła.
- Nigdy nie zdobędę cię jako kobiety, którą się stałaś, ale widzę, że zawsze zachowam w

tobie uczennicę. To też coś.

Max wstał i zaczął krążyć po biurze.

– Męczysz mnie tymi pytaniami, Keiro. Nie mam pojęcia, co zrobiłbym na twoim miejscu. Gdybym lubił i umiał rozwiązywać takie zagadki, opuściłbym zakurzone sale wykładowe i zamiast uczyć innych, uprawiałbym swój zawód.

– Bałeś się węży, brzydziłeś insektów, a brak komfortu na co dzień też ci nie odpowiadał, ale to nie ma nic wspólnego ze sprawnością rozumowania. Mój drogi, to, że ktoś ma mieszczańskie nawyki, nie oznacza, że jest głupcem.

– W pewnym sensie tak, chociaż mówię to, żeby ci sprawić przyjemność!

– Przestań się wygłupiać i odpowiedz na moje pytanie! Co byś zrobił na moim miejscu?

– Wspomniałeś o trzecim kawałku tego obiektu, odnalezionym trzydzieści lat temu. Najpierw spróbowałbym się dowiedzieć, gdzie go dokładnie znaleziono. Jeżeli także w wulkanie oddalonym o kilkaset kilometrów od wielkiej rzeki, na zachodzie albo na północy, potwierdzi to twoje rozumowanie. Jeżeli

natomiast leżał gdzieś we Francji albo na kartoflisku na angielskiej prowincji, musisz wyrzucić swoje hipotezy do kosza na śmieci i zacząć od zera, ale nie wiem, czego możesz się chwycić. Tak właśnie bym postąpił przed podjęciem decyzji o wyruszeniu w podróż po świecie. Keiro, uganasz się za kamieniem ukrytym gdzieś na tej planecie. To istna utopia!

– A spędzanie życia w jałowej dolinie i szukanie szkieletów, które liczą setki tysięcy lat, a których znaczenie podpowiada ci tylko intuicja, to nie utopia? Czy szukanie piramidy pod piaskami bezkresnej pustyni nie graniczy z szaleństwem? Nasz zawód to jedna wielka utopia, Max, ale każdy z nas marzy o dokonaniu odkrycia i próbuje spełnić to marzenie!

– Nie denerwuj się, nie warto. Zapytałeś, co zrobiłbym na twoim miejscu, więc odpowiedziałem. Ustal, gdzie znaleziono ten trzeci kawałek, a będziesz wiedziała, czy słusznie postępujesz.

– A jeśli tak?

– Wpadnij do mnie. Razem pomyślimy, jaką powinnaś obrać drogę, żeby spełnił się twój sen. A teraz muszę ci powiedzieć coś, co chyba ci się nie spodoba.

– Co?

– W moim towarzystwie tracisz poczucie czasu, co bardzo mnie cieszy, ale jest w pół do dziesiątej i zrobiłem się piekielnie głodny. Pozwolisz się zaprosić na kolację?

Keira spojrzała na zegarek i poderwała się z miejsca.

– O cholera, Jeanne, Adrian!



Dochodziła dziesiąta, kiedy Keira zadzwoniła do drzwi mieszkania siostry.

– Nie zamierzasz jeść dziś kolacji? – zapytała Jeanne, stając w progu.

– Jest tu Adrian? – Keira zerknęła do środka przez ramię siostry.

– Jeżeli nie potrafi się teleportować, to nie wiem, jak mógłby się dostać do środka.

– Umówiłam się z nim u ciebie...

– A podałaś mu kod do budynku?

– Nie dzwonił?

– A zna mój domowy numer?

Keira osłupiała.

– W takim razie może zostawił mi wiadomość w pracy, ale wysłałam trochę wcześniej, żeby przygotować twoje ulubione danie, które wylądowało w... koszu. Nie miej do mnie żalu, za długo je podgrzewałam!

– Ale gdzie Adrian?

– Myślałam, że jest z tobą, byłam pewna, że postanowiliście spędzić ten wieczór we dwoje.

– Ależ nie, byłam z Maksem...

– Coraz lepiej... Mogę zapytać po co?

– Z powodu naszych poszukiwań, Jeanne. Nie zaczynaj... Jak mam go teraz znaleźć?

– Po prostu zadzwoń!

Keira chwyciła za telefon, ale trafiła na skrzynkę głosową. Miałam jeszcze odrobinę godności własnej! Zostawiła mi długą wiadomość... „Bardzo mi przykro, straciłam poczucie czasu, wiem, że nic mnie nie tłumaczy, ale to było naprawdę pasjonujące, mam dla ciebie wspaniałe wiadomości, gdzie jesteś? Wiem, że już po dziesiątej, ale zadzwoń do mnie, zadzwoń jak najszybciej, proszę!”. Potem dzwoniła jeszcze raz, żeby podać mi domowy numer siostry, i po raz trzeci, bo już nie na żarty martwiła się brakiem reakcji z mojej strony. Za czwartym razem była mocno zdenerwowana, za piątym zarzuciła mi, że mam paskudny charakter, a za szóstym, około trzeciej, i ostatnim, prawie rano, rozłączała się bez słowa.



Przenocowałem w hoteliku na Wyspie Świętego Ludwika. Szybko zjadłem śniadanie i taksówką pojechałem pod dom Jeanne. Nie znałem kodu, więc rozejrzałem się wokół i zobaczyłem ławkę po drugiej stronie ulicy. Usiadłem tam i zająłem się czytaniem gazety.

Jeanne wkrótce wyszła z domu. Zauważyła mnie i podeszła.

– Keira odchodziła od zmysłów!

– Nie tylko ona!

– Bardzo mi przykro – powiedziała Jeanne – ja też jestem na nią wściekła.

– Wcale nie jestem wściekły – wyjaśniłem.

– Oczywiście, że jesteś!

Potem Jeanne pożegnała się ze mną, odeszła i zaraz zawróciła.

– To wczorajsze spotkanie z Maksem miało czysto zawodowy charakter, ale nie zdradź jej, że to powiedziałam!

– Czy byłabyś uprzejma podać mi kod do wejścia?

Jeanne zapisała go na kartce i poszła do pracy.

Siedziałem na ławce, dopóki nie przeczytałem gazety od deski do deski. Potem poszedłem do piekarni na rogu ulicy i kupiłem bułeczki.

Keira otworzyła drzwi jeszcze zaspana.

– Gdzie byłeś? – zapytała, przecierając oczy. – Umierałam ze strachu!

– Rogalik czy bułeczka z czekoladą, a może jedno i drugie?

– Adrianie...

– Zjedz śniadanie i ubierz się, Eurostar wyjeżdża około południa, jeżeli się pośpieszysz, zdążymy.

– Najpierw muszę spotkać się z Ivorym, to bardzo ważne.

– Eurostar odjeżdża co godzina, więc... chodźmy do Ivory'ego.

Keira zaparzyła kawę i streściła mi dyskusję z Maksem. Kiedy przedstawiała mi swoją teorię, przypomniałem sobie, co powiedział o sferze armilarnej antykwariusz. Nie wiem dlaczego, ale poczułem, że powinienem zadzwonić do Erwana i pogadać z nim o tym. To chwilowe roztargnienie nie umknęło Keirze. Przywołała mnie do porządku.

– Chcesz, żebym poszedł z tobą do tego staruszka profesora? – zapytałem, wracając w ten sposób do naszej rozmowy.

– Możesz mi powiedzieć, gdzie spędziłeś noc?

– Mógłbym, ale ci nie powiem – odparłem, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Świetnie, bo nic mnie to nie obchodzi.

– W takim razie nie mówmy już o tym. A ten Ivory, bo o nim ostatnio mówiliśmy...?

– Nie wrócił do muzeum, ale Jeanne podała mi jego telefon domowy. Zaraz zadzwonię.

Keira poszła do sypialni siostry, gdzie stał telefon. W progu odwróciła głowę i jeszcze raz zapytała:

– Gdzie nocowałeś?



Ivory zgodził się spotkać z nami w domu. Zajmował piękne mieszkanie na Wyspie Świętego Ludwika... o dwa kroki od mojego hotelu. Kiedy nam otworzył, poznałem człowieka, który wysiadł wczoraj z taksówki, kiedy siedziałem w kafejce, przeglądając księgę. Zaprosił nas do salonu i poczęstował kawą i herbatą.

– Miło mi znów was zobaczyć, czym mogę służyć?

Keira przeszła od razu do rzeczy i zapytała, gdzie znaleziono fragment obiektu, o którym mówił jej w muzeum.

– Mogłaby mi pani wyjaśnić, skąd to zainteresowanie?

– Wydaje mi się, że znalazłam coś ciekawego w pewnym dokumencie w języku gyyz.

– To zaczyna być naprawdę ciekawe... Czego się pani dowiedziała?

Keira wyłożyła mu swoją teorię na temat ludów z hipogeum. W IV lub V tysiącleciu przed naszą erą ludzie odnaleźli cały obiekt i podzielili go. Zgodnie z manuskryptem utworzyły się grupy, które miały za zadanie przenieść fragmenty na cztery końce świata.

– To piękna hipoteza – Ivory niemal krzyknął – i może wcale nie taka głupia. Tyle że nie ma pani pojęcia, co mogło być powodem wędrówek tak niebezpiecznych, że niemal nierealnych.

– Mam pewne domysły – odparła Keira.

Opierając się na tym, czego dowiedziała się od Maksa, sugerowała, że każdy fragment jest świadectwem jakiejś wiedzy, może nauki albo mądrości objawionej.

– Tym razem nie mogę się z panią zgodzić, jestem odmiennego zdania. – Ivory pokręcił głową. – Jeden z fragmentów tekstu daje podstawy, aby uznać, że chodzi o tajemnicę i jej zachowanie. Proszę przeczytać: *Pod gwiazdnymi trójkątami niech pozostaną w ukryciu cienie nieskończoności.*

Kiedy Keira i Ivory rozprawiali o „cieniach nieskończoności”, ja znów myślałem o antykwariuszu z Marais.

– Ciekawe jest nie to, co pokazują nam sfery armilarne, ale raczej to, czego nam nie

pokazują, a czego istnienia i tak się domyślamy – szepnąłem.

- Słucham? – zapytał Ivory, patrząc na mnie.
- Próżnia i czas – dodałem.
- Co ty opowiadasz? – zdziwiła się Keira.
- Nic, ta myśl nie ma związku z waszą rozmową, ale nie daje mi spokoju.
- Gdzie według pani należy szukać brakujących części? – podjął Ivory.
- Te, które są w naszym posiadaniu, zostały znalezione w kraterach wulkanów, o kilkaset kilometrów od wielkich rzek. Jedna na wschodzie, druga na południu, więc domyślam się, że pozostałe są ukryte w podobnych miejscach na zachodzie i na północy.

– Ma pani przy sobie oba fragmenty? – zapytał Ivory z błyskiem w oku.

Keira i ja spojrzeliśmy na siebie. Potem ona zdjęła wisior i położyła go na stoliku, a ja sięgnąłem po kamień, który nosiłem w wewnętrznej kieszeni marynarki, i położyłem obok. Wówczas oba przedmioty nabrały tego mocnego błękitu, który zawsze nas tak zadziwiał, ale zauważyłem, że tym razem blask i migotanie były słabsze, jakby coś pozbawiało kamienie siły promieniowania.

– To niesamowite! – zawołał Ivory. – Nie wyobrażałem sobie czegoś takiego.

– A co pan sobie wyobrażał? – zapytała zaintrygowana Keira.

– Och, nic, nic szczególnego – bąknął Ivory. – Przyszanicie chyba, że to zadziwiające zjawisko, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę wiek tego przedmiotu.

– Czy teraz zechce nam pan powiedzieć, gdzie znaleziono pański trzeci fragment?

– Niestety, nie jest mój. Znaleziono go przed trzydziestu laty w peruwiańskich Andach, ale nie w kraterze wulkanu. Przykro mi ze względu na pani teorię.

– A gdzie? – zapytała Keira.

– Około pięciuset kilometrów na północny wschód od jeziora Titicaca.

– W jakich okolicznościach? – zainteresowałem się.

– Podczas wyprawy grupy holenderskich archeologów. Zmierzali do źródeł Amazonki. Obiekt zwrócił uwagę ze względu na swój specyficzny kształt. Leżał w grocie, do której geolodzy weszli, chroniąc się przed fatalną pogodą. Nie zainteresowałby ich tak, gdyby kierownik wyprawy nie zaobserwował zjawiska, które i wy widzieliście. Noc była burzowa, a błyskawice wywołały świecenie i rzutowanie punkcików na ściankę namiotu. Poruszyło go to tym bardziej, że o świetle przekonał się, iż płótno przepuszcza światło. Powstały tysiące drobnych dziurek. Ponieważ burze w tym regionie są częste, badacz wielokrotnie powtórzył doświadczenie i doszedł do wniosku, że przedmiot, który znalazł, nie jest zwyczajnym kamieniem. Zabrał go i poddał dokładniejszym badaniom.

– Czy moglibyśmy spotkać się z tym geologiem?

– Zmarł kilka miesięcy potem, to był głupi wypadek podczas kolejnej wyprawy.

– A gdzie jest fragment, który znalazł?

– W jakimś bezpiecznym miejscu, nie potrafię jednak powiedzieć gdzie.

– Wprawdzie nie leżał w wulkanie, ale przynajmniej znaleziono go na zachodzie.

– Owszem, to pewne.

– I o kilkadziesiąt kilometrów od dorzecza Amazonki.

– No tak. – Ivory pokiwał głową.

- Czyli potwierdzają się dwie z trzech hipotez, a to już całkiem nieźle – powiedziała Keira.
 - Niestety, to znikoma pomoc w poszukiwaniu pozostałych części. Dwie z nich odnaleziono zupełnie przypadkowo, a z trzecią po prostu dopisało wam szczęście.
 - Zawisłam na wysokości dwóch i pół tysiąca metrów, przelecieliśmy Birnę, kosząc drzewa, bo samolot, w którym siedzieliśmy, już tylko dzięki skrzydłom przypominał maszynę latającą, o mało się nie utopiłam, a Adrian cudem uniknął śmierci na zapalenie płuc, że nie wspomnę już o trzech miesiącach w chińskim więzieniu... Nie wiem, jak pan może w tej sytuacji mówić o jakimś szczęściu!
 - Nie zamierzałem pomniejszać trudu i zdolności żadnego z was. Dajcie mi kilka dni, muszę przemyśleć tę teorię, pogrzebię trochę w książkach i jeśli znajdę cokolwiek, co mogłoby przyczynić się do powodzenia waszych poszukiwań, zatelefonuję.
- Keira zapisała mój numer na kartce i podała ją Ivory'emu.
- Dokąd zamierzacie jechać? – zapytał profesor, odprowadzając nas do drzwi.
 - Do Londynu. My też musimy jeszcze trochę poszperać w bibliotekach.
 - W takim razie życzę udanego pobytu w Anglii. I jeszcze jedno: miała pani rację, szczęście nie sprzyjało wam podczas tych podróży, więc proszę, żebyście wykazali maksymalną ostrożność, a przede wszystkim nie pokazywali nikomu tego zjawiska, którego byłem świadkiem przed chwilą.
- Pożegnaliśmy starego profesora, zabraliśmy z hotelu mój bagaż (Keira nie pisnęła już ani słowa na temat minionej nocy), a potem poszedłem wraz z nią do muzeum, żeby przed wyjazdem mogła jeszcze uściskać Jeanne.

Londyn

Nie zwróciłem na nich szczególnej uwagi, kiedy popchnęli mnie na peronie Gare du Nord i nawet nie bąknęli „przepraszam”, ale idąc do wagonu restauracyjnego, znowu natknąłem się na tę, oględnie mówiąc, osobliwą parę. Na pierwszy rzut oka był to tylko młody Anglik z dziewczyną, oboje fatalnie ubrani. Kiedy poszedłem do kasy, chłopak dziwnie na mnie spojrział, a potem wraz ze swoją towarzyszką poszedł w stronę czoła pociągu. Ponieważ za kwadrans mieliśmy zatrzymać się w Ashford, uznałem, że poszli po rzeczy, bo tam wysiadają. Obsługujący w szybkim barze – który z szybkością nie miał zupełnie nic wspólnego, a to ze względu na niekończącą się kolejkę wygłodniałych pasażerów – westchnął, spoglądając za odchodzącą dwójką młodych ludzi o ogolonych głowach.

– Fryzura nie świadczy o człowieku – powiedziałem, zamawiając kawę. – Może po bliższym poznaniu okazałoby się całkiem sympatyczni?

– Być może. – Wydał wargi, powątpiewająco kręcąc głową. – Ale ten chłopak przez całą drogę czyścił sobie paznokcie nożem sprężynowym, a dziewczyna patrzyła, jak to robi. Raczej nie miałem ochoty nawiązywać z nimi rozmowy.

Zapłaciłem i poszedłem do mojego wagonu. Już z daleka zobaczyłem, że Keira drzemie. Wtedy znowu natknąłem się na tę parę, teraz krążącą wokół półek, na których zostawiliśmy bagaże. Gdy się zbliżałem, chłopak skinął na dziewczynę, a ona stanęła mi na drodze.

- Zajęte – rzuciła aroganckim tonem.
- Widzę – mruknąłem – tylko nie wiem, czym zajęte?

Chłopak wtrącił się do rozmowy, wyciągając z kieszeni nóż i mówiąc, że nie podoba mu się ton, jakim zwróciłem się do jego partnerki.

W młodości spędzałem sporo czasu w Ladbroke Grove, gdzie mieszkał mój najlepszy kumpel ze szkoły. Widziałem tam chodniki zarezerwowane dla określonych band, skrzyżowania, na które nie wolno było wchodzić, kawiarnie, do których lepiej było nie zaglądać, chcąc pograć w piłkarzyków. Wiedziałem, że ta dwójka chuliganów szuka zaczepki. Gdybym drgnął, dziewczyna skoczyłaby mi na plecy, żeby skrępować mi ręce, a chłopak by mnie pociął. Kiedy już udałoby się im rzucić mnie na ziemię, skopaliby mnie. Anglia za czasów mojej młodości była nie tylko krajem parków i miękkich trawników i, prawdę mówiąc, pod tym względem niewiele się zmieniło. Dość trudno zdać się na instynkt, jeżeli ma się zasady, jednakże przełamałem się i wymierzyłem dziewczynie siarczysty policzek. Przewróciła się na bagaże i złapała za twarz, a zaskoczony chłopak ruszył w moją stronę, przerzucając nóż z ręki do ręki. Nadszedł czas pozbyć się tkwiącego we mnie chłopca i pokazać, że naprawdę jestem już dorosłym facetem.

– Masz dziesięć sekund – powiedziałem. – Dziesięć sekund, a potem zabiorę ci ten nóż i jeśli cię dorwę, wysiądziesz z pociągu bez gaci. Pasuje czy wolisz schować tę zabawkę do kieszeni i zapomnieć o wszystkim?

Dziewczyna wstała i rozwścieczona znów chciała mnie zaatakować. Jej kumpel robił się coraz bardziej nerwowy.

- Nadziany świr! – krzyknęła. – Załatw go, Tom!
- Tom, bądź mężczyzną, poskrom tę laskę i schowaj nóż, zanim któryś z nas się nim zrani.
- Co tu się dzieje? – zapytała spokojnie Keira, stając za mną.
- Drobną sprzeczką – wyjaśniłem, zmuszając ją, żeby się cofnęła.
- Chcesz, żebym wezwała pomoc?

Dwójka młodych nie spodziewała się, że ktoś przyjdzie mi z odsieczą. Pociąg zwalniał, za szybko widziałem już peron dworca w Ashford. Tom pociągnął dziewczynę za rękę, wciąż grożąc nam nożem. Keira i ja staliśmy nieruchomo, obserwując ostrze, którym przed nami wymachiwał.

- Spadajcie stąd! – rzucił chłopak.

Gdy pociąg się zatrzymał, wyskoczył na peron i uciekł, ile sił w nogach, pociągając za sobą dziewczynę.

Keira nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Pasażerowie wysiadający w Ashford zmusili nas do cofnięcia się. Wróciliśmy na miejsca, a po chwili pociąg znów ruszył. Keira chciała, żebym wezwał policję, ale na to było już za późno, dwójka chuliganów dawno uciekła, a komórkę spakowałem do torby. Wstałem, żeby się upewnić, czy wciąż tam była. Keira pomogła mi wyciągnąć nasze bagaże – jej walizka była nietknięta, moją torbę otwarto, wydawało się jednak, że złodzieje zdążyli tylko zrobić bałagan i niczego nie ukradli. Zabrałem telefon i paszport i wsunąłem je do kieszeni. O całym incydencie zapomniałem, zanim jeszcze dojechalismy do Londynu.



Poczułem ogromną radość, stojąc przed drzwiami mojego domku, i nie mogłem się doczekać, kiedy wejdę do środka.

Szukałem kluczy w kieszeniach, bo byłem pewien, że tam je wsadziłem, wyjeżdżając z Paryża. Na szczęście sąsiadka zobaczyła mnie i wyjrzała przez okno. Jak zwykle zaproponowała, żebym przeszedł przez jej ogródek.

– Wie pan, gdzie stoi drabina – rzuciła. – Właśnie prasuję, więc proszę się nie przejmować. Zamknę, kiedy skończę.

Podziękowałem jej i po chwili przeskoczyłem przez płot. Ponieważ dotąd nie naprawiłem tylnego wejścia (może nie powinienem tego robić?), pchnąłem mocno drzwi i wreszcie wszedłem. Pobiegłem otworzyć Keirze, która czekała na ulicy.

Resztę popołudnia spędziliśmy, robiąc zakupy w pobliżu domu. Stragan z owocami i warzywami skusił Keirę, która napełniła kosz tak, jakbyśmy przygotowywali zapasy, spodziewając się oblężenia. Niestety, tego wieczoru nie mieliśmy czasu, żeby zjeść kolację.

Byłem zajęty gotowaniem, a dokładniej – krojeniem bakłażanów w drobną kostkę, ściśle według instrukcji Keiry, która w tym czasie przyrządzała sos i kłóciła się ze mną, nie chcąc zdradzić mi przepisu, kiedy zadzwonił telefon. Ale nie komórka, tylko telefon domowy. Spojrzeliśmy na siebie zaskoczeni. Poszedłem do salonu i podniosłem słuchawkę.

– A więc to prawda, wróciłeś!

– Właśnie przyjechaliśmy, Walterze.

– Dziękuję, że byłeś tak miły i uprzedziłeś mnie, to naprawdę stosowny gest.

– Ledwie wysiedliśmy z pociągu...

– Muszę przyznać, że byłem zaskoczony, kiedy informację o waszym przyjeździe przyniósł mi posłaniec z Federal Express, bo przecież nie jesteś jakimś Tomem Hanksem!

– O naszym powrocie dowiedziałeś się od posłańca? Niewiarygodne...

– Wyobraź sobie, że do Akademii dostarczono przesyłkę dla ciebie, no, może niezupełnie, bo na kopercie widnieje imię twojej przyjaciółki, a pod nim: „Polecam Pana opiece”. Następnym razem zaznacz, żeby twoją pocztę dostarczano bezpośrednio do mnie, bo inny dopisek głosił: „Bardzo pilne”. Skoro jednak mam być twoim listonoszem, to powiedz, czy życzysz sobie błyskawicznej dostawy do domu?

– Zaczekaj chwilkę, muszę porozmawiać z Keirą!

– Przesyłka adresowana do mnie, wysłana do Akademii? Nic z tego nie rozumiem – powiedziała zdziwiona.

Ponieważ i ja nic z tego nie rozumiałem, poprosiłem Waltera, żeby do mnie wpadł, co przecież sam tak uprzejmie zaproponował.

Keira wymachiwała rękami, więc bez trudu zorientowałem się, że nie ma teraz najmniejszej ochoty na spotkanie z Walterem. I tak znalazłem się między młotem a kowadłem – Walter mówił mi do lewego ucha, po prawej miałem Keirę, która stroiła miny i machała rękami. Ponieważ musiałem jakoś wybrnąć z tej sytuacji, poprosiłem Waltera, żeby zszedł na mnie w Akademię, bo przecież nie mogłem narażać go na jazdę przez cały Londyn. Odłożyłem słuchawkę i odetchnąłem z ulgą, szczęśliwy, że udało mi się znaleźć zadowalające wszystkich rozwiązanie, ale kiedy się odwróciłem, zrozumiałem, że Keira wcale nie jest zadowolona. Obiecałem jej, że wrócę przed upływem godziny. Sięgnąłem po płaszcz, wziąłem zapasowe klucze z szuflady biurka i ruszyłem uliczką w stronę małego garażu, gdzie spał sobie mój samochód.

Wsiadłem i z przyjemnością wdychałem cudowny zapach starej skóry. Kiedy wyprowadzałem auto, tylko gwałtowne hamowanie sprawiło, że nie rozjechałem Keiry, która nagle pojawiła się w

świetle reflektorów, gniewna i zdeterminowana. Po chwili wsiadła do samochodu.

- Ten list może chyba poczekać do jutra, prawda? – rzuciła, trzaskając drzwiami.
- Na kopercie napisano, że to bardzo pilne... i to czerwonym flamastrem, jak powiedział mi Walter. Ale mogę pojechać sam, nie musisz przecież...
- List zaadresowano do mnie, a ty aż się palisz, żeby zobaczyć się z kumplem, więc ruszaj.

Tylko w poniedziałkowe wieczory jazda po Londynie jest w miarę znośna. Po zaledwie dwudziestu minutach dotarliśmy do Akademii. Po drodze złapał nas deszcz, dość nieoczekiwany i mocny, jak to się zdarza w Londynie. Walter czekał na nas przed głównym wejściem. Miał przemoczone nogawki i marynarkę, a do tego minę znużonego psa. Pochylił się, podając nam kopertę. Nie mogłem mu nawet zaproponować, że podwiozę go do domu, bo mój samochód coupé był dwuosobowy. Postanowiliśmy zaczekać, aż złapie taksówkę. Gdy ta się w końcu zatrzymała, Walter dość chłodno pożegnał się ze mną, a Keirę po prostu zignorował i odszedł. Zostaliśmy sami w aucie smagany strugami deszczu, z kopertą, która leżała na kolanach Keiry.

- Nie otworzysz?
- To pismo Maksa – szepnęła.
- Ten facet ma chyba zdolności telepatyczne!
- Dlaczego tak mówisz?
- Podejrzewam, że zobaczył nas, kiedy przygotowaliśmy sobie kolacyjkę dla zakochanych, czekał, aż sos osiągnie idealną gęstość, a potem wysłał ten list, żeby zniszczyć nasze plany na ten wieczór.
- Niezbyt śmieszne...
- Może, przynasz jednak, że gdyby zakłóciła nam spokój któraś z moich dawnych kochanek, zabrakłoby ci poczucia humoru.

Keira pogładziła kopertę.

- A która z dawnych kochanek mogłaby do ciebie napisać? – zapytała.
- Teraz łapiesz mnie za słówka.
- Odpowiedz na moje pytanie!
- Nie mam dawnych kochanek!
- Czyżbyś był prawiczkim, kiedy się spotkaliśmy?
- Chciałem tylko powiedzieć, że nie miewałem kochanek na uczelni!
- Niezwykle subtelna aluzja.
- Otworzysz w końcu tę kopertę?
- Powiedziałeś „kolacyjka dla zakochanych” czy może się przesłyszałam?
- Może tak powiedziałem.
- Jesteś we mnie zakochany, Adrianie?
- Keiro, otwórz w końcu ten list!
- Uznam, że powiedziałeś „tak”. Jedźmy do domu i idźmy prosto do sypialni. Mam znacznie większą ochotę na ciebie niż na bakłażany.
- Chyba powinienem uznać to za komplement? A list?
- Poczeka do jutra. Max też poczeka do rana.



Nasz pierwszy wieczór w Londynie ożywił wiele wspomnień. Kochaliśmy się, potem

zasnęłaś. Okiennice w pokoju były uchylone, a ja siedziałem, patrząc na ciebie i słuchając twego spokojnego, miarowego oddechu. Widziałem na twoich plecach blizny, których nie mógł zatrzeć czas. Muskałem je palcami. Ciepło twojego ciała rozbudziło pożądanie równie silne jak w pierwszych chwilach tego wieczoru. Jęknęłaś, więc cofnąłem dłoń, ale chwyciłaś ją i zaspanym głosem spytałaś, dlaczego przestałem cię pieścić. Przywarłem ustami do twojej skóry, lecz zdążyłaś już zasnąć. I wtedy wyznałem, że cię kocham.

– Ja też – wyszeptałaś.

Te słowa były ledwie słyszalne, ale wystarczyły, bym spokojnie połączył się z tobą we śnie.



Ledwie żywi ze zmęczenia nie zauważyliśmy, jak upływa poranek, a kiedy otworzyłem oczy, było już prawie południe. Zobaczyłem, że nie ma cię w łóżku, więc poszedłem do kuchni i tu cię znalazłem. Miałaś na sobie moją koszulę i skarpetki, które znalazłaś w jednej z szuflad. Z wyznań, które poczyniliśmy nocą, zrodziło się swoiste skrępowanie, jakby chwilowe zawstydzenie, które nas rozdzieliło. Zapytałem, czy czytałaś już list od Maksa. Spojrzeniem wskazałaś mi stół i leżącą na nim kopertę, wciąż zaklejoną. Nie wiem dlaczego, ale w tamtej chwili zapragnąłem, żebyś nigdy nie otworzyła tej koperty. Chciałem cisnąć ją do szuflady, żebyśmy oboje o niej zapomnieli. Bałem się, że znowu zaczniesz się ta szaleńcza gonitwa, marzyłem, by spędzić z tobą jak najwięcej czasu tu, w domu, sam na sam, a wychodzić, tylko gdy ogarnie nas ochota na spacer brzegami Tamizy, na wyprawę na targ staroci w Camden albo do kawiarenek Notting Hill na babeczki, ale ty otworzyłaś kopertę i wszystko to przestało istnieć.

Rozłożyłaś kartki i przeczytałaś głośno list może po to, żeby mi udowodnić, że od wczoraj nie masz już przede mną nic do ukrycia.

Keiro!

Ze smutkiem wspominam Twoją wizytę w drukarni. Wydaje mi się, że po naszym spotkaniu w Tuileries uczucia, które uważałem już za wygasłe, rozbudziły się z całą mocą.

Nigdy Ci nie mówiłem, jak bolesne było dla mnie rozstanie z Tobą, jak cierpiełem po Twoim odejściu, kiedy milczałaś, kiedy byłaś daleko, kiedy – co najgorsze – byłaś szczęśliwa i nie myślałaś o nas – o tym, kim dla siebie byliśmy. Ale musiałem się pogodzić z faktami – skoro jesteś kobietą, która przez samą swą obecność potrafi dać więcej szczęścia, niż może oczekiwać mężczyzna, to Twój egoizm i nieobecność sprawiają, że wokół powstaje pustka, której nigdy nic już nie zapelni. W końcu dotarło do mnie, że na darmo próbowałem Cię zatrzymać – to nie uda się nikomu. Kochasz szczerze, ale tylko przez pewien czas. Kilka chwil szczęścia, to już coś, nawet jeśli ci, których porzucasz, długo liżę rany.

Wolę, żebyśmy się już nie spotykali. Nie kontaktuj się ze mną, nie odwiedzaj, kiedy będziesz w Paryżu. Piszę to nie jako Twój dawny profesor, ale proszę jako przyjaciel.

Po naszej dyskusji długo rozmyślałem. Byłaś nieznośną studentką, ale jak Ci już mówiłem, masz instynkt, a to w Twoim zawodzie wielka zaleta. Jestem dumny z tego, co osiągnęłaś, nawet jeśli wcale się do tego nie przyczyniłem, bo każdy profesor dostrzegłby taki potencjał w adepcie archeologii. Teoria, którą mi przedstawiłaś, nie jest nierealna, przyznam, że byłbym skłonny w nią uwierzyć, więc może zbliżasz się do prawdy, która

tymczasem jest dla nas nieuchwytna. Podążaj tropem Pelazgów z hipogeum, kto wie, może dokądś Cię doprowadzi.

Po Twoim wyjściu z drukarni wróciłem do domu, sięgnąłem do książek, do których nie zaglądałem od lat, wyjąłem notatki i przejrzałem je. Wiesz, jaki ze mnie pedant – w gabinecie, gdzie spędziliśmy tyle wspólnych chwil, zawsze wszystko było posegregowane i uporządkowane. W jednym z zeszytów znalazłem wzmiankę o człowieku, którego prace mogłyby Ci się przydać. Poświęcił życie badaniu wielkich wędrówek ludów, jest autorem wielu prac na temat ludów azjatyckich, choć mało z nich opublikował, ograniczając się do wygłaszania referatów w niewielkich salach. Kiedyś i ja znalazłem się w jednej z nich. To było wiele lat temu. On także miał nowatorskie podejście do wędrówek pierwszych cywilizacji śródziemnomorskich. Miał licznych przeciwników, ale któż w naszym zawodzie ich nie ma? Nasi koledzy po fachu są bardzo zawistni. Człowiek, o którym mówię, to wielki erudyta, darzę go ogromnym szacunkiem. Odwiedź go, Keira. Dowiedziałem się, że przebywa na Yell – małej wyspie archipelagu Szetlandy, na północ od Szkocji. Ponoć żyje w odosobnieniu i nie chce z nikim mówić o swojej pracy, bo czuje się zraniony, ale może Twój urok sprawi, że wyjdzie z kryjówki i zechce z Tobą porozmawiać.

Znakomite odkrycie, którego zawsze pragnęłaś, to, które chciałabyś nazwać swoim imieniem, być może w końcu jest w zasięgu ręki. Wierzę w Ciebie, osiągniesz cel.

Powodzenia

Max

Keira złożyła kartkę i wsunęła ją do koperty. Podniosła się, wstawiła naczynia do zlewozmywaka i odkreśliła kran.

– Masz ochotę na kawę? – zapytała, odwrócona do mnie plecami.

Milczałem.

– Adrianie, bardzo mi przykro.

– Bo ten facet cię kocha?

– Nie, z powodu tego, co o mnie mówi.

– Rozpoznajesz siebie w kobiecie, którą opisał?

– Nie wiem, może dziś już nie, ale jest szczerzy, więc sądzę, że w jego słowach tkwi ziarno prawdy.

– Zarzuca ci, że jest ci łatwiej zranić tego, kto cię kocha, niż zaszkodzić własnemu wizerunkowi.

– Ty też uważasz mnie za egoistkę?

– Nie ja napisałem ten list. Ale to zwykłe tchórzostwo żyć, powtarzając sobie, że skoro miewamy się dobrze, to i innym będzie dobrze, i że wszystko jest tylko kwestią czasu. Jesteś także antropologiem, więc nie muszę ci tłumaczyć, jak działa cudowny instynkt samozachowawczy człowieka.

– Nie do twarzy ci z cynizmem.

– Jestem Anglikiem, na pewno mam to w genach. Jeżeli pozwolisz, wołałbym już o tym nie mówić. Przejdę się do biura podróży, mam ochotę zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Zamierzasz jechać na Yell, prawda?

Keira postanowiła iść ze mną. Ustaliliśmy, że wyjedziemy jutro. Polecimy przez Glasgow do

Sumburgh na największej wyspie Szetlandów. Stamtąd promem dotrzemy na Yell.

Z biletami w kieszeni wybraliśmy się na przechadzkę po King's Road. Londyn to miasto, w którym mam swoje nawyki, lubię na przykład przemierzać tę szeroką aleję handlową aż do Sydney Street, a potem spacerować alejkami Chelsea Farmer's Market. Tam umówiliśmy się z Walterem. Długi spacer pobudził we mnie apetyt. Walter dokładnie przestudiował menu i zamówił ogromnego hamburgera. Potem przysunął się i szeptnął mi do ucha:

- Akademia przekazała mi czek dla ciebie. To równowartość półrocznej pensji.
- A to z jakiej racji? – zdziwiłem się.
- Czas na złą wiadomość. Ze względu na powtarzające się nieobecności zachowasz tylko pracę na zlecenie, nie będziesz już miał etatu!
- Słowem, zwolnili mnie?
- W zasadzie nie. Bronię cię, jak mogłem, przechodzimy jednak przez okres cięć budżetowych, więc rada administracyjna jest zmuszona ograniczać wszelkie zbędne wydatki.
- Czy mam rozumieć, że w oczach rady stanowią zbędny koszt?
- Adrianie, w zarządzie nikt nawet nie wie, jak wyglądasz, a od powrotu z Chile właściwie nie pojawiłeś się w Akademii. Musisz ich zrozumieć.

Walter sposepniał.

- Coś jeszcze?
- Musisz zwolnić gabinet, polecono mi odesłać twoje rzeczy do domu. W przyszłym tygodniu ktoś ma się tym zająć.
- Zatrudnili już kogoś na moje miejsce?
- W zasadzie nie, ale po prostu przekazali twoje grupy koledze, który praktycznie nie opuszcza zajęć. Potrzebne mu miejsce, żeby przygotowywać wykłady, sprawdzać prace, przyjmować studentów... Twój gabinet bardzo mu odpowiada...
- Możesz mi zdradzić, kto jest tym uroczym kolegą, który tak zręcznie podstawił mi nogę?
- Nie znasz go, pracuje w Akademii dopiero trzy lata.

Z tego ostatniego zdania wynikało, że zarząd karze mnie za nadużycie swobody i że postanowił się ze mną ostatecznie policzyć. Walter był zdruzgotany, Keira unikała mojego spojrzenia. Wziąłem czek i postanowiłem zrealizować go jeszcze dziś. Byłem wściekły, ale mogłem mieć żal wyłącznie do siebie.

- Szamał ogarnął swym podmuchem nawet Anglię – szeptnęła Keira.

Ta drobna, nieco gorzka aluzja do wiatru, który unicestwił jej etiopskie badania, dowodziła, że napięcie po naszej porannej rozmowie jeszcze nie opadło.

- Co zamierzasz teraz zrobić? – zapytał z troską Walter.
- No cóż, skoro zostałem bezrobotnym, będziemy mogli swobodnie podróżować.

Keira walczyła z opornym kawałkiem mięsa, ale miałem wrażenie, że chętnie zjadłaby nawet porcelanowy talerz, byle tylko wyłączyć się z tej rozmowy.

- Dostaliśmy wiadomość od Maksa – powiedziałem, patrząc na Waltera.
- Maksa?
- To dawny przyjaciel mojej dziewczyny...

Kawałek befsztyka wystrzelił spod ostrza noża Keiry i przeleciał kilka metrów, lądując w końcu pod nogami kelnera.

- Właściwie nie jestem głodna – powiedziała. – Późno jadłam śniadanie.

– Czy to ten list, który wczoraj wam oddałem? – zainteresował się Walter.

Keira zakrztusiła się piwem i zaczęła gwałtownie kasłać.

– Nie przerywajcie sobie, nie zwracajcie na mnie uwagi... – powiedziała, ocierając usta.

– Tak, to właśnie ten list.

– To ma coś wspólnego z waszymi planami podróży? Daleko jedziecie?

– Na północ, na Szetlandy.

– Doskonale znam ten rejon, w młodości spędzałem tam wakacje, ojciec zabierał nas do krewnych w Whalsay. To kraina jałowej ziemi, ale latem przepiękna i nigdy nie jest tam gorąco, a tata nie znosił upałów. Zimy są ostre, ale tata kochał zimę. Jednakże nigdy nie bywaliśmy na Szetlandach zimą. Na którą wyspę się wybieracie?

– Na Yell.

– Byłem tam kiedyś. Na jej północnym krańcu wznosi się dom, który uchodzi za najbardziej nawiedzony w całym Królestwie. Windhouse to ruina, jak głosi jej nazwa, smagana przez wiatr. Ale dlaczego właśnie Yell?

– Zamierzamy odwiedzić znajomego Maksa.

– A czym zajmuje się ten człowiek?

– Jest emerytem.

– Oczywiście, to zupełnie normalne: jedziecie do północnej Szkocji, żeby odwiedzić emerytowanego przyjaciela starego przyjaciela Keiry. Na pewno coś się za tym kryje. Mam wrażenie,

że oboje zachowujecie się dziś dziwnie. Czy coś przede mną ukrywacie?

– Walterze, wiesz, że Adrian ma paskudny charakter? – odezwała się nagle Keira.

– Dawno to zauważyłem – odpowiedział.

– Skoro o tym wiesz, to niczego innego nie mamy do ukrycia.

Keira poprosiła, żebym jej dał klucze do domu. Wolą się przejść i zostawić nas samych. Uznała, że możemy bez niej skończyć tę pasjonującą męską rozmowę. Pożegnała się z Walterem i wyszła z restauracji.

– Pokłóciliście się? Coś ty znowu narozrabiał, Adrianie?

– Nie wierzę własnym uszom! Dlaczego z góry zakładasz, że to moja wina?

– Ponieważ to ona wstała od stołu i odeszła, nie ty. Rozumiesz? A teraz słucham, powiedz mi, co znowu zrobiłeś?

– Nic, do diabła! Chyba że moją winą jest kamienny spokój, z jakim słuchałem miłosnej prozy faceta, który napisał ten list.

– Przeczytałeś adresowany do niej list?!

– Sama mi go przeczytała!

– To świadczy o jej uczciwości. Jeżeli dobrze zrozumiałem, Max był jej przyjacielem.

– Z gatunku przyjaciół, z którymi sypia się nago. Byli razem kilka lat temu.

– Nie przesadzaj, stary, ty też nie byłeś dziewicą, kiedy się spotkaliście. Mam ci przypomnieć, co mi opowiadałeś? O pierwszym małżeństwie, o pani doktor, o rudej kelnerce z baru...

– Nigdy nie było żadnej rudej kelnerki z baru!

– Tak? Pewnie ja sam kiedyś się w takiej kochałem. Mniejsza o szczegóły, ale nie wmawiaj mi, że jesteś głupcem zazdrosnym o przeszłość kobiety!

- Dobrze, niczego nie będę ci wmawiał.
- Powinieneś błogosławić tego Maksa, zamiast pałać do niego nienawiścią.
- Może mi wytłumaczysz, za co mam go błogosławić?
- Gdyby nie był takim głupcem i nie pozwolił jej odejść, dziś nie moglibyście być razem.

Te słowa mnie zaintrygowały. Rozumowanie Waltera nie było całkowicie pozbawione sensu.

– A teraz postaw mi jeszcze deser i jak najszybciej idź ją przeprosić. Nie rozumiem, jak możesz ciągle być takim niezdarą!

Mus czekoladowy musiał być pyszny, bo Walter miał ochotę na jeszcze jedną porcję. Prawdę mówiąc, podejrzewałem, że chce przedłużyć nasze spotkanie i pomówić ze mną o ciotce Elenie, a może raczej posłuchać, co ja o niej myślę. Zamierzał zaprosić ją na kilka dni do Londynu i chciał się dowiedzieć, czy moim zdaniem Elena zgodzi się go odwiedzić. Nie przypominałem sobie, żeby ciotka kiedykolwiek wyjechała dalej niż do Aten, ale teraz nic nie było mnie już w stanie zaskoczyć, a od niedawna praktycznie wszystko wydawało mi się możliwe. Mimo to radziłem Walterowi, żeby subtelnie rozegrał tę sprawę. Pozwolił udzielać sobie wskazówek, a w końcu wyznał z pewnym zażenowaniem, że już z nią o tym rozmawiał, a ona odpowiedziała, że marzy o wyprawie do Londynu. Razem postanowili, że wyjadą pod koniec miesiąca.

– Po co wciągnąłeś mnie w tę rozmowę, skoro znasz już odpowiedź?

– Chciałem się upewnić, że nie jesteś temu przeciwny. Jesteś jedynym mężczyzną w waszej rodzinie, to chyba normalne, że proszę cię o zgodę na związek z twoją ciotką.

– Chyba coś przeoczyłem, bo nie pamiętam, żebyś mnie o coś prosił.

– Powiedzmy, że starałem się wybadać, jakie jest twoje nastawienie do naszej przyjaźni.

Gdybym wyczuł najłżejszą

wrogość z twojej strony, kiedy cię wypytywałem o moje szanse u niej...

– To co? Zrezygnowałbyś ze spotkania z nią?

– Nie – przyznał Walter. – Ale prosiłbym Elenę, żeby cię przekonała, że nie powinieneś mieć do mnie żalu. Adrianie, parę miesięcy temu ledwie cię znałem, ale przez ten czas bardzo się do ciebie przywiązałem i nie chciałbym cię niczym zranić. Nasza przyjaźń jest dla mnie niezwykle cenna.

– Walterze – zacząłem, patrząc mu prosto w oczy.

– Co? Myślisz, że mój związek z Eleną jest niestosowny, tak?

– Jestem zachwycony, że moja ciotka odnalazła wreszcie właśnie przy tobie szczęście, na które tak długo musiała czekać. Na Hydrze miałeś rację: gdybyś to ty był od niej starszy o dwadzieścia lat, nikogo by to nie dziwiło, więc przestańmy się przejmować drobnomieszczańską hipokryzją i stereotypami.

– Nie naśmiewaj się z tamtejszych ludzi, obawiam się, że również w Londynie na takie związki nie patrzy się przychylnie.

– Nie musicie przecież całować się pod oknem Akademii, na oczach członków zarządu...

Chociaż, prawdę mówiąc, to by było całkiem zabawne.

– Czyli mam twoją zgodę?

– Nie jest ci do niczego potrzebna!

– W pewnym sensie jest, bo twoja ciotka wolałaby, żebyś ją wyręczył i pomówił o jej podróży z matką... Powiedziała też... Jeśli się zgodzi”.

Telefon rozdzwonił mi się w kieszeni. Na ekranie zobaczyłem swój numer domowy,

domyśliłem się więc, że Keira zaczyna się niecierpliwić. Cóż, mogła przecież zostać z nami.

– Nie odbierzesz? – zapytał z niepokojem Walter.

– Nie. Na czym stanęliśmy?

– Mówiliśmy o drobnej przysłudze, na jaką liczymy z twojej strony, ja i Elena.

– Chcacie, żebym powiedział matce o szaleństwach jej siostry? Z trudem przychodzi mi rozmawiać z nią o moim własnym życiu, ale zrobię, co w mojej mocy, jestem ci to winien.

Walter chwycił mnie za rękę i mocno je uściskał.

– Dziękuję, bardzo ci dziękuję – powiedział, potrząsając mną jak gruszą.

Telefon znowu się rozdzwonił, ale nie podniosłem go nawet ze stolika, na którym leżał, i przywołałem kelnerkę, żeby zamówić kawę.

Paryż

Lampa oświetlała biurko Ivory'ego. Profesor porządkował notatki. Gdy zadzwonił telefon, zdjął okulary i podniósł słuchawkę.

– Chciałem pana poinformować, że przekazałem pański list adresatce.

– Czytała go już?

– Tak, dziś rano.

– Jak zareagowali?

– Jeszcze za wcześnie, żebym mógł coś powiedzieć...

Ivory podziękował Walterowi. Potem połączył się z jakimś numerem i chwilę czekał.

– Pański list dotarł do celu. Chciałem panu podziękować. Napisał pan to, o co prosiłem?

– Przepisałem go słowo w słowo, pozwoliłem sobie tylko dorzucić kilka słów od siebie.

– Prosiłem, żeby pan nic nie zmieniał!

– W takim razie trzeba było napisać list osobiście albo na przykład powiedzieć to, co pan miał do powiedzenia! Po co posługiwał się pan pośrednikiem? Właściwie nie rozumiem, w co pan gra.

– Bardzo bym chciał, żeby to była tylko gra. Ona ufa panu znacznie bardziej niż mnie czy komukolwiek innemu, a proszę

pamiętać, że nie mówię tego, żeby panu schlebiać, Max. To pan był jej wykładowcą, nie ja. Kiedy zatelefonuje za parę dni, żeby pomówić o tym, czego się dowie na Yell, tylko umocnię w niej przekonanie, że to właściwy trop. Przecież dwie pozytywne opinie to więcej niż jedna, prawda?

– Nie wtedy, kiedy obie opinie pochodzą od tej samej osoby.

– Ale ona o tym nie wie, nikt oprócz nas dwóch nie wie. Jeżeli ma pan jakieś wątpliwości, to może uda mi się je rozwiązać, zapewniając, że robię to dla ich bezpieczeństwa. Proszę mnie poinformować, kiedy do pana zadzwoni. Jestem pewien, że to zrobi. I proszę się postarać, żeby był pan nieosiągalny, tak jak ustaliliśmy. Jutro podam panu mój nowy numer. Dobranoc, Max.

Londyn

Wyjeżdżaliśmy wcześniej rano. Keira była tak senna, że ledwie trzymała się na nogach.

Zasnęła już w taksówce i musiałem ją obudzić, kiedy dotarliśmy na Heathrow.

- Coraz mniej lubię latać samolotami – powiedziała, gdy samolot nabierał wysokości.
- W takim fachu to dość kłopotliwe, chyba nie zamierzasz iść na daleką północ piechotą?
- Są jeszcze statki...
- W zimie?
- Daj mi spać.

W Glasgow mieliśmy trzy godziny do następnego lotu. Chciałem zabrać Keirę na spacer po mieście, ale pogoda była raczej niesprzyjająca. Keira bała się startu w złych warunkach meteorologicznych, a te pogarszały się z każdą chwilą. Niebo zrobiło się prawie czarne, ciężkie chmury zawisły nad horyzontem. Co godzina ogłaszano przez megafon czas opóźnienia i proszono pasażerów o cierpliwość. Silna burza spowodowała zalenie pasa startowego, większość lotów odwołano, ale nasz był jednym z tych nielicznych, które miały się odbyć.

– Jak oceniasz szanse na spotkanie z tym staruszką? Myślisz, że zechce z nami mówić? – zapytałem, kiedy zamykano już barek.

- A jak ty oceniasz szanse na to, że dotrzemy cali i zdrowi na Szetlandy? – zapytała Keira.
- Nie sądzę, żeby narażano nas na bezsensowne ryzyko.
- Cóż za fascynująca wiara w człowieka! – odparła Keira.

Rozjaśniło się. Wykorzystując chwilową poprawę pogody, wezwano nas pilnie na pokład samolotu. Keira z niechęcią ruszyła w stronę stanowiska odprawy.

– Popatrz – powiedziałem, wskazując palcem niebo za oknem – chmury się rozproszyły, samolot wleci w tę lukę i uniknie zetknięcia z frontem atmosferycznym.

– I myślisz, że takim korytarzem między chmurami dolecimy aż do miejsca, w którym mamy wylądować?

Przyjemną stroną turbulencji, które towarzyszyły nam nieustannie przez pięćdziesiąt pięć minut podróży, było to, że Keira kurczowo trzymała się mojego ramienia i nie puściła go ani na chwilę.



Na Szetlandy dotarliśmy po południu przy rześkim deszczu. W agencji doradzono nam wynajęcie samochodu już na lotnisku. Pokonaliśmy ponad sto kilometrów drogi wijącej się po równinach wśród łąk, na których pasły się stada owiec. Zwierzęta żyły tu na wolności, więc hodowcy barwili wełnę swoich owiec, aby odróżnić je od należących do sąsiada. Dzięki temu tutejsza wieś nabierała pięknych barw kontrastujących z szarością nieba. W Toft wsiedliśmy na prom, który płynął do Ulsta, wsi na wschodnim brzegu Yell; poza tym na wyspie były tylko małe osady.

Przygotowałem naszą podróż i wiedziałem, że na Yell nie ma hoteli ani pensjonatów, a na nas czeka pokój w Bed and Breakfast w Burravoe.

Wspomniany Bed and Breakfast to farma, której właściciele przeznaczyci jeden pokój dla nielicznych gości pragnących zaszyć się na tym pustkowiu.

Yell jest jedną z tych wysp na krańcach świata, pasem ziemi długości trzydziestu pięciu, a szerokości zaledwie dwunastu kilometrów. Mieszka na niej dziewięćset pięćdziesiąt siedem osób – liczba jest dokładna, bo każde narodziny i każdy zgon to ważne wydarzenie demograficzne.

Znacznie liczniejsze są tu szare foki i wydry.

Małżeństwo hodowców, które nas przyjęło, na pierwszy rzut oka wydawało się przesympatyczne, tyle że z powodu akcentu nie byłem w stanie dobrze ich zrozumieć. Kolację jadło się tu o szóstej, więc o siódmej powędrowaliśmy do pokoju, który oświetlały dwie świece. Na zewnątrz podmuchy wiatru szarpały okiennicami, skrzypiała pokryta rdzą turbina wiatrowa, krople deszczu dzwoniły o szyby. Keira przytuliła się do mnie, ale tej nocy żadne z nas nawet nie zdążyło pomyśleć o seksie.



Nazajutrz nie żalowałem już, że tak wcześnie zasnęliśmy, bo czekała nas pobudka skoro świt. Beczenie owiec, chrząkanie świń, kwakanie, gęganie, gdakanie i inne ptasie głosy rozbrzmiewały na tle ryczenia krowy, za to jajka, bekon i kozie mleko, które gospodyni podała na śniadanie, miały smak, o jakim od tamtej pory mogę już, niestety, tylko marzyć. Kobieta zapytała, co sprowadza nas na wyspę.

– Przyjechaliśmy tu, żeby odwiedzić pewnego antropologa, który się tu przeprowadził. Nazywa się Yann Thornsten. Zna go pani? – zapytała Keira.

Gospodyni wzruszyła ramionami i wyszła z kuchni. Popatrzyliśmy na siebie zdumieni jej reakcją.

– Pytałaś wczoraj, jakie są szanse na to, że ten człowiek się z nami spotka? Moje przewidywania były chyba zbyt optymistyczne, czas je urealnić – szepnąłem.

Po zjedzeniu śniadania wyszedłem na podwórze i odszukałem męża naszej gospodyni. Kiedy zapytałem o niejakiego Yanna Thornstena, farmer wydał usta.

– Spodziewa się was?

– Właściwie nie.

– W takim razie powita was jego strzelba. Ten Holender to odrażający typ. Nikomu nie mówi nawet dzień dobry ani do widzenia. Raz w tygodniu przyjeżdża do wsi, żeby zrobić zakupy, ale i wtedy do nikogo się nie odzywa. Dwa lata temu rodzina z sąsiadującej z nim farmy miała poważny problem. Kobieta zaczęła rodzić w środku nocy, nie wszystko poszło jak należy. Trzeba było jechać po lekarza, a samochód męża nie chciał zapalić. Chłopak szedł przez pola, żeby poprosić o sąsiedzką pomoc, pokonał w ciemności i deszczu kilometr, a Holender wyszedł z karabinem i zaczął strzelać. Dziecko nie przeżyło. Powtarzam panu, to wstrętny typ. Kiedy przyjdzie na niego czas, nad jego trumną pochylą się tylko ksiądz i stolarz.

– Dlaczego akurat stolarz? – zdziwiłem się.

– Bo to on jest właścicielem karawanu, no i ciągnącego go konia.

Opowiedziałem o tej rozmowie Keirze i postanowiliśmy wybrać się na spacer wzdłuż wybrzeża, żeby spokojnie opracować strategię, jaką należy przyjąć wobec tego człowieka.

– Pójdę do niego sama – oznajmiła Keira.

– Głupi pomysł, nie ma mowy!

– Przecież nie strzeli do kobiety, w której nie zobaczy zagrożenia. Posłuchaj, na wyspach opowiada się mnóstwo historyjek o złych sąsiadach, a ten człowiek z pewnością nie jest takim potworem, jakiego nam opisują. Znam wielu ludzi gotowych strzelać do cienia kręcącego się wokół domu w środku nocy.

- Masz osobliwych znajomych!
- Podwieź mnie w pobliże jego posiadłości, dalej pójdę piechotą.
- Na pewno nie!
- Zapewniam, że do mnie nie strzeli. Zresztą bardziej boję się lotu powrotnego niż spotkania z tym facetem.



Nasza potyczka na argumenty trwała przez cały spacer. Szliśmy wzdłuż brzegu, odkrywając dzikie zatoczki. Keira zachwyciła się wydrą– zwierzę nie było bojaźliwe, mieliśmy nawet wrażenie, że cieszy je nasza obecność, bo biegło za nami, zachowując kilkumetrowy dystans. Daliśmy się wciągnąć w tę zabawę i pozostaliśmy w pobliżu przez ponad godzinę. Wiatr był lodowaty, ale nie padało, więc przechadzka była całkiem miła. Nieco później spotkaliśmy człowieka, który wracał z połowu, i zapytaliśmy go o drogę. Mówił z jeszcze silniejszym akcentem niż nasi gospodarze.

- A dokąd chcecie dojść?
 - Do Burravoe.
 - To o godzinę drogi stąd – powiedział, odchodząc.
- Keira zostawiła mnie i pobiegła za nim.
- Piękna okolica – zagadnęła, zrównując się z nim.
 - Co kto lubi – odparł.
 - Ale zimy są tu pewnie ciężkie, prawda? – ciągnęła.
 - Długo jeszcze będzie mnie pani zanudzała takimi bzdurami? Spieszę się, muszę sobie zrobić obiad.
 - Pan Thornsten?
 - Nie znam nikogo takiego – burknął, przyspieszając kroku.
 - Na tej wyspie mieszka tak niewiele osób, że trudno mi w to uwierzyć.
 - Niech pani wierzy, w co pani chce, tylko proszę dać mi spokój. Chciała pani, żebym wskazał wam drogę, a teraz idzie pani w przeciwną stronę. Niech się pani odwróci i rusza przed siebie.
 - Jestem archeologiem. Przyjechaliśmy z daleka, specjalnie do pana.
 - Nie obchodzi mnie, czy jest pani archeologiem, czy kimkolwiek innym. Już mówiłem, że nie znam żadnego Thornstena.
 - Proszę tylko, żeby mi pan poświęcił kilka godzin, czytałam pańskie prace o wielkich wędrownikach w epoce paleolitu, potrzebuję pańskiej wiedzy.
- Mężczyzna zatrzymał się i zmierzył Keirę od stóp do głów.
- Wygląda pani na natrętną babę, a ja nie chcę, żeby ktoś mi zawracał głowę.
 - A pan wygląda na zgorzkniałego i antypatycznego faceta.
 - Zgadza się – powiedział, uśmiechając się – i dlatego nie ma sensu, żebyśmy zawierali znajomość. W jakim języku mam pani powiedzieć, że chcę, żeby mi pani dała spokój?
 - Może po holendersku! Chyba mało kto na tej wyspie ma taki akcent jak pan.
- Mężczyzna odwrócił się i odszedł. Keira znowu pobiegła za nim.
- Może się pan nadać, nie przeszkadza mi to, pójdę za panem nawet do pana domu, jeżeli nie będzie pan chciał ze mną porozmawiać. I co pan zrobi, kiedy stanimy pod drzwiami? Złapie pan

strzelbę i przegoni mnie?

– To ci farmerzy z Burravoe naopowiadali pani takich bzdur? Radzę nie słuchać wszystkich głupstw, które plotą na tej wyspie. Miejscowi potwornie się tu nudzą i sami nie wiedzą, co jeszcze wymyślić.

– Co mnie to obchodzi! – odparła. – Dla mnie ważne jest tylko to, czego mogę się od pana dowiedzieć, nic poza tym.

Mężczyzna po raz pierwszy zwrócił uwagę na mnie. Zostawił na chwilę Keirę i zrobił krok w moją stronę.

– Zawsze jest taka upierdliwa czy może zasłużyłem sobie na wyjątkowe traktowanie?

Sam nie odważyłbym się tak tego ująć, ale skwitowałem jego pytanie uśmiechem i potwierdziłem, że Keira ma ostry charakter.

– A pan? Czym się pan zajmuje, kiedy pan za nianie chodzi?

– Jestem astrofizykiem.

Jego twarz nagle się zmieniła, a ciemnoniebieskie oczy otworzyły się szerzej.

– Lubię gwiazdy – szepnęła – kiedyś mnie prowadziły... – Popatrzył na czubki swoich butów i kopnął kamyk, który wzbil się w górę. – Domyślam się, że pan też lubi patrzeć w niebo, skoro wybrał pan taki zawód? – podjął.

– Tak mi się wydaje – odpowiedziałem.

– Chodźcie, mieszkam przy końcu tej drogi. Napijemy się czegoś, opowie mi pan o gwiazdach, a potem zostawicie mnie w spokoju. Układ stoi?

Uścisnęliśmy sobie ręce, co oznaczało zawarcie umowy. Wytarty dywan na drewnianej podłodze, stary fotel przy kominku, pod ścianą dwie biblioteki uginające się pod ciężarem książek i kurzu, w kącie żelazne łóżko pokryte starą patchworkową narzutą, lampka i stolik nocny – tak wyglądała główna izba domu. Gospodarz zaprosił nas do kuchennego stołu i podał kawę – równie gorzką jak czarną. Zapalił papierosa i bacznie się nam przypatrywał.

– Po co właściwie tu przyjechaliście? – zapytał, zdmuchując zapałkę.

– Potrzebne nam informacje o pierwszych migracjach, które dotarły na daleką północ w drodze do Ameryki.

– Te ruchy migracyjne budzą wiele sporów, a zaludnianie kontynentu amerykańskiego jest kwestią bardziej złożoną, niż mogłoby się wydawać. Ale tego wszystkiego można się dowiedzieć z książek, nie musiała pani się tu fatygować.

– Czy pańskim zdaniem jest możliwe – ciągnęła Keira – że jakaś grupa wyruszyła z rejonu Morza Śródziemnego, aby dotrzeć do Cieśniny Beringa i Morza Beauforta przez biegun?

– Niezły spacer – zaśmiał się Thornsten. – Zakłada pani, że odbyli tę podróż samolotem?

– Nie musi pan ze mnie drwić, proszę tylko o odpowiedź.

– A w jakim okresie miałyby, pani zdaniem, odbyć się ta wędrówka?

– Cztery do pięciu tysięcy lat przed naszą erą.

– Nigdy o niczym takim nie słyszałem. Dlaczego właśnie w tym czasie?

– Ponieważ interesuje mnie ten okres.

– Lody były znacznie grubsze niż dziś, a ocean mniejszy. Przemieszczając się w sprzyjających porach roku, można by to osiągnąć. A teraz zagrajmy w otwarte karty. Twierdzi pani, że czytała moje prace, a ja nie mam pojęcia, jak dokonała pani tego cudu, skoro bardzo mało publikowałem. Pani jest zaś stanowczo za młoda, żeby móc pamiętać któryś z moich

niewielu wykładów poświęconych temu tematowi. Gdyby rzeczywiście znała pani moje publikacje, znalazłyby pani odpowiedź przed przyjazdem tutaj, ponieważ właśnie takich teorii broniłem. To z ich powodu usunięto mnie z Towarzystwa Archeologicznego. Dlatego teraz ja zadam pani dwa pytania: czego naprawdę ode mnie oczekujecie i do jakiego celu jest wam to potrzebne?

Keira duszkiem wypła filiżankę kawy.

– Dobrze – powiedziała – wyłożmy karty na stół. Nigdy nie czytałam pańskich tekstów, jeszcze tydzień temu nie wiedziałam o ich istnieniu. Pewien profesor, mój przyjaciel, poradził mi zwrócić się do pana. Twierdzi, że mógłby pan udzielić mi informacji na temat wielkich wędrówek, co do których nie ma zgody wśród naszych kolegów po fachu. Zawsze grzebię tam, gdzie inni nie chcą już niczego szukać. A dziś poszukuję drogi, którą człowiek mógłby przejść przez daleką północ w czwartym lub piątym tysiącleciu.

– Po co mieliby podjąć taką podróż? – zapytał Thornsten. – Co skłoniłoby ich do narażania życia? Moja panno, to kluczowe pytanie, jakie powinien sobie zadać każdy, kto twierdzi, że interesuje się migracjami. Człowiek migruje tylko z konieczności: bo jest głodny, spragniony albo prześladowany. Wtedy instynkt samozachowawczy każe mu się przemieszczać. Weźmy na przykład panią: opuściła pani wygodne gniazdko, żeby przyjść do tej starej chaty, ponieważ czegoś pani potrzebuje, prawda?

Keira popatrzyła na mnie, szukając w moich oczach odpowiedzi na pytanie, którego treść odgadłem. Czy powinniśmy zaufać temu człowiekowi, podjąć ryzyko, pokazując mu kawałki tajemniczego znaleziska, połączyć je znowu i zaprezentować mu fascynujące zjawisko? Zauważyłem, że w każdej kolejnej prezentacji intensywność światła maleje. Woląłem oszczędzić tę energię, a poza tym działać tak, aby o tym, co próbujemy odkryć, wiedziało jak najmniej ludzi. Skinąłem głową, dając Keirze zrozumiały dla niej znak. Spojrzała na Thornstena.

– Słucham – ponaglił.

– Żeby przekazać wiadomość – odparła Keira.

– Jakiego rodzaju?

– Bardzo ważną informację.

– Komu?

– Mistrzom cywilizacji zamieszkujących poszczególne wielkie kontynenty.

– Jak mieliby odgadnąć, że tak daleko od nich istnieją inne cywilizacje?

– Tego nie mogli być pewni, ale nie znam podróżnika, który, podejmując wyprawę, wie, co znajdzie u jej celu. Lecz ci, o których mówię, zetknęli się z tyłoma ludami poza własnym, że mogli zakładać istnienie jeszcze innych, zamieszkujących

odległe ziemie. Mam już dowód na to, że trzy tego typu podróże rozpoczęto właśnie w tym okresie. Wszystkie one były bardzo dalekie. Jedna na południe, druga na wschód, aż do Chin, trzecia na zachód. Aby potwierdzić moją teorię, potrzebuję już tylko ustalić, że była i ta czwarta wyprawa, na północ.

– Naprawdę ma pani dowód potwierdzający te wędrówki? – zapytał Thornsten z lekkim powątpiewaniem.

Jego głos się zmienił. Przysunął krzesło do Keiry, położył rękę na stole i paznokciami drapał drewniany blat.

– Nie okłamywałabym pana – zapewniła Keira.

- Chce pani powiedzieć: nie dwa razy z rzędu?
- Przed chwilą starałam się pana oswoić, bo słyszałam, że nie jest pan zbyt przystępny.
- Żyję w odosobnieniu, ale nie jestem zwierzęciem!

Thornsten popatrzył na Keirę. Wokół oczu miał wiele zmarszczek, a spojrzenie tak przenikliwe, że trudno było je wytrzymać. Wstał i odszedł, zostawiając nas na chwilę samych.

– Jeszcze porozmawiamy o gwiazdach, nie zapomniałem o naszym układzie – zawołał z pokoju.

Wrócił z długą tubą, z której wyjął mapę. Rozłożył ją na stole i przycisnął rogi filiżankami i popielniczką.

– Proszę – powiedział, wskazując północ Rosji na mapie świata. – Jeżeli taka wędrówka faktycznie miała miejsce, posłańcy mieliby wiele możliwych dróg. Jedna wiodłaby przez Mongolię i Rosję do Cieśniny Beringa, jak to pani sugerowała. W tamtym okresie ludy sumeryjskie potrafiły już budować łodzie wystarczająco mocne, by wyprawiać się nimi szlakiem między lodowcami i docierać na Morze Beauforta, choć nie mamy dowodów na to, że takie rejsy się odbywały. Inny możliwy szlak wiedzie przez Norwegię, Wyspy Owce, Islandię, potem wokół Grenlandii, przez Morze Baffina do Morza Beauforta. Ale to wszystko pod warunkiem, że podróżnicy przeżyliby w niskich polarnych temperaturach, że podczas rejsu żywiliby się rybami i że nie pożarłyby ich niedźwiedzie. Cóż, wszystko jest możliwe.

– Możliwe czy prawdopodobne? – naciskała Keira.

– Bronilem tezy, zgodnie z którą ludy eurazjatyckie podjęły takie wędrówki ponad dwadzieścia tysięcy lat przed naszą erą. Ja również twierdziłem, że cywilizacja sumeryjska pojawiła się nad Eufratem i Tygrysem nie tylko dzięki opanowaniu sztuki uprawy orkiszu, ale nikt mi nie wierzył.

– Po co mówi pan o Sumerach? – zapytała Keira.

– Ponieważ ta cywilizacja jako pierwsza czy też jedna z pierwszych stworzyła pismo, jako jedna z pierwszych posiadała narzędzie pozwalające ludziom zapisywać mowę. Znajac pismo, Sumerowie stworzyli architekturę i zaczęli budować statki z prawdziwego zdarzenia. Pragnie pani udowodnić, że wielka podróż odbyła się tysiące lat temu, i liczy pani, że świadectwa takiego wydarzenia znajdują się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, że jakiś Tomcio Paluch rzuci okruszki albo kamyczki, po których dotrze pani do tego, czego szuka? To przerażająca naiwność. Jeżeli coś się wydarzyło lub istnieje, to na ślad natrafi pani w tekstach. Czy chce pani posłuchać, co jeszcze mam do powiedzenia, czy też zamierza mi przerywać swoją pustą paplaniną?

Ująłem Keirę za rękę i zamknąłem na niej dłoń, błagając tym gestem, żeby pozwoliła mi mówić.

– Niektórzy badacze utrzymują, że Sumerowie osiedlili się nad Eufratem i Tygrysem, ponieważ orkisz doskonale tam rósł, a oni nauczyli się przechowywać to zboże. Po zbiorach gromadzili zapasy, które zapewniały wyżywienie w chłodnej porze roku, gdy ziemia nie rodziła, i nie musieli już prowadzić wędrownego trybu życia, żeby nie umrzeć z głodu. Staram się pani wyjaśnić, że osadnictwo dowodzi przejścia człowieka z etapu przetrwania do fazy życia. Osiedły lud zajmuje się ulepszaniem warunków bytu i dopiero wówczas zaczyna się rozwój cywilizacji. Jeżeli jakiś kataklizm geograficzny czy też klimatyczny zniszczy ten ład, pozbawiając człowieka chleba powszedniego, znów zaczynają się wędrówki. Ucieczka czy też migracja to walka, której motyw jest niezmienny: odwieczna wola zachowania gatunku. Lecz wiedza Sumerów osiągnęła

tak wysoki poziom, że trudno mówić o prostych rolnikach, którzy nagle postanowili wieść osiadły tryb życia. Wysunąłem teorię, że ich wspaniale rozwinięta cywilizacja powstała w wyniku połączenia różnych grup, z których każda stworzyła wcześniej własną kulturę. Jedni pochodziliby z Półwyspu Indyjskiego, inni mogli przybyć zza morza, wzdłuż brzegów Iranu, jeszcze inni z Azji Mniejszej, znad Morza Azowskiego, Czarnego, Egejskiego, Śródziemnego, bo przecież te morza wcale nie są od siebie tak bardzo oddalone, a niektóre są ze sobą wręcz połączone. Te migrujące ludy połączyły się, by stworzyć wspaniałą cywilizację. I jeśli jakiś lud mógłby podjąć podróż, o której pani mówi, to wyłącznie oni! A jeśli tak było, na pewno o tym opowiedzieli. Niech pani odnajdzie tablice z tymi relacjami, a będzie pani miała dowód na istnienie tego, czego pani szuka.

– *Podzieliłem tablicę rzeczy do zapamiętania* – szepnęła Keira.

– Co pani powiedziała? – Thornsten uważniej na nią spojrział.

– Odnaleźliśmy tekst zaczynający się od słów: *Podzieliłem tablicę rzeczy do zapamiętania*.

– Co to za tekst?

– To długa historia, został spisany w języku gyyz, a nie po sumeryjsku.

– Głupia dziewczyno! – zgromił ją Thornsten, uderzając pięścią w stół. – Przecież to wcale nie znaczy, że trafiła pani na oryginał. Może to być znacznie późniejsza transkrypcja relacji z wydarzeń, o których pani mówi. Skończyła pani studia, prawda? Opowieści są przekazywane z pokolenia na pokolenie,

przekraczają granice, inne ludy przeobrażają je i zawłaszczają. Czy pani wie, ile takich zapożyczeń odnaleziono w Starym i Nowym Testamencie? Fragmenty opowieści przejęte od innych cywilizacji, znacznie starszych od judaizmu i chrześcijaństwa, które tylko je powieliły. Anglikański arcybiskup James Usser, prymas Irlandii, opublikował w latach tysiąc sześćset dwadzieścia pięć-pięćdziesiąt sześć kronikę, zgodnie z którą wszechświat miał się narodzić w niedzielę, dwudziestego trzeciego października roku cztery tysiące czwartego przed Jezusem Chrystusem. Co za brednie! Bóg stworzył czas, przestrzeń, Galaktykę, gwiazdy, Słońce, Ziemię i zwierzęta, mężczyznę i kobietę, piekło i raj. Kobiety stworzył z zebra mężczyzny!

Thornsten wybuchnął śmiechem. Wstał, żeby przynieść butelkę wina, otworzył ją, napełnił trzy kieliszki i postawił je na stole. Swoją opróżnił do dna i natychmiast znowu napełnił.

– Gdybyście wiedzieli, ilu kretynów wierzy do dziś, że mężczyźni mają o jedno zebro mniej niż kobiety, śmiałybyście się do rana... a cała ta bajka jest zainspirowana sumeryjskim poematem i zrodziła się ze zwykłej gry słów. Biblia jest pełna takich zapożyczeń, do których należy sławny potop z arką Noego, inna legenda spisana przez Sumerów. Dlatego proszę zapomnieć o ludach z hipogeum, bo to fałszywy trop. Oni mogli być tylko przekazującymi; wyłącznie Sumerowie mogli zbudować statki nadające się do wyprawy, o której pani mówi. To oni wszystko wymyślili! Egipcjanie wzorowali się na nich i w piśmie, które było inspiracją dla hieroglifów, i w konstrukcjach statków, i w budowie kamiennych miast. Jeżeli taka wyprawa się odbyła, to musiała zacząć się tam! – oznajmił Thornsten, wskazując Eufrat.

Wstał i poszedł do pokoju.

– Zaczekajcie, zaraz coś przyniosę.

Przez krótką chwilę, którą spędziliśmy sami w kuchni, Keira wodziła palcem po rzece, wpatrując się w mapę. Uśmiechnęła się i powiedziała cicho:

– Szamal tam właśnie się rodzi, w tym miejscu, które wskazał Thornsten. Dziwne, że

przepędził mnie z doliny Omo, żeby w końcu skłonić mnie do powrotu w swój rejon.

– Szelest motyli skrzydeł... – powiedziałem, wzruszając ramionami. – Gdyby szamał nie uderzył, nie byłoby nas tutaj.

Thornsten wrócił do kuchni, niosąc inną mapę, dokładniej pokazującą półkulę północną.

– Jakie było rzeczywiste usytuowanie lodów w tamtych czasach? Które szlaki się zamknęły, które dopiero otwały? To wszystko jedynie przypuszczenia. Pani teorię można byłoby potwierdzić, odnajdując dowód tych wędrowców, jeśli nie w punkcie docelowym, to przynajmniej tam, gdzie posłańcy się zatrzymywali. Nie ma pewności, że dotarli do celu.

– Który z tych dwóch szlaków wybrałby pan, chcąc podążać ich śladem?

– Obawiam się, że nie przetrwały żadne ślady, chyba że...

– Co takiego? – zapytałem.

Po raz pierwszy odważyłem się wtrącić do rozmowy. Thornsten spojrział na mnie, jakby w końcu zauważył moją obecność.

– Mówiła pani o pierwszej podróży do Chin. Ci, którzy tam dotarli, mogli iść dalej, do Mongolii, a wówczas najbardziej logiczny byłby wybór szlaku nad Bajkałem. Stamtąd wystarczy popłynąć z nurtem Angary, która wpada do Jeniseju z ujściem w Morzu Karskim.

– Czyli było to wykonalne! – ucieszyła się Keira.

– Radziłbym jechać do Moskwy i udać się do tamtejszego Towarzystwa Archeologicznego, gdzie być może zdoła pani uzyskać adres Władenki Jegorowa. To stary pijak, podobnie jak ja mieszka samotnie w chacie, gdzieś nad Bajkałem. Przypuszczam, że jeśli powoła się pani na mnie i da sto dolarów, które jestem mu winien od jakichś trzydziestu lat, zgodzi się na rozmowę.

Thornsten wsunął rękę do kieszeni spodni i wyciągnął z niej pomietą dziesięciofuntówkę.

– Będzie mi pani musiała pożyczyć tę setkę... Jegorow to jeden z nielicznych jeszcze żyjących, bo mam nadzieję, że żyje, rosyjskich archeologów, którzy mogli prowadzić badania z przyzwoleniem władz wtedy, kiedy wszystko było zakazane. Przez kilka lat pełnił funkcję prezesa Towarzystwa Archeologicznego i wie znacznie więcej, niż chciał ujawnić. Za czasów Chruszczowa nie warto było za bardzo się wyróżniać, a już na pewno nie należało wysuwać własnych teorii na temat pierwotnych ludów Matki Ojczyzny. Jeżeli archeolodzy natrafili na ślad obecności pani wędrowców nad Morzem Karskim w czwartym albo piątym tysiącleciu przed naszą erą, Jegorow będzie o tym wiedział. Nie znam nikogo innego, kto potrafiłby jednoznacznie odpowiedzieć, czy obrała pani właściwą drogę. No dobrze, jest już ciemno – oznajmił, nagle się ożywiając i uderzając ręką w blat – pożyczę wam coś ciepłego, żebyście nie przemarzli, i wyjdziemy. Niebo jest dziś bezchmurne. Od dawna wpatruję się w te cholerne gwiazdy, a wciąż niektórych nie potrafię nazwać.

Zdjął z wieszaka dwie kurtki i rzucił je nam.

– Ubierzcie się. Kiedy wrócimy, otworzę słoik śledzi, a wy mi powiecie, jak wam smakują!

Słowo się rzekło, więc nie próbowaliśmy uników, bo tego się nie robi, zwłaszcza na końcu świata, gdy jedyny mieszkaniec w promieniu dziesięciu kilometrów stoi tuż obok i ma nabitą strzelbę.

– Nie patrzcie na mnie, jakbym zamierzał was wypatroszyć i wypchać. To dzika okolica, nigdy nie wiadomo, na jakie zwierzę człowiek natknie się tu nocą. Nawiasem mówiąc, nie oddalajcie się ode mnie. A teraz niech pan spojrzy na tę gwiazdę, która tak migocze, i niech mi pan poda jej nazwę!

Nasz nocny spacer trwał długo. Thornsten od czasu do czasu wyciągał rękę i wskazywał gwiazdę, konstelację, mgławicę. Nazywałem je, także kilka niewidocznych dla naszych oczu. Samotnik sprawiał wrażenie szczęśliwego i właściwie nie przypominał już człowieka, którego spotkaliśmy późnym popołudniem.

Śledzie nie były takie złe, a ziemniaki, które upiekł w popiele, łagodziły ich słony smak. Przy kolacji Thornsten nie odrywał oczu od Keiry, jakby od bardzo dawna tak ładna kobieta nie gościła w jego domu, jeśli oczywiście przyjmował kobiety na tym odludziu. Później, kiedy siedzieliśmy przy kominku, pijąc wódkę, która rozgrzewała podniebienie i gardło, Thornsten znów pochylił się nad leżącą na dywanie mapą i gestem zaprosił Keirę, żeby usiadła obok niego, na podłodze.

– Niech mi pani powie, czego naprawdę szukacie!

Keira milczała, więc wziął ją za rękę i przyjrzał się uważnie wewnętrznej stronie dłoni.

– Ziemia nie dała im łatwego łupu.

Obrócił swoje i pokazał je Keirze.

– Moje także kopały ziemię, ale dawno temu.

– W jakim zakątku świata prowadził pan wykopaliska? – zainteresowała się Keira.

– To bez znaczenia. Te czasy dawno minęły.



Późnym wieczorem zaprowadził nas do szopy, gdzie wsiedliśmy do pick-upa. Zostawił nas dwieście metrów od farmy. Do pokoju wracaliśmy na palcach, przyświecając sobie zapalniczką, którą sprzedał nam za okrągłe sto dolarów. Była to stara zapalniczka Zippo, warta, jak przysięgał, dwa razy tyle. Pożegnał nas, życząc szczęśliwej podróży.

Zdmuchnąłem świecę i próbowałem się rozgrzać pod zimną, wilgotną kołdrą, kiedy Keira odwróciła się do mnie i zadała zaskakujące pytanie.

– Przypominasz sobie, żebym wspomniała przy nim o ludach z hipogeum?

– Nie wiem, może... dlaczego pytasz?

– Bo zanim poprosił, żebyśmy spłacili jego dług u tego rosyjskiego przyjaciela sprzed lat, powiedział: „Proszę zapomnieć o ludach z hipogeum, bo to fałszywy trop”. Odtworzyłam w pamięci całą naszą rozmowę i jestem niemal pewna, że ani razu o nich nie wspomniałam.

– Pewnie po prostu o tym zapomniałaś. Oboje dużo mówiliście.

– Nudziłeś się?

– Nie, wcale, to interesujący człowiek, pasjonat. Bardzo chciałbym wiedzieć, co skłoniło Holendra do wybrania tak odludnej wyspy w północnej Szkocji.

– Ja też. Szkoda, że go po prostu nie zapytaliśmy...

– Nie jestem pewien, czy zechciałby nam odpowiedzieć.

Keira zadrżała i przytuliła się do mnie. Zastanawiałem się nad jej pytaniem. Ja także, przywołując ich rozmowę, nie mogłem sobie przypomnieć, żeby Keira mówiła o ludach z hipogeum. Ale ona chyba już o tym nie rozmyślała, bo równy, spokojny oddech mówił mi, że zasnęła.

Paryż

Ivory przechadzał się nad brzegiem rzeki. Gdy zauważył ławkę pod starą wierzbą, podszedł i usiadł. Od Sekwany wiał zimny wiatr. Stary profesor postawił kołnierz palta i potarł ramiona. Telefon komórkowy, który miał w kieszeni, nareszcie zadzwonił – Ivory czekał na to cały wieczór.

- Załatwione!
- Znaleźli pana bez większych problemów?
- Może pańska znajoma jest wybitnym archeologiem, bo przecież tak ją pan chwalił, ale tych dwoje nie dotarłoby do mnie przed wiosną, gdybym nie zaaranżował przypadkowego spotkania...
- Jak potoczyła się rozmowa?
- Dokładnie tak, jak pan mnie prosił.
- I sądzi pan...
- Że ich przekonałem? Owszem, tak myślę.
- Dziękuję, Thornsten.
- Nie ma za co, ale uważam, że teraz jesteśmy kwita.
- Nigdy nie uważałem pana za swojego dłużnika.
- Ivory, uratował mi pan życie. Od dawna marzyłem, żeby jakoś się panu odwdziaczyć, spłacić ten dług. Życie na tym wygnaniu nie zawsze jest przyjemne, ale na pewno nie tak nudne jak na cmentarzu.
- Thornsten, nie warto do tego wracać.
- Przeciwnie, a ja jeszcze nie skończyłem i chcę, żeby mnie pan wysłuchał. Wyrwał mnie pan ze szponów ludzi, którzy chcieli mnie zabić, kiedy znalazłem w Amazonii ten przeklęty kamień. Uratował mnie pan przed zamachem w Genewie, bo gdyby mnie pan nie uprzedził, gdyby nie pomógł mi pan zniknąć...
- To wszystko stare dzieje – przerwał mu Ivory smutnym głosem.
- Wcale nie takie stare. Gdyby tak było, nie przysłałby pan do mnie tych dwóch zbłąkanych owieczek, które trzeba było nawrócić na dobrą drogę. Ale czy pomyślał pan, na jakie naraża ich ryzyko? Wysłał ich pan do rzeźni i dobrze o tym wie. Ci, którzy zadali sobie tyle trudu, próbując mnie wyeliminować, będą chcieli zabić także tych dwoje, jeżeli znajdą się zbyt blisko celu. Zrobił pan ze mnie swojego współnika i odkąd się z nimi pożegnałem, gryzie mnie sumienie.
- Nic im się nie stanie, zapewniam pana, czasy się zmieniły.
- Czyżby? To dlaczego ciągle tu tkwię? Kiedy już dostanie pan to, czego chce, im też pomoże pan zmienić tożsamość? I oni będą musieli zaszyć się w jakiejś norze na końcu świata, żeby nikt ich nigdy nie znalazł? Taki pan ma plan? Bez względu na to, co zrobił pan dla mnie w przeszłości, teraz jesteśmy kwita. To wszystko, co miałem do powiedzenia. Spłaciłem dług wdzięczności.

Ivory usłyszał trzask odkładanej słuchawki. Thornsten zakończył rozmowę. Profesor westchnął i rzucił telefon do Sekwany.

Londyn

Po powrocie do Londynu musieliśmy czekać kilka dni na rosyjskie wizy. Czek, który tak hojnie wręczyli nam przedstawiciele zarządu, wynagradzając utracone dochody, okazał się

przydatny, bo dzięki niemu mogłem sfinansować tę podróż. Keira spędzała większość czasu w bibliotece Akademii, do której miałem wstęp dzięki Walterowi. Moim głównym zadaniem było wyszukiwanie książek, których potrzebowała, i odnoszenie ich, kiedy je przestudiowała. Przyznam, że zaczynałem się potwornie nudzić, więc wziąłem wolne na jedno popołudnie i usiadłem przy komputerze, żeby odnowić kontakt z dwoma bliskimi przyjaciółmi, do których od dawna się nie odzywałem. Wysłałem małą zagadkę do Erwana. Wiedziałem, że kiedy znajdzie e-maila, na widok mojego adresu rzuci paskudną wiązkę i pewnie w pierwszej chwili nie zechce przeczytać, co napisałem, ale przed wieczorem ciekawość weźmie górę. Erwan włączy komputer i – ponieważ taki już jest – będzie musiał pomyśleć nad pytaniem, które mu zadałem.

Kliknąłem „wyślij” i sięgnąłem po telefon, żeby zadzwonić do Martyna z obserwatorium w Jodrell.

Chłodne powitanie, z jakim się spotkałem, wprawiło mnie w zdumienie. Z uprzejmością, która brzmiała fałszywie, oświadczył, że ma dużo pracy, i praktycznie natychmiast się rozłączył. Ta rozmowa, która się nie odbyła, zepsuła mi nastrój. Z Martynem łączyła mnie serdeczna przyjaźń, doskonale się rozumieliśmy, więc nie potrafiłem sobie wytłumaczyć jego zachowania. Może miał problemy osobiste, o których wołał nie mówić.

Okolo siedemnastej przejrzałem pocztę, opłaciłem zaległe rachunki, zajrzałem do sąsiadki i dałem jej bombonierkę, aby podziękować za drobne przysługi, jakie wyświadczyła mi przez miniony rok, a potem postanowiłem wpaść do sklepu spożywczego na rogu ulicy, żeby zapłacić lodówkę.

Snułem się między półkami, kiedy podszedł do mnie właściciel. Udawał, że ustawia puszki z konserwami na jednej z półek.

- Niech pan się przez chwilę nie odwraca, jakiś facet obserwuje pana z drugiej strony ulicy.
- Słucham?
- To już nie pierwszy raz, zauważyłem go, kiedy był pan tu ostatnio. Nie wiem, w co się pan wpakował, ale może się pan zdać na moje doświadczenie w takich sprawach. Ten gość jest z Canada Dry.
- A co to znaczy?
- Wygląda na gliniarza, zachowuje się jak gliniarz, ale nie jest z policji, wiem, co mówię, tacy faceci to najgorsza hołota.
- Skąd pan to wie?
- Moi kuzyni siedzą za kratkami, nie zrobili nic złego, handlowali towarem, który wypadł z ciężarówki.
- Sądzę, że się pan myli – powiedziałem, spoglądając mu przez ramię.
- Jak pan uważa, ale gdyby pan zmienił zdanie, magazyn za sklepem jest otwarty. Drzwi prowadzona podwórko. Stamtąd może pan przejść przez sąsiedni budynek na ulicę z tyłu.
- Serdecznie dziękuję.
- Już od tak dawna robi pan u mnie zakupy... nie chciałbym stracić stałego klienta.

Sklepikarz wrócił za ladę. Jakby nigdy nic, podszedłem do stojaka przy witrynie, wybrałem gazetę i przy okazji rzuciłem okiem na ulicę. Właściciel sklepu niestety się nie mylił – za kierownicą samochodu zaparkowanego przy chodniku na wprost siedział mężczyzna, który mnie obserwował. Postanowiłem to wyjaśnić – wyszedłem, kierując się w jego stronę. Kiedy szedłem przez jezdnię, samochód odjechał z piskiem opon.

Zza okna sklepu obserwował mnie sklepikarz. Wzruszył ramionami, nie mogąc pojąć mojego ryzykanctwa. Wróciłem, żeby zapłacić za zakupy.

- Muszę przyznać, że to dość dziwne – powiedziałem, podając mu kartę kredytową.
- Nie złamał pan ostatnio prawa? – zapytał.

Pytanie wydało mi się niezbyt logiczne, ale sklepikarz okazał mi tyle życzliwości, że nie poczułem się urażony.

- Nic o tym nie wiem – odparłem.
- Niech pan lepiej zostawi te zakupy i pędzi do domu.
- Dlaczego?
- Ten łajdak wyglądał, jakby pana obserwował, jakby był tu na czatach, może kogoś zabezpiecza.
- Jak to „zabezpiecza”?
- Kiedy pan tu jest, wiadomo, że nie ma pana w innym miejscu, chyba pan rozumie, co mam na myśli.
- A gdzie mnie nie ma?
- Na przykład w domu?
- Myśli pan, że...?
- Że jeśli będzie pan tu stał i gadał, wróci pan za późno. Jestem tego pewien!

Zabrałem torbę z zakupami i szybko wróciłem do domu. Wszystko wyglądało tak, jak przed moim wyjściem, drzwi nie nosiły śladów włamania, wewnątrz też nic nie potwierdzało domysłów mojego sklepikarza. Postawiłem zakupy w kuchni i postanowiłem jechać po Keirę do Akademii.



Keira przeciągnęła się, ziewając i przecierając oczy. Czują, że tego dnia dość już pracowała. Zamknęła książkę i poszła odstawić ją na półkę. Wyszła z biblioteki, zajrzała do gabinetu Waltera, żeby się z nim pożegnać, a potem powędrowała do metra.



Szare niebo, opadająca mgła, mokre chodniki – prawdziwy zimowy wieczór w Londynie. Na ulicach były straszne korki. W takim tłoku czterdzieści pięć minut zajęła mi jazda do Akademii, a kolejne dziesięć polowanie na wolne miejsce parkingowe. Kiedy zamykałem samochód, zobaczyłem wychodzącego z budynku Waltera. On też mnie zauważył, przeszedł przez jezdnię i przywitał się ze mną.

- Masz teraz czas? Może wpadniemy do baru? – zapytał.
- Jeżeli chwilkę zaczekasz, pójdę po Keirę do biblioteki i zaraz przyjdziemy do pubu.
- No to się spóźniłeś, wyszła ponad pół godziny temu.
- Jesteś pewien?
- Zajrzała do mnie, żeby się pożegnać, pogadaliśmy sobie trochę. To co z tym piwem?

Spojrzałem na zegarek – była to najgorsza pora na przeprawę przez Londyn, więc postanowiłem zadzwonić z pubu do Keiry i uprzedzić ją, że wrócę nieco później.

W pubie było pełno ludzi, ale Walter użył łokci i przedarł się do lady. Zamówił dwa piwa i podał mi jedno nad głowę mężczyzny, który wślizgnął się między nas. Walter poprowadził mnie

w głąb sali, gdzie właśnie zwalniał się stolik. Wokół panował trudny do zniesienia zgiełk.

– I jak się udała wyprawa do Szkocji?! – krzyknął Walter.

– Wspaniale... tylko trzeba lubić śledzie. Wydawało mi się, że na Atakamie jest naprawdę zimno, ale powietrze w Yell jest znacznie ostrzejsze, a do tego wilgotne!

– Znaleźliście to, na czym wam zależało?

– Keira była zadowolona, a to już coś. Obawiam się tylko, że wkrótce znowu będziemy musieli wyjechać.

– Cała ta zabawa w końcu doprowadzi cię do ruiny! – zawołał Walter.

– Już mnie doprowadziła!

Poczułem drgania telefonu w kieszeni, wyjąłem go i przycisnąłem do ucha.

– Grzebałeś w moich rzeczach? – Głos Keiry był ledwie słyszalny.

– Oczywiście, że nie, a po co miałbym to robić?

– Jesteś pewien, że nie otwierałeś mojej torby? – szeptała.

– Już raz pytałaś, a ja odpowiedziałem: nie.

– A może zostawiłeś zapalone światło w sypialni?

– Nie. Czy możesz mi wreszcie powiedzieć, co się stało?

– Mam wrażenie, że nie jestem sama w domu...

Strach zmroził mi krew w żyłach.

– Wyjdź stamtąd, Keiro! – krzyknąłem. – Natychmiast uciekaj i biegnij do sklepu na rogu Old Brompton, nie rozglądaj się i czekaj tam na mnie, słyszysz? Keiro, słyszysz?

Połączenie zostało przerwane. Zanim Walter zdążył cokolwiek zrozumieć, przebiegłem przez zatłoczoną salę, odpychając każdego, kto stał mi na drodze, i znalazłem się na ulicy. W korku utknęła taksówka, a motocyklista próbował ją wyminąć. Niemal rzuciłem mu się pod koła i zmusiłem, żeby się zatrzymał. Wyjaśniłem mu, że to kwestia życia i śmierci, i obiecałem wynagrodzić, jeżeli natychmiast zawiezie mnie na róg Old Brompton i Cresswell Garden. Zgodził się, więc wskoczyłem na siodełko i motor błyskawicznie odjechał.

Ulice migały mi przed oczyma: Old Marylebone, Edgware Road, Marble Arch, czarne od pieszych przejście na skrzyżowaniu,

autobus i taksówki niczym elementy domina. Motocyklista wjechał na chodnik. Niezbyt często miałem okazję jeździć motorem, starałem się jednak jak najlepiej trzymać w siodełku, kiedy wchodziliśmy w zakręty. To było niewyobrażalnie długie dziesięć minut wyścigu z czasem – przejazd przez Hyde Park w strugach deszczu, potem jazda Carriage Drive między dwoma sznurami samochodów, o które zdarzało nam się ocierać kolanami. Serpentyna, Exhibition Road, rondo przy stacji metra South Kensington i wreszcie Old Brompton w polu widzenia, ale jeszcze bardziej zatłoczona od innych ulic. U zbiegu z Queens Gate Mews motocyklista jeszcze bardziej przyspieszył i przejechał przez skrzyżowanie w chwili, gdy światło zmieniło się z żółtego na czerwone. Ciężarówka, która ruszyła zbyt wcześnie, sunęła prosto na nas i wydawało się, że nie można już zapobiec zderzeniu. Motocykl położył się na boku, prowadzący go chwycił się słupa, a ja spadłem na plecy i obracając się jak dziecięcy bąk, sunąłem na krawężnik. W przelocie widziałem chyba zastygłe w przerażeniu twarze przechodniów – świadków tego zdarzenia. Na szczęście wyhamowałem bez większego szwanku na oponach zaparkowanej w pobliżu ciężarówki. Nieco wstrząśnięty, ale cały, podniosłem się i zobaczyłem, że motocyklista usiłuje

dźwignąć swą maszynę. Podziękowałem mu skinieniem ręki i ruszyłem w stronę mojej uliczki, od której dzieliło mnie dobre sto metrów. Krzychałem, żeby ludzie usuwali mi się z drogi, pchnąłem jakąś parkę zakochanych, usłyszałem z czyichś ust parę obelg. W końcu zobaczyłem sklep i zacząłem się modlić, żeby czekała tam na mnie Keira.

Właściciel podskoczył, widząc, jak wpadam do sklepu – byłem spocony, zadyszany, musiałem powtarzać dwa razy te same słowa, żeby zrozumiał, co mówię. Nie czekałem nawet na jego odpowiedź, w środku była tylko jedna klientka. Ruszyłem biegiem w jej stronę i chwyciłem ją w ramiona, głęboko rozczulony.

Młoda kobieta krzyknęła i wymierzyła mi dwa siarczyste policzki, może nawet uderzyła mnie trzy razy, nie miałem czasu liczyć. Właściciel podniósł słuchawkę, a ja, wychodząc, poprosiłem, żeby wezwał policję na Cresswell Place dwadzieścia cztery.

Keirę zastałem przed drzwiami, siedzącą na parapecie.

– Co ci się stało? Dlaczego masz takie czerwone policzki? Upadłeś? – zapytała.

– Raczej wpadłem na kogoś podobnego do ciebie... ale od tyłu – odparłem.

– Masz porwaną marynarkę... Powiedz wreszcie, co ci się przydarzyło?

– To ja zamierzałem cię o to zapytać.

– Obawiam się, że pod naszą nieobecność ktoś złożył nam wizytę – powiedziała Keira. – Znalazłam w salonie otwartą torbę, włamywacz był jeszcze w domu, kiedy wróciłam, słyszałam kroki na piętrze.

– Widziałaś, jak wychodził?

Pod dom podjechał wóz policyjny i wysiedli z niego dwaj funkcjonariusze. Wyjaśniłem im, że mamy poważne powody, by podejrzewać, że doszło do włamania. Polecili nam trzymać się na uboczu i weszli, żeby się rozejrzeć.

Wyszli po kilku minutach nieco zdezorientowani. Jeżeli w domu był włamywacz, to zapewne uciekł przez ogród. W tych starych budynkach piętra są niewysokie, wystarczy skoczyć z dwóch metrów na amortyzującą upadek gęstą trawę pod oknem. Przypomniałem sobie o wciąż nienaprawionej klamce – złodziej prawdopodobnie dostał się do środka od tyłu.

Musieliśmy sporządzić spis rzeczy, które zginęły, i pójść do komisariatu, żeby zgłosić kradzież. Policjanci obiecali, że pokręcą się po okolicy i powiadomią mnie, jeśli kogoś zatrzymają.

Ja i Keira sprawdziliśmy pokój po pokoju. Kolekcja aparatów fotograficznych była nietknięta, portfel, który kładłem zwykle na półce w przedpokoju, leżał na miejscu, niczego nie przestawiono. Kiedy rozglądałem się po sypialni, Keira zawołała mnie na dół.

– Drzwi do ogrodu są zamknięte – powiedziała. – Przypominam sobie, że sama zamknęłam zasuwkę wczoraj wieczorem. Jakim cudem się tu dostał?

– Jesteś pewna, że ktoś tu był?

– Jeśli ten dom nie jest nawiedzony, to owszem, jestem tego pewna.

– Którędy w takim razie wszedł ten tajemniczy złodziej?

– Nie mam pojęcia, Adrianie!

Obiecałem Keirze, że już nic nie zakłóci nam kolacji we dwoje, do której nie doszło wczoraj. Cieszyłem się, że nic się jej nie stało, ale niepokój mnie nie opuszczał. Wróciły złe wspomnienia z Chin. Zadzwoiłem do Waltera, żeby podzielić się z nim obawami, lecz telefon był zajęty.

Amsterdam

Przechodząc przez wielką salę rezydencji królewskiej przy placu Dam, Vackeers zawsze zachwycał się pięknem wygrawerowanej na marmurowej posadzce mapy Ziemi, choć właściwie najbardziej podobał mu się trzeci rysunek – ogromna mapa nieba. Wyszedł na ulicę i ruszył przez plac. Zapadła już noc, zapaliły się latarnie, a spokojne wody kanałów odbijały ich światło. Skręcił w Hoogstraat, żeby wrócić do domu. Potężny motocykl stał na chodniku pod numerem dwudziestym drugim. Obok przechodziła kobieta z wózkiem. Uśmiechnęła się do Vackeersa, a on odwzajemnił uśmiech, wyprzedzając ją.

Motocyklista opuścił osłonę przy kasku, podobnie postąpił jego pasażer. Motor zawył i maszyna ruszyła. Dwoje młodych ludzi całowało się pod drzewem. Mały samochód dostawczy stał na środkowym pasie, blokując ruch. Tylko rowery miały szansę się prześlizgnąć.

Pasażer siedzący za motocyklistą wyciągnął pałkę, którą ukrywał w rękawie kurtki.

Kobieta z wózkiem odwróciła się, zakochani przestali się całować.

Vackeers przechodził przez most, gdy nagle poczuł potworne pieczenie w połowie pleców. Nie mógł chwycić oddechu, jakby powietrze nie dochodziło do jego płuc. Vackeers osunął się na kolana, próbował chwycić się latarni, ale na próżno – upadł twarzą na ziemię. W ustach poczuł smak krwi i pomyślał, że szepcząc, ugryzł się w język. Jeszcze nigdy tak nie cierpiał. Po każdym wdechu powietrze paliło mu płuca. Uderzenie spowodowało krwotok wewnętrzny z nerek, ucisk na serce narastał z każdą chwilą.

Wokół zapanowała zadziwiająca cisza. Zdołał zebrać resztki sił i unieść głowę. Przechodnie spieszyli mu z pomocą, w dali słychać było wycie syreny.

Kobieta z wózkiem odeszła, zniknęła też para zakochanych. Pasażer motocykla uniósł rękę, jakby na pożegnanie, a maszyna po chwili zniknęła za rogiem.

Vackeers chwycił komórkę, którą miał w kieszeni. Wcisnął przycisk i z wysiłkiem przysunął aparat do ucha. Nagrał wiadomość dla Ivory'ego.

– To ja – wyszeptał – obawiam się, że nasz przyjaciel z Anglii nie docenił kawału, który mu zrobiliśmy.

Gwałtowny kaszel nie pozwolił mu mówić. Z ust płynęła mu krew, czuł jej ciepło, i to mu pomogło. Było mu zimno, ból stawał się coraz ostrzejszy, Vackeers wykrzywił usta.

– Niestety, nie będziemy już mogli razem grać, będzie mi tego brakowało, przyjacielu, i mam nadzieję, że tobie też.

I znowu atak kaszlu, znów ten nieznośny, palący ból. Telefon wyslizgnął się Vackeersowi z ręki, ale zdołał go złapać.

– Cieszę się, że kiedy się ostatnio widzieliśmy, dałem ci ten drobny prezent, wykorzystaj go jak najlepiej. Przyjacielu, będzie mi cię brakowało, i to o wiele bardziej niż wspólnych szachów. Bądź wyjątkowo czujny i ostrożny, no i dbaj o siebie...

Vackeers poczuł, że traci siły. Skasował numer, z którym się łączył. Potem jego palce wolno się wyprostowały, niczego już nie widział ani nie słyszał, jego głowa opadła na asfalt.

Paryż

Ivory wracał do mieszkania po spektaklu teatralnym, który skrajnie go znudził. Odwiesił

płaszcz w przedpokoju, wszedł do kuchni i otworzył lodówkę, żeby sprawdzić, co może zjeść. Wyjął talerz z owocami, napełnił kieliszek winem i zabrał wszystko do salonu. Siedząc na kanapie, rozwiązał sznurowadła i rozprostował nogi, które znowu go bolały. Kiedy szukał pilota do telewizora, zauważył migotanie diody automatycznej sekretarki. Zaintrygowany wstał i odsłuchał wiadomości. Natychmiast rozpoznał głos starego przyjaciela.

Gdy ten już kończył, Ivory poczuł, jak uginają się pod nim nogi. Oparł się o bibliotekę, zrzucając na wypastowany parkiet kilka starych książek. Po chwili wyprostował się i mocno zacisnął zęby, ale i to nie pomogło – łzy spływały mu po policzkach. Ocierał je wierzchem dłoni, lecz nie mógł powstrzymać szlochu, który wstrząsał jego ciałem. Wciąż trzymał się biblioteki.

Chwycił stary traktat astronomiczny, otworzył na stronie tytułowej i spojrzął na miniaturę mapy nieba sporządzonej w XVII wieku. Przeczytał widniejącą pod spodem dedykację.

Wiem, że to dzieło Ci się spodoba, niczego bowiem w nim nie brakuje, znajdziesz tu wszystko, nawet świadectwo naszej przyjaźni.

Wierny partner rozgrywek szachowych,

Vackeers

Wczesnym rankiem Ivory zapiął walizkę, zamknął za sobą drzwi mieszkania i pojechał na dworzec, żeby wsiąść do pierwszego pociągu do Amsterdamu.

London

Rano pracownik biura podróży poinformował mnie, że otrzymaliśmy już wizy, więc mogę przyjechać po paszporty. Keira smacznie spała, a ja postanowiłem natychmiast załatwić tę sprawę i po drodze kupić świeże pieczywo i mleko. Było zimno, bruk na Cresswell Place był śliski. Zbliżając się do rogu ulicy, skinąłem ręką sklepikarzowi, a on powitał mnie mrugnięciem oka. Wtedy zadzwonił telefon – pewnie Keira nie zauważyła liściku, który zostawiłem jej w kuchni. Ku swemu ogromnemu zaskoczeniu usłyszałem głos Martyna.

- Przepraszam za wczoraj – powiedział.
- Nie musisz, ale zastanawiałem się, co się stało, bo byłeś w okropnym nastroju.
- O mało nie straciłem pracy, Adrianie. Z twojego powodu, to znaczy, z powodu twojej wizyty w obserwatorium i pewnych prac, które wykonałem dla ciebie, używając sprzętu, jakim dysponuje Jodrell.
- Nie rozumiem... Co ty opowiadasz?
- Zrzucili mi, że wpuściłem kogoś, kto nie jest pracownikiem obserwatorium, czyli twojego przyjaciela Waltera, i zagrozili zwolnieniem z powodu poważnego naruszenia regulaminu pracy.
- Jacy „oni”?
- Ci, którzy finansują obserwatorium, rząd.
- Martyn, przecież ta wizyta była banalną sprawą, a poza tym i Walter, i ja jesteśmy członkami Akademii, to jakiś absurd!
- Owszem, Adrianie, i dlatego dopiero teraz oddzwoniłem, w dodatku z budki telefonicznej. Dano mi wyraźnie do zrozumienia, że odtąd nie wolno mi spełnić żadnej twojej prośby i że nie masz wstępu do obserwatorium. Dopiero wczoraj dowiedziałem się o twoim zwolnieniu. Nie

wiem, co zrobiłeś, ale, do diabła, nie można chyba tak po prostu wyrzucić kogoś takiego jak ty, Adrianie, a jeśli się myślę, to znaczy, że i moja kariera wisi na włosku, bo pod względem kompetencji nie dorastam ci do pięt.

– Pochlebiasz mi albo chcesz być dla mnie miły, Martynie, ale jeśli cię to uspokoi, to tylko ty tak uważasz. Nie wiem, co się stało. Nie powiedziano mi, że zostałem zwolniony, a jedynie, że tymczasowo utraciłem etat.

– Adrianie, spójrz prawdzie w oczy, oni cię najzwyczajniej wyrzucili. Miałem dwa telefony w twojej sprawie, nie wolno mi nawet rozmawiać z tobą przez telefon, nasze kierownictwo kompletnie oszalało.

– Musiało się tak stać, bo co niedziela jedzą pieczeń, a na co dzień *fish and chips*, i tak przez okrągły rok – rzuciłem uszczypliwie.

– Nie ma w tym nic zabawnego. Co teraz zrobisz, Adrianie?

– Nie martw się, Martynie, na razie nie mam żadnych ofert pracy, a pieniędzy w banku coraz mniej, ale od pewnego czasu budzę się u boku kochanej kobiety, która mnie zadziwia, rozśmiesza, drażni i fascynuje, jej entuzjazm jest dla mnie zagadką we dnie, a wieczorem, kiedy widzę, jak się rozbiera, zawsze mnie... niesamowicie pobudza. Widzisz, że nie chcę się żalić, nie chcę się też chwalić, ale powiem ci szczerze: nigdy w życiu nie byłem tak szczęśliwy.

– Ciesz się, Adrianie. Jestem twoim przyjacielem i głupio mi, że uległem presji i przestałem się z tobą kontaktować. Zrozum, nie mogę sobie pozwolić na utratę pracy, wieczorem nikt nie czeka na mnie w łóżku, jedyną moją pasją jest to, co robię. Gdybyś przypadkiem czegoś ode mnie potrzebował, zostaw wiadomość, podając się za Gilliana, oddzwonię do ciebie, kiedy tylko będę mógł.

– Kto to jest Gillian?

– Mój pies, wspaniały basset, ale, niestety, musiałem go uspić rok temu. Do usłyszenia, Adrianie.

Odłożyłem telefon i zamyśliłem się nad tą rozmową, gdy głos zza pleców spowodował, że drgnąłem.

– Naprawdę tak o mnie myślisz?

Odwróciłem się i zobaczyłem Keirę. Znowu włożyła mój sweter i narzuciła na ramiona mój płaszcz.

– Znalazłam liścik w kuchni i postanowiłam iść do biura podróży, bo pomyślałam, że potem możemy wpaść gdzieś na śniadanie. W lodówce zostały tylko warzywa, a cukinia na ranny posiłek... Sprawiałaś wrażenie tak pochłoniętego rozmową, że podeszłam na palcach, bo chciałam cię przyłapać na pogawędce z kochanką.

Zabrałem ją do kawiarni, w której podawano pyszne rogaliki. Paszporty mogły poczekać.

– Czyli wieczorem, kiedy się rozbieram, podniecam cię?

– Nie masz własnych ubrań... a może moje są tak szczególne, że nie jesteś w stanie się powstrzymać?

– Z kim rozmawiałeś o mnie w ten sposób?

– Ze starym przyjacielem. Wiem, że wyda ci się to dziwne, ale zmartwiło go moje zwolnienie z pracy.



Weszliśmy do kawiarni, a ja, patrząc, jak Keira opycha się rogalikami, zastanawiałem się, czy powinienem dzielić się z nią obawami, które nie miały nic wspólnego z moją sytuacją zawodową.

Za dwa dni mieliśmy polecieć do Moskwy. Perspektywa opuszczenia Londynu nieco mnie uspokoiła.

Amsterdam

Tego ranka na cmentarzu nie pojawił się niemal nikt, kto poszedłby za długą lśniącą trumną ustawioną na karawanie. Posuwali się za nią tylko kobieta i mężczyzna. Nad grobem nie modlił się kapłan, a czterej grabarze szybko opuścili trumnę na długich linach. Kiedy skończyli, kobieta rzuciła białą różę i garść ziemi, towarzyszący jej mężczyzna uczynił to samo. Pożegnali się i odeszli każde w swoją stronę.

Londyn

Sir Ashton zebrał rozłożone na biurku zdjęcia. Wsunął je do koperty i zamknął teczkę.

- Pięknie wyglądasz na tych zdjęciach, Isabel. Do twarzy ci w żałobie.
- Ivory nie jest głupcem.
- Mam nadzieję, bo chciałem mu przesłać wiadomość.
- Nie wiem, czy...
- Prosiłem, żebyście wybrali między Vackeersem a dwójką młodych naukowców, wybór padł na starca! I proszę nie robić mi teraz wyrzutów.
- Czy to było naprawdę konieczne?
- Nie rozumiem, jak możesz się nad tym jeszcze zastanawiać! Czy tylko ja jeden potrafię właściwie ocenić konsekwencje jego poczynań? Zdajesz sobie sprawę, co by się stało, gdyby dwójka jego protegowanych osiągnęła cel? Uważasz, że tak wysoka stawka nie jest warta kilku ostatnich lat życia starca?
- Wiem, Ashtonie, już mi to mówiłeś.
- Isabel, ja nie jestem obłąkanym, krwiożerczym głupcem, ale kiedy wymaga tego racja stanu, nie mogę się wahać. Żadne z nas, także ty, nie wahasz się w takich sytuacjach. Decyzja, którą podjęliśmy, może ocalić wiele istnień, w tym tych dwoje badaczy, jeżeli Ivory zdecyduje się wreszcie zrezygnować. I proszę, nie patrz tak na mnie, Isabel, zawsze kierowała mną troska o dobro większości i choć moja działalność nie utoruje mi może drogi do raju, to...
- Ashtonie, oszczędź mi tych sarkazmów, bardzo proszę, przynajmniej dziś. Naprawdę bardzo lubiłam Vackeersa.
- Ja również wysoko go ceniłem, choć czasami mieliśmy odmienne opinie. Szanowałem go i mam nadzieję, że ta ofiara, która tyle mnie kosztuje, pozwoli osiągnąć zamierzony skutek.
- Wczoraj rano Ivory wyglądał na zdruzgotanego, nigdy nie widziałam go w takim stanie. Przez jedną noc postarzał się o dziesięć lat.
- Dobrze by było, gdyby mógł postarzeć się jeszcze o dziesięć i przenieść na tamten świat.
- Dlaczego w takim razie nie kazałeś zabić jego, zamiast poświęcić Vackeersa?

– Mam powody!
– Tylko mi nie mów, że znalazł sposób, żeby się przed tobą chronić! Myślałam, że jesteś nietykalny.

– Gdyby Ivory zmarł, pani archeolog miałyby dodatkową motywację. Jest porywczą, upartą i za mądra, żeby uwierzyć w wypadek. Jestem przekonany, że dokonaliście trafnego wyboru, usunęliśmy pionka, którego należało się pozbyć. Ale uprzedzam: jeżeli dalsze wydarzenia podważą słuszność waszych działań, jeżeli poszukiwania będą kontynuowane, to nie muszę wskazywać ci dwóch kolejnych osób, które znajdują się na celowniku.

– Jestem pewna, że Ivory zrozumie naszą wiadomość. – Isabel westchnęła.
– Jeżeli stanie się inaczej, dowiesz się o tym pierwsza, bo tobie jednej jeszcze ufa.
– Dobrze załatwiliśmy sprawę w Madrycie.
– Pozwoliłem ci stanąć na czele rady, zawdzięczasz mi to stanowisko.
– Nie powoduje mną wdzięczność wobec ciebie, Ashtonie, po prostu podzielam twoje poglądy. Jeszcze za wcześnie, o wiele za wcześnie, żeby świat się dowiedział. Nie jesteśmy na to gotowi.

Isabel wzięła torebkę i poszła w stronę drzwi.

– Czy powinniśmy odzyskać należący do nas fragment? – zapytała przed wyjściem.
– Nie, jest całkowicie bezpieczny tam, gdzie jest obecnie, może nawet bardziej po śmierci Vackeersa. A poza tym nikt nie wie, jak się do niego dostać, i na tym właśnie nam zależy. Zabrał ze sobą tajemnicę do grobu. To idealne rozwiązanie.

Isabel skinęła głową i wyszła z gabinetu. Kiedy służący odprowadzał ją do drzwi frontowych, sekretarz sir Ashtona wszedł, niosąc w ręku kopertę. Ashton otworzył ją i podniósł głowę.

– Kiedy uzyskali te wizy?
– Przedwczoraj, proszę pana. Teraz są już prawdopodobnie w samolocie, o, przepraszam, sądzę, że wylądowali już na lotnisku Szeremietiewo.
– Jak to możliwe, że zostaliśmy o tym poinformowani dopiero teraz?
– Nie wiem, ale jeżeli pan sobie życzy, zbadam sprawę. Czy mam wezwać panią, która przed chwilą wyszła? Powinna jeszcze być w budynku...
– Nie trzeba. Proszę natomiast powiadomić naszych ludzi na miejscu. Te dwa ptaszki nie mogą w żadnym wypadku wyfrunąć poza Moskwę. Mam ich dość. Dziewczyna musi zginąć, bez niej ten astrofizyk jest niegroźny.

– Czy po przykrym doświadczeniu z Chin jest pan pewien, że należy działać w ten sposób?
– Gdybym mógł się pozbyć Ivory'ego, nie wahałbym się ani przez chwilę, ale to wykluczone, a poza tym nie jestem pewien,

czy to rozwiązałoby ostatecznie nasz problem. Proszę zrobić tak, jak powiedziałem, i przekazać ludziom, żeby nie przebierali w środkach, bo tym razem bardziej zależy mi na skuteczności niż na dyskrecji działania.

– Czy mamy uprzedzić też naszych rosyjskich przyjaciół?

– Sam się tym zajmę.

Sekretarz wyszedł.

Isabel podziękowała służącemu, który otworzył jej drzwi taksówki. Odwróciła się, żeby spojrzeć na majestatyczną fasadę londyńskiej rezydencji sir Ashtona. Poprosiła kierowcę, żeby zawiózł ją na lotnisko.

Siedząc na ławce w parku na wprost wiktoriańskiego budynku, Ivory powiódł wzrokiem za oddalającym się samochodem. Zaczynał padać drobny deszcz. Profesor podparł się parasolem, wstał i odszedł.

Moskwa

Pokój w hotelu Intercontinental cuchnął niedopałkami papierosów. Zaraz po wejściu, mimo że temperatura była bliska zera stopni, Keira szeroko otworzyła okno.

- Przykro mi, tylko ten jest wolny.
- Jest paskudny i cuchnie tytoniem.
- W dodatku kiepskim – dodałem. – Chcesz, żebyśmy zmienili hotel? Albo poproszę o dodatkowe koce i kurtki?
- Nie traćmy czasu, chodźmy lepiej do Towarzystwa Archeologicznego. Im prędzej dotrzemy do Jegorowa, tym prędzej stąd wyjedziemy. Boże, jak ja tęsknię za zapachem doliny Omo!
- Obiecałem ci, że kiedyś tam wrócimy. Niech się to tylko skończy.
- Czasami zastanawiam się, czy to się w ogóle kiedyś skończy – burknęła Keira, zamykając drzwi.
- Masz adres tego towarzystwa? – zapytałem w windzie.
- Nie wiem, dlaczego Thornsten mówił o Towarzystwie Archeologicznym. Przecież od końca lat pięćdziesiątych nosi nazwę Akademii Nauk.
- Akademia Nauk? To brzmi zachęcająco, kto wie, może załatwię sobie tam pracę?
- W Moskwie? Chyba oszalałeś.
- Na Atakamie równie dobrze można pracować w zespole rosyjskim, gwiazdy się od tego nie zmieniają.
- Oczywiście, raporty to też pestka, tylko musisz mi pokazać, jak radzisz sobie z klawiaturą w cyrylicy.
- Czy mieć zawsze rację to twoja potrzeba, czy może już obsesja?
- Jedno nie wadzi drugiemu! Idziemy?

Wiał mroźny wiatr, więc szybko wskoczyliśmy do taksówki. Keira próbowała wytłumaczyć kierowcy, dokąd ma nas zawieźć, ponieważ jednak nie zrozumiał ani słowa, wyjęła plan miasta i pokazała mu ulicę. Ci, którzy mówią o nieuprzejmości paryskich taksówkarzy, nigdy nie korzystali z moskiewskich taksówek. Ulice pokrywał już lód, ale to najwyraźniej nie przeszkadzało naszemu kierowcy. Kiedy jego stara łada zarzucała tyłem, lekkim ruchem kierownicy przywracał jej właściwy tor ruchu.

Keira weszła do Akademii i poinformowała w recepcji, że jest archeologiem. Skierowano ją do sekretariatu administracyjnego. Młoda asystentka, biegle władająca angielskim, uprzejmie nas powitała. Keira wyjaśniła jej, że pragniemy nawiązać kontakt z profesorem Jegorowem, który w latach pięćdziesiątych był prezesem Towarzystwa Archeologicznego.

Asystentka nie kryła zdumienia – nigdy nie słyszała o takim towarzystwie, a archiwa Akademii Nauk sięgały tylko roku 1958. Poprosiła, abyśmy zaczekali, i wróciła po półgodzinie w towarzystwie zwierzchnika, mężczyzny po sześćdziesiątce. Przedstawił się i zaprosił nas do

swojego gabinetu. Asystentka, która miała na imię Swietłana, nawiasem mówiąc, urocza, pożegnała się z nami i odeszła. Keira kopnęła mnie w kostkę i zapytała zjadliwym tonem, czy może ma dla mnie zdobyć telefon i adres dziewczyny.

- O czym ty mówisz?! – jęknąłem, masując nogę.
- Nie rób ze mnie idiotki!

Walter zzieleniałby z zazdrości na widok gabinetu, do którego weszliśmy – przez duże okno wpadało światło, za szybą sypał gęsty śnieg.

– To nie jest najlepsza pora roku na pobyt w Moskwie – powiedział mężczyzna, prosząc, żebyśmy usiedli. – Dzisiejszej nocy przewidywane są zamiecie, mogą potrwać do rana.

Mężczyzna otworzył termos i poczęstował nas herbatą.

– Chyba natrafiłem na trop tego Jegorowa – powiedział. – Czy mogę zapytać, dlaczego chcą się państwo z nim spotkać?

– Prowadzę badania nad migracjami ludów na Syberii w czwartym tysiącleciu i słyszałam, że jest znawcą tematu.

- Być może – skinął głową – choć zachowałbym ostrożność.
- A to dlaczego? – zapytała Keira.

– Towarzystwo Archeologiczne to nazwa przydana bardzo specyficznemu wydziałowi tajnych służb. Za czasów Związku Radzieckiego naukowcy byli pilnowani i obserwowani jak wszyscy, może nawet bardziej. Pod przykryciem tej dostojnej nazwy działała komórka, której zadaniem było śledzić prace podejmowane przez archeologów, a zwłaszcza inwentaryzować i konfiskować wszystko, co wydobywano z ziemi. Wiele znalezisk zaginęło... Korupcja i żądza zysku – dodał i uśmiechnął się, widząc nasze zdziwienie. – Życie w tym kraju było ciężkie, zresztą dziś też jest, ale musicie zrozumieć, że wówczas złota moneta znaleziona podczas prac mogła zapewnić posiadaczowi kilka miesięcy życia, a to samo dotyczyło innych znalezisk, które łatwiej było przemyć przez granicę niż człowieka. Od czasów Piotra Wielkiego, który był inicjatorem badań archeologicznych w Rosji, nasze dziedzictwo jest ciągle rozgrabiane. Wspaniała organizacja, utworzona przez Chruszczowa do ochrony tych dóbr, zasłynęła, niestety, przemytem na niespotykaną skalę. Tuż po wydobyciu skarby, które kryła nasza ziemia, były dzielone pomiędzy aparatczyków i wzbogacały zbiory

bogatych muzeów na Zachodzie, a czasem prywatnych kolekcjonerów. To był istny łańcuch pokarmowy, gdzie każdy musiał się pożywić: archeolog prowadzący wykopaliska, szef wyprawy, a po drodze agenci Towarzystwa Archeologicznego, którzy w zasadzie mieli pilnować tamtych. Wasz Władenko Jegorow to prawdopodobnie jedna z grubych ryb tej grupy, w której wszelkie chwytaki były dozwolone, nie wyłączając oczywiście zabójstw. Jeżeli mówimy o tym samym człowieku, to zamierzacie rozmawiać ze starym zbrodniarzem zawdzięczającym wolność wpływovym osobom, czasem w dalszym ciągu u władzy, bardzo dobrym klientom, którzy z pewnością żałują, że musiał się wycofać. Skoro chcecie mieć przeciwko sobie wszystkich uczciwych archeologów mojego pokolenia, wystarczy wymienić jego nazwisko. Dlatego chciałem się dowiedzieć, jaki obiekt zamierzacie wywieźć z Rosji, a dopiero potem ewentualnie podać wam adres tego człowieka. Jestem przekonany, że ta sprawa bardzo zainteresuje policję, a może wolicie sami się zgłosić? – zapytał, podnosząc słuchawkę.

– Myli się pan, to z pewnością nie ten Jegorow, to tylko przypadkowa zbieżność nazwisk! – krzyknęła Keira, kładąc rękę na tarczy telefonicznej.

Nawet ja nie mogłem uwierzyć w to, co usłyszałem. Nasz rozmówca uśmiechnął się i wybrał numer.

– Niech się pan nie wygłupia! Do diabła, myśli pan, że gdybym parał się przemytem zabytków, przyszedłbym pytać o adres handlarza do Akademii Nauk? Czy wyglądamy na takich idiotów?

– Muszę przyznać, że to rzeczywiście byłoby co najmniej dziwne – powiedział, odkładając słuchawkę. – Kto go pani polecił? – podjął.

– Pewien stary archeolog. I w celu, który panu szczerze podałam.

– W takim razie podle z pani zadrwił. Być może jednak zdołam udzielić pani informacji albo skontaktować z naszymi specjalistami w tej dziedzinie. Wielu naszych współpracowników interesuje się wędrówkami ludów, które zamieszkiwały na Syberii. Przygotowujemy nawet seminarium na ten temat. Odbędzie się latem.

– Potrzebuję pomówić z tym człowiekiem, a nie wracać na uczelnię, studia już skończyłam – odparła Keira. – Szukam dowodów, a ten niby-handlarz być może potrafi mi ich dostarczyć.

– Czy mógłbym zobaczyć państwa paszporty? Jeśli mam wam pomóc w nawiązaniu kontaktu z tego rodzaju indywiduum, chcę przynajmniej podać wasze nazwiska celnikom. Proszę się nie obrażać, dla mnie to rodzaj asekuracji. Zwróciliście się do nas, a ja nie chciałbym w żadnym wypadku być łączony z przemytem czy, co gorsza, oskarżony o współudział. W takim razie coś za coś: fotokopia dokumentów tożsamości w zamian za podanie adresu, którego szukacie.

– Obawiam się, że będziemy musieli przyjść tu ponownie – powiedziała Keira. – Zostawiliśmy paszporty w recepcji, kiedy się meldowaliśmy, i jeszcze nam ich nie oddano.

– Tak, to prawda – włączyłem się do rozmowy. – Są w Metropolu, może pan zadzwonić do recepcji, jeżeli nam pan nie wierzy, być może zgodzą się przefaksować pierwsze strony.

Ktoś zapukał do drzwi. Nasz rozmówca zamienił kilka słów z młodym człowiekiem, który stał w progu.

– Proszę wybaczyć – zwrócił się do nas. – Za chwilę wrócę. Tymczasem mogą państwo przedzwonić stąd do hotelu i poprosić o przefaksowanie paszportów na ten numer.

Napisał na kartce szereg cyfr i podał mi ją, wychodząc. Zostaliśmy sami.

– Ten Thornsten to szaleniec!

– Uważam, że można go usprawiedliwić; nie miał powodu opowiadać nam o przeszłości przyjaciela, a sam wcale nie musiał maczać palców w przemycie.

– A te sto dolarów? Myślisz, że to na czekoladki? Wiesz, jaka była wartość takich pieniędzy w latach siedemdziesiątych? Zadzwonił wreszcie i wynośmy się stąd, ten gabinet źle na mnie działa.

Ponieważ nawet nie drgnąłem, Keira sama sięgnęła po telefon, ale wyjąłem jej słuchawkę z ręki i odłożyłem.

– To wszystko wcale mi się nie podoba, wcale, ale to wcale – powiedziałem.

Wstałem i podszedłem do okna.

– Powiesz mi, co ci chodzi po głowie?

– Przypomniałem sobie tę półkę na górze Hua Shan na wysokości dwóch i pół tysiąca metrów. Pamiętasz? Byłabyś w stanie zrobić to jeszcze raz, mając pod stopami tylko dwa marne pieterka?

– O czym ty mówisz?

– Zapewne nasz rozmówca wyszedł przed gmach Akademii i rozmawia teraz z glinami. Wpadną tu za parę minut, żeby nas aresztować. Na ulicy stoi ich samochód, dokładnie przed budynkiem. To ford z imponującym kogutem na dachu. Zamknij drzwi od wewnątrz i chodź za mną!

Przysunąłem krzesło do ściany, otworzyłem okno i oszacowałem odległość dzielącą nas od schodów pożarowych na rogu budynku. Gzyms był śliski, bo leżał na nim śnieg, ale kamienie, z których zbudowano fasadę, zapewniały nam lepsze oparcie dla rąk niż gładkie ściany Hua Shan. Pomogłem Keirze wyjść na gzyms i ruszyłem za nią. Kiedy wychodziliśmy, usłyszałem, że ktoś dobija się już do drzwi gabinetu – zostało nam niewiele czasu, wkrótce zauważą naszą ucieczkę.

Keira z niesłychaną zręcznością szła wzdłuż muru, choć wiatr i śnieg spowalniały jej ruchy. Mimo wszystko oboje dobrze sobie radziliśmy. Po kilku minutach pomagaliśmy sobie wzajemnie w przejściu przez balustradę dzielącą nas od schodów. Pozostało nam zejście po pięćdziesięciu stopniach – żelaznych i oblodzonych. Keira upadła jak długa na podest pierwszego piętra, chwyciła się balustrady i zakłęła. Mężczyzna, który mył posadzkę w długim korytarzu Akademii, zamarł z przerażenia, gdy zobaczył nas za oknem. Skinąłem ręką, dając mu do zrozumienia, że wszystko jest w porządku, i złapałem Keirę. Na dole schody przechodziły w drabinę, którą trzeba było wysunąć, żeby sięgnęła chodnika. Keira pociągnęła łańcuch, zwalniając podtrzymujące drabinę haki, jednakże mechanizm się zaciął, a my utknęliśmy trzy metry nad ziemią – znacznie za wysoko, żeby skakać, nie ryzykując połamania nóg. Przypomniał mi się kolega ze szkoły, który, skacząc z pierwszego piętra, wylądował na chodniku z dwiema kośćmi wystającymi ponad stopami. Ten obraz, choć przelotny, wystarczył, żebym wybił sobie z głowy próby zabaw w Jamesa Bonda albo dublującego go kaskadera. Waliłem pięściami w lód, usiłując go rozbić, a Keira skakała na koniec drabiny obiema nogami, krzycząc: „Puść, dziwko!”... To cytat! W końcu się udało – lód puścił i zobaczyłem, jak Keira kurczowo trzyma się szczebli drabiny, w zawrotnym tempie spadając na ulicę.

Wstała z chodnika, szpetnie klnąc. W oknie gabinetu pojawiła się głowa naszego rozmówcy. On też był wściekły. Dołączyłem do Keiry i jak dwójka złodziei pobiegliśmy do oddalonej o sto metrów stacji metra. Keira skręciła, żeby wiodącymi w górę schodami wydostać się na powierzchnię, ale po drugiej stronie alei. W Moskwie wielu kierowców dorabia, wykorzystując swoje auta jako taksówki. Wystarczy podnieść rękę, żeby zatrzymał się jakiś samochód. Jeśli uda się ustalić cenę, sprawa jest załatwiona. Za dwadzieścia dolarów kierowca ziął zgodził się podrzucić nas do hotelu.

Sprawdziłem jego znajomość angielskiego, mówiąc z szerokim uśmiechem, że samochód cuchnie kozą, że jest uderzająco podobny do mojego pradziadka i wreszcie, że z takimi rękami jak jego trudno sobie nawet podłubać w nosie. Ponieważ kwitował to trzykrotnym *Da*, uznałem, że mogę spokojnie rozmawiać z Keirą.

– Co teraz zrobimy? – zapytałem.

– Zabierzemy rzeczy z hotelu i spróbujemy złapać pociąg, zanim dopadnie nas policja. Po chińskim więzieniu wolałabym kogoś zabić, niż znowu wylądować w mamrze.

– Ale dokąd pojedziemy?

– Nad Bajkał. Thornsten mówił, że to gdzieś tam mieszka ten facet.

Samochód zatrzymał się przed hotelem Metropol-Intercontinental. Pobiegliśmy do recepcji, gdzie urocza pracownica oddała nam paszporty. Poprosiłem ją o przygotowanie rachunku,

przeprosilem za tak nagłe skrócenie pobytu i zapytałem, czy mogłaby zarezerwować dla nas dwie kuszetki w pociągu transsyberyjskim. Zniżonym głosem poinformowała mnie, że przed chwilą dwaj policjanci zażądali od niej listy angielskich gości hotelu. Siedzieli na kanapie w holu i przeglądali te nazwiska. Dodała, że jej narzeczony jest Anglikiem, że wkrótce wyjedzie z nim do Londynu, gdzie wiosną planują ślub. Pogratulowałem jej, a ona szepnęła: *God Save the Queen*, porozumiewawczo mrugając okiem.

Pociągnąłem Keirę do windy, po drodze dwa razy przysięgając, że nie flirtowałem z recepcjonistką, i tłumacząc, dlaczego mamy mało czasu na wyniesienie się stąd.

Spakowaliśmy się i mieliśmy już wyjść, kiedy zadzwonił telefon. Recepcjonistka poinformowała mnie, że mamy dwa miejsca w siódmym wagonie w pociągu transsyberyjskim, który odjeżdża z dworca centralnego o dwudziestej trzeciej dwadzieścia cztery. Podała mi też numer rezerwacji. Bilety należało odebrać na dworcu, cenę doliczyła do rachunku i pobrała z karty kredytowej. Przechodząc przez bar, mogliśmy opuścić hotel tak, by nie pojawić się w holu...

Londyn

Trwało właśnie nocne wydanie dziennika telewizyjnego. Ivory wyłączył aparat i podszedł do okna. Deszcz wreszcie ustał, z hotelu Dorchester wyszło dwoje ludzi – kobieta wsiadła do taksówki, mężczyzna zczekał, aż samochód odjedzie, i wrócił do hotelu. Starsza pani spacerowała z psem po Park Lane. Przechodząc, skinęła ręką parkingowemu.

Ivory odszedł od okna, otworzył barek, wyjął czekoladki, rozpakował je i położył na stoliku. Wszedł do łazienki, sięgnął do kosmetyczki i wyjął z niej fiolkę ze środkiem nasennym. Wysunął tabletkę na otwartą dłoń i spojrzał w lustro.

Ty stary durniu, czyżbyś nie wiedział, jak wysoka jest stawka? Nie zdawałeś sobie sprawy, jakie są reguły tej gry?

Połknął tabletkę, napełnił szklankę wodą z kranu i wrócił do salonu, żeby usiąść przed szachownicą.

Każdemu z pionków przeciwników nadał imię: Ateny, Istambuł, Kair, Moskwa, Pekin, Rio, Tel Awiw, Boston, Paryż, Rzym, króla nazwał Londyn, a królową Madryt i zrzucił na dywan wszystkie pionki ze swojej drużyny, zostawiając tylko Amsterdam. Ten zawiązał w chusteczkę i ostrożnie wsadził do kieszeni. Czarny król cofnął się o jedno pole, konik i pionek nawet nie drgnęły, ale Ivory przesunął dwie wieże do trzeciej linii.

Popatrzył jeszcze na szachownicę, zdjął buty, położył się na kanapie i zgasił światło.

Madryt

Zebranie właśnie się skończyło i wszyscy przechodzili do bufetu. Ręka Isabel niepostrzeżenie musnęła dłoń sir Ashtona, który tego wieczoru wprost zabłysnął. O ile podczas poprzedniej rady przeważająca większość głosów padła za kontynuacją badań, o tyle tym razem angielski lord zdołał przeciągnąć część oponentów do swojego obozu, a najcenniejszy obecnie chwilowy sprzymierzeniec obiecał pełną współpracę – Moskwa miał użyć wszelkich środków, aby

zlokalizować i zatrzymać dwójkę naukowców. Zgodzono się odesłać ich do Londynu pierwszym samolotem i odtąd nie wydawać już wiz pobytowych. Ashton wolałby bardziej radykalne działania, ale inni nie byli jeszcze gotowi na przyjęcie tego rodzaju propozycji. Aby uspokoić sumienia obradujących, Isabel podała pomysł, który zgodnie zaakceptowano. Skoro dotąd nie udało się zniechęcić tych dwojga ostrymi metodami, to dlaczego nie odciągnąć ich od poszukiwań, składając im propozycje, których nie mogliby odrzucić, a które de facto oddzieliłyby ich od siebie? Siła nie zawsze była najlepszą z możliwych metod. Przewodnicząca odprowadziła swoich gości pod wieżę. Sznur limuzyn opuścił plac Europy i pojechał w kierunku lotniska Barajas. Moskwa zaoferował sir Ashtonowi miejsce w swoim prywatnym samolocie, jednak lord miał jeszcze coś do załatwienia w Hiszpanii.

Moskwa

Jak na mój gust na dworcu Jarosława było stanowczo za dużo policji, żeby uznać sytuację za normalną. Byli wszędzie, w czteroosobowych grupkach – kiedy szliśmy w stronę peronów, kiedy mijaliśmy sprzedawców przy ich wózkach, kiedy zbliżyliśmy się do kas. Uważnie przypatrywali się pasażerom. Keira wyczuła moje zaniepokojenie i próbowała dodać mi otuchy.

– Przecież nie dokonaliśmy napadu na bank! – powiedziała. – To, że jakiś policjant dotarł do naszego hotelu, jest logiczne, ale żeby od razu wyobrażać sobie, że obstawili dworce i lotniska, jakbyśmy byli groźnymi przestępcami, to już cholerna przesada! Poza tym skąd mieliby wiedzieć, że tu jesteśmy?

Żałowałem, że zamówiłem bilety za pośrednictwem hotelowej recepcji. Jeśli śledzący nas inspektor dostał kopię rachunku, a miałem poważne podstawy, żeby tak sądzić, wystarczyło mu dziesięć minut, żeby dowiedzieć się całej reszty od recepcjonistki. Dlatego nie podzielałem optymizmu Keiry i obawiałem się, że policja jest tu z naszego powodu. O kilka metrów od nas stały automaty sprzedające bilety. Szybko zerknąłem na kasy. Na pewno kasjerki zostały już poinformowane, że mają zgłosić każdego obcokrajowca, który będzie chciał kupić bilet.

W pobliżu krążył pucybut ze swoim sprzętem. Szukał klientów. Zauważyłem, że przechodzi obok mnie już po raz kolejny i patrzy na moje buty. Skinąłem na niego i zaproponowałem, żeby wykonał dla mnie inne zadanie.

- Co ty wyprawiasz? – zapytała Keira.
- Chcę coś sprawdzić.

Pucybut wsunął do kieszeni dolary, które dałem mu tytułem zaliczki. Obiecałem, że kiedy wydrukuje nasze bilety w automacie i przyniesie mi je, dopłacę mu resztę obiecaną sumy.

- To ohydne! Narazasz tego biedaka, a w dodatku robisz z niego chłopca na posyłki.
- Przecież nic mu nie grozi, nie jesteśmy przestępcami ściganymi przez policję!

Kiedy pucybut wystukał numer rezerwacji na klawiaturze automatu, usłyszałem trzask wielu policyjnych krótkofalówek i głos, który wykrzykiwał rozkazy. Ich sens był dla mnie niemal zrozumiały. Keira także zorientowała się, co się dzieje, i krzyknęła do pucybuta, żeby uciekał. Ledwie zdążyłem chwycić ją za rękę i zaciągnąć na bok. Czterech umundurowanych ludzi

minęło nas, biegnąc w stronę automatów. Keira osłupiała. Nie mogliśmy teraz pomóc pucybutowi, któremu już założono kajdanki, ale zapewniałem ją, że zostanie zatrzymany najwyżej na kilka godzin. Byłem pewien, że nasze rysopisy poda policji po kilku minutach.

– Zdejmij palto! – poleciłem Keirze i także zdjąłem kurtkę.

Wcisnąłem nasze ubrania do toreb, podałem Keirze ciepły sweter, sam włożyłem inny. Potem objąłem ją w tali i ruszyłem w stronę przechowalni bagażu. Pocałowałem ją i kazałem czekać na siebie za kolumną. Wytrzeszczyła oczy, patrząc, jak idę prosto do automatu. Ale przecież właśnie tam policjanci się nas nie spodziewali i praktycznie nie szukali. Przeciskając się, przeprosiłem jednego z nich, minąłem go i podszedłem do urządzenia, które na szczęście podawało instrukcję także po angielsku.

Kupiłem dwa bilety, zapłaciłem za nie gotówką i wróciłem po Keirę.

W biurze nadzoru dworca, którego pracownicy śledzili transakcje zawierane poprzez terminale, na moją nikt nie zwrócił uwagi.

– Możesz mi wyjaśnić, co będziemy robili w Mongolii? – zaniepokoiła się Keira, uważnie czytając informacje wypisane na bilecie, który jej podałem.

– Wsiądziemy do pociągu transsyberyjskiego, tak jak planowaliśmy, a kiedy już ruszy, wyjaśnię konduktorowi, że się pomyliliśmy, i w razie potrzeby dopłacę różnicę.

Wiedziałem jednak, że to nie koniec naszych problemów i że musimy przede wszystkim dostać się do wagonu. Policjanci mieli chyba tylko nasze ustne rysopisy, w najgorszym razie zdjęcia z fotokopii paszportów, ale pierścień już się zaciskał, a im bliżej byliśmy pociągu, tym bardziej niebezpieczna stawała się sytuacja. Nie powinniśmy zwracać na siebie uwagi, a policja szukała pary. Keira szła pięćdziesiąt metrów przede mną. Pociąg numer dziesięć, wyjeżdżający do Irkucka, ruszał o dwudziestą trzecią dwadzieścia cztery, więc mieliśmy jeszcze dużo czasu. Panujące na dworcu poruszenie upodobało go do małego miasteczka w dzień targowy – skrzynki z drobiem, stoiska z serem i suszonym mięsem, wszelkiego rodzaju wiktuały sąsiadowały z walizkami, kuframi i paczkami stojącymi na peronach. Pasażerowie Kolei Transsyberyjskiej, która od tyłu już lat przemierzała kontynent azjatycki w ciągu sześciu dni, z trudem torowali sobie drogę pomiędzy oblegającymi dworzec handlarzami. Ludzie się przepychali, kłócili, ciskali obelgami w najróżniejszych językach – po chińsku, mongolsku, rosyjsku, mandżursku. Dzieciaki sprzedawały pokątnie potrzebne wyjeżdżającym towary: czapki, szaliki, golarki, szczoteczki i pasty do zębów. Jeden z policjantów zwrócił uwagę na Keirę i zbliżał się do niej, więc

przyspieszyłem kroku i odepchnąłem go niby to przypadkiem, za co grzecznie przeprosiłem. Chyba mnie zwymyślał, jednak zanim się obejrzał, Keira zniknęła z jego pola widzenia. Z mojego zresztą też...

Głośniki obwieściły odjazd pociągu, podróżni na peronach coraz brutalniej się rozpychali. Kontrolerzy dwoili się i troili, ale pracy było zbyt dużo. Wciąż nie widziałem Keiry. Dałem się wciągnąć do kolejki oczekującej przed siódmym wagonem. Przez okno widziałem zatłoczony korytarz, ludzi szukających swoich miejsc, nigdzie jednak nie było Keiry. W końcu przyszła moja kolej. Postawiłem nogę na stopniu i jeszcze raz rozejrzałem się po peronie. Nie miałem już wyboru, musiałem pozwolić, żeby poniosł mnie ten strumień podróżnych. Jeżeli Keiry nie będzie w pociągu, wysiądę na pierwszej stacji i znajdę sposób, żeby wrócić do Moskwy. Żałowałem, że nie wyznaczyliśmy sobie miejsca spotkania, jeśli zdarzyłoby się nam zgubić w tłumie, i

zastanawiałem się, jakie miejsce mogłaby wybrać. Idąc korytarzem, zobaczyłem przebijającego się w przeciwnym kierunku policjanta. Cofnąłem się do przedziału, a on minął mnie obojętnie. Wszyscy zajmowali miejsca, obsługa pociągu miała pilniejsze zajęcia niż sprawdzanie biletów. Usiadłem przy dwójce Włochów, w sąsiednim przedziale podróżowali Francuzi, domyślałem się, że w najbliższym czasie natknę się także na swoich rodaków. Ten pociąg przez okrągły rok przyciągał wielu turystów zagranicznych, co w pewnej mierze ułatwiało naszą sytuację. Skład drgnął i wolno ruszył, a kilku policjantów w dalszym ciągu kręciło się po opustoszałym peronie. Wkrótce moskiewski dworzec zniknął, a za oknami pojawiły się pejzaże przedmieść – szare i ponure.

Sąsiedzi z przedziału obiecali zerknąć na moją torbę, więc wyszedłem poszukać Keiry. Nie było jej w wagonie za nami ani w następnym, ani w kolejnym. Opuściliśmy już przedmieścia, wokół rozpościerały się pola, pociąg jechał szybko. Pokonywanie zatłoczonych korytarzy wymagało cierpliwości. W drugiej klasie zabawa już się rozkręciła. Rosjanie otworzyli piwo i wódkę i pili, radośnie śpiewając i pokrzykując. W wagonie restauracyjnym również było wesoło.

Zauważyłem tam grupę sześciu mocno zbudowanych Ukraińców, którzy wznosili szklanki, wołając: *Vive la France!* Podszedłem bliżej i zobaczyłem lekko podchmieloną Keirę.

– Nie patrz tak na mnie – powiedziała – oni są bardzo mili!

Przesunęła się, robiąc dla mnie miejsce przy stole, i wyjaśniła mi, że jej nowi znajomi z podróży pomogli jej wsiąść, tarasując drogę policjantowi, który trochę za bardzo się nią interesował. Gdyby nie oni, na pewno by ją zatrzymał, toteż nie mogła postąpić inaczej – musiała im podziękować, stawiając coś do picia. Jeszcze nigdy nie widziałem Keiry w takim stanie. Podziękowałem jej nowym kompanom i zacząłem ją namawiać, żeby poszła za mną.

– Jestem głodna, siedzimy w wagonie restauracyjnym, a poza tym mam dość tej gonitwy. Siadaj i też coś zjedz!

Zamówiła dla nas ziemniaki z wędzoną rybą, wychyliła dwa kieliszki wódki i po kwadransie zasnęła z głową na moim ramieniu.

Jeden z sześciu ukraińskich osiłków pomógł mi zanieść ją do przedziału. Nasi włoscy współpasażerowie nie kryli rozbawienia tą sytuacją. Leżąc już na kuszetce, Keira przez chwilę mamrotała coś, co trudno było zrozumieć, a potem zasnęła.

Część tej pierwszej nocy w pociągu transsyberyjskim spędziłem, stojąc przy oknie i wpatrując się w niebo. Na końcu każdego wagonu znajdował się mały przedział tak zwanej wagonowej. Odpowiedzialna za wagon pracownica kolei przez cały dzień siedziała przy samowarze, aby pasażerowie mogli napić się gorącej herbaty. Skorzystałem z tej usługi, a przy okazji zapytałem, jak długo trwa podróż do Irkucka. Okazało się, że zajmie nam trzy dni i cztery noce, licząc mijającą, i pokonamy cztery i pół tysiąca kilometrów, które dzieliły nas od tego miasta.

Madryt

Sir Ashton położył telefon komórkowy na stole w salonie, rozwiązał pasek szlafroka i wrócił do łóżka.

- Coś nowego? – zapytała Isabel, składając gazetę.
- Pojawili się w Moskwie.
- W jakich okolicznościach?
- Wybrali się do Akademii Nauk, aby zasięgnąć informacji o dawnym handlarzu dzieł sztuki.

Dyrektorowi wydało się podejrzane, że chcą nawiązać kontakt z kimś takim, więc powiadomił policję.

Isabel usiadła na łóżku i zapaliła papierosa.

- Zatrzymano ich?
- Nie. Policja dotarła ich tropem do hotelu, w którym się zatrzymali, ale było już za późno.
- Zgubili ich?
- Prawdę mówiąc, nie wiem, nasi poszukiwacze próbowali wsiąść do pociągu transsyberyjskiego.
- Próbowali?
- Rosjanie zatrzymali człowieka, który odbierał dla nich bilety.
- W takim razie są w pociągu?
- Na dworcu roilo się od policji, ale nikt nie widział ich wsiadających.
- Jeżeli czują się ścigani, to może usiłują naprowadzić policję na fałszywy trop. Rosyjska policja nie powinna się mieszać w nasze sprawy, to nam tylko skomplikuje zadanie.
- Wątpię, żeby nasi naukowcy byli tacy sprytni, jak sądzisz. Myślę, że jadą tym pociągiem, bo człowiek, którego szukają, mieszka nad Bajkałem.
- Dlaczego chcą się spotkać z przemytnikiem? To dziwny pomysł. Przypuszczasz, że...
- ...że jest w posiadaniu jednego z fragmentów? Nie, dawno byśmy o tym wiedzieli, skoro jednak zadają sobie tyle trudu, żeby do niego dotrzeć, to uważają, że uzyskają od niego cenne dla nich informacje.
- W takim razie, mój drogi, trzeba zamknąć gościowi usta, zanim do niego dotrą.
- To nie takie proste, bo ten człowiek był kiedyś członkiem partii, a ze względu na dawne zasługi i kontakty ma doskonałą emeryturę i mieszka nad jeziorem w dobrze chronionej dacy. Musielibyśmy wysłać kogoś stąd, na miejscu nie znajdziemy śmiałka, który odważy się podnieść rękę na tego gościa.

Isabel zgasiła papierosa w popielniczce na nocnym stoliku, sięgnęła po paczkę i zapaliła następnego.

- Masz jakiś inny pomysł na zapobieżenie ich spotkaniu?
- Za dużo palisz, moja droga – powiedział sir Ashton, otwierając okno. – Isabel, znasz moje plany jak nikt inny, ale zaproponowałaś radzie alternatywę i dlatego teraz tracimy czas.
- Czy mamy możliwość zatrzymania naszych naukowców?
- Mam na to obietnicę Moskwy. Ustaliliśmy, że będzie lepiej, jeżeli doprowadzimy do rozwiania ich obaw. Musimy teraz uśpić ich czujność. Podjęcie działań w pociągu nie jest takie łatwe, jak by się mogło wydawać. Poza tym po czterdziestu ośmiu godzinach spokoju powinni mieć wrażenie, że już wymknęli się z sieci. Moskwa wyśle grupę, która zajmie się nimi, kiedy dojadą do Irkucka. Jednakże ze względu na decyzje podjęte przez radę ograniczy się do ich zatrzymania i wsadzenia do samolotu lecącego do Londynu.
- To, co zaproponowałam radzie, pozwoliło pozyskać głosy za przerwaniem poszukiwań, pomijając fakt, że zdjęło z ciebie podejrzania w sprawie Vackeersa. Teraz, kiedy to osiągnęliśmy,

sytuacja nie musi się rozwijać zgodnie z planem.

- Czy mam rozumieć, że nie sprzeciwisz się zastosowaniu bardziej radykalnych środków?
- Możesz to rozumieć, jak chcesz, tylko przestań biegać po pokoju, bo zaczyna mi się kręcić w głowie.

Ashton zamknął okno, zdjął szlafrok i położył się do łóżka.

- Nie zadzwonisz do swoich służb?
- Nie muszę, wydałem już polecenia, ponieważ wcześniej podjąłem decyzję.
- O jakiej decyzji mówisz?
- Interweniować, zanim zrobią to nasi rosyjscy przyjaciele. Sprawa zostanie załatwiona jutro, kiedy pociąg wyjedzie z Jekaterynburga. Potem, przez zwykłą uprzejmość, poinformuję Moskwę, żeby nie wysyłała na próżno swoich ludzi.

- Rada będzie wściekła, kiedy się dowie, że zlekceważyłeś przegłosowane dziś wieczorem decyzje.

- Pozostawiam twojej inwencji przedstawienie sprawy we właściwy sposób. Możesz potępić mnie za samowolny postępek lub niezdolność podporządkowania się ustalonym zasadom; powinnaś udzielić mi nagany, a potem pouczyć, ja zaś przeproszę, przysięgając, że to moi ludzie postąpili samowolnie. Możesz mi wierzyć, za dwa tygodnie wszyscy o tym zapomną. Ocalisz autorytet, a nasze problemy znikną. Czego jeszcze chcesz?

Ashton wyłączył światło...

Kolej Transsyberyjska

Keira przeleżała cały dzień, bo dopadła ją silna migrena. Powstrzymałem się od czynienia jej wyrzutów z powodu wybryku, na jaki sobie pozwoliła wieczorem, słuchałem nawet z uśmiechem, jak błaga, bym ją dobił, bo dłużej nie znieśie tego bólu. Co pół godziny chodziłem do przedziału na końcu wagonu po zimne kompresy, które przygotowywała dla mnie uprzejma „wagonowa”, a ja szybko wracałem, żeby kłaść je na czole Keiry. Kiedy zasypiała, przyciskałem nos do szyby i patrzyłem na uciekające lasy i pola. Co pewien czas pociąg mijał wioski z domami z brzoźowych bali. Gdy zatrzymywał się na stacyjkach, okoliczni wieśniacy podchodzili do okien, oferując podróżnym miejscowe wyroby: sałatki ziemniaczane, naleśniki z serem, konfitury, pierogi z kapustą albo mięsem. Takie postoje nie trwały długo, pociąg po chwili ruszał ku rozległym równinom Uralu. Późnym popołudniem Keira poczuła się trochę lepiej. Napiała się herbaty i zjadła kilka suszonych owoców. Zbliżaliśmy się do Jekaterynburga, gdzie naszych włoskich współpasażerów czekała przesiadka do Ułan Bator.

- Tak bardzo chciałabym zwiedzić Jekaterynburg, zobaczyć cerkiew Na Krwi... Podobno jest wspaniała – westchnęła Keira.

To była dziwna nazwa świątyni, ale trzeba wiedzieć, że wzniesiono ją na ruinach willi Ipatiewa, gdzie car Mikołaj II, jego żona Aleksandra Fiodorowna i piątka ich dzieci zostali zgładzeni w lipcu 1918 roku.

Niestety, nie mieliśmy czasu na uprawianie turystyki, pociąg zatrzymywał się tylko na pół godziny, ponieważ – jak powiedziała mi nasza „wagonowa” – zmieniano lokomotywę. Mogliśmy jednak wysiąść, żeby rozprostować nogi i kupić coś do jedzenia. Uznałem, że spacer dobrze robi

Keirze.

– Nie jestem głodna – jęknęła.

Zobaczyliśmy przedmieście, podobne do wszystkich otaczających wielkie miasta przemysłowe, a po chwili pociąg wjechał na stację.

Keira zgodziła się wstać, żeby trochę się przejść. Było już ciemno, na peronie handlowały babuszki, głośno zachęcając kupców. W pociągu pojawili się nowi pasażerowie, dwaj policjanci pilnowali porządku. Ich naturalne zachowanie przekonało mnie, że nas nie szukają. Problemy chyba zostały w Moskwie, od której dzieliło nas już ponad półtora tysiąca kilometrów.

O odjeździe nie informował żaden sygnał, tylko poruszenie tłumu świadczyło, że czas wracać do wagonu. Kupiłem skrzynkę wody mineralnej i kilka pierożków, które zjadłem sam, bo Keira natychmiast się położyła i zasnęła. Po posiłku ją również się położyłem, a rytmiczny stukot kół i kołysanie sprawiły, że zapadłem w głęboki sen.

Była druga nad ranem czasu moskiewskiego, kiedy obudził mnie niepokojący hałas przy naszych drzwiach – ktoś próbował wejść do przedziału. Wstałem, odsunąłem zasłonkę, wychyliłem głowę, ale nikogo nie zobaczyłem – korytarz był pusty, nawet „wagonowa” odeszła od samowaru.

Zamknąłem drzwi na zasuwkę i postanowiłem obudzić Keirę – coś mnie niepokoiło. Podskoczyła – przytknąłem palec do jej ust i dałem znak, żeby wstała.

– Co się stało? – szepnęła.

– Nie bardzo wiem, ale lepiej się ubierz. Szybko.

– Dokąd chcesz iść?

Pytanie Keiry było całkiem sensowne. Znajdowaliśmy się w zamkniętym, sześciometrowym przedziale, od wagonu restauracyjnego dzieliło nas sześć innych, a pomysł pójścia tam nie wprawiał mnie w zachwyt. Opróżniłem torbę, ułożyłem rzeczy na kuszetkach i przykryłem je kocami. Potem pomogłem Keirze wejść na półkę bagażową, wyłączyłem światło i przycupnąłem obok niej.

– Możesz mi wyjaśnić, co to za zabawa?

– Nie hałasuj i na razie o nic nie pytaj.

Po dziesięciu minutach znowu usłyszałem, że ktoś porusza klamką. Drzwi przedziału otworzyły się, rozległy się cztery zgłoszone wystrzały i drzwi się zamknęły. Jeszcze długo tuliliśmy się do siebie, aż w końcu Keira poskarżyła się, że chwycił ją skurec i jeśli nie wyprostuje nogi, ból doprowadzi ją do szaleństwa. Zagroziła, że zacznie krzyczeć. Opuściliśmy kryjówkę. Keira chciała włączyć światło, ale nie pozwoliłem jej na to i tylko uchyliłem zasłonę, żeby blask księżyca rozświetlił przedział. Pobledliśmy na widok dziur w naszych kuszetkach, tam gdzie powinniśmy leżeć. Ktoś się tu zakradł, żeby nas zastrzelić. Keira uklękła przed kuszetką i wsunęła palec w dziurę w prześcieradle.

– To potworne... – szepnęła.

– Owszem, obawiam się, że ta kuszетка do niczego się już nie nadaje!

– Do cholery, dlaczego są tacy zawzięci? Przecież nawet nie wiemy, czego szukamy, nie mamy pojęcia, czy kiedykolwiek to znajdziemy, więc...

– Bardzo możliwe, że ci, którzy próbują nas powstrzymać, wiedzą o tym znacznie więcej niż my. Teraz musimy zachować spokój, żeby wydostać się z tej pułapki. I lepiej, żebyśmy szybko coś wymyślili.

Morderca był w pociągu, musiał tu zostać przynajmniej do najbliższej stacji, ale mógł też poczekać, aż ktoś znajdzie nasze zwłoki, aby się upewnić, że wykonał zadanie. W pierwszym wypadku powinniśmy zaszyć się w przedziale, w drugim – wysiąć przed nim. Skład zwalniał, prawdopodobnie dojeżdżaliśmy do Omska. Kolejny postój mieliśmy wcześniej rano, w Nowosybirsku.

Przede wszystkim postanowiłem w jakiś sposób zamknąć drzwi. Wpadłem na pomysł, żeby zacisnąć pasek od spodni na klamce i przymocować go do drabinki, która sięgała półki bagażowej. Skóra była dość mocna, żeby uniemożliwić pchnięcie drzwi od zewnątrz. Potem kazałem Keirze pochylić się, abyśmy mogli oboje obserwować peron niewidziani z zewnątrz.

Pociąg stanął. Z naszych miejsc trudno było zobaczyć, czy ktoś wysiada, a zatem nie mogliśmy mieć pewności, że morderca opuścił pociąg.

Spakowaliśmy rzeczy i przez kilka kolejnych godzin nasłuchiwaaliśmy najłżejszego szmeru. O szóstej rano rozległy się krzyki. Pasażerowie z sąsiedniego przedziału wyszli na korytarz. Keira poderwała się z miejsca.

– Nie zamierzam tu dłużej siedzieć! – powiedziała, zdejmując pasek z klamki i rzucając mi go. – Wychodzimy! Na zewnątrz jest za dużo ludzi, żeby cokolwiek mogło nam grozić.

Jeden z pasażerów znalazł nieprzytomną „wagonową”. Leżała pod swoim samowarem z paskudną raną na czole. Pracująca w dzień jej zmienniczka poleciła nam wrócić do przedziałów. W Nowosybirsku do pociągu miała wkroczyć policja, tymczasem wszyscy powinni zostać na swoich miejscach.

– Wracamy do punktu wyjścia! – syknęła Keira.

– Jeśli policja ma oglądać przedziały – powiedziałem, zapinając pasek – lepiej schowajmy tę pościel. Nie powinniśmy zwracać na siebie uwagi.

– Myślisz, że zabójca wciąż tu jest?

– Nie mam pojęcia, ale teraz nie odważy się podejmować ryzyka.



Na dworcu w Nowosybirsku pasażerów przesłuchiwało kolejno dwóch inspektorów, ale nikt niczego nie zauważył. Ranną „wagonową” zabrał ambulans, jej miejsce zajęła inna pracownica kolei. Pociągiem podróżowało tylu cudzoziemców, że policja nie zwróciła na nas szczególnej uwagi. Tylko w naszym wagonie podróżowali Holendrzy, Włosi, Niemcy, a nawet dwóch Japończyków, dlaczego zatem miałyby nie być Anglików? Spisano nasze dane, inspektorzy wysiedli i pociąg ruszył.

Dalsza trasa wiodła przez zamrożone mokradła, w dali pojawiały się już zaśnieżone łańcuchy górskie, potem znów znaleźliśmy się na syberyjskiej równinie. Około południa pociąg wjechał na długi stalowy most nad potężnym Jenisejem. Postój na dworcu trwał pół godziny. Wolalbym nie wychylać nosa z przedziału, ale Keira nie mogła usiedzieć w miejscu. Temperatura na peronie sięgała minus dziesięciu stopni. Skorzystaliśmy z okazji, żeby kupić coś do jedzenia.

– Nie zauważyłam niczego podejrzanego – oznajmiła Keira, zając się warzywnymi plackami.

– Oby tak już zostało do jutra rana.

Pasażerowie wracali do pociągu. Rozejrzałem się uważnie, a potem pomogłem Keirze wsiąść do wagonu. Nasza nowa „wagonowa” krzyknęła, żebyśmy się pospieszyli. Drzwi zamknęły się

za mną.

Zasugerowałem Keirze, że ostatnią noc w pociągu transsyberyjskim powinniśmy spędzić w wagonie restauracyjnym, gdzie i

Rosjanie, i turyści pili do białego rana. Im więcej ludzi, tym bezpieczniej dla nas. Keira przyjęła ten pomysł z wyraźnym zadowoleniem. Zaleźliśmy miejsca przy stoliku zajmowanym już przez czterech Holendrów.

– Jak odnajdziemy w Irkucku naszego człowieka? Bajkał zajmuje ponad sześćset kilometrów.

– Kiedy już tam dotrzemy, poszukamy kafejki internetowej i trochę poszperamy. Przy odrobinie szczęścia natrafimy na jego ślad.

– Czyżbyś tak biegle znał cyrylicę? Jak sobie z tym poradzisz?

Popatrzyłem na Keirę, a jej cyniczny uśmiech uświadomił mi znowu, jak bardzo podoba mi się ta dziewczyna. Być może naprawdę przydałaby się nam pomoc tłumacza.

– W Irkucku – podjęła, rzucając mi drwiące spojrzenie – pójdziemy spotkać się z szamanem. On powie nam o tym regionie i jego mieszkańcach więcej niż wszystkie strony twojego nieszczęsnego Internetu.

Kiedy jedliśmy kolację, Keira wyjaśniła mi, dlaczego Bajkał jest miejscem tak szczególnym dla paleontologów. Po odkryciu na początku XXI wieku osad z epoki paleolitu udało się potwierdzić obecność człowieka na Zabajkalu i fakt zasiedlenia Syberii dwadzieścia pięć tysięcy lat przed naszą erą. Ludzie ci potrafili się posługiwać kalendarzem i dopełniali rytuałów religijnych.

– Azja to kolebka szamanizmu. W tym regionie – ciągnęła Keira – szamanizm uważa się za pierwotną religię człowieka.

Mity głoszą, że szamanizm narodził się w chwili stworzenia wszechświata, a pierwszy szaman był synem nieba. Widzisz, nasze dziedziny nauk są ze sobą powiązane od zarania dziejów.

Syberyjskie mity kosmogoniczne to bogata literatura. W nekropolu na Wyspie Reniferów na jeziorze Onega znaleziono

rzeźbę w kości z piątego tysiąclecia przed naszą erą. Przedstawia szamańską czapkę ozdobioną pyskiem łosia. Taką czapkę nakładał kapłan zwracający się do niebios w otoczeniu dwóch kobiet.

– Dlaczego mi o tym opowiadasz?

– Ponieważ tutaj, tak jak we wszystkich buriackich wioskach, żeby się czegoś dowiedzieć, trzeba poprosić o rozmowę z szamanem. A teraz może zechcesz mi wyjaśnić, dlaczego zaczepiasz mnie pod stolikiem?

– Wcale cię nie zaczepiam!

– To co robisz?

– Szukam przewodnika, który gdzieś schowałaś. Nie próbuj mi wmawiać, że wiesz tak dużo o szamanach, i tak nie uwierzę!

– Przestań się wygłupiać! – zawołała Keira i roześmiała się, kiedy wsunąłem rękę za jej plecy. – Nie siedzę na żadnej książce. Miałam powód, żeby sobie to wszystko przypomnieć i teraz mówić z pamięci. Za dekolte też niczego nie wsunęłam, dość tego, Adrianie!

– Jaki powód?

– W okresie studiów skłaniałam się ku mistycyzmowi, byłam... zafascynowana szamanizmem. Wonności, magnetyzm skał, taniec, ekstaza, trans... To była taka faza New Age,

rozumiesz, co mam na myśli. I zabraniam ci się ze mnie wyśmiewać. Adrianie! Dość tego, łaskoczesz mnie, nikt nie chowa książek w takich miejscach.

– A jak mamy znaleźć tego szamana? – zapytałem, prostując się.

– Każdy dzieciak na ulicy powie ci, gdzie mieszka szaman, sam się przekonasz. Marzyłam, żeby odbyć taką podróż, kiedy miałam dwadzieścia lat. Dla niektórych niebo to Katmandu, dla mnie niebo jest tu i tu chciałam przyjechać.

– Naprawdę?

– Tak, naprawdę! A teraz, jeśli chcesz, możesz pogłębić swoje poszukiwania, pod warunkiem że wrócimy do przedziału.

Nie dałem się prosić. Wczesnym rankiem dokładnie przebadłem ciało Keiry... ale nie znalazłem ani śladu ściągawki!

London

Sir Ashton siedział przy stole w jadalni, czytając przy herbacie poranną gazetę. Do pokoju wszedł jego sekretarz osobisty i podał mu na srebrnej tacy telefon komórkowy. Ashton sięgnął po aparat, wysłuchał rozmówcy i odłożył słuchawkę na tacę. Sekretarz, zgodnie ze zwyczajem, powinien był natychmiast wyjść, tym razem jednak chciał chyba jeszcze coś powiedzieć i czekał, aż sir Ashton zwróci się do niego.

– Coś jeszcze? Czy naprawdę nie mogę w spokoju zjeść śniadania?

– Szef bezpieczeństwa pragnie pilnie z panem mówić.

– W takim razie niech przyjdzie dziś po południu.

– Czeka w holu, podobno to sprawa niecierpiąca zwłoki.

– Szef bezpieczeństwa przyszedł do mnie o dziewiątej rano? Co tu się dzieje?

– Podejrzewam, że wołał pomówić tu z panem w cztery oczy, ale nie chciał mi nic powiedzieć, tylko nalegał na jak najszybsze spotkanie.

– W takim razie, zamiast tu stać i gadać, proszę go wprowadzić. Zaczyna mnie pan irytować. I niech zaparzą herbaty, ale ma mieć właściwą temperaturę, nie znoszę takiej ciepławej lury, jaką musiałem pić do śniadania. Skoro to takie pilne, to może się pan wreszcie ruszy!

Sekretarz wyszedł, wpuszczając gościa.

– Czego pan ode mnie chce?

Szef bezpieczeństwa podał sir Ashtonowi zapieczętowaną kopertę. Gospodarz otworzył ją i wyjął zdjęcia, na których rozpoznał park na wprost swojego domu i siedzącego na ławce Ivory'ego.

– Co ten dureń tu robi? – zapytał Ashton, podchodząc do okna.

– Zrobiono je wczoraj późnym popołudniem.

Ashton opuścił firankę i zwrócił się do szefa bezpieczeństwa.

– Jeżeli ten stary wariat ma ochotę karmić gołębice akurat pod moim domem, to niech się bawi, nic mi do tego. Mam nadzieję, że nie niepokoi mnie pan o tak wczesnej porze wyłącznie z jego powodu.

– Operacja w Rosji, jak się wydaje, została przeprowadzona i zakończyła się tak, jak pan sobie tego życzył.

- Dlaczego nie zaczął pan od tej wspaniałej nowiny? Napije się pan herbaty?
- Dziękuję, sir Ashtonie, ale muszę już iść, mam dużo pracy.
- Chwileczkę... dlaczego powiedział pan: „jak się wydaje”?
- Nasz emisariusz musiał wysiąść z pociągu wcześniej, niż zamierzał. Jest jednak pewien, że oba cele zginęły na miejscu.
- Może pan już odejść.

Irkuck

Z ogromną ulgą wysiedliśmy z pociągu. Ta podróż, jeśli nie liczyć ostatniej nocy, nie pozostawiła po sobie dobrych wspomnień. Idąc przez dworzec, uważnie rozglądałem się wokół i nie zauważyłem niczego podejrzanego. Keira wypatrzyła chłopaka, który pokątnie handlował papierosami. Zaproponowała mu dziesięć dolarów za drobną przysługę – miał zaprowadzić nas do szamana. Chłopak nie zrozumiał ani słowa z tego, co powiedziała, ale zabrał nas do siebie. Jego ojciec miał pracownię garbarską przy małej uliczce na starówce.

Zaskoczyła nas etniczna różnorodność tego miejsca. W idealnej harmonii w tym mieście żyły obok siebie rozmaite grupy narodowościowe. Irkuck, miasto o niezwyklej przeszłości, pełne starych, drewnianych domów, zapadających się w ziemię i przechylających, a w końcu rozpadających się przez zaniedbania właścicieli. Irkuck i Buriatki w nieśmiertelnych wełnianych chustkach zawiązanych pod brodą, z tobołkami w rękach... Tu każda dolina i każda góra ma swego ducha, tu czci się niebo, a zanim wypije się wódkę, trzeba wylać kilka kropel na stół, przepijając z bogami. Garbarz przyjął nas w swoim skromnym domku. Szkolną angielszczyzną wyjaśnił nam, że jego rodzina mieszka tu od trzech stuleci. Jego dziadek był kuźnikiem za czasów, kiedy Buriaci handlowali jeszcze futrami w mieście, ale wszystko to było już przeszłością i dawno minęło. Sobole, norki, wydry i lisy zniknęły, mała pracownia o parę kroków od kaplicy Świętej Praksewy wytwarzała wyłącznie skórzane teczki i tornistry sprzedawane z trudem na pobliskim bazarze. Keira zapytała garbarza, czy wie, jak dotrzeć do szamana. Uznał, że najlepszy jest ten z Listwianki, miasteczka nad Bajkałem. Aby dostać się tam najtaniej, trzeba było skorzystać z busików, taksówki były, jak twierdził, niesamowicie drogie, a wcale nie zapewniały większej wygody; zaproponował, żebyśmy zostali u niego na obiedzie, bo jak wielu mieszkańców tych udręczonych prześladowaniami terenów pozostał wierny prawu gościnności. Chude, gotowane mięso z ziemniakami, a do tego herbata, masło i kromka chleba. Do dziś pamiętam ten obiad w pracowni kuźnika z Irkucka.

Keira zaprzyjaźniła się z synem gospodarza – razem powtarzali słowa, które były obce dla któregoś z nich, te rosyjskie i te angielskie, i śmiali się wesoło pod okiem rozczulonego ojca. Po południu chłopak odprowadził nas na przystanek autobusowy. Keira chciała mu dać kilka obiecanych dolarów, ale odmówił, więc zdjęła szalik i podarowała mu go. Owinął nim szyję i pobiegnął do domu. Przed zakrętem odwrócił się i pomachał nam na pożegnanie właśnie tym szalikiem. Wiedziałem, jak ciężko było w tym momencie Keirze, która bardzo tęskniła za Harrym, i domyślałem się, że widzi go w oczach każdego napotkanego dziecka. Wziąłem ją w ramiona i szepcząc do ucha, przypomniałem swą obietnicę. Wrócimy do doliny Omo i bez względu na to, ile zajmie nam to czasu, odnajdziemy Harry'ego.



Busik jechał wzdłuż brzegu rzeki, wokół ciągnęły się stepy. Kobiety handlowały przy drodze, trzymając na rękach śpiące dzieci. Podczas podróży Keira powiedziała mi nieco więcej o szamanach i czekającym nas spotkaniu.

– Szaman jest uzdrowicielem, czarownikiem, kapłanem, magiem, wieszczem, opętanym. Jego rola to uzdrawianie z niektórych chorób, sprowadzanie zwierzyny łownej albo deszczu, czasem nawet odnajdywanie zagubionych rzeczy.

– Powiedz, czy twój szaman nie mógłby wskazać nam od razu tego fragmentu, którego nam brakuje, bo wtedy nie musielibyśmy już chodzić do Jegorowa i zyskalibyśmy na czasie.

– Pójdę sama!

To był drażliwy temat, nie należało obracać go w żart. Dlatego słuchałem uważnie, co Keira miała mi do powiedzenia.

– Żeby nawiązać kontakt z duchami, szaman wchodzi w trans. Konwulsje, które go ogarniają, świadczą, że duch już jest w jego ciele. Po transie szaman upada i wchodzi w stan katalepsji. To dla obecnych bardzo silne doznanie, nigdy nie wiadomo bowiem, czy szaman powróci do świata żywych. Kiedy odzyskuje zmysły, opowiada o swej podróży. Pośród tych podróży jest jedna, która pewnie by ci się spodobała: szaman wyrusza w kosmos. Nazywa się to magicznym lotem. Szaman zbliża się do „istoty nieba” i przechodzi przez Gwiazdę Polarną.

– Wiesz, że potrzebny nam jest tylko jeden adres, więc może moglibyśmy się ograniczyć i poprosić go o skromniejszy wariant usługi.

Keira odwróciła głowę i patrzyła przez okno, nie odzywając się już do mnie.

Listwianka...

...to miasteczko wybudowane wyłącznie z drewna, jak wiele syberyjskich osad. Nawet cerkiew jest tu drewniana. Dom szamana nie różnił się od innych. Nie tylko my postanowiliśmy tu dziś przybyć. Miałem nadzieję, że zamienimy z nim tylko parę słów, tak jakbyśmy zapukali do drzwi sołtysa, żeby zapytać o mieszkającą gdzieś w okolicy rodzinę, z którą straciliśmy kontakt. Okazało się jednak, że najpierw musimy wziąć udział w zaczynającym się właśnie obrzędzie.

Wraz z pięćdziesięcioma innymi osobami usiedliśmy w kręgu na dywanie w dużej izbie. Wszedł szaman w rytualnych szatach. Wszyscy milczeli. Młoda, może dwudziestoletnia kobieta leżała na macie. Widać było, że jest chora i ma potworną gorączkę. Pot wystąpił jej na czoło, jęczała. Szaman sięgnął po bęben. Keira, wciąż na mnie obrażona, wyjaśniła mi (choć o nic nie pytałem), że to przyrząd nieodzowny podczas rytuału, mający podwójne konotacje seksualne: skóra to męskość, a rama – element żeński. Znów zachowałem się jak głupiec, to znaczy – roześmiałem się i natychmiast dostałem za to po głowie.

Szaman najpierw rozgrzał skórę bębna, zbliżając ją do płonącej pochodni.

– Przyznasz, że to bardziej skomplikowane niż telefon do informacji – szepnąłem do Keiry.

Szaman uniósł ręce, jego ciało zaczęło się kołysać w rytm bębna. Ta muzyka miała dziwną moc i odebrała mi ochotę na ironiczne uwagi. Keira była bez reszty pochłonięta rozgrywającą się na naszych oczach sceną. Szaman wszedł w trans, jego ciałem wstrząsnęły silne drgawki. Podczas rytuału twarz młodej kobiety przemieniała się, gorączka chyba spadła, policzki

odzyskiwały zdrową barwę, pojawiły się lekkie rumieńce. Keira była zafascynowana, a muszę przyznać, że ja również. Bęben zamilkł, szaman osunął się na ziemię. Nikt nie śmiał powiedzieć słowa, nikt nie zakłócał ciszy. Wszystkie oczy zwróciły się na nieruchomo leżącego mężczyznę. Trwało to dość długo. Kiedy wreszcie odzyskał zmysły i wstał, podszedł do młodej kobiety, zbliżył dłonie do jej twarzy i poprosił, żeby się podniosła. Choć lekko się chwiała, wydawało się, że choroba, która jeszcze przed chwilą była tak ciężka, ustąpiła. Obecni wyrażali podziw dla praktyk szamana – magia zadziałała.

Nie wiedziałem i dotąd nie wiem, czy ten człowiek miał jakąś realną moc, a to, czego świadkiem byłem tamtego dnia w jego domu w Listwiance, na zawsze pozostanie dla mnie zagadką.

Po rytuale ludzie się rozeszli. Wtedy Keira podeszła do szamana i poprosiła go o chwilę rozmowy. Wskazał jej miejsce, by usiadła i zadała pytania, z którymi do niego przyszła.

Dowiedzieliśmy się od niego, że poszukiwany przez nas człowiek jest miejscowym notabłem. Dobroczyńcą, który daje dużo pieniędzy ubogim, wspomaga budowę szkół, a sfinansował także remont przychodni, która odtąd pełni funkcję małego szpitala. Szaman wahał się, czy podać jego adres obcym ludziom, których intencje nie były mu znane. Keira dała mu słowo, że chcemy tylko uzyskać pewne informacje, opowiedziała o swojej pracy i wyjaśniła, w czym może nam pomóc Jegorow. Jej cele były ściśle naukowe.

Szaman uważnie przyglądał się wisiorowi Keiry, a w końcu zapytał o jego pochodzenie.

– To bardzo stary przedmiot – wyznała otwarcie – fragment gwiazdnej mapy, której brakujących elementów poszukujemy.

– Jaki jest jego wiek? – zapytał szaman, prosząc, by pozwoliła mu dokładniej obejrzyć kamień.

– Miliony lat – odparła, podając mu go.

Szaman delikatnie pogładził wisior i jego twarz zmieniła się w ułamku sekundy.

– Nie powinniście kontynuować tej podróży – powiedział z naciskiem.

Keira spojrzała na mnie. Co tak nagle zaniepokoiło tego człowieka?

– Proszę nie nosić tego przy sobie, to lekkomyślność – dodał.

– Czy widział pan już coś podobnego? – zapytała Keira.

– Nie rozumie pani, co to może spowodować! – powiedział szaman.

Jego oczy jeszcze mocniej się zasępiły.

– Nie wiem, o czym pan mówi – odparła Keira, sięgając po wisior. – Jesteśmy naukowcami...

– Raczej ignorantami! Czy pani przynajmniej wie, jak obraca się świat? Czy chce pani ryzykować zaburzenie jego równowagi?

– O czym pan mówi? – obruszyła się Keira.

– Proszę już iść! Człowiek, z którym chcecie się spotkać, mieszka dwa kilometry stąd, w różowej dacy z wieżyczkami, doprawdy trudno jej nie zauważyć.



Młodzież jeździła na łyżwach po tafli Bajkału, daleko od brzegu, gdzie mróz skuł fale, tworząc przerażające rzeźby. Uwięziony statek towarowy o rdzewiejącej burcie leżał na boku. Keira wcisnęła ręce do kieszeni.

– Co usiłował powiedzieć nam ten człowiek? – zapytała, zerkając na mnie.

– Nie mam pojęcia, to ty jesteś znawczynią szamanizmu. Myślę, że nauka wzbudza w nim obawy, i tyle.

– Jego zachowanie nie wydało mi się irracjonalne, mam wrażenie, że wiedział, o czym mówi... jakby chciał nas ostrzec przed niebezpieczeństwem.

– Keiro, nie jesteśmy uczniami czarownika. W nauce nie ma miejsca na magię i ezoterykę. Wszyscy postępujemy zgodnie z regułami nauki. Mamy dwa fragmenty mapy, chcemy uzupełnić je o pozostałe. To wszystko.

– Mapy, która twoim zdaniem została sporządzona przed czterema milionami lat. Poza tym nie mamy pojęcia, co nam pokaże, kiedy będzie kompletna...

– Kiedy złożymy całość, będziemy mogli naukowymi metodami wykazać, że jakaś cywilizacja posiadała wiedzę astronomiczną w czasach, gdy, jak dotąd sądziliśmy, nikt na Ziemi nie mógł zdobyć takiej wiedzy. To odkrycie spowoduje ogromne zmiany w spojrzeniu na dzieje ludzkości. Czy nie to fascynuje cię od wielu lat?

– A na co ty liczysz?

– Że ta mapa pokaże mi gwiazdę, której jeszcze nie znam. To byłoby fantastyczne. Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Po prostu strach mnie obleciał, Adrianie. Jeszcze nigdy, prowadząc poszukiwania, nie zetknęłam się z przemocą ze strony innych ludzi i nie mogę zrozumieć, co powoduje tymi, którzy tak bardzo chcą nas zniszczyć. Ten szaman nic o nas nie wiedział, a jego reakcja w zetknięciu z wisiorem była... przerażająca.

– Zdajesz sobie sprawę, co mu ujawniłaś i co to może dla niego oznaczać? Ten człowiek jest wyrocznią. Jego władza, jego aura biorą się z jego wiedzy i z ignorancji tych, którzy otaczają go szacunkiem, nawet czcią. I nagle przychodzimy, żeby podsunąć mu pod nos świadectwo wiedzy znacznie przerastającej tę, którą posiadał. To dla niego zagrożenie. Nie spodziewałbym się przychylniejszej reakcji członków Akademii, gdybyśmy im to powiedzieli. Jeśli do zabitej deskami wsi na końcu świata, do której nigdy wcześniej nie dotarła nowoczesność, przybędzie lekarz i wyleczy chorego, stosując środki farmakologiczne, ludzie zobaczą w nim czarownika o niesamowitej mocy. Człowiek podziwia tych, których wiedza jest dla niego niepojęta.

– Dziękuję za tę lekcję, Adrianie, ale przeraża mnie nasza ignorancja, a nie ciemnota tubylców.

Doszliśmy do różowej daczy. Wyglądała tak, jak opisał ją szaman – mówił prawdę, nie dałoby się pomylić jej z żadnym innym domem, bo równie pretensjonalną architekturę spotyka się nader rzadko. Ten, kto tu mieszkał, nie starał się ukryć bogactwa, przeciwnie – afiszował się nim, pewny swych wpływów i sukcesu.

Dwaj ludzie z kałasznikowami pilnowali wejścia na teren posiadłości. Przedstawiłem się i powiedziałem, że chciałbym spotkać się z panem domu. Przyjechaliśmy tu skierowani przez jego dawnego przyjaciela Thornstena, który prosił, abyśmy zwrócili mu stary dług. Strażnik polecił nam zaczekać przed bramą. Keira podskakiwała w miejscu, żeby się rozgrzać, co rozbawiło drugiego strażnika, który zresztą patrzył na nią w sposób wywołujący we mnie złość. Wziąłem ją w ramiona i pocierałem dłonią jej plecy. Strażnik wrócił po kilku minutach, potem zostaliśmy dokładnie przeszukani i wreszcie mogliśmy wejść do okazałej daczy Jegorowa.

Podłogi były wyłożone marmurem z Carrary, a ściany pokryte angielską boazerią, o czym poinformował nas na powitanie gospodarz, który czekał w salonie. Dywany pochodziły z Iranu i

jak zapewnił, były cenne.

– Myślałem, że ten łajdak Thornsten od dawna nie żyje – oznajmił Jegorow, częstując nas wódką. – Wypijcie – rzucił – to was rozgrzeje.

– Przykro mi, że muszę pana rozczarować – skwitowała jego słowa Keira – ale miewa się doskonale i wygląda kwitnąco.

– Bardzo się cieszę – odparł Jegorow. – Przyjechaliście tu, żeby oddać pieniądze, które jest mi winien?

Wyjąłem portfel i wręczyłem gospodarzowi sto dolarów.

– Proszę – powiedziałem, kładąc na stole banknot, po który nie wyciągnął ręki – może pan sprawdzić, kwota się zgadza.

Jegorow z drwiącym uśmiechem spojrzał na studolarówkę.

– Mam nadzieję, że to żart!

– Właśnie taką sumę mieliśmy panu przekazać.

– Tyle był winien trzydzieści lat temu! Biorąc pod uwagę obecną wartość pieniądza, bez odsetek, trzeba by pomnożyć tę kwotę przez sto, wtedy byłibyśmy kwita. Daję wam dwie minuty na wyniesienie się stąd, potem pożałujecie, że przyszło wam do głowy ze mnie zakpić.

– Thornsten powiedział, że może nam pan pomóc, jestem archeologiem, potrzebuję pana.

– Przykro mi, nie zajmuję się tym od dawna, surowce zapewniają dużo lepszy zarobek. Jeżeli przyjechaliście tu w nadziei, że coś ode mnie kupicie, to podróżowaliście na próżno. Thornsten zdrwił i z was, i ze mnie. Zabierajcie te pieniądze i idźcie.

– Nie rozumiem, skąd w panu tyle wrogości wobec niego, wyrażał się o panu z szacunkiem, wydaje mi się, że wręcz pana podziwiał.

– Doprawdy? – zapytał Jegorow, który najwyraźniej wziął te pochlebstwa Keiry za dobrą monetę.

– Za co był panu winien te pieniądze? Sto dolarów w tym kraju miało przed trzydziestu laty sporą wartość – dodała.

– Thornsten był tylko pośrednikiem, działał w imieniu nabywcy z Paryża. Ten człowiek chciał zdobyć stary manuskrypt.

– Jakiego typu?

– To był wygrawerowany kamień odnaleziony w skutym lodem grobie na Syberii. Zapewne wiecie równie dobrze jak ja, że wiele z tych grobów odkryto w latach pięćdziesiątych, a wszystkie kryły skarby doskonale zakonserwowane w lodzie.

– I wszystkie zostały doszczętnie ograbione.

– Ludzka chciwość jest straszna, prawda? – westchnął Jegorow. – Kiedy w grę wchodzi pieniądze, znika wszelki szacunek dla najwspanialszych dzieł przeszłości.

– A pan, rzecz jasna, poświęcał życie na ściganie tych grabieżców grobów, tak? – podchwyciła Keira.

– Moja panno, masz ładny tyłeczek i sporo wdzięku, ale nie nadużywaj zbyt wiele mojej gościnności.

– Sprzedał pan Thornstenowi ten kamień?

– Wcisnąłem mu kopię! Jego zleceniodawca wcale się na tym nie znał, a ponieważ wiedziałem, że mi nie zapłaci, dałem mu reprodukcję, muszę przyznać, że doskonałej jakości. Zabierzcie te pieniądze, idźcie na dobrą kolację i powiedzcie Thornstenowi, że nic już nie jest mi

winien.

– Czy ma pan ten oryginał? – zapytała Keira, uśmiechając się.

Jegorow długo się jej przyglądał, zatrzymując wzrok na krągłościach jej ciała. On też się uśmiechnął i wstał.

– Skoro przyjechaliście aż tu, chodźcie za mną, pokażę wam to чудо.

Podszedł do biblioteki, która stała pod ścianą salonu. Wyjął z niej kuferek z delikatnej skóry, otworzył go i odstawił na miejsce.

– Tu go nie ma, gdzie też mogłem go schować?

Zajrzał do trzech innych puzerek podobnego typu, aż w końcu, w piątym, znalazł przedmiot owinięty w bawełnę. Rozwiązał sznureczek i pokazał nam kamień o wymiarach dwadzieścia na dwadzieścia centymetrów. Ostrożnie położył go na biurku i poprosił, żebyśmy podeszli bliżej.

Pokryta patyną powierzchnia była zapisana znakami podobnymi do hieroglifów.

– To sumeryjskie napisy. Ten kamień ma przeszło sześć tysięcy lat. Zleceniodawca Thornstena zrobiłby lepiej, płacąc mi wtedy, bo cena była całkiem przystępna. Trzydzieści lat temu byłem gotów sprzedać trumnę Sargona za kilkaset dolarów, dziś ten kamień jest bezcenny, ale też, co paradoksalne, nie da się go sprzedać, chyba że prywatnemu kolekcjonerowi, który trzymałby go w ukryciu. Tego rodzaju zabytki są szczególnie chronione i nie wolno nimi handlować. Czasy się zmieniły, przemysł dzieł sztuki stał się zbyt ryzykowny. Już wam powiedziałem, że na handlu surowcami można znacznie więcej zarobić, a ryzyko jest nieporównywalnie mniejsze.

– Co znaczą te napisy? – zapytała Keira zafascynowana pięknem kamienia.

– Nic szczególnego, to prawdopodobnie jakiś poemat albo legenda, ale ktoś, kto chciał go kupić, przywiązywał do tekstu ogromne znaczenie. Mam chyba gdzieś tłumaczenie. O, jest! – powiedział, szperając w kasecie.

Wręczył Keirze kartkę, a ona przeczytała głośno tekst.

Istnieje legenda, według której dziecko w łonie matki zna całą tajemnicę Stworzenia, od początku świata do jego końca. Kiedy dziecko się rodzi, przy kołysce staje posłaniec i kładzie palec na jego ustach, aby nigdy nie zdradziło powierzonej mu tajemnicy życia...

Jak mogłem ukryć zaskoczenie, słysząc te słowa, które brzmiały mi w uszach i przywoływały wspomnienie nieudanej podróży. Ostatnie słowa, które czytałem na pokładzie samolotu wylatującego do Chin, zanim straciłem przytomność i samolot zawrócił. Keira przerwała zaniepokojona moim wzburzeniem. Wyciągnąłem z kieszeni portfel, wyjąłem z niego kartkę, rozłożyłem ją i odczytałem głośno zakończenie tego niezwykłego tekstu.

Ten palec usuwa wszystko z pamięci dziecka, zostawiając jedynie znak. Taki znak wszyscy mamy nad górną wargą – oprócz mnie.

W dniu, kiedy się urodziłem, posłaniec zapomniał złożyć mi wizytę i dlatego ja pamiętam wszystko.

Keira i Jegorow patrzyli to na mnie, to na siebie, równie zdziwieni jak przed chwilą ja. Wyjaśniłem im, w jakich okolicznościach dotarł do mnie ten tekst.

– To twój przyjaciel, profesor Ivory, przekazał mi go, gdy wyruszałem do Chin, żeby cię

odnaleźć.

– Ivory? A co on ma z tym wspólnego? – zapytała Keira.

– Ależ właśnie tak nazywał się łajdak, który mi nie zapłacił! – krzyknął Jegorow. – Myślałem, że i on dawno nie żyje.

– To jakaś mania z tym grzebaniem ludzi! – rozzłościła się Keira. – Wątpię, żeby Ivory miał cokolwiek wspólnego z pańskim żalonym handlem przedmiotami rabowanymi z grobów.

– Powtarzam pani, że ten cały profesorek, niby taki nieskazitelny, to właśnie nabywca z Paryża, i proszę nie podważać moich słów, bo nie przywykłem, żeby byle gąska zarzucała mi kłamstwo. Oczekuję przeprosin!

Keira splótła ręce na piersi i odwróciła się plecami do Jegorowa. Chwyciłem ją i kazałem natychmiast przeprosić. Spiorunowała mnie wzrokiem i burknęła „przykro mi” pod adresem pana domu, który na szczęście przełknął taką formę i zgodził się kontynuować rozmowę.

– Ten kamień znaleziono na północnym zachodzie Syberii, gdy otwierano skute lodem groby. W tym regionie jest ich mnóstwo. W mroźnym klimacie miejsca pochówku pozostały doskonale zakonserwowane mimo upływu tysięcy lat. To, co się wówczas działo, należy umieścić we właściwym kontekście. Wszystkie projekty badawcze były w tamtym okresie kontrolowane przez Komitet Centralny Partii. Archeolodzy pracowali za głodowe pensje w skrajnie trudnych warunkach.

– Na Zachodzie wcale nie płacą nam lepiej, a jednak nie grabi się terenów wykopalisk!

Wolałbym, żeby Keira zachowała dla siebie tego rodzaju uwagi.

– Wszyscy handlowali pokątnie, żeby zapewnić sobie byt – podjął Jegorow. – Ponieważ w hierarchii partyjnej zajmowałem nieco wyższą pozycję, raporty, zezwolenia i przyznawanie środków w pewnej mierze zależały ode mnie. Moim zadaniem było wybieranie tych znalezisk. Cenne przekazywałem do Moskwy, a inne pozostawały w regionie. Partia dokonywała największych grabieży dóbr republik Związku Radzieckiego, którym odbierała należne im prawnie skarby, my pobieraliśmy jedynie drobny haracz, jak wszyscy pośrednicy. Część znalezisk nie docierała do Moskwy, ale wzbogacała kolekcje zachodnich naukowców. W ten sposób poznałem pewnego dnia waszego przyjaciela Thornstena. Działał w imieniu profesora Ivory'ego, pasjonującego się cywilizacjami Scytów i Sumerów.

Wiedziałem, że mi nie zapłaci, a ponieważ w moim zespole pracował bardzo zdolny specjalista epigrafiki, poleciłem mu wykonać reprodukcję kamienia w granicie. Ale może dowiem się wreszcie, co was do mnie sprowadza, bo nie wierzę, żebyście jechali przez Ural tylko po to, aby oddać mi sto dolarów!

– Jestem na tropie ludów wędrownych, które zapewne wyruszyły cztery tysiące lat przed naszą erą na daleką wyprawę.

– A skąd dokąd?

– Wyruszyli z Afryki, dotarli do Chin. Na to mam już dowody. Potem, ale to tylko hipoteza, prawdopodobnie skierowali się w stronę Mongolii, przeszli przez Syberię i trzymając się Jeniseju, dotarli do Morza Karskiego.

– Niesamowita podróż, po co jednak ten lud miałby przemierzyć taką odległość?

– Żeby dostać się przez biegun na kontynent amerykański.

– To nie jest dobra odpowiedź na moje pytanie.

– Mieli przekazać wiadomość.

– I uważa pani, że mógłbym jakoś pomóc w udowodnieniu, iż taka wyprawa się odbyła? Kto panią do tego przekonał?

– Thornsten twierdzi, że jest pan znawcą cywilizacji sumeryjskiej, a ja przypuszczam, że kamień, który nam pan pokazał, poświadcza jego słowa.

– Jak pani poznała Thornstena? – zapytał Jegorow, uśmiechając się szyderczo.

– Przez przyjaciela, który podpowiedział nam, żebyśmy się do niego zwrócili.

– Dość zabawne.

– Nie wiem, co w tym zabawnego.

– Czy ten przyjaciel nie jest znajomym Ivory'ego?

– O ile wiem, nie.

– I dałaby pani głowę, że nigdy się nie zetknęli?

Jegorow podał Keirze telefon, nie spuszczać z niej wzroku.

– Albo jest pani głupia, albo oboje jesteście przerażająco naiwni. Proszę zadzwonić do tego przyjaciela i zapytać, czy zna Ivory'ego!

Oboje z Keirą patrzyliśmy na Jegorowa, nie wiedząc, do czego zmierza. Keira wzięła telefon, wybrała numer Maksa i odeszła, co, muszę wyznać, nieco mnie zirytowało. Wróciła po kilku minutach, a na jej twarzy malowało się rozczarowanie.

– Znasz jego numer na pamięć... – powiedziałem.

– Nie czas na takie rozmowy.

– Pytał, jak się miewam?

– Okłamał mnie. Zapytałam go wprost, czy zna Ivory'ego, a on mi przysiągł, że nie, ale wyczułam, że kłamie.

Jegorow podszedł do biblioteki, rozejrzał się po półkach i wyciągnął grubą księgę.

– Jeżeli dobrze zrozumiałem – rzekł – staruszek profesor odesłał was do przyjaciela, a ten podpowiedział wam, żebyście zwrócili się do Thornstena, który skierował was do mnie. I niby to przypadkiem tenże sam Ivory starał się trzydzieści lat temu zdobyć będący w moim posiadaniu kamień z sumeryjskim tekstem, którego transkrypcję wcześniej panu podsunął. Oczywiście to wszystko tylko przypadek i zbieg okoliczności...

– Co pan ma na myśli? – zapytałem.

– Jesteście dwiema marionetkami Ivory'ego, który pociąga za sznurki, jak chce, każe wam jeździć z północy na południe i ze wschodu na zachód. Posługuje się wami. Jeżeli dotąd nie zrozumieliście, że jesteście tylko narzędziami w jego ręku, to znaczy, że jesteście głupszy, niż przypuszczałem.

– Dobrze widzimy, że ma nas pan za idiotów – syknęła Keira. – Powiedział pan to dość dobitnie. Zastanawiam się tylko, po co Ivory miałyby robić coś takiego? Co by mu to dało?

– Nie wiem, czego właściwie szukacie, ale przypuszczam, że wynik waszej pracy bardzo go interesuje. Prawdopodobnie kontynuujecie dzieło, z którego realizacji sam musiał zrezygnować. Nie trzeba być szczególnie przenikliwym i inteligentnym, żeby się zorientować, że pracujecie dla niego, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Jegorow otworzył księgę i rozłożył starą mapę Azji.

– Dowód, który miała pani nadzieję znaleźć – podjął – ma pani przed oczyma. Na tym kamieniu wypisano sumeryjski tekst. Ivory miał nadzieję, że wciąż jestem w jego posiadaniu, więc postarał się, żebyście do mnie dotarli.

Jegorow usiadł przy biurku i wskazał nam dwa głębokie fotele.

– Prace archeologiczne na Syberii rozpoczęto w osiemnastym wieku z inicjatywy Piotra Wielkiego. Wcześniej Rosjanie nie przywiązywali wagi do przeszłości. Kiedy kierowałem syberyjską sekcją w Akademii, stawałem na głowie, żeby przekonać władze do objęcia ochroną bezcennych skarbów. Nie jestem zwykłym przemytnikiem i rabusiem, jak sobie pewnie wyobrażacie. Oczywiście miałem pewne powiązania, ale dzięki nim ocalałem tysiące dzieł i doprowadziłem do odrestaurowania wielu innych, które były skazane na zniszczenie. Czy myślicie, że ten sumeryjski kamień przetrwałby, gdybym nie zwrócił na niego uwagi? Prawdopodobnie, jak tysiące innych, posłużyłby do naprawy murów jakichś koszar albo umacniałby dzisiaj drogę. Nie twierdzę, że nie starałem się czerpać pewnych korzyści z drobnego handlu, ale zawsze działałem świadomie. Nie sprzedawałem świadectw historii Syberii byle komu. Cóż, prawdę mówiąc, profesor nie marnuje waszego czasu na darmo. Rzeczywiście dokładniej niż ktokolwiek inny w Rosji badałem cywilizację sumeryjską i zawsze byłem przekonany, że ten lud odbywał dalsze wędrówki, niż się zakłada. Nikt nie chciał wierzyć w moje teorie, traktowali mnie jak szaleńca i nieudacznika. Artefakt, którego pani szuka, poświadczający, że wędrowny lud dotarł na daleką północ, leży przed panią. Czy pani wie, kiedy został wryty na nim tekst? Pochodzi z cztery tysiące czwartego roku przed naszą erą. Może się pani o tym przekonać – powiedział, wskazując palcem linię nieco krótszą od pozostałych, w górnej części kamienia. – To datowanie. Czy teraz może się pani podzielić przypuszczeniami na temat powodów, dla których podjęto próbę dotarcia do Ameryki? Podejrzewam, że skoro pani tu przyjechała, zna pani te powody.

– Już panu powiedziałam – Keira oderwała wzrok od kamienia – chodziło o przekazanie wiadomości.

– Dziękuję, nie jestem głuchy, ale co to była za wiadomość?

– Nie mam pojęcia, wiem tylko, że była przeznaczona dla mistrzów dawnych cywilizacji.

– I sądzi pani, że ci posłańcy dotarli do celu?

Keira pochyliła się nad mapą i wskazała palcem wąski pas Cieśniny Beringa. Potem przesunęła go na krańce Syberii.

– Nie wiem – powiedziała cicho. – I dlatego tak bardzo potrzebne mi informacje o wszelkich śladach, jakie pozostawili na swojej drodze.

Jegorow wziął Keirę za rękę i wolno przesunął ją po mapie.

– Man-Pupu-Nyor – powiedział, puszczając jej dłoń na wschód od Uralu, w punkcie usytuowanym na północ od Republiki Komi. – Miasto Siedmiu Olbrzymów Uralu. To tam pani posłańcy do mistrzów zatrzymali się po raz ostatni.

– Skąd pan wie? – zapytała Keira.

– Ponieważ w tym miejscu, na zachodniej Syberii, znaleziono kamień. Wędrowcy nie trzymali się Jeniseju, ale rzeki Ob, i nie podążali ku Morzu Karskiemu, ale Białemu. Do tego celu wiodła krótsza i łatwiejsza droga przez Norwegię.

– Dlaczego powiedział pan „zatrzymali się po raz ostatni”?

– Bo mam podstawy sądzić, że tam skończyła się ich podróż. Nigdy nie ujawniliśmy tego, co teraz pani usłyszy. Trzydzieści lat temu prowadziliśmy w tym regionie wykopaliska. W Man-Pupu-Nyor, na rozległym terenie, na górze omiatanej przez wiatr, wznosi się siedem kamiennych słupów wysokości od

trzydziestu do czterdziestu dwóch metrów. Wyglądają jak ogromne menhiry. Sześć tworzy półokrąg, siódmy zdaje się ich strzec. Siedem Olbrzymów Uralu* to tajemnica, której dotąd nie udało się wyjaśnić. Nikt nie wie, dlaczego się tam wznoszą. Erozja nie mogła doprowadzić do ich powstania. To rosyjski odpowiednik waszego Stonehenge, ale te skały są bez porównania większe.

* Znane również jako Słupy Republiki Komi lub Siedem Filarów.

– Dlaczego nigdy o tym nie mówiono?

– Choć może to panią zdziwić, przykryliśmy teren wykopaliskowy i pozostawiliśmy go w takim stanie, w jakim był przed podjęciem prac. Celowo zatarliśmy ślady naszej obecności. Za tamtych czasów partia nie interesowała się naszymi pracami. Niekompetentni moskiewscy urzędnicy i tak zlekceważyliby nasze odkrycie. W najlepszym razie to niezwykle znalezisko zostałoby zarchiwizowane, ale nikt nie prowadziłby dalszych badań ani nie zadbałby o ochronę terenu. W końcu wszystko to wylądowałoby w małych skrzyniach w podziemiach któregoś z instytutów i pozostałoby w zapomnieniu.

– Co tam znaleźliście? – zapytała Keira.

– Liczne szczątki ludzkie z czwartego tysiąclecia, około pięćdziesięciu doskonale zachowanych w lodzie ciał. Właśnie pomiędzy nimi leżał ten sumeryjski kamień. Był w ich grobie. Ludzie, których pani szuka, stali się więźniami zimy i śniegu. Zginęli z głodu.

Keira odwróciła się i spojrzała na mnie. Dawno nie widziałem jej tak podekscytowanej.

– Przecież to wielkie odkrycie! Nikt nie zdołał dotąd udowodnić, że Sumerowie dotarli tak daleko. Gdyby opublikował pan pracę popartą takimi dowodami, zyskałby pan uznanie całego świata nauki.

– Jest pani urocza, ale zbyt młoda, żeby zdawać sobie sprawę z konsekwencji, jakie byśmy ponieśli. Zakładając, że znaczenie tego odkrycia zostałoby właściwie ocenione przez nasze władze, natychmiast trafilibyśmy do gułagu, a sukces przypisałaby sobie grupa partyjnych aparatczyków. W Związku Radzieckim nie istniało słowo „międzynarodowy”.

– I dlatego ukryliście całą prawdę?

– A co by pani zrobiła na naszym miejscu?

– Prawie całą prawdę... jeśli wolno się wtrącić – rzuciłem. – Domyślam się, że w bagażach przemyciliście nie tylko ten kamień...

Jegorow spojrzał na mnie spod oka.

– Było tam jeszcze trochę osobistych rzeczy należących do wędrowców, ale zatrzymaliśmy bardzo nieliczne, bo tym razem najważniejsze było dla nas zachowanie maksymalnej dyskrecji.

– Adrianie – wtrąciła Keira – jeżeli wędrówka Sumerów tak się zakończyła, to możliwe, że jakiś fragment pozostał na Ma-Pupu-Nyor.

– Man-Pupu-Nyor – poprawił ją Jegorow. – Ale można też mówić Manpupuner, tak to się wymawia na Zachodzie. O jakim fragmencie pani mówi?

Keira zerknęła na mnie i nie czekając, aż odpowiem na to niewypowiedziane pytanie, zdjęła naszyjnik, żeby pokazać go Jegorowowi. Opowiedziała mu niemal wszystko o poszukiwaniach, które prowadziliśmy.

Zafascynowany jej opowieścią Jegorow zaprosił nas na kolację, a ponieważ rozmowa przeciągnęła się do późna, zaproponował nam także nocleg, co bardzo nas urzędało, gdyż

zupełnie zapomnieliśmy o wynajęciu pokoju w mieście.



Przy posiłku, który podano w jadalni wielkością bardziej przypominającej boisko do badmintonu niż pokój, Jegorow zasypywał nas pytaniami. Kiedy w końcu wyjawilem mu, co się dzieje po połączeniu fragmentów, zaczął błagać, żebyśmy to zademonstrowali. Trudno było czegokolwiek mu odmówić. Przysunęliśmy więc obie części obiektu, a one natychmiast stały się błękitnawe, choć jeszcze bledsze niż ostatnio. Jegorow wytrzeszczył oczy, jego twarz odmłodziła. Ten spokojny dotąd człowiek wydawał się podekscytowany jak dziecko przed Bożym Narodzeniem.

– Jak sądzicie, co się stanie, kiedy wszystkie fragmenty znajdą się obok siebie?

– Nie potrafię sobie tego wyobrazić – odpowiedziałem, uprzedzając Keirę.

– I oboje jesteście pewni, że te kamienie liczą cztery tysiące lat?

– To nie kamienie – odparła Keira – ale owszem, jesteśmy pewni ich wieku.

– Mają porowatą powierzchnię, widać na nich miliony mikroperforacji. Kiedy działa na nie potężne źródło światła, rzutują mapę nieba, która dokładnie przedstawia to, co widać było na niebie w tamtych czasach – podjąłem. – Gdybyśmy dysponowali wystarczająco silnym laserem, mógłbym urządzić panu demonstrację.

– Bardzo chciałbym to zobaczyć, ale, niestety, nie mam w domu takiej aparatury.

– Zaniepokoiłbym się, gdyby było inaczej.

Po deserze – gąbczastym cieście obficie nasączonym alkoholem – Jegorow wstał od stołu i zaczął się przechadzać po pokoju.

– I przypuszczacie – odezwał się po chwili – że jeden z tych fragmentów, których wam brakuje, może się znajdować w pobliżu Siedmiu Olbrzymów Uralu? Tak, oczywiście, że tak uważacie, niepotrzebnie o to pytam!

– Bardzo chciałabym móc panu odpowiedzieć! – podchwyciła Keira.

– Naiwna i w dodatku optymistka! Jest pani naprawdę urocza.

– A pan...

Lekko kopnąłem Keirę pod stołem, nie pozwalając jej dokończyć zdania.

– Jest zima – ciągnął Jegorow. – Na Man-Pupu-Nyor hulają lodowate, suche wiatry, więc nawet śnieg nie utrzymuje się tam na ziemi, nawiasem mówiąc, zamrożonej. Czy zamierzacie podjąć poszukiwania, posługując się dwiema małymi łopatami i paleniskiem do topienia metalu?

– Czy mógłby pan wreszcie skończyć z tym protekcyjnym tonem? Irytuje mnie to. A tak przy okazji: te fragmenty nie są metalowe – nie wytrzymała Keira.

– Nie proponuję wam wykrywacza metali dla amatorów, którzy szukają zagubionych monet na plażach – zripostował Jegorow – ale znacznie ambitniejszy projekt...

Jegorow zaprosił nas do salonu, który w niczym nie ustępował jadalni. Zamiast marmurów położono tu dębowy parkiet, meble pochodziły z Włoch i Francji. Usiedliśmy na wygodnych kanapach przed ogromnym kominkiem, w którym płonął zbyt mocno podsycany ogień. Płomienie lizały sklepienie, wznosząc się na imponującą wysokość.

Jegorow zaproponował, że odda do naszej dyspozycji dwudziestu ludzi i sprzęt potrzebny Keirze do poszukiwań. Obiecał nam środki większe od tych, które mieliśmy podczas poprzednich wypraw. W zamian za tę nieoczekiwaną pomoc chciał tylko mieć swój udział we wszystkich

odkryciach.

Keira poinformowała go, że nie liczy na żadne korzyści finansowe. To, co pragnęliśmy odnaleźć, nie ma wartości rynkowej, lecz jedynie naukową. Jegorow poczuł się urażony.

– Czy mówiłem o pieniądzach? – zapytał gniewnie. – To pani nie schodzi z ust to słowo. Czy ja wspominałem o pieniądzach?

– Nie – przyznała zmieszana Keira, a ja uwierzyłem, że jest szczerą. – Oboje jednak zdajemy sobie sprawę, że pomoc, którą nam pan oferuje, to poważna inwestycja, a spotkałam dotąd niewielu filantropów skłonnych wspierać naukę – tłumaczyła się.

Jegorow podsunął nam pudełko cygar. Już chciałem się skusić, ale karcące spojrzenie Keiry powstrzymało mnie.

– Większą część życia poświęciłem pracom archeologicznym – podjął Jegorow – i to w warunkach tak trudnych, że nie zdołałobyście sobie tego nawet wyobrazić. Nadstawiałem karku, a było to ryzyko zarówno fizyczne, jak i polityczne, ocaliłem wiele skarbów i już wam wyjaśniłem, w jakich okolicznościach, a ta banda łajdaków z Akademii odwdzięcza mi się, traktując mnie jak zwykłego przemytnika! Jakby dziś działo się inaczej... Co za hipokryci! Opluwają mnie już od trzydziestu lat. Gdyby wasz projekt się powiódł, zyskałbym coś ważniejszego od pieniędzy. Czasy, gdy grzebało się zmarłych z ich dobrami, przeminęły, nie zabiorę do grobu ani tych perskich dywanów, ani dziewiętnastowiecznych obrazów, które zdobią ściany domu. Mam na myśli odzyskanie szacunku. Gdybyśmy trzydzieści lat temu nie bali się zwierzchników, publikacja naszych prac, jak pani powiedziała, cennych i udokumentowanych, uczyniłaby ze mnie znanego i szanowanego uczonego. Nie zamierzam powtórnie tracić szansy danej mi przez los. Dlatego, jeśli się zgodzicie, poprowadzimy te poszukiwania razem i jeżeli znajdziemy dowody potwierdzające pani teorię, jeżeli los się do nas uśmiechnie, to zaprezentujemy światu nauki wynik naszych prac. Czy taki układ wam odpowiada?

Keira się wahała. W naszej sytuacji trudno było odrzucić pomoc oferowaną przez takiego sprzymierzeńca. Uznałem, że bezpieczeństwo, jakie zapewni nam ta współpraca, jest wiele warte. Gdyby Jegorow zechciał jeszcze zabrać dwóch goryli, którzy powitali nas z bronią w rękę przed jego rezydencją,

czulibyśmy się znacznie lepiej podczas kolejnej próby zgładzenia nas. Keira próbowała porozumieć się ze mną wymownymi spojrzeniami. Decyzja należała do nas obojga, ale kobiecie wypada okazać pewne względy, toteż chciałem, żeby to ona wypowiedziała się pierwsza.

Jegorow uśmiechnął się do Keiry.

– Proszę oddać mi te sto dolarów – poprosił z pełną powagą.

Keira sięgnęła po pieniądze i wręczyła je Jegorowowi, a on schował je do kieszeni.

– No proszę, macie już swój udział w finansowaniu wyprawy, teraz jesteśmy współnikami. Skoro kwestia pieniędzy, która tak bardzo panią zaprzętała, została rozwiązana, powinniśmy chyba, jak przystało na naukowców, skupić się na pewnych organizacyjnych szczegółach, aby dać szansę powodzenia naszym poszukiwaniom.

Usiedli we dwoje przy niskim stoliku i przez godzinę spisywali listę potrzebnego wyposażenia. Mówię „oni”, ponieważ tym razem czułem się zupełnie niepotrzebny i wykluczony z rozmowy. Skorzystałem zresztą z okazji – skoro tak mnie ignorowali, podszedłem do biblioteki. Znalazłem tam wiele pozycji z dziedziny archeologii, stary, siedemnastowieczny podręcznik alchemii, równie starą anatomię, dzieła wszystkie Aleksandra Dumasa, pierwsze

wydanie *Czerwonego i czarnego*. Zbiór książek, które miałem przed oczyma, był wart fortunę. Podczas gdy Keira i Jegorow zajmowali się organizacją wyprawy, ja skupiłem się na niezwykłym traktacie astronomicznym z XIV wieku.

Kiedy wreszcie zauważyli moją nieobecność, a stało się to około pierwszej nad ranem, Keira przysłała do mnie i – trzeba powiedzieć, że beczelnie – zapytała, co tu robię. Odniosłem wrażenie, że w tym pytaniu pobrzmiewał lekki wyrzut, jednakże przez uprzejmość usiadłem z nią przy kominku.

– Adrianie, to fantastyczne, będziemy mieli cały potrzebny sprzęt do prowadzenia poszukiwań na dużą skalę. Nie wiem, ile czasu nam to zajmie, ale jeśli ten fragment rzeczywiście znajduje się gdzieś pomiędzy menhirami, to przy takim wyposażeniu mamy ogromne szanse na niego natrafić.

Przejrzałem listę, którą przygotowała z Jegorowem – szpatułki, druty, szczypce, gładziki, GPS, miarki, kołki do wytyczania pól, siatki, wagi, przesiewacze, aparatura antropometryczna, kompresory, aspiratory, akumulatory, lampy do pracy w nocy, namioty, znaczniki, aparaty fotograficzne – w tym inwentarzu dobrze zaopatrzonego sklepu niczego chyba nie brakowało. Jegorow sięgnął po stojący na stoliku telefon. Po chwili do salonu weszli dwaj ludzie, którym wręczył listę. Zaraz potem zniknęli.

– Wszystko będzie gotowe jutro przed południem – powiedział Jegorow, przeciągając się.

– Jak zamierza pan to przetransportować? – odważyłem się zapytać.

Keira odwróciła się do Jegorowa, który spojrzał na mnie triumfalnie.

– To niespodzianka. Teraz zrobiło się już późno, musimy się porządnie wyspać, więc spotkamy się przy śniadaniu. Bądźcie gotowi, wyjedziemy koło południa.

Jeden z ochroniarzy zaprowadził nas do apartamentu gościnnego, w którym sypialnia wyglądała jak pałac. Prawdę mówiąc, nigdy nie mieszkałem w pałacu, ale wątpię, żeby budowano pokoje większe od tego, w którym spaliśmy tej nocy. Łóżko okazało się takie szerokie, że można było się w nim ułożyć równie dobrze wszerz, jak i wzdłuż. Keira rzuciła się na grubą puchową kołdrę i skinęła na mnie, zachęcając, żebym do niej dołączył. Nie widziałem jej równie szczęśliwej od... prawdę mówiąc,

chyba nigdy nie widziałem jej tak szczęśliwej. Tyle razy ryzykowałem życie, przebyłem tysiące kilometrów, żeby ją odnaleźć... Gdybym wiedział, zamiast się tak wysilać, kupiłbym jej łopatkę i przesiewak! W końcu powinienem był docenić ogrom własnego szczęścia – tak niewiele trzeba było, żeby dać radość kobiecie, którą kochałem. Przeciągnęła się, zdjęła sweter, rozpięła biustonosz i wymownie na mnie spojrzała – robiło się późno, nie powinienem marnować czasu. I wcale nie miałem takiego zamiaru.

Kent

Jaguar jechał szybko wąską drogą prowadzącą do dworu. Siedząc z tyłu, sir Ashton przy lampce przeglądał dokumenty. Zamknął teczkę i ziewnął. Rozdzwonił się telefon i szofer poinformował go, że to połączenie z Moskwą. Ashton podniósł słuchawkę.

– Nie udało nam się przechwycić pana przyjaciół na dworcu w Irkucku, nie wiem, jakim cudem wymknęli się naszym ludziom – oznajmił mu Moskwa.

– Przykro mi to słyszeć! – Ashton nie krył niezadowolenia.
– Są nad Bajkałem, w rezydencji pewnego przemysłowca dzieł sztuki – dodał jego rozmówca.
– To zatrzymajcie ich! Na co czekacie?
– Czekamy, aż wyjdą. Jegorow ma duże wpływy w tym regionie, jego daczę strzeże mała armia, nie chcę, żeby banalne aresztowanie doprowadziło do rozlewu krwi.

– Nie wiedziałem, że jest pan taki ostrożny.
– Rozumiem, że trudno się panu do tego przyzwyczaić, ale w tym kraju obowiązuje jednak prawo. Jeżeli moi ludzie wkroczą, a ochrona Jegorowa stawi opór, trudno będzie wyjaśnić władzom federalnym powody szturmowania w środku nocy, zwłaszcza że wcześniej nie zwróciliśmy się o zezwolenie na taką akcję. Prawdę mówiąc, z punktu widzenia prawa nie mamy tej dwójce badaczy niczego do zarzucenia.

– A czy ich obecność w domu tego przemysłowca dzieł sztuki to jeszcze za mało?
– To nie jest nawet wykroczenie. Proszę pana o cierpliwość. Kiedy tylko wyjdą z kryjówek, przyłapiemy ich, nie robiąc hałasu. Obiecuję, że jutro wieczorem osobiście wsadzę ich do samolotu.

Jaguarem gwałtownie zarzuciło, Ashton o mało nie uderzył o szybę i w ostatniej chwili chwycił słuchawkę, która wypadła mu z ręki. Przytrzymał się podłokietnika, wyprostował i zapukał w szybę oddzielającą go od kierowcy, dając wyraz niezadowoleniu.

– Mam tylko jedno pytanie – mówił Moskwa – czy przypadkiem nie poczynił pan jakichś kroków za moimi plecami?

– To jakaś aluzja?
– Owszem, do drobnego incydentu na Kolei Transsyberyjskiej. Pracownica kolei została napadnięta i ogłuszona potężnym uderzeniem w głowę. Wciąż przebywa w szpitalu, doznała poważnego urazu czaszki.

– Przykro mi, przyjacielu. Uważam bicie kobiet za czyn haniebnny.
– Gdyby ta archeolog i jej przyjaciel nie jechali wtedy pociągiem, nie wątpiłbym w szczerść pana słów, jednak tak się składa, że do tego niesłychanego aktu przemocy doszło właśnie w ich wagonie. A zatem mam to uznać za przykry zbieg okoliczności? Nie pozwoliłby pan sobie na działania za moimi plecami, zwłaszcza na moim terytorium, prawda?

– Oczywiście – odparł Ashton. – Już pańska sugestia jest dla mnie obraźliwa.
Samochód znowu mocno podskoczył. Ashton poprawił muszkę i puknął w szybę przed sobą. Zanim wrócił do rozmowy, Moskwa się rozłączył.

Ashton wcisnął guzik i szklana ścianka za fotelem kierowcy odsunęła się.
– Przystanie pan wreszcie szaleć? Dlaczego jedzie pan tak szybko? O ile mi wiadomo, nie jesteśmy na autostradzie!

– Przepraszam pana, ale zjeżdżamy z dość ostrego zbiegu, a hamulce nie działają! Robię, co w mojej mocy, prosiłbym jednak o zapięcie pasów, gdyż obawiam się, że aby zatrzymać ten piekielny wóz, będę musiał zjechać do rowu...

Ashton wzniósł oczy do nieba i zrobił to, o co prosił kierowcę. Najbliższy zakręt udało się im pokonać w miarę dobrze, jednakże na kolejnym szoferowi nie pozostało nic innego, jak zjechać z drogi na pole, żeby uniknąć zderzenia z jadącą z przeciwka ciężarówką.

Gdy samochód wreszcie stanął, kierowca otworzył drzwi i przeprosił sir Ashtona za incydent. Nie rozumiał, jak mogło do tego dojść, gdyż tuż przed tą podróżą odebrał samochód z warsztatu.

Ashton zapytał, czy ma latarkę, więc kierowca sięgnął po nią do schowka.

– W takim razie proszę zajrzeć pod zawieszenie i sprawdzić, co się stało! – polecił Ashton.

Kierowca zdjął marynarkę i wykonał polecenie. Nie tak łatwo było wsunąć się pod auto, ale od strony bagażnika okazało się to wykonalne. Po chwili ubłocony od stóp do głów mężczyzna wyszedł i wciąż nie mogąc w to uwierzyć, powiedział, że uszkodzone są przewody hamulcowe.

Ashton zastanawiał się przez chwilę, bo nie mieściło mu się w głowie, żeby ktoś zaatakował go w tak prymitywny i zuchwały sposób. Potem przypomniał sobie zdjęcie, które pokazał mu szef bezpieczeństwa. Wydawało się, że siedzący na ławce Ivory patrzy na coś i zapewne się uśmiecha.

Paryż

Ivory po raz nie wiadomo który kartkował książkę od zmarłego partnera rozgrywek szachowych. Znowu cofnął się do strony tytułowej i wpatrywał się w dedykację.

Wiem, że to dzieło Ci się spodoba, niczego bowiem w nim nie brakuje, znajdziesz tu wszystko, nawet świadectwo naszej przyjaźni.

Wierny partner rozgrywek szachowych,

Vackeers

Nic z tego nie rozumiał. Spojrzał na zegarek i uśmiechnął się. Narzucił płaszcz, otulił szyję szalikiem i wyszedł na nocny spacer brzegiem Sekwany.

Kiedy zbliżał się do mostu Marie, zatelefonował do Waltera.

– Próbował się pan ze mną skontaktować?

– Wiele razy, ale bezskutecznie, już myślałem, że nie uda mi się z panem pomówić. Adrian dzwonił z Irkucka, chyba mieli jakieś kłopoty w podróży.

– Jakie kłopoty?

– Dość poważne, ktoś usiłował ich zabić.

Ivory popatrzył na rzekę, starając się zachować spokój.

– Trzeba było ich ściągnąć do Anglii – mówił Walter. – W końcu stanie im się coś złego i nigdy sobie tego nie daruję.

– Walterze, ja też bym sobie tego nie darował. Wie pan może, czy widzieli się z Jegorowem?

– Przypuszczam, że tak, bo wyruszali na poszukiwania, kiedy rozmawiałem z Adrianem. Wydawał się potwornie zdenerwowany. Na pewno już by z tego zrezygnował, gdyby nie determinacja Keiry.

– Powiedział, że ma taki zamiar?

– Tak, kilka razy wspominał, że najchętniej by tak postąpił. Z trudem powstrzymałem się od przyznania mu racji.

– Walterze, teraz to kwestia dni, najwyżej kilku tygodni, nie możemy się już wycofać.

– Czy może pan ich jakoś chronić?

– Jutro skontaktuję się z Madrytem, tylko on ma pewien wpływ na Ashtona. Jestem przekonany, że to on kryje się za tym kolejnym zbrodniczym aktem. Tymczasem dałem mu drobne ostrzeżenie dziś wieczorem, ale nie sądzę, żeby to wystarczyło.

– W takim razie proszę mi pozwolić ostrzec Adriana. Powiem mu, żeby wracali, nie czekajmy, aż będzie za późno.

– Walterze, już jest za późno, powiedziałem panu, że teraz nie możemy się wycofać.

Ivory się rozłączył. Pogrążony w myślach wsunął telefon do kieszeni płaszcza i ruszył w stronę domu.

Rosja

Kamerdynier wszedł do sypialni i rozsunał zasłony. Pogoda była piękna, jasne światło dnia wypełniło pokój.

Keira schowała głowę pod kołdrę. Kamerdynier postawił przy łóżku tacę ze śniadaniem i poinformował nas, że jest jedenasta. W południe powinniśmy zejść do holu z bagażami. Powiedziawszy to, wyszedł.

Najpierw zobaczyłem wysuwające się czoło Keiry, potem jej oczy łakomie wpatrujące się w koszyk z pieczywem. Wyciągnęła rękę, chwyciła rogalika i niemal go pochłonęła.

– Nie moglibyśmy zostać tu na dzień czy dwa? – jęknęła, pijąc herbatę, którą jej podałem.

– Wróćmy do Londynu, a zafunduję ci tygodniowy pobyt w luksusowym hotelu. Nie wychylimy nosa z apartamentu.

– Nie masz ochoty ciągnąć tych poszukiwań, przyznaj się! Z Jegorowem jesteśmy bezpieczni – dodała, wbijając zęby w bułeczkę maślaną.

– Wydaje mi się, że nieco pochopnie obdarzyłaś tego pana zaufaniem. Jeszcze wczoraj go nie znaliśmy, dziś jesteśmy współnikami, a ja nie wiem, dokąd zmierzamy i co nas tam czeka.

– Ja też tego nie wiem, ale czuję, że zbliżamy się do celu.

– Do jakiego celu, Keiro? Do grobów sumeryjskich czy może do naszych?

– Okay – powiedziała, odrzucając kołdrę i podrywając się z łóżka. – Wracajmy! Zaraz powiem Jegorowowi, że rezygnujemy i jeżeli jego ochroniarze pozwolą nam wyjść, wskoczmy do taksówki, pojedziemy na lotnisko i pierwszym samolotem polecimy do Londynu albo może do Paryża, bo i tak muszę tam wpaść, żeby zarejestrować się w biurze jako bezrobotna. A właśnie... czy w Anglii przysługują zasiłki dla bezrobotnych?

– Daruj sobie ten cynizm. W porządku, szukajmy dalej, ale najpierw coś mi obiecaj: jeżeli znowu znajdziemy się w niebezpieczeństwie, natychmiast przerywamy tę zabawę.

– Musisz zdefiniować pojęcie niebezpieczeństwa – powiedziała, siadając na łóżku.

Ująłem jej twarz w dłonie, mówiąc:

– Kiedy ktoś próbuje cię zabić, to jesteś w niebezpieczeństwie! Wiem, że nade wszystko pragniesz dokonać odkrycia, musisz jednak uświadomić sobie, jak wielkie podejmujemy ryzyko. Zrób to, zanim będzie za późno.

Jegorow czekał na nas w holu na dole. Był ubrany w długie białe futro i czapkę. Gdybym marzył o spotkaniu z Michałem Strogowem, to mój sen w pewnym sensie by się ziścił. Podał nam czapki, rękawice i podbijane futrem kurtki, bez porównania cieplejsze od naszych palt.

– Tam, dokąd się wybieramy, jest naprawdę bardzo zimno. Ubierzcie się, wyjeżdżamy za dziesięć minut, moi ludzie zajmą się bagażem. Chodźcie za mną do garażu.

Winda zatrzymała się na drugim poziomie, gdzie stała cała kolekcja aut – od sportowego

coupé po godną prezydenta limuzynę.

- Widzę, że zajmuje się pan nie tylko handlem starociami – zażartowałem.
- Nie, mam też inne źródła dochodu – odparł, otwierając drzwiczki.

Przed nami jechały dwa samochody, dwa inne zamykały konwój, który szybko ruszył drogą nad jeziorem.

– Może trochę przesadzę, ale wydaje mi się, że zachodnia Syberia leży około trzech tysięcy kilometrów stąd. Zaplanował pan jakieś postoje, żeby można się było wysiusiać, czy może nie będziemy się zatrzymywali?

Jegorow skinął na szofera i samochód ostro zahamował.

– Skończy pan wreszcie z tymi zaczepkami czy może będzie się pan tak bawił całą drogę? Jeżeli nie ma pan ochoty jechać, to radzę wysiąść teraz.

Keira obrzuciła mnie gniewnym, posępnym jak wody jeziora spojrzeniem, więc przeprosiłem Jegorowa, a on wyciągnął do mnie rękę. Czy dżentelmen może w takiej sytuacji nie podać komuś ręki? Samochód ruszył i przez najbliższe pół godziny wszyscy milczeliśmy. Droga wiodła przez zaśnieżony las. Po pewnym czasie dojechaliśmy do malowniczej wioski Koty. Samochody zwolniły i skręciliśmy w poprzeczną drogę, u której wylotu stały dwa niewidoczne z głównego szlaku hangary. Zaparkowaliśmy i Jegorow poprosił, żebyśmy poszli za nim. W hangarach stały dwa helikoptery, bardzo duże, takie jakich rosyjska armia używa do transportu ludzi i sprzętu. Widziałem już podobne w reportażu z działań wojsk radzieckich w Afganistanie, ale nigdy na żywo i z tak bliska.

– Znowu mi nie uwierzycie – rzucił Jegorow, podchodząc do pierwszej maszyny – ale po prostu wygrałem je w karty.

Keira spojrzała na mnie rozbawiona i ruszyła po drabince prowadzącej do kabiny.

- Kim pan właściwie jest? – zapytałem Jegorowa.
- Sprzymierzeńcem – rzucił, poklepując mnie po plecach. – I nie tracę nadziei, że uda mi się pana o tym przekonać. Wsiada pan czy może zostaje w hangarze?

Kabina była tak duża, że poczułem się tu prawie jak w samolocie liniowym. Wózki widłowe wjeżdżały przez tylną klapę, wwożąc duże skrzynie do ładowni, a ludzie Jegorowa solidnie je mocowali. W części pasażerskiej mogło usiąść dwadzieścia pięć osób. Mi-26 wyposażony był w silnik o mocy jedenastu tysięcy dwustu czterdziestu koni, a właściciel maszyny był z tego chyba tak dumny, jakby miał hodowlę czystej krwi arabów. Mieliśmy czterokrotnie lądować, żeby uzupełnić paliwo. Z takim ładunkiem zasięg helikoptera wynosił sześćset kilometrów, a od Man-Pupu-Nyor dzieliły nas ich trzy tysiące. Mieliśmy tam dotrzeć za jedenaście godzin. Podnośniki wyjechały, ludzie Jegorowa jeszcze raz sprawdzili mocowania skrzyń ze sprzętem, potem podniesiono klapę, a maszynę wyprowadzono z hangaru.

Turbina zawyła. Hałas w kabinie stał się ogłuszający, gdy osiem łopat wirnika zaczęło się obracać.

– Można się do tego przyzwyczaić! – krzyknął Jegorow. – Teraz cieszcie się widokami, bo zobaczycie Rosję, jaką widują nieliczni.

Pilot odwrócił się, dając nam znak ręką, i ciężka maszyna wzniosła się nad ziemię. Na wysokości pięćdziesięciu metrów przód się przechylił, a Keira przywarła nosem do okienka.



Po godzinie lotu Jegorow pokazał nam Hańsk, w dali po lewej, potem Kańsk i Krasnojarsk, od którego trzymaliśmy się na dystans, żeby uniknąć radarów kontroli powietrznej. Pilot chyba dobrze znał fach i rejon, bo lecieliśmy tylko nad bezkresnymi, zaśnieżonymi terenami. Od czasu do czasu zamarznęta rzeka przecinała ziemię srebrzystą wstęgą, jakby narysowaną na kartce przez dziecko.

Po raz pierwszy wylądowaliśmy nad rzeką Udą, o kilka kilometrów od miasta Atagaj. Stamtąd wyjechały dwie cysterny, które miały napęłnić nasze zbiorniki.

– To tylko kwestia dobrej organizacji – rzekł Jegorow, patrząc na uwijających się przy helikopterze ludzi. – Tu nie ma miejsca na improwizację, bo temperatura na zewnątrz wynosi minus dwadzieścia stopni. Gdyby paliwo na nas nie czekało, gdybyśmy utknęli gdzieś na odludziu, przeżylibyśmy kilka godzin.

Skorzystaliliśmy z postoju, żeby się trochę przejść, ale Jegorow miał rację – mróz był nie do zniesienia.

Wróciliśmy na pokład, a ciężarówki odjechały drogą wiodącą w stronę lasu. Turbina znowu zawyła, wznosiliśmy się, zostawiając na ziemi ślady, które wkrótce miał zatrzeć wiatr.

Wiedziałem, czym są turbulencje w samolocie, ale nie zaznałem tego w helikopterze, chociaż nie był to mój powietrzny chrzest w takiej maszynie. Na Atakamie wiele razy latałem nieco mniejszym do doliny, nigdy jednak w takich warunkach. Zbliżała się zamięć śnieżna. Przez długie chwile maszyną rzucało, kołysała się jak statek podczas sztormu, mimo to na twarzy Jegorowa nie dostrzegłem nawet najlżejszego niepokoju i uznałem, że nic nam nie zagraża. Potem, gdy wstrząsy stały się jeszcze silniejsze, zacząłem się zastanawiać, czy w obliczu śmierci Jegorow okazałby strach. Gdy wszystko się uspokoiło po drugim tankowaniu, Keira zasnęła z głową na moim ramieniu.

Wzięłem ją w ramiona, żeby było jej wygodniej, i wtedy zauważyłem, że Jegorow patrzy na nas z pewnym rozczuleniem i życzliwością, która mnie zaskoczyła. Uśmiechnąłem się do niego, ale odwrócił głowę do okna, udając, że tego nie widzi.

Trzecie lądowanie. Tym razem nie było mowy o spacerze, znowu rozszalała się zamięć, widoczność była minimalna, a oddalanie się od helikoptera nawet o parę metrów było zbyt ryzykowne. Jegorow wyglądał na zaniepokojonego, wstał i poszedł do kabiny pilota. Pochylił się w kokpicie i rozmawiał po rosyjsku z załogą. Niestety, nic nie rozumiałem.

– Jakiś problem? – zapytała lekko wystraszona Keira.

– Jeżeli ciężarówki nie znajdą nas w tym cholernym mleku, to faktycznie będziemy mieli spore problemy.

Wyjrzałem przez okno. Widoczność była praktycznie zerowa. Wiatr uderzał falami, za każdym razem podrywając tumany śniegu.

– Czy helikopter nie zamrznie? – zapytałem.

– Nie – odparł Jegorow. – Wloty powietrza silników są wyposażone w system ogrzewania, który zapewnia odlodzenie podczas lotów w bardzo niskich temperaturach.

Żółta smuga omiotła kabinę. Jegorow wstał i stwierdził z ulgą, że to potężne reflektory cystern. Napęłnienie zbiorników wymagało mobilizacji wszystkich ludzi. Kiedy zakończyli pracę, pilot uruchomił maszynę, ale musiał czekać, aż temperatura wzrośnie, i dopiero wtedy wznieść się w górę. Zawieja trwała jeszcze przez dwie godziny. Keira nie czuła się dobrze, uspokajałem ją, jak mogłem, byliśmy jednak uwięzieni w tej puszczy sardynek, którą miało jak

małym kutrem przy potężnej fali. W końcu niebo się przetarło.

– Kiedy się lata nad Syberią o tej porze roku, trzeba się z tym liczyć. Takie zawieje i zamiecie są tu bardzo częste – powiedział Jegorow. – Najgorsze mamy już za sobą. Odpocznijcie, zostało nam jeszcze około czterech godzin lotu, a po wylądowaniu będziemy musieli zmobilizować wszystkie siły, żeby rozbić obóz.

Zaproponowano nam posiłek, ale nasze zmaltretowane żołądki nie byłyby w stanie niczego strawić. Keira położyła głowę na moich kolanach i zasnęła, wybierając najlepszy sposób na zabicie czasu. Odwróciłem głowę, by wyjrzieć przez okno.

– Jesteśmy zaledwie sześćset kilometrów od Morza Karskiego – powiedział Jegorow, wskazując północ. – Proszę mi wierzyć: pokonanie tej drogi zajęło Sumerom więcej czasu!

Keira obudziła się. Podniosła się, próbując dojrzeć coś w dali. Jegorow, zaproponował, żeby przeszła do kabiny pilotów. Drugi pilot ustąpił jej miejsca. Podszedłem i stanąłem za nią. Była tak zafascynowana, zachwycona, szczęśliwa, że patrząc na nią, zapomniałem na chwilę o obawach, jakie wzbudzała we mnie ta wyprawa. Przygoda, którą przeżywaliśmy, pozostawi nam cudowne wspomnienia, dlatego powiedziałem sobie, że choćby z tego względu warto podjąć ryzyko.

– Jeśli kiedyś zechcesz opowiedzieć o tym swoim dzieciom, nie uwierzą ci! – krzyknąłem do Keiry.

Nie odwróciła się, ale odpowiedziała głosem, który tak dobrze znałem.

– Czy w ten sposób próbujesz mi powiedzieć, że chciałbyś mieć dzieci?

Hotel Baltschug Kempijski

Za mostem nad rzeką Moskwą, w pobliżu placu Czerwonego, Moskwa pił kawę w towarzystwie młodej kobiety. Nie była to jednak jego żona. W holu luksusowego hotelu panował tłok. Kelnerzy w uniformach biegali między fotelami, podając herbatę i ciasteczka turystom i biznesmenom.

Mężczyzna, który usiadł przy bufecie, obserwował Moskwę, czekając, aż ten spojrzy w jego stronę. Kiedy już się to stało, Moskwa przeprosił swą towarzyszkę i podszedł do baru.

– Co pan tu robi? – zapytał, siadając na sąsiednim stołku.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale dziś rano wykonanie zadania było wykluczone.

– Banda nieudaczników! Obiecałem Londynowi, że załatwimy sprawę do wieczora, myślałem, że przyszedł pan mi powiedzieć, iż są już w samolocie lecącym do Londynu.

– Nie mogliśmy nic zrobić, ponieważ wyszli z domu Jegorowa pod silną eskortą, a potem razem z nim wsiedli do helikoptera.

Moskwę ogarnęła wściekłość – nie lubił czuć się bezsilny. Dopóki pozostawaliśmy pod ochroną Jegorowa i jego ludzi, nie mógł wkroczyć, nie powodując rozlewu krwi.

– Dokąd polecieci tym helikopterem?

– Jegorow dziś rano dostarczył plan lotu. Mieli lądować w Lesosybirsku, jednakże maszyna zboczyła z kursu i zaraz potem zniknęła z pola widzenia radarów.

– Gdyby tak się rozbili!

– Trudno to wykluczyć, na tych terenach szalała silna zamieć.

- Mogli wylądować, żeby przeczekać załamanie pogody.
- Pogoda się poprawiła, ale helikopter nie pojawił się na ekranach.
- To oznacza tylko, że pilot potrafił ominąć radary i że ich zgubiliśmy.
- Nie do końca. Rozważyłem taką ewentualność, wiem, że dwie cysterny z dwunastoma tysiącami litrów paliwa wyjechały z Pyt-Jach wczesnym popołudniem, a wróciły do bazy po czterech godzinach. Jeżeli uzupełniali paliwo w helikopterze Jegorowa, stało się to w połowie drogi do Chanty-Mansyjska, dokładnie dwie godziny od Pyt-Jach.
- Z tego nie wynika, dokąd leciał ten helikopter.
- Nie, ale wykonałem dalsze obliczenia, a Mi-26 ma zasięg sześciuset kilometrów, to maksimum przy przeciwnych wiatrach. Po wylocie musieli najprostszą drogą dotrzeć do miejsca lądowania. Gdyby lecieli, trzymając się tej linii, to wzięwszy pod uwagę zasięg, tuż przed nocą dotarliby do Republiki Komi, gdzieś w rejonie Wuktyłu.
- Domyśla się pan, po co mogliby tam lecieć?
- Jeszcze nie, ale skoro zdecydowali się przemierzyć trzy tysiące kilometrów i spędzić w podróży jedenaście godzin, to muszą mieć poważne powody. Jeżeli jutro rano poderwalibyśmy do lotu sikorsky'ego z Jekaterynburga, to około południa moglibyśmy zacząć próby lokalizacji.
- Nie, postąpimy inaczej, nie chcę, żeby nas zauważyli, bo wtedy znowu się nam wymkną. Proszę sprawdzić, gdzie mogli wylądować. Niech lokalna policja przesłucha ludzi z okolicy, może uda się ustalić, czy ktoś słyszał albo widział ten helikopter. Proszę dzwonić na komórkę, kiedy się pan czegoś dowie, nawet w środku nocy. I proszę trzymać w gotowości grupę interwencyjną, bo jeżeli ci idioci ukryją się gdzieś na pustkowiu, to możemy wkrazać bardzo ostro.

Man-Pupu-Nyor

Pilot poinformował, że zbliżamy się do celu. Wróciliśmy na miejsca, a drugi pilot na stanowisko, ale Jegorow poradził nam wstać i z kokpitu podziwiać ten cud natury.

Na północ od Uralu, na wysoczyznach, które zlewają się z linią horyzontu, wznosiło się siedem kamiennych kolosów. Wyglądały niczym giganci zastygli w ruchu. Mówiono, że przyroda rzeźbiła ich przez dwieście milionów lat, pozostawiając nam jeden z najwspanialszych cudów geologicznych planety. Kamienne olbrzymy robią wrażenie nie tylko ze względu na wielkość, ale także na ustawienie. Sześć słupów tworzy półokrąg, zwracając się ku siódmemu, który stoi przed nimi. O tej porze roku wszystkie okryte są grubymi białymi płaszczami, zapewne chroniącymi przed mrozem.

Spojrzałem na Jegorowa i dostrzegłem, jak jest poruszony.

– Nie przypuszczałem, że jeszcze kiedyś tu wrócę – szepnął. – A mam stąd wiele wspomnień.

Helikopter zaczął się zniżać. Im bliżej był ziemi, tym gęstsze podrywał obłoki śniegu.

– W języku Mansów Man-Pupu-Nyor oznacza „małą górę bogów” – ciągnął Jegorow. – Dawniej wstęp mieli tu tylko szamani. Krąży wiele legend na temat Siedmiu Olbrzymów Uralu. Najbardziej znana opowiada, że doszło do kłótni między szamanem a sześcioma kolosami wyłonionymi z piekła, żeby

przeprawić się przez góry. Szaman zamienił olbrzymów w kamienne potwory, jednakże czar dotknął także jego: stał się więźniem siódmego bloku skalnego, który stoi na wprost innych. Zimą to miejsce jest niedostępne, jeśli nie ma się doświadczenia we wspinaczce. Pozostaje tylko droga lotnicza.

Helikopter usiadł, pilot wyłączył silnik i nie słyszeliśmy już nic poza świstem wiatru, który uderzał w kadłub.

– Chodźmy – polecił Jegorow. – Nie mamy chwili do stracenia.

Jego ludzie odpięli pasy podtrzymujące skrzynie w ładowni i zaczęli je otwierać. W dwóch pierwszych były pojazdy śnieżne, z których każdy mógł zabrać trzy osoby. W innych znajdowały się stelaże i poszycia namiotów z grubego, wodoszczelnego płótna. Kiedy otwarto klapę, do kabiny wdarł się mroźny wiatr. Jegorow ponaglał nas gestami – jeżeli chcemy przed zmrokiem rozbić obozowisko, trzeba się pospieszyć.

– Umie pan tym jeździć? – zapytał mnie.

Przejechałem wprawdzie motocyklem przez Londyn, ale... na tylnym siedzeniu. Płozy i gaśienice mogły tylko zwiększać stabilność pojazdu. Skinąłem twierdząco głową. Jegorow chyba jednak powątpiewał w moje umiejętności, bo wzniosł oczy do nieba, kiedy szukałem z boku pedału, który uruchamia silnik. W końcu pokazał mi elektryczny włącznik.

– Te maszyny nie mają ani biegu jałowego, ani sprzęgła, a przyspiesza się nie przez obrót ręczki, tylko wciskając przycisk pod hamulcem. Jest pan pewien, że potrafi pan to prowadzić?

Pokiwałem głową i skinąłem na Keirę, pokazując jej miejsce za mną. Kiedy ślizgałem się po śniegu, oswajając się z tą nowinką, ludzie Jegorowa instalowali już rampy, wytyczając oświetlony teren obozu. Gdy podłączyli dwa generatory, znaczna część wysoczyzny ukazała się nam oświetlona jak w biały dzień. Trzej mężczyźni przynosili na plecach kule na wysokich tyczkach; te kule pluły ogniem i gdyby była wojna, pomyślałbym, że to miotacze płomieni, ale Jegorow nazywał je „podgrzewaczami”. Mężczyźni omiatali ziemię tymi pochodniami. Gdy lód zmiękł, rozstawili w równych szeregach dziesięć namiotów. Były pokryte szarym izotermicznym materiałem, co sprawiło, że poczułem się jak w bazie księżycowej. W tym zupełnie obcym otoczeniu Keira błyskawicznie zaczęła się zachowywać jak rasowy archeolog. W jednym z namiotów postanowiła urządzić laboratorium. Od razu przystąpiła do układania sprzętu, który wypakowywali ze skrzyni przydzieleni jej do pomocy dwaj ludzie. Keira nigdy dotąd nie była tak dobrze wyposażona. Mnie przypadło w udziale segregowanie rzeczy opatrzonych nalepkami, na których widniały napisy w cyrylicy. Dlatego radziłem sobie, jak mogłem, i lekceważyłem wszelkie próby karcenia mnie za to, że jakaś szpatułka trafiła do szuflady, w której miały znaleźć się gładziki.

Około dziewiątej wieczorem do naszego namiotu wszedł Jegorow, żeby zabrać nas do jadalni. Moja duma nieco ucierpiała, kiedy się przekonałem, że podczas gdy ja zdążyłem uporządkować zawartość dziesięciu pudeł, kucharz urządził kuchnię polową na miarę wojskowej.

Podano gorący posiłek. Ludzie Jegorowa rozmawiali, nie zwracając na nas uwagi. Siedzieliśmy przy stole ich szefa, jedynym, na który zamiast piwa trafiło wyborne czerwone wino. O dziesiątej wszyscy wrócili do pracy. Dziesięciu ludzi wytyczało pod komendą Keiry teren poszukiwań. O północy rozbrzmiał dzwon. Zakończyły się prace przygotowawcze, obóz był gotowy i wszyscy mogli udać się na spoczynek.

Keira i ja dostaliśmy dwa polowe łóżka ustawione za prowizoryczną ścianką w głębi namiotu,

w którym spało jeszcze dziesięć osób.

Zapadła cisza zakłócana tylko chrapaniem mężczyzn, którzy natychmiast zasnęli. Zobaczyłem, że Keira wstaje i idzie do mnie.

– Posuń się – szepnęła, wślizgując się do mojego śpiwora. – Będzie nam ciepłej.

Zasnęła wyczerpana trudami minionego dnia.

Wiatr wiał coraz mocniej i chwilami napinały się płócienne ściany namiotu.

Hotel Baltshug Kempijski

Blade światło migało na nocnym stoliku. Moskwa wziął komórkę i odchylił klapkę.

– Zlokalizowaliście ich?

Kobieta, która spała u jego boku, odwróciła się i dotknęła ręką jego twarzy, ale odepchnął ją, wstał i przeszedł do salonu apartamentu, który zajmował z kochanką.

– Jak mamy postąpić? – podjął jego rozmówca.

Moskwa sięgnął po papierosy, które leżały na kanapie, zapalił i podszedł do okna. Rzeka chyba zaczynała już zamarzać, ale zima nie zdołała jej całkowicie uwięzić.

– Zorganizujcie akcję ratunkową – odparł Moskwa. – Powiedzcie ludziom, że dwójka cudzoziemców, których mają ocalić, to znani naukowcy i że trzeba ich zabrać całych i zdrowych. Natomiast wobec porywaczy mają być bezlitośni.

– Sprytne. A co z Jegorowem?

– Jeżeli przeżyje szturm, może dziękować losowi. Jeśli zginie, trzeba go pogrzebać razem z tamtymi. Nie zostawiajcie żadnych śladów. Kiedy nasze cele będą bezpieczne, dołączę do was. Traktujcie ich dobrze, ale do mojego przyjazdu nie pozwalajcie z nikim rozmawiać. Powtarzam: z nikim.

– Teren, na którym mamy przeprowadzić akcję, jest wyjątkowo trudny. Potrzebuję trochę czasu, żeby dobrze ją przygotować.

– Niech pan skróci ten czas o połowę. Proszę zadzwonić, kiedy będzie po wszystkim.

Man-Pupu-Nyor

Pierwszy wschód słońca powitał nas odmienioną pogodą – zamieć ustała nocą. Ziemia była pokryta śniegiem. Oboje z Keirą wyszliśmy z namiotu ubrani jak Eskimosi wyruszający na łowy. Do jadalni mieliśmy zaledwie parę metrów, kiedy jednak tam dotarłem, czułem, że spaliłem cały zgromadzony nocą zapas kalorii. Panował potworny mróz. Jegorow powiedział, że za kilka godzin powietrze stanie się bardziej suche i mróz nie będzie już tak szczypał. Po śniadaniu Keira zabrała się do pracy, a ja jej pomagałem. Musiała dostosować się do warunków. Jeden z ludzi Jegorowa pełnił funkcję szefa obozu i tłumacza. Całkiem dobrze mówił po angielsku. Teren poszukiwań został już wytyczony. Keira powiodła wzrokiem po linii horyzontu i uważnie przyjrzała się kamiennym olbrzymom. Rzeczywiście były imponujące. Zastanawiałem się, czy natura mogła bez niczyjej pomocy uformować takie kształty. Przez dwieście milionów lat deszcze i wiatry nieustannie rzeźbiły te skały.

– Wierysz, że jakiś szaman jest uwięziony w tym kamieniu? – zapytała Keira, podchodząc

do samotnego olbrzyma.

- Kto wie? – odpowiedziałem. – Trudno określić, jaka część prawdy kryje się w legendach.
- Mam wrażenie, że na nas patrzą.
- Olbrzymy?

– Nie, ludzie Jegorowa! Zachowują się, jakby nie zwracali na nas uwagi, ale widzę, że bacznie nas obserwują. To idiotyczne, dokąd mielibyśmy iść?

– I właśnie to mnie niepokoi! Jesteśmy tu na pozór wolni, ale jak w więzieniu: wrogi krajobraz i klimat, całkowite uzależnienie od twojego nowego kolegi. Jaką masz gwarancję, że kiedy znajdziemy ten fragment, nie zechce go zagarnąć, a nas tu zostawić?

– Nie ma powodu tego robić, jesteśmy mu potrzebni jako specjaliści i badacze. Tylko z naszą pomocą może poinformować świat nauki o tym odkryciu.

- Pod warunkiem że motywacja, którą nam przedstawił, jest prawdziwa.

Zmieniliśmy temat rozmowy, ponieważ zbliżał się do nas Jegorow.

– Przejrzałem zapiski z tamtego okresu. Pierwsze groby powinniśmy odnaleźć gdzieś tu. – Wskazał obszar między dwoma ostatnimi olbrzymami. – Zacznijmy kopać, szkoda czasu.

Albo Jegorow miał doskonałą pamięć, albo niegdyś robił niezwykle staranne notatki. Około południa poszukiwania doprowadziły do odkrycia, które zaparło Keirze dech w piersi.

Przez cały ranek przekopywaliśmy teren, sięgając głębokości około osiemdziesięciu centymetrów, kiedy nagle zobaczyliśmy szczątki grobu. Keira odgarnęła ziemię, uniosła skrawek czarnej tkaniny. Pobrała z niej pęsetą kilka włókien i włożyła je do trzech szklanych probówek, które natychmiast zamknęła. Potem pracowała dalej, ostrożnie usuwając ziemię i lód. W sąsiedztwie ludzie Jegorowa wykonywali identyczne czynności.

– Jeżeli to naprawdę Sumerowie, jest to wprost niesamowite! – zawołała Keira. – Cała grupa Sumerów na północny zachód od Uralu... Adrianie, zdajesz sobie sprawę z rangi tego odkrycia? Zwłoki są wyjątkowo dobrze zachowane, więc będzie można analizować sposób ubierania się i żywienia.

- Wydawało mi się, że umarli z głodu!

– Ich zasuszone narządy zawierają ślady bakterii, które są ściśle powiązane z odżywianiem, a stan kości wskazuje na choroby, na jakie cierpieli.

Uniknąłem wysłuchiwanie tych niezbyt apetycznych wyjaśnień, idąc po termos z kawą. Keira ogrzewała palce, trzymając w rękach kubek. Przepracowała na mrozie już dwie godziny. Zaczynała ją boleć plecy, mimo to znowu uklęknęła i zabrała się do roboty.

Do wieczora udało się odkryć jedenaście grobów. Znajdujące się w nich zwłoki uległy mumifikacji w zamrożonej ziemi i teraz trzeba było się zastanowić, jak je chronić. Keira rozmawiała o tym z Jegorowem. Przy obiedzie...

- Co pan zamierza zrobić, żeby nie pogorszyć ich stanu?

– Przy panującej teraz temperaturze na razie nic im nie grozi. Złożymy je w nieogrzewanym namiocie, a za dwa dni sprowadzę tu odpowiednie kontenery i wyślemy dwa ciała do Peczory. Myślę, że muszą pozostać w Republice Komi. Nie ma powodu, żeby członkowie moskiewskiej Akademii dobrali się do naszego znaleziska. Jeżeli chcą je zobaczyć, muszą tu przyjechać.

– A co zrobimy z resztą? Mówił pan o pięćdziesięciu grobach, nie wiadomo jednak, czy nie ma ich tu więcej.

- Sfilmujemy te, które już otworzyliśmy, i zanikniemy je do czasu ogłoszenia popartych

dowodami spektakularnych wyników naszych prac. Wtedy też uzyskamy wszelkie zezwolenia właściwych władz i poczynimy stosowne kroki. Nie chcę być podejrzewany o próbę grabienia czegokolwiek. Przypominam jednak, że przyjechaliśmy tu nie tylko po to, żeby otwierać sumeryjskie groby. Nie interesuje nas liczba grobów w lodzie, ale odnalezienie tego, w którym leży fragment pani mapy. Trzeba poświęcać mniej czasu zwłokom, a skupiać uwagę na tym, co leży obok nich.

Zauważyłem, że Keira wpadła w zadumę. Odsunęła od siebie talerz i patrzyła w dal.

– Co się stało? – zapytałem.

– Ci ludzie umarli z zimna i głodu, a pogrzebała ich przyroda. Z pewnością nie mieli już sił, żeby kopać groby dla tych, którzy skonali wcześniej. Poza tym, pomijając dzieci i starców, musieli umierać w stosunkowo małych odstępach czasu.

– Do czego pani zmierza? – zapytał Jegorow.

– Proszę pomyśleć... Przemierzył pan tysiące kilometrów, żeby dostarczyć wiadomość. Podróż trwała przez całe pokolenia. A teraz proszę sobie wyobrazić, że jest pan ostatnim żyjącym członkiem grupy, która uczestniczy w tej niesamowitej przygodzie... Uświadamia pan sobie, że wpadł w pułapkę i nie dotrze do celu podróży. Co by pan zrobił?

Jegorow patrzył na mnie, jakbym znał odpowiedź... Chyba po raz pierwszy zainteresował się moimi poglądami! Dołożyłem sobie gulaszu, zresztą paskudnego, ale jedząc, zyskiwałem na czasie.

– Cóż – zacząłem z pełnymi ustami – jeżeli dobrze się nad tym zastanowić...

– Gdyby pokonał pan tysiące kilometrów, żeby dostarczyć wiadomość – wpadła mi w słowo Keira – gdyby poświęcił pan temu życie, chyba uczyniłby pan, co tylko w ludzkiej mocy, żeby dotarła do adresata?

– W takim razie pomysł zakopania jej byłby niezbyt sensowny – powiedziałem, patrząc triumfalnie na Jegorowa.

– Właśnie! – zawołała Keira. – A to oznacza, że spożytkowałby pan resztki sił, żeby umieścić ją w miejscu, w którym mogłaby zostać odnaleziona.

Jegorow i Keira poderwali się od stołu, chwycili kurtki i ubierając się w biegu, wypadli na dwór. Pełen wątpliwości ruszyłem za nimi.

Ludzie zabrali się już do pracy.

– Ale gdzie? – zastanawiał się Jegorow, ogarniając spojrzeniem wysoczyznę.

– Nie jestem archeologiem jak wy dwoje – powiedziałem skromnie – ale gdybym konał z zimna, a to wkrótce może nastąpić, i gdybym chciał uchronić coś przed pogrzebaniem pod lodem i ziemią, jedynym możliwym miejscem byłoby to, które samo się narzuca i które tak dobrze widzimy.

– Skalne olbrzymy – szepnęła Keira. – Nasz fragment musi tkwić w jednym z totemów!

– Nie chciałbym psuć wam nastroju, ale średnia wysokość tych kamiennych bloków to około pięćdziesięciu metrów, a średnica około dziesięciu, co daje powierzchnię tysiąca pięciuset siedemdziesięciu jeden metrów kwadratowych każdego olbrzyma do przeszukania, nie licząc załomków. W dodatku trzeba by wcześniej stopić śnieg, który je pokrywa, i znaleźć sposób, żeby się na nie wdrapać. Wtedy dałoby się zrealizować ten, moim zdaniem, szalony plan.

Keira dziwnie na mnie spojrzała.

– Co ja takiego powiedziałem?

– Owszem, udało ci się zepsuć mi nastrój!

– Ale, niestety, ma rację – dodał Jegorow. – Nie mamy możliwości uwolnienia olbrzymów spod warstwy śniegu i lodu, musielibyśmy ściągnąć gigantyczne rusztowania i dziesięć razy więcej ludzi. To wykluczone.

– Chwileczkę – wtrąciła Keira. – Pomyślmy...

Przez moment przechadzała się przed olbrzymami.

– Jestem tym, który ma fragment – powiedziała głośno. – Moi towarzysze i ja utknęliśmy na tej wysoczyźnie, na którą tak niebacznie weszliśmy, żeby rozejrzeć się i ustalić, w którym kierunku podążyć. Stoki góry pokrył lód, nie mamy szansy na zejście, a tu nie ma ani zwierzyny, ani roślinności, nic do jedzenia, więc wiem, że pomrzemy z głodu. Ci, którzy zginęli, już leżą pod śniegiem. Zdaję sobie sprawę, że wkrótce przyjdzie moja kolej, więc postanawiam działać, póki jeszcze mam siłę. Wspinam się na jednego z olbrzymów i wciskam w skałę fragment, który mi powierzono. Mam nadzieję, że pewnego dnia ktoś go znajdzie i podejmie przerwana drogę.

– To bardzo malowniczy, żywy opis. – Uśmiechnąłem się do Keiry. – Gorąco współczuję temu bohaterowi, który poświęcił życie, by wypełnić swe posłannictwo, ale wciąż nie wiemy, którego z olbrzymów wybrał ani z której strony się wspinał.

– Trzeba zaprzestać poszukiwań pośrodku wysoczyzny i skoncentrować wszystkie siły na poszukiwania w okolicy olbrzymów. Jeżeli odnajdziemy tam ciało, będziemy już blisko.

– Dlaczego pani tak uważa? – zapytał Jegorow.

– Ponieważ i ja mam wiele współczucia dla tego człowieka – odparła Keira – i gdybym wypełniała swe posłannictwo do samego końca, do kresu sił, to wiedząc, że fragment został umieszczony w kamieniu, a moi kompani nie żyją, rzuciłabym się w przepaść, żeby skrócić swoje cierpienia.

Jegorow zdał się na instynkt Keiry. Poleciał swoim ludziom, by przerwali poszukiwania i wysłuchali jego nowych poleceń.

– W którym miejscu chce pani zacząć? – zapytał.

– Zna pan mit o siedmiu mędrkach? – odpowiedziała pytaniem.

– O Abgalach? Ci mędrzy to pół ludzie, pół ryby, a odnajdziemy ich w mitach wielu starożytnych cywilizacji, gdzie zwykle odgrywają rolę bogów tworzących nową kulturę. Siódmka strażników nieba i ziemi niosących istotom ludzkim wiedzę. Czyżby pani chciała sprawdzić moją wiedzę na temat Sumerów?

– Nie, chcę tylko zapytać, czy pana zdaniem Sumerowie mogliby dostrzegać w tych olbrzymach siedmiu Abgali?

– Owszem... – powiedział cicho. – A wówczas z pewnością wybraliby pierwszego z nich, tego, który ich prowadzi.

– To znaczy olbrzym, który stoi twarzą do sześciu innych? – zapytałem.

– Tak. Nazywali go Adapa – odparł Jegorow.

Jegorow polecił ludziom zebrać się u stóp giganta i zacząć kopać. Ogarnęła mnie nadzieja, że heroiczny Sumer, który wdrapał się na olbrzym, skręcił sobie kark i spadł z naszym fragmentem w garści. Ta hipoteza nie miała najmniejszych podstaw naukowych, gdyby jednak okazała się trafna, zyskalibyśmy na czasie, a przecież do każdego nieraz uśmiecha się szczęście! Podejrzałem, że Keira także żywi taką nadzieję, ponieważ prosiła ludzi Jegorowa, żeby się zbytnio nie spieszyli i żeby bardzo dokładnie przekopywali ziemię.

Musieliśmy jednak zdobyć się na cierpliwość – śnieg padał tak obficie, że nie nadążaliśmy go odgarniać, pogoda pogarszała się z godziny na godzinę. Znowu zerwała się zamieć, i to silniejsza od poprzedniej, musieliśmy więc przerwać poszukiwania. Byłem połamany, potwornie zmęczony i marzyłem tylko o gorącej kąpieli i miękkim łóżku. Jegorow pozwolił ludziom na odpoczynek, zapowiadając, że kiedy tylko pogoda się poprawi, uderzy w dzwon, choćby był środek nocy. Keira była tak podekscytowana, że nie myślała o zmęczeniu, przeklinając śnieżycę, która uniemożliwiła jej pracę. Chciała wyjść z namiotu i zająć się w laboratorium badaniem pobranych próbek. Użyłem całej swej wiedzy o psychice ludzkiej i całej zdolności perswazji, żeby ją powstrzymać. Widoczność nie przekraczała pięciu metrów, a w tych warunkach wychodzenie na zewnątrz granoczyło z szaleństwem. W końcu udało mi się ją przekonać – położyła się obok mnie.

– Ja chyba jestem przeklęta! – jęknęła.

– Przecież to tylko śnieżycy na Syberii, i to w zimie! Dlaczego uważasz to za przekleństwo? Jestem pewien, że jutro pogoda się poprawi.

– Jegorow ostrzegł mnie, że to może potrwać kilka dni – narzekała dalej.

– Jesteś blada i zmęczona, powinnaś odpocząć. Nawet jeśli będzie tak sypało przez dwa dni, świat się nie zawali. Odkrycie, którego dokonałaś dziś rano, jest fantastyczne.

– Dlaczego ciągle stoisz w cieniu? Gdyby nie ty, wcale byśmy tu nie dotarli, nie zdarzyłoby się nic z tego, co razem przeżyliśmy.

Przypomniałem sobie doświadczenia kilku minionych tygodni i te słowa, choć przecież pełne dobrej woli, wprawiły mnie w zakłopotanie. Keira przytuliła się mocno, a ja długo leżałem z otwartymi oczyma, wsłuchując się w jej miarowy oddech. Wiatr szalał, przybierając na sile, jednakże błogosławiłem te kaprysy pogody za chwilę wytnienia i bliskości, jakie nam dawały.



Nazajutrz dzień wstał niemal tak ciemny jak noc. Śnieżycy się nasilała. Nie było mowy o opuszczeniu namiotów bez asekurującej liny. Trzeba było użyć silnej latarki i stawić czoło zwalającym z nóg podmuchom wiatru, żeby dotrzeć do jadalni. Późnym popołudniem Jegorow powiedział nam, że najgorsze już minęło. Front atmosferyczny nie sięgał poza region, w którym przebywaliśmy, północny wiatr musiał go szybko przegonić. Jegorow miał nadzieję, że za dwa dni będziemy mogli wziąć się do pracy. Zastanawialiśmy się z Keirą, ile śniegu będziemy musieli odrzucić, żeby znowu móc coś robić. Na razie pozostało nam tylko zabijać czas, grając w karty. Keira odchodziła w połowie partii, żeby sprawdzić, co dzieje się na zewnątrz, a kiedy wracała, widziałem, że jest bliska załamania.

O szóstej rano obudził mnie odgłos kroków przed naszym namiotem. Wstałem po cichu i niemal bezszelestnie odsunąłem suwak i wychyliłem głowę na zewnątrz. Śnieżycy minęła, z szarych chmur prószył już tylko drobny śnieg. Zwróciłem oczy ku kamiennym olbrzymom, które rysowały się w słabym świetle budzącego się dnia. Ale wtedy coś innego przyciągnęło moją uwagę i przyznam, że wolałbym tego nigdy nie zobaczyć. U stóp samotnego kamiennego giganta, w którym miał spać prawdziwy szaman, leżało ciało jednego z ludzi Jegorowa, a śnieg wokół niego poczerwieniał od krwi.

Ze skalnych ścian spuszczała się z wielką wprawą ludzkie w białych kombinezonach. Doliczyłem się ich trzydziestu. Po chwili szli już w naszą stronę, otaczając obóz. Nagle z

namiotu wyszedł strażnik. Zobaczyłem, jak nieruchomieje, ugodzony kulą w klatkę piersiową. Zdażył tylko strzelić, zanim runął na ziemię.

Ten wystrzał był sygnałem alarmowym. Ludzie Jegorowa wybiegali z namiotów i padali od kul tych, którzy nas zaatakowali. To była istna hekatomba. Ci, którzy pozostali w ukryciu, zajmowali pozycje i odpowiadali z karabinów pneumatycznych, ale ich zasięg był stanowczo za mały. Walki trwały, napastnicy opanowywali teren, podczołgując się coraz bliżej. Dwóch zostało rannych.

Strzały w końcu obudziły Keirę. Poderwała się i usiadła na łóżku, a z mojej poblądłej twarzy wyczytała, że dzieje się coś złego. Kazałem jej się natychmiast ubrać. Kiedy wkładała buty, próbowałem ocenić sytuację – żadnych szans na ucieczkę, nie mogliśmy nawet wymknąć się od tyłu z namiotu, bo płótno zostało zbyt starannie umocowane. Ogarnięty paniką chwyciłem łopatę i zacząłem kopać. Kiedy zobaczyłem, że Keira podeszła do wyjścia, które było teraz otwarte, podbiegłem i gwałtownie wciągnąłem ją do środka.

- Strzelają do wszystkiego, co się rusza, nie zbliżaj się do ścian i pomóż mi!
- Adrianie, lód jest twardy jak drewno, tracisz czas i siły. Co to za ludzie?
- Skąd mam wiedzieć?! Nie bawili się w uprzejmości, nie przedstawili się ani nie uprzedzili, że będą do nas strzelać!

Kolejna seria wystrzałów, po niej jeszcze kilka. Nie mogłem już znieść tej bezsilności, więc zrobiłem to, co przed chwilą zabroniłem robić Keirze. Wysunąłem głowę z namiotu i zobaczyłem brutalną rzeź. Ludzie w bieli zbliżali się do namiotu, wsuwali przez szparę przewód pozwalający zobaczyć, co dzieje się wewnątrz, a po kilku sekundach opróżniali magazynki, strzelając przez płótno. Potem szli do następnego namiotu.

Zamknąłem wejście na suwaki, podszedłem do Keiry i niemal się na niej położyłem, chroniąc ją najlepiej, jak mogłem.

Uniosła głowę, uśmiechnęła się smutno i pocałowała mnie w usta.

- Jesteś niesamowicie rycerski, kochanie, ale obawiam się, że to nic nie da. Kocham cię i niczego nie żałuję – powiedziała i znowu mnie pocałowała.

Teraz mogliśmy już tylko czekać, aż przyjdzie nasza kolej. Tuliłem Keirę, szepcząc, że ja również niczego nie żałuję. Te wyznania kochanków przerwało nam brutalne wtargnięcie dwóch uzbrojonych ludzi. Jeszcze mocniej objąłem Keirę i zamknąłem oczy.

Most Łużkowa

Kanał Wodootwodny zamarzł. Grupka licząca może dziesięciu łyżwiarzy sunęła szybko po grubej warstwie lodu. Moskwa szedł do pracy piechotą. Czarny mercedes jechał za nim, zachowując niewielką odległość. Moskwa sięgnął po komórkę i zadzwonił do Londyna.

- Akcja zakończona – oznajmił.
- Ma pan zmieniony głos. Czy wszystko potoczyło się po naszej myśli?
- Nie do końca, warunki były wyjątkowo trudne.

Ashton wstrzymał oddech, czekając, aż rozmówca przedstawi mu przebieg zdarzeń.

- Obawiam się – podjął Moskwa – że będę musiał się z tego tłumaczyć wcześniej, niż planowałem. Grupa Jegorowa dzielnie się broniła, straciliśmy kilku ludzi.

– Co mnie obchodzą pańscy ludzie! – zniecierpliwził się Ashton. – Niech mi pan lepiej powie, co z naszymi naukowcami!

Moskwa rozłączył się i skinął na kierowcę. Samochód podjechał i zatrzymał się przy nim, a ochroniarz wysiadł, żeby otworzyć mu drzwi. Agent zajął miejsce z tyłu i auto szybko odjechało. Telefon dzwonił wielokrotnie, ale on nie przyjmował połączenia.

Po krótkim pobycie w biurze Moskwa kazał się zawieźć na lotnisko Szeremietiewo, gdzie przed terminalem biznesowym czekał już prywatny samolot. Samochód mknął przez miasto na syrenie, omijając korki. Moskwa westchnął, patrząc na zegarek – do Jekaterynburga mógł dotrzeć najwcześniej za trzy godziny.

Man-Pupu-Nyor

Ludzie, którzy wtargnęli do naszego namiotu, brutalnie wyciągnęli nas na zewnątrz. Wysoczyzną Siedmiu Olbrzymów Uralu była zasłana zakrwawionymi ciałami. Chyba tylko Jegorow przeżył atak i leżał teraz na śniegu, twarzą do ziemi, w kajdankach na rękach i nogach. Otaczało go sześciu uzbrojonych w karabiny ludzi. Uniósł głowę, żeby na nas spojrzeć, ale niemal natychmiast jeden ze strażników kopnął go w skroń. Usłyszeliśmy huk silnika, zobaczyliśmy tumany śniegu wzbijające się w górę, a potem na tle skał pojawił się wielki helikopter. Usiadł kilka metrów od nas. Ci sami ludzie, którzy wywlekli nas z namiotu, teraz niemal dobrotliwie popchnęli w jego stronę i zmusili do biegu. Kiedy wsadzano nas na pokład, jeden z nich uniósł kciuk, jakby chciał nam dać do zrozumienia, że teraz wszystko będzie dobrze. Zamknęto drzwi i helikopter odleciał. Pilot zatoczył krąg nad obozem. Keira wychyliła się, żeby jeszcze raz spojrzeć na to miejsce.

– Wszystko zniszczą – powiedziała, siadając, i ukryła twarz w dłoniach.

Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem przerażający widok.

Dziesięciu mężczyzn w białych kombinezonach wrzucało zwłoki ludzi Jegorowa do sumeryjskich grobów i zasypywało je. Inni zabierali się do składania namiotów. Nie potrafiłem znaleźć słów, którymi mógłbym pocieszyć Keirę.

Na pokładzie było sześciu członków załogi. Żaden z nich nie odzywał się do nas. Podano nam ciepłe napoje i kanapki, nie byliśmy jednak głodni ani spragnieni. Ująłem Keirę za rękę.

– Nie wiem, dokąd nas wiozą, ale myślę, że tym razem to już koniec naszych poszukiwań.

Ująłem ją za ramię i przytuliłem, uświadamiając jej to, co najważniejsze – żyliśmy.

Po dwóch godzinach lotu siedzący przed nami mężczyzna poprosił o zapięcie pasów. Maszyna schodziła do lądowania. Kiedy koła dotknęły ziemi, otwarto drzwi. Byliśmy przy hangarze, z dala od budynków niewielkiego lotniska. Samolot odrzutowy z rosyjską flagą na wysokości kokpitu i bez innych oznakowań stał wewnątrz. Kiedy się zbliżyliśmy, opuszczano schodki. W kabinie czekało na nas dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach. Szczuplejszy wstał i powitał nas promiennym uśmiechem.

– Cieszę się, że widzę państwa zdrowych i całych – powiedział nienaganną angielszczyzną. – Na pewno jesteście u kresu sił, zaraz startujemy.

Silniki zawyły. Po kilku minutach samolot kołował, potem oderwał się od ziemi.

– Jekaterynburg to ładne miasto – powiedział, gdy samolot się wznosił. – Za półtorej godziny

wylądujemy w Moskwie. Tam wsiądą państwo do liniowego samolotu do Londynu. Zarezerwowaliśmy dwa miejsca w biznes class. Proszę nie dziękować, po przejściach ostatnich dni to zupełnie naturalny wyraz naszej troski. Dwoje uczonych waszej rangi zasługuje na wszelkie względy. Teraz, jeśli można, prosiłbym o państwa paszporty.

Mężczyzna wsunął dokumenty do kieszeni marynarki i otworzył barek. Nalał nam wódki. Keira wypła swoją do dna i podsunęła mu kieliszek, prosząc o następny. Drugi kieliszek wychyliła dokładnie tak samo, nie mówiąc ani słowa.

– Czy mógłby pan wyjaśnić, o co tu chodzi? – zapytałem.

Dolał nam wódki i wznosił kieliszek, jakby proponował toast.

– Cieszymy się, że powiodła się akcja uwolnienia was z rąk porywaczy.

Keira zakrztusiła się wódką, którą właśnie miała połknąć.

– Porywaczy? Jakich porywaczy?!

– Mieliście szczęście – podjął gospodarz. – Ludzie, którzy was przetrzymywali, uchodzili za wyjątkowo groźnych. Wkroczyliśmy w porę, powinniście być wdzięczni naszym agentom, którzy wiele dla was ryzykowali. Z wielkim żalem przyjąłem wiadomość o poważnych stratach poniesionych przez nasz oddział. Dwóch naszych najlepszych ludzi oddało życie, by was ocalić.

– Przecież nikt nas nigdzie nie przetrzymywał! – uniosła się Keira. – Byliśmy tam z własnej woli, podjęliśmy bardzo obiecujące poszukiwania, a wasi ludzie wszystko zniszczyli. Byliśmy świadkami rzezi i barbarzyństwa, które trudno opisać. Jak pan śmie...

– Wiemy, że uczestniczyliście w nielegalnych poszukiwaniach rozpoczętych przez przestępców, których jedynym celem było dokonanie kolejnej grabieży skarbów Syberii. Jegorow należał do rosyjskiej mafii, czy pani o tym nie wiedziała? Nie wolno dopuścić, aby nazwiska dwojga uczonych o tak dobrej reputacji łączono z działalnością przestępców. Jest rzeczą oczywistą, że byliście tam przetrzymywani siłą, że grożono wam śmiercią w razie podjęcia próby ucieczki czy stawiania oporu. Zresztą wasze wizy dowodzą, że przyjechaliście do Rosji wyłącznie w celach turystycznych, i pochlebia nam, że właśnie tu pragnęliście wypoczywać. Jestem pewien, że planując podjęcie jakiegokolwiek pracy na naszej ziemi, wystąpilibyście zgodnie z obowiązującym prawem o stosowne zezwolenia. Wicie lepiej niż ktokolwiek inny, na co narażają się grabieżcy bezczeszczący nasze dziedzictwo historyczne. Kary wynoszą od dziesięciu do dwudziestu lat więzienia, zależnie od ciężaru oskarżeń. Czyż nie jest to prawidłowa wersja wydarzeń?

Nie każąc mu czekać, zapewniłem, że wszystko odbyło się tak, jak to przedstawił. Keira milczała, ale tylko przez chwilę, bo dłużej nie była w stanie ukryć swej troski o los Jegorowa. Nasz rozmówca skwitował jej obawy uśmiechem.

– To, droga pani, będzie zależało wyłącznie od jego woli, bądź jej braku, współpracy z nami podczas śledztwa, które zostanie wszczęte. Proszę nie mieć wyrzutów sumienia z jego powodu, zapewniam panią, że od takich jak on lepiej trzymać się z daleka.

Mężczyzna poprosił nas o wybaczenie – nie mógł dłużej z nami dyskutować, miał sporo pracy. Wyjął z teczki dokumenty i cały czas uważnie je czytał.

Maszyna podchodziła do lądowania w stolicy. Kiedy znaleźliśmy się na ziemi, mężczyzna odwiózł nas samochodem pod schodki prowadzące do samolotu British Airways.

– Zanim państwo wyjadą, chcę powiedzieć dwie rzeczy. Po pierwsze, nie przyjeżdżajcie do Rosji, nie będziemy w stanie zapewnić wam tu bezpieczeństwa. Po drugie, posłuchajcie teraz

uważnie, bo naruszam pewne zasady, mówiąc wam o tym, ale wydaliście mi się sympatyczni, a ten, którego zdradzę, nie wzbudza we mnie pozytywnych emocji. W Londynie już na was czekają i obawiam się, że przejażdżka, na którą możecie zostać zaproszeni, nie da się porównać z miłą podróżą, jaką wspólnie odbyliśmy. Dlatego, gdybym był na waszym miejscu, starałbym się spędzić na Heathrow jak najmniej czasu i po przejściu kontroli paszportowej zniknąłbym wszystkim z oczu. Najlepiej byłoby zresztą, gdyby udało się wam nie przechodzić żadnej kontroli.

Mężczyzna oddał nam paszporty i czekał, aż wsiądziemy do samolotu. Stewardesa wskazała nam miejsca. Miała boski, doskonały akcent angielski, a powitała nas tak uprzejmie, że musiałem jej podziękować.

– Chciałbyś zdobyć jej numer telefonu? – zapytała Keira, zapinając pas.
– Nie, ale gdybyś zdołała namówić tego faceta w rzędzie obok, żeby pożyczył ci komórkę, byłbym w siódmym niebie.

Keira spojrzała na mnie z lekkim zdziwieniem, a potem zagadnęła sąsiada, który właśnie wysyłał SMS-a. Zrobiła jedną z tych niewinnych, kobiecych minek, które potrafią zdziałać cuda, i po chwili podała mi telefon.

Londyn

Boeing 767 wylądował na Heathrow cztery godziny po wylocie z Moskwy. Była dwudziesta druga trzydzieści czasu lokalnego. Liczyłem, że noc okaże się naszą sojuszniczką. Samolot zatrzymał się w strefie lotniska oddalonej od terminalu. Przez okienko zobaczyłem dwa autobusy czekające na pasażerów i poprosiłem Keirę, żeby się nie spieszyła. Wysiedliśmy z drugą grupą.

W autobusie wskazałem Keirze miejsce tuż przy drzwiach. Sam wsunąłem but między drzwi, żeby te nie mogły się całkowicie zamknąć. Autobus jechał po płycie lotniska, potem skręcił do tunelu pod pasami startowymi. Kierowca musiał zatrzymać się, żeby przepuścić wózki bagażowe. Pomyślałem: teraz albo nigdy. Mocno pchnąłem harmonijkowe drzwi i pociągnąłem Keirę za rękę. Znalazłszy się na zewnątrz, bieглиśmy mrocznym tunelem za wózkami, żeby wskoczyć do jednego z kontenerów. Keira wylądowała między dwiema dużymi walizkami, a ja na torbach. Pasażerowie autobusu, którzy widzieli nasz wyczyn, oniemieli. Podejrzewam jednak, że już po chwili ktoś powiedział kierowcy o incydencie, cieszyłem się więc, że nasz mały pociąg oddalał się w przeciwnym kierunku i wkrótce wtoczył do podziemi terminalu. O tak późnej porze w strefie rozładunku było niewiele osób – pracowały tylko dwa zespoły, a my byliśmy zbyt daleko od nich, żeby nas zauważono. Pojazd ciągnący wózki krążył między rampami. Postanowiłem opuścić kryjówkę, gdy zauważyłem pod nami windę towarową. Niestety, okazało się, że była unieruchomiona i zablokowana – bez klucza nie można było jej ściągnąć.

– Wiesz może, jak się stąd wydostać? – zapytała Keira.

Rozejrzałem się wokół i zobaczyłem w większości unieruchomione taśmy transportowe.

– Tam! – zawołała Keira, wskazując drzwi.

Jak się okazało, było to wyjście awaryjne.

Obawiałem się, że jest zamknięte, ale tym razem szczęście się do nas uśmiechnęło.

Znaleźliśmy się przy schodach.

– Teraz już nie biegnij – zwróciłem się do Keiry. – Wyjdźmy stąd jakby nigdy nic.

Popatrzyłem na zegarek – autobus z pewnością dotarł do terminalu. O dwudziestej trzeciej odprawa paszportowa nie powinna zajmować wiele czasu, toteż wkrótce ostatni pasażerowie naszego samolotu musieli opuścić strefę graniczną. Uznałem, że do chwili kiedy ci, którzy na nas czekają, zrozumieją, że się im wymknęliśmy, zostało niewiele czasu.

U szczytu schodów również były drzwi. Gdy Keira próbowała je otworzyć, odsuwając blokadę, zawyła syrena.

Wpadliśmy do terminalu między dwiema taśmami – obie były w ruchu, ale na jednej nie było już bagaży. Pracownik lotniska zatrzymał się na nasz widok. Zanim zdążył podnieść alarm, chwyciłem Keirę za rękę i zmusiłem ją do szaleńczego biegu. Usłyszałem za plecami gwizdki. Nie odwracaj się, biegnij dalej! Oby tylko do obrotowych drzwi, za którymi jest już chodnik. Keira potknęła się, krzyknęła, a ja pomogłem jej się podnieść i znowu zmusiłem do biegu. Szybciej, jeszcze szybciej!

Z tyłu wciąż dochodziły mnie gwizdy i tupot nóg goniących nas ludzi. Zbliżali się. Nie mogliśmy się zatrzymać, ulec strachowi, od wolności dzieliło nas tylko kilka metrów. Keira ciężko dyszała. W końcu wyjście z terminalu, taksówka na postoju.

Wsiadliśmy do niej, błagając kierowcę, żeby natychmiast ruszył.

– Dokąd jedziemy? – zapytał, odwracając głowę.

– Niech pan rusza! Jesteśmy spóźnieni – prosiła Keira, z trudem chwytając powietrze.

Kierowca ruszył. Powstrzymałem odruch i nie obejrzałem się w stronę terminalu, wyobrażając sobie tylko, jak wściekli są teraz ci, którzy nas ścigali i którzy zdążyli tylko zobaczyć odjeżdżającą taksówkę.

– To nie koniec naszych kłopotów – szepnąłem do Keiry. – Proszę podjechać pod terminal drugi – powiedziałem kierowcy.

Keira patrzyła na mnie, nie rozumiejąc tej decyzji.

– Zaufaj mi, wiem, co robię.

Na drugim rondzie poprosiłem taksówkarza, żeby się zatrzymał. Powiedziałem mu, że moja żona jest w ciąży i że ma silne mdłości. Zahamował bez namysłu. Podałem mu dwadzieścia funtów i powiedziałem, że wyjdę z nią na pobocze, żeby zaczerpnęła świeżego powietrza. Nie było sensu, żeby na nas czekał, przywykłem już do tego typu dolegliwości, czasami trwały dość długo, wrócimy do domu piechotą.

– Spacer w tej okolicy są niebezpieczne – uprzedził. – Proszę uważać na ciężarówki, nadjeżdżają ze wszystkich stron.

Odjechał, skinąwszy nam na pożegnanie ręką, zadowolony z tak sówitej zapłaty za krótki kurs.

– Teraz, kiedy już urodziłam – odezwała się Keira – może zechcesz mi wyjaśnić, co tu robimy?

– Czekamy! – odparłem.

– Ale na co?

– Zaraz zobaczysz!

Kent

- Jak mogli się wam wymknąć? Czy pańscy ludzie nie czekali przy wyjściu z samolotu?
 - Owszem, czekali, ale tych dwojga naukowców tam nie było.
 - Co pan opowiada? Mój człowiek zaręczył mi, że osobiście odprowadził ich niemal na pokład.
 - Nie zamierzam przeczyć jego słowom, ale dwoje ludzi, których mieliśmy zatrzymać, nie stawilo się do kontroli granicznej. Było nas sześciu, nie zdołaliby się prześlizgnąć.
 - Nie zamierza mi pan wmawiać, że wyskoczyli ze spadochronami nad kanałem La Manche?! – krzyknął sir Ashton w słuchawkę.
 - Skądże. Samolot powinien zatrzymać się przy rękawie, jednakże w ostatniej chwili maszynę skierowano na oddaloną część lotniska. Nie zostaliśmy o tym poinformowani. Dwie osoby wyskoczyły z autobusu, który dowoził pasażerów do terminalu, gdzie czekaliśmy. To naprawdę nie nasza wina, uciekli przez podziemia.
 - Może pan natychmiast uprzedzić szefów ochrony Heathrow, że polecą głowy!
 - Wiem, proszę pana!
 - Patetyczni durnie! Zamiast głądzić i zawracać mi głowę, proszę natychmiast jechać do ich domu, przeczesać miasto, sprawdzić wszystkie hotele. Niech pan robi, co pan chce, ale jeżeli choć trochę zależy panu na pracy, do rana ma ich pan aresztować. Daję panu jeszcze tę noc, zrozumiał pan?
- Rozmówca sir Ashtona znowu zaczął przeproszać i obiecywać, że naprawi fatalny błąd popełniony podczas operacji, za którą był odpowiedzialny, i że zrobi to tak szybko, jak to tylko możliwe.

Rondo Concorde, Heathrow

- Fiat 500 zaparkował przy chodniku. Kierowca wychylił się i otworzył drzwi.
- Krążę tu już od godziny – zrzędził Walter, składając przednie siedzenie, żebym mógł usiąść z tyłu.
 - Nie miałeś pod ręką mniejszego samochodu?
 - Jesteś naprawdę bezczelny. Prosisz, żebym przyjechał po was na to rondo na pustkowiu o nieprzyzwoitej porze, i jeszcze narzekasz?
 - Powiedziałem tylko, że na szczęście nie mamy bagażu.
 - Domyślam się, że gdybyście mieli walizki, umówilibyście się ze mną przed terminalem, jak wszyscy normalni ludzie, a nie zmuszali do kręcenia się tu jak na karuzeli!
 - Długo zamierzacie się klócić? – wtrąciła się Keira.
 - Cieszę się, że cię widzę – odpowiedział Walter, podając jej rękę. – Podróż była udana?
 - Przeciwnie! – odparła. – Możemy już jechać?
 - Chętnie, ale dokąd?
- Już miałem powiedzieć Walterowi, żeby podrzucił nas do mnie, ale obok przejechały dwa samochody policyjne na sygnale, więc uznałem, że to niezbyt rozsądny pomysł. Kimkolwiek był nasz przeciwnik, miałem wszelkie podstawy sądzić, że zna mój adres.
- Dokąd jedziemy? – zapytał znowu Walter.

– Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia.

Walter zjechał na autostradę.

– Mogę z wami jeździć do rana – powiedział – ale będziemy musieli zatankować.

– To twój samochód? – zapytała Keira. – Jest uroczy.

– Cieszę się, że ci się podoba, bo właśnie go kupiłem.

– Z jakiej okazji? – zapytałem Waltera. – Wydawało mi się, że jesteś bez grosza.

– Ale to naprawdę była okazja, a poza tym w piątek przyjeżdża twoja cioteczka, więc sięgnąłem po resztki oszczędności, żeby móc ją wozić po mieście.

– Elena odwiedza cię w ten weekend?

– Tak, przecież ci mówiłem. Zapomniałeś?

– Mieliśmy dość męczący tydzień – odpowiedziałem. – Nie miej mi za złe, że myślami jestem jeszcze daleko stąd.

– Wiem, dokąd możemy jechać – oznajmiła Keira. – Walterze, chyba rzeczywiście powinieneś podjechać na stację i zatankować do pełna.

– Czy mogę się wreszcie dowiedzieć, w jakim kierunku się udajemy? – zapytał. – Uprzedzam was, że jutro muszę wrócić do domu, jestem umówiony u fryzjera!

Keira rzuciła okiem na łyse czoło Waltera.

– Tak, wiem – powiedział, wznosząc oczy ku niebu. – Ale chcę się pozbyć tych żalonych kosmyków, a poza tym dziś rano czytałem w „Timesie”, że łysi mają większy potencjał seksualny niż inni!

– Jeżeli masz jakieś nożyczki, to chętnie się tym zajmę, choćby zaraz – zaproponowała Keira.

– Nie ma mowy, te szlachetne resztki włosów mogę oddać tylko w ręce profesjonalisty. Powiecie mi w końcu, dokąd mam was zawieźć?

– Do St. Mawes w Kornwalii – powiedziała Keira. – Tam będziemy bezpieczni.

– U kogo? – zapytał Walter.

Keira milczała. Domyślałem się, jak brzmi odpowiedź na pytanie Waltera, i zapytałem, czy zgodziłby się, żebyśmy siadł za kierownicą.

Wykorzystując sześć godzin jazdy, opowiedziałem Walterowi o tym, co wydarzyło się w Rosji. Był przerażony naszymi przejściami w pociągu transsyberyjskim i na wysoczyźnie Man-Pupu-Nyor. Kilka razy pytał, kim byli ludzie, którzy usiłowali nas zabić, ale akurat tego nie potrafiłem mu powiedzieć, bo sam niewiele wiedziałem. Byłem pewien tylko jednego: chcieli nas wyeliminować z powodu naszych poszukiwań, jakby zależało im na niedopuszczeniu do połączenia fragmentów mapy nieba.

Keira milczała przez całą drogę. Kiedy o brzasku dotarliśmy do St. Mawes, kazała zatrzymać samochód przed małą oberżą w uliczce biegnącej w stronę cmentarza.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmiła.

Pożegnała się z Walterem, wysiadła z samochodu i odeszła.

– Kiedy się zobaczymy? – zapytał Walter.

– Teraz naciesz się Eleną, spędźcie miły weekend, nie musisz się o nas martwić. Myślę, że parę dni odpoczynku dobrze nam zrobi.

– To spokojne miejsce – powiedział, patrząc na fasadę pubu Victory. – Jestem pewien, że będzie wam tu dobrze.

– Ja też mam taką nadzieję.

– Naprawdę głęboko to przeżyła... – dodał Walter, patrząc na Keirę, która samotnie szła uliczką.

– Tak, ostatnie dni były dla nas wyjątkowo trudne i wstrząsające. Poza tym Keira jest załamana tak nagłym przerwaniem poszukiwań. Byliśmy naprawdę o krok od celu.

– Ale życie, a to najważniejsze. Do diabła z tymi cholernymi fragmentami, musicie z tym skończyć, to zbyt ryzykowna gra. Tym razem tylko cudem uniknęliście śmierci.

– Gdyby to było zwykłe poszukiwanie skarbów, Walterze, sprawa byłaby znacznie prostsza, ale to nie jest zabawa dla dzieciaków. Łącząc wszystkie fragmenty, najprawdopodobniej dokonaliśmy bezprecedensowego odkrycia.

– Opowiesz mi o swojej pierwszej gwiazdzie? Niech zostanie tam, gdzie jej miejsce: na niebie, a ty zostań na ziemi, żyj długo i ciesz się dobrym zdrowiem. Niczego więcej nie pragnę.

– Jesteś wspaniałym przyjacielem, Walterze, ale może uda nam się znaleźć jakiś sposób, żeby choć zerknąć na pierwsze chwile wszechświata, żeby się dowiedzieć, skąd pochodzimy, kim byli pierwsi ludzie na tej planecie. Keira przez całe życie pielęgnowała to marzenie. Dlatego doznała bolesnego rozczarowania.

– Skoro o tym wiesz, nie siedź tu i nie gadaj ze mną, tylko idź do niej. Jeżeli jest tak, jak mówisz, ona cię teraz potrzebuje. Zajmij się nią i zapomnijcie już o tych bezsensownych poszukiwaniach.

Walter uściskał mnie i włączył silnik swojego fiata.

– Nie jesteś zbyt zmęczony, żeby wracać do Londynu? – zapytałem, pochylając się do okienka.

– A czym mam być zmęczony? Przecież przespałem pół drogi!

Patrzyłem, jak samochód oddala się nadmorską drogą, dopóki jego tylne światła nie zniknęły za domem na skraju wsi.



Keira gdzieś poszła. Szukałem jej, idąc w górę. U kresu uliczki zobaczyłem uchyloną furtę cmentarną. Wszedłem i przebiegłem główną aleją. Cmentarz nie był zbyt duży, stało tu może sto grobów. Keira klęczała przy jednym z nich, niemal pod murem, po którym pięła się glicynia.

– Wiosną ma piękne, ciemnoróżowe kwiaty – powiedziała, nie odwracając głowy.

Popatrzyłem na grób – wymalowane na nim złote liście niemal się wytarły, ale nazwisko Williama Perkinsa było jeszcze widoczne.

– Jeanne miałaby do mnie żal, gdyby wiedziała, że przyjechałam tu z tobą, nie mówiąc jej o tym.

Objąłem ją i milczałem.

– Przemierzyłam świat, żeby mu udowodnić, na co mnie stać, a udało mi się tylko wrócić tutaj z pustymi rękoma i ciężkim sercem. Myślę, że to jego od zawsze szukałam.

– Na pewno byłby z ciebie dumny.

– Nigdy mi tego nie mówił.

Keira wytarła kamienną płytę i ujęła mnie za rękę.

– Szkoda, że go nie poznałeś, u schyłku życia był tak skryty, tak samotny. Kiedy byłam małą dziewczynką, zasypywałam go pytaniami, a on zawsze starał się na nie odpowiadać.

Jeżeli problem był za trudny, tylko się uśmiechał i zabierał mnie na spacer nad morze. Wieczorem wstawałam na palcach z łóżka i patrzyłam, jak siedzi przy kuchennym stole, wertując encyklopedię. Nazajutrz, przy śniadaniu, spoglądał na mnie i mówił, jakby nigdy nic: „Zadałaś mi wczoraj pytanie, ale zaczęliśmy mówić o czymś innym i zapomniałem ci odpowiedzieć. Posłuchaj...”.

Keira zadrżała. Zdjąłem kurtkę i okryłem ją.

- Nigdy nie opowiadałeś mi o swoim dzieciństwie, Adrianie.
- Bo jestem równie skryty jak twój ojciec i nie lubię mówić o sobie.
- Będziesz musiał się trochę postarać – powiedziała. – Jeśli mamy przejść razem kawałek drogi, to nie chcę stref milczenia między nami.

Keira zaprowadziła mnie do oberży. W sali jadalnej pubu nikogo jeszcze nie było. Usiedliśmy przy stoliku w pobliżu dużego okna, a po chwili oberżysta przyniósł nam obfite śniadanie. Wydawało mi się, że Keira i on doskonale się znają. Potem mężczyzna zaprowadził nas do pokoju na piętrze z widokiem na mały port w St. Mawes. Byliśmy jego jedynymi gośćmi, a muszę przyznać, że w zimie ten zakątek był niezwykle urokliwy. Podeszedłem do okna, żeby popatrzeć na spokojne morze i na wyciągnięte na brzeg rybackie łodzie. Wzdłuż plaży szedł mężczyzna, prowadząc za rękę małego chłopca. Keira oparła się o parapet tuż obok mnie.

- Również przeżywam brak ojca – powiedziałem. – Zawsze mi go brakowało, nawet kiedy żył. Nie potrafiliśmy się ze sobą porozumieć, był bardzo wartościowym człowiekiem, ale pracował za dużo, żeby zauważyć, że ma syna. Zanim to do niego dotarło, zdążyłem wyprowadzić się z domu. Ocieraliśmy się o siebie, lecz nigdy się naprawdę nie dostrzegaliśmy. Ale nie zamierzam narzekać, bo matka dała mi tyle miłości i czułości, ile tylko można sobie wymarzyć.

Keira długo mi się przypatrywała, aż wreszcie zapytała, dlaczego postanowiłem zostać astrofizykiem.

- W dzieciństwie, kiedy bywaliśmy na Hydrze, mieliśmy z mamą pewien wieczorny rytuał. Siadaliśmy obok siebie przy oknie, tak jak teraz ty i ja, i razem wpatrywaliśmy się w niebo.

Mama wymyślała gwiazdom imiona. Któregoś dnia zapytałem, jak narodził się świat, dlaczego co rano wschodzi słońce i czy zawsze będzie nastawała noc. Mama popatrzyła na mnie i powiedziała: „Istnieje tyle światów, ile istnień we wszechświecie; mój świat zaczął się w dniu twoich narodzin, w chwili gdy wzięłam cię w ramiona”. Od dzieciństwa marzę, aby odkryć, gdzie zaczyna się świat.

Keira odwróciła się do mnie i zarzuciła mi ręce na szyję.

- Będziesz cudownym ojcem.

London

- W poniedziałek sprzedam samochód, zwrócę panu pieniądze i kupię sobie kalosze. Do diabła z dachem nad moim gabinetem, dalej się nie posunę. Nie kiwnę już palcem, żeby ich przekonać do dalszych poszukiwań. Proszę na mnie nie liczyć. Co rano, kiedy patrzę w lustro, czuję się brudny, bo zawiodłem zaufanie Adriana. Zdradziłem go. Niech pan nie nalega, żadne

argumenty mnie nie przekonają. Powiniennem dawno skończyć te konszachty z panem. A jeżeli zrobi pan cokolwiek, żeby skłonić ich do wznowienia pracy, powiem im całą prawdę, chociaż właściwie nic o panu nie wiem.

- Mówisz do siebie, Walterze? – zapytała ciotka Elena.
- Wydaje ci się.
- Mruczysz coś pod nosem, poruszasz ustami.

Światło zmieniło się na czerwone. Walter zahamował i spojrzął na Elenę.

– Dziś wieczorem muszę do kogoś zadzwonić w ważnej sprawie i powtarzam sobie, co mam powiedzieć.

- Ale to nic złego?
- Nie martw się, to nic złego, wręcz przeciwnie.
- Czy ty coś przede mną ukrywasz? Jeżeli w twoim życiu jest ktoś inny, może młodszy, to uwierz, że cię zrozumiem, ale wolałabym o tym wiedzieć.

Walter przysunął się do Eleny.

– Niczego przed tobą nie ukrywam. Nie ma takiej kobiety, która wzbudzałaby we mnie silniejsze pożądanie niż ty.

Po tym wyznaniu Walter zrobił się czerwony jak burak i zaczął się jąkać.

– Podoba mi się twoja nowa fryzura – powiedziała mu Elena. – Wydaje mi się, że mamy zielone światło i że wszyscy na nas trąbią. Powinieneś ruszyć. Tak się cieszę, że będę miała okazję zwiedzić pałac Buckingham. Myślisz, że mamy szansę zobaczenia królowej?

– Być może – odparł Walter – jeśli wyjdzie ze swoich apartamentów, kto wie...

St. Mawes

Przespaliśmy prawie cały dzień. Kiedy rozsunałem zasłony, zapadał zmierzch.

Byliśmy głodni jak wilki. Keira przypomniała sobie, że o parę ulic od pubu jest dobra herbaciarnia, a przy okazji postanowiła pokazać mi miasteczko. Patrząc na małe białe domki uczone z bocza, pomyślałem, że chciałbym tu kiedyś zamieszkać. Czy to możliwe, żebym ja, który przez całe życie przemierzałem świat, osiadł w końcu w małym miasteczku w Kornwalii? Żałowałem, że straciłem bliski kontakt z Martynem, bo na pewno chętnie by mnie tu czasem odwiedzał. Chodzilibyśmy na piwo do pubu przy porcie, wspominalibyśmy dobre czasy.

– O czym tak myślisz? – zapytała Keira.

– O niczym szczególnym – powiedziałem.

– Ale myślam błędnie gdzieś daleko, a przecież się umówiliśmy, że nie będzie między nami milczenia.

– Jeżeli koniecznie chcesz wiedzieć, to zastanawiałem się, co będziemy robili w przyszłym tygodniu i przez kilka następnych.

- Nie domyślasz się, co możemy robić w przyszłym tygodniu?
- Ani trochę!
- A ja tak!

Keira spojrzała mi w oczy, przechylając głowę na bok. Zawsze tak robiła, kiedy miała mi coś ważnego do powiedzenia. Są ludzie, którzy przybierają patetyczny ton, żeby anonsować innym

ważne nowiny, Keira przekrzywiła w takich sytuacjach głowę.

– Muszę odbyć rozmowę z Ivorym i wyjaśnić parę spraw. Ale do tego jesteś mi potrzebny jako współnik małego kłamstwa...

– O jakim kłamstwie mówisz?

– Chcę go przekonać, że udało się nam znaleźć w Rosji trzeci fragment.

– Ale po co? Co ci to da?

– Chcę, żeby nam powiedział, gdzie jest ten odnaleziony w Amazonii.

– Przecież już mówił, że nie wie.

– Mówił nam wiele różnych rzeczy, a co ważniejsze, ten poczciwy starszek sporo przed nami ukrywa. Jegorow miał rację, kiedy oskarżył Ivory'ego o to, że nami manipuluje. Jeżeli uwierzy, że mamy już trzy fragmenty, nie zdoła się oprzeć pokusie, żeby złożyć te puzzle. Jestem pewna, że wie znacznie więcej, niż się do tego przyznaje.

– A ja zaczynam się zastanawiać, które z was potrafi lepiej manipulować: ty czy on.

– Znacznie nade mną góruje, jest o wiele sprytniejszy, ale chętnie się na nim odegram.

– Dobrze, wyobraźmy sobie, że uda się nam przekonać go, iż mamy ten fragment, i załóżmy, że nam powie, gdzie jest czwarty. I tak wciąż będzie brakowało tego, który został na wysoczyźnie Man-Pupu-Nyor, i gwiazdna mapa będzie niekompletna. Po co zadawać sobie tyle trudu?

– To, że brakuje jednego elementu, nie oznacza wcale, że nie można wyobrazić sobie całości. Kiedy znajdujemy skamieliny, rzadko bywają to kompletne szkielety, ba, można powiedzieć, że to się nie zdarza. Jeżeli jednak dysponujemy odpowiednią liczbą kości, ustalamy, których elementów brakuje, i potrafimy zrekonstruować szkielet, a nawet odtworzyć wygląd ciała. Dołącz fragment Ivory'ego do tych dwóch, które mamy, a może zdołasz zrozumieć, co ma nam pokazać ta mapa. A poza tym, jeśli nie chcesz mi oznajmić, że zamierzasz spędzić resztę życia w tej miejscinie i całymi dniami łowić ryby, nie widzę innego wyjścia.

– Co ci przychodzi do głowy!

Po powrocie do hotelu Keira najpierw zadzwoniła do siostry. Rozmawiały bardzo długo. Keira nie powiedziała jej o tym, co spotkało nas w Rosji, ograniczyła się tylko do poinformowania Jeanne, że przyjechaliśmy razem do St. Mawes i że być może wkrótce wpadnie do Paryża. Uznałem, że będzie lepiej, jeżeli pozwolę im pogadać bez świadków. Zszedłem do baru i zamówiłem piwo. Keira pojawiła się po godzinie. Odłożyłem gazetę i zapytałem, czy udało jej się skontaktować z Ivorym.

– Zaprzecza, że miał jakikolwiek wpływ na nasze poszukiwania, prawie się obraził, kiedy zasugerowałam, że kpi sobie ze mnie od dnia, w którym poznaliśmy się w muzeum. Wydawał się szczery, ale nie zdołał mnie przekonać.

– Powiedziałas mu, że przywieźliśmy z Rosji trzeci fragment?

Keira sięgnęła po mój kufel i opróżniając go, pokiwała głową.

– Uwierzył ci?

– Natychmiast przestał robić mi wyrzuty i chciał jak najszybciej się z nami spotkać.

– Co zrobisz, żeby nie odkrył kłamstwa, kiedy się spotkamy?

– Powiedziałam mu, że ukryliśmy fragment w bezpiecznym miejscu i że pokażę mu go dopiero, gdy powie nam więcej na temat tego odnalezionego w Amazonii.

– Co ci odpowiedział?

- Że domyśla się, gdzie jest ten fragment, ale nie wie, jak się do niego dostać. Poprosił, żebyśmy pomogli mu rozwikłać zagadkę.
- Co to za zagadka?
- Nie chciał o tym mówić przez telefon.
- Przyjedzie tu?
- Nie. Oczekuje nas za czterdzieści osiem godzin w Amsterdamie.
- Jak zamierzasz się dostać do Amsterdamu? Nie mam najmniejszej ochoty wracać na Heathrow. Przy przekraczaniu granicy możemy zostać aresztowani.
- Kiedy usłyszał, co nas spotkało, poradził nam popłynąć do Holandii promem. Jego zdaniem, podróżując z Anglii drogą morską, praktycznie unika się kontroli.
- A skąd odpływają promy do Amsterdamu?
- Z Plymouth, o półtorej godziny jazdy samochodem stąd.
- Nie mamy samochodu.
- Jest połączenie autobusowe. Mam wrażenie, że nie masz ochoty jechać. Skąd te opory?
- Jak długo trwa rejs?
- Dwanaście godzin.
- Tego właśnie się obawiałem.

Keira zmarszczyła brwi i delikatnie poklepała mnie po ręce.

- Coś jeszcze?
- Prawdę mówiąc – bąknęła nieśmiało – to nie są prawdziwe promy, ale raczej statki towarowe. Przeważnie godzą się brać pasażerów, w końcu prom czy statek towarowy to dla nas chyba żadna różnica, co?
- Pod warunkiem że z przodu jest kawałek pokładu, gdzie będę mógł umierać na chorobę morską przez drobne dwanaście godzin rejsu! Tak, faktycznie, to już żadna różnica!

Autobus odjeżdżał o siódmej rano, oberżysta przygotował nam kanapki na drogę. Zanim się z nami pożegnał, obiecał Keirze, że posprząta grób jej ojca wczesną wiosną. Miał nadzieję, że wkrótce znowu przyjedziemy, i obiecał dać nam ten sam pokój, jeśli wcześniej go uprzedzimy.

W porcie Plymouth poszliśmy do kapitanatu. Oficer wskazał nam masowiec pod brytyjską banderą wypływający za godzinę do Amsterdamu. Właśnie kończono załadunek. Skierował nas na piąte nabrzeże.

Kapitan zażądał stu funtów za każde z nas, w gotówce. Po odebraniu zapłaty wskazał nam, jak dojść przez pokład do mesy, gdzie mieliśmy do dyspozycji kajutę w części przeznaczony dla załogi. Wyjaśniłem mu, że wołałbym zostać na pokładzie, na dziobie albo na rufie, bylebym nikomu nie przeszkadzał.

- Jak pan chce, ale kiedy wypłyniemy w morze, zrobi się piekielnie zimno, a rejs trwa około dwudziestu godzin.

Spojrzałem na Keirę.

- Powiedziałaś mi, że potrwa najwyżej dwanaście!
- Gdyby to był bardzo szybki statek, może rejs trwałby tylko dwanaście godzin – podchwycił kapitan, wybuchając śmiechem – ale na takim starym wraku raczej nie ma co marzyć o przekroczeniu dwudziestu węzłów, a i to przy sprzyjającym wietrze. Jeżeli cierpi pan na chorobę morską, to radzę zostać na pokładzie. Nie chcę, żeby mi pan zaświnił statek! I niech się pan

ciepło ubierze.

– Przysięgam, nie wiedziałam, że tak to wyjdzie – szepnęła Keira, splatając ręce za plecami.

Masowiec wypłynął. Kanał La Manche był spokojny, ale padał deszcz. Keira dotrzymywała mi towarzystwa przez ponad godzinę, w końcu poszła jednak do kajuty, bo było naprawdę bardzo zimno. Pierwszy oficer zlitował się nade mną i przysłał mi przez jednego z marynarzy rękawice i sztormiak. Marynarz skorzystał z okazji, żeby wypalić papierosa, i chcąc mnie trochę rozerwać, nawiązał rozmowę.

Na statku pracowało trzydziestu ludzi – oficerów, mechaników, kucharzy, marynarzy. Mój kompan wyjaśnił mi, że załadunek masowca to operacja wysoce skomplikowana, a od jej prawidłowego przebiegu zależy bezpieczeństwo podczas rejsu. W latach osiemdziesiątych sto statków takich jak ten zatono tak szybko, że żaden marynarz nie zdołał się uratować. W ten sposób na morzu zginęło sześćuset pięćdziesięciu ludzi. Największym zagrożeniem było dla nas przesunięcie się ładunku. W takiej sytuacji statek traci równowagę, kładzie się na burtę i zaczyna tonąć. Ładowarki, które, jak widziałem, odgarniały ziarno do ładowni, pracowały po to, żeby zapobiec takiemu zdarzeniu. Ale to nie było jedyne zagrożenie, które na nas czyhało, dodał, zaciągając się papierosem. Gdyby woda dostała się przez luki przy bardzo wysokiej fali, dodatkowe obciążenie ładowni mogło spowodować przełamanie kadłuba. Efekt byłby identyczny – statek poszedłby błyskawicznie na dno. Tej nocy na La Manche panował spokój i poza gwałtownymi podmuchami wiatru nic nam nie groziło. Marynarz rzucił niedopałek za burtę i wrócił do pracy, zostawiając mnie samego.

Keira przychodziła do mnie kilka razy, prosząc, żebym zszedł do kajuty. Przyniosła mi kanapki, których nie chciałem, i termos z herbatą. Około północy, zanim poszła spać, powtórzyła mi, że przesiadywanie na pokładzie jest żałosne i że ciężko to odchoruję. Otulony sztormiakiem skuliłem się pod masztem, na którym błyszcząca lampa, i przysnąłem, ukołyszany szumem morza.

Wczesnym rankiem obudziła mnie Keira. Leżałem z rozłożonymi ramionami na mostku. Mimo choroby morskiej byłem trochę głodny, ale to uczucie zniknęło bez śladu, kiedy wszedłem do kambuza. Zapach ryb i starego oleju mieszał się tu z wonią kawy. Zemdliło mnie, więc natychmiast wybiegłem na pokład.

– W dali widać już holenderskie wybrzeże – powiedziała Keira, która po chwili do mnie dołączyła. – Koniec twojej udręki jest bliski.

Z mojego punktu widzenia wyglądało to inaczej, bo miałem przed sobą jeszcze cztery godziny oczekiwania na gwizd oznajmiający, że za chwilę statek, który już zwalniał, weźmie kurs na ląd i wpłynie na redę, a potem do portu w Amsterdamie.

Opuściliśmy pokład najszybciej, jak się dało. Oficer straży celnej czekał na nabrzeżu. Szybko sprawdził nasze paszporty, przeszukał torby, w których było tylko trochę rzeczy kupionych w sklepie w St. Mawes, i pozwolił nam przejść.

– Dokąd idziemy? – zapytałem, zwracając się do Keiry.

– Wziąć prysznic!

– A potem?

Spojrzała na zegarek.

– O osiemnastej jesteśmy umówieni z Ivorym w kawiarni...

Zawiesiła głos, przez chwilę szperała w kieszeni i wreszcie wyjęła kartkę.

- ...na placu Dam przed pałacem – oznajmiła.

Amsterdam

Wynajęliśmy pokój w Grand Hotel Krasnapolsky. Co prawda w mieście na pewno było kilka tańszych, ale ten miał ogromną zaletę – znajdował się o pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym mieliśmy się spotkać z Ivorym. Późnym wieczorem Keira zaprowadziła mnie na duży plac, gdzie wmieszaliśmy się w tłum. Przed muzeum Madame Tussaud stała długa kolejka oczekujących, jacyś turyści jedli na tarasie Europubu pod gazowymi lampami, ale nie było wśród nich Ivory'ego. To ja zauważyłem go pierwszy. Podeszedł do stolika, przy którym siedzieliśmy, tuż przy oknie.

- Tak się cieszę, że was widzę! – powiedział, siadając. – Co za podróż!

Keira powitała go chłodno i stary profesor natychmiast poczuł, że nie jest panem sytuacji.

- Ma pani do mnie żal? – zapytał tonem zaczepki.

– O co miałabym mieć do pana żal? My tylko o mało nie spadliśmy w przepaść, niemal się utopiłam w rzece, przez kilka tygodni żyłam na koszt państwa w chińskim mamrze, potem ktoś do nas strzelał w pociągu, a z Rosji wyrzucił nas oddział żołnierzy, którzy przy okazji zabili na naszych oczach dwudziestu ludzi. Oszczędzę panu opisu skrajnych warunków, w jakich podróżowaliśmy przez ostatnie miesiące, opowieści o rozklekotanych samolotach i samochodach, o budzących grozę autobusach, że już nie wspomnę o kontenerach bagażowych na lotnisku, gdzie utknęłam między dwiema walizkami. Ganiał nas pan po świecie i czekał sobie spokojnie w przytulnym mieszkanku, aż odwalimy całą czarną robotę. Jestem pewna, że zaczął pan wodzić mnie za nos już wtedy, w pana gabinecie w muzeum. A może wpadł pan na ten pomysł trochę później?

– Keiro – odparł znużonym głosem Ivory – przecież odbyliśmy już tę rozmowę przez telefon, przedwczoraj. Nie docenia się pani, może nie zdążyłem jeszcze wszystkiego wyjaśnić, ale nigdy wami nie manipulowałem. Przeciwnie, stale was chronilem. To pani postanowiła podjąć poszukiwania, do niczego nie musiałem pani nakłaniać, czasem tylko coś dorzucałem, o czymś mówiłem. A co do ryzyka, na jakie oboje się wystawialiście, to muszę powiedzieć, że nieźle się natrudziłem, żeby sprowadzić Adriana z Chin i wyciągnąć panią z więzienia. Przez to straciłem bliskiego przyjaciela, który zapłacił za wasze uwolnienie życiem.

- Kogo? – zapytała Keira.

– Jego gabinet mieścił się w tym pałacu przed nami – odparł drżącym głosem. – Właśnie dlatego prosiłem, żebyśmy spotkali się w tym miejscu... Naprawdę przywieźliście z Rosji trzeci fragment?

– Coś za coś – powiedziała Keira. – Przecież uprzedzałam, że pokażę go panu, kiedy powie nam pan wszystko o tym odnalezionym w Amazonii. Pan wie, gdzie jest ukryty, proszę mi nie wmawiać, że tak nie jest!

- Jest przed wami! – westchnął Ivory.

– Profesorze, mam już dość tych zgadywanek, wystarczająco długo bawił się pan z nami w kotka i myszkę. Nie widzę na tym stoliku fragmentu naszej mapy.

- Niech się pani nie wygłupia, proszę podnieść głowę i spojrzeć przed siebie.

Zwróciliśmy oczy na pałac, który wznosił się po drugiej stronie placu.

– Jest w tym budynku? – zapytała Keira.

– Tak, mam wszelkie powody, by tak sądzić, ale nie wiem, gdzie dokładnie go szukać. Mój zmarły przyjaciel go strzegł i, niestety, zabrał do grobu klucz do zagadki, więc nie tak łatwo będzie odnaleźć ten drobiazg.

– Skąd pewność, że należy go szukać w pałacu? – zapytałem.

Ivory pochylił się i sięgnął do torby, która stała przy jego krześle. Wyjął z niej grubą księgę i położył ją na stoliku. Okładka natychmiast przyciągnęła moją uwagę, bo był to bardzo stary podręcznik astronomii. Sięgnąłem po to dzieło i zacząłem je przeglądać.

– Wspaniały egzemplarz.

– Tak – przyznał Ivory. – To pierwsze wydanie, a w dodatku prezent od tego przyjaciela, więc szczególnie cenię tę księgę. Proszę jednak rzucić okiem na dedykację, którą ją opatrzył.

Otworzyłem księgę na pierwszej stronie i głośno przeczytałem słowa napisane piórem na stronie tytułowej.

Wiem, że to dzieło Ci się spodoba, niczego bowiem w nim nie brakuje, znajdziesz tu wszystko, nawet świadectwo naszej przyjaźni.

Wierny partner rozgrywek szachowych,

Vackeers

– Rozwiązanie zagadki kryje się w tych kilku słowach. Wiem, że Vackeers próbował mi coś powiedzieć. Nie napisałby zdania, które nic nie znaczy. Nie wiem tylko, jaki jest sens tych słów.

– Jak mamy panu pomóc, skoro nawet nie znaleźliśmy tego Vackeersa?

– Uwierzcie mi, że bardzo tego żałuję. Polubilibyście się, to był niezwykle inteligentny człowiek. Ponieważ jest to traktat astronomiczny, pomyślałem sobie, że pan, Adrianie, potrafi coś z tego zrozumieć.

– To prawie sześćset stron tekstu – zauważyłem. – Jeżeli mam tu coś znaleźć, to potrzebuję sporo czasu, nie kilku godzin. Pierwsza dokładniejsza analiza zajmie mi parę dni. Nie ma pan żadnej innej wskazówki, niczego, co mogłoby nam pomóc? Nie wiemy nawet, czego szukać w tej księdze.

– Chodźmy – powiedział Ivory, wstając. – Zabiorę was w miejsce, do którego nikt nie ma wstępu. No, prawie nikt. Tylko Vackeers, jego sekretarz osobisty i ja wiemy o jego istnieniu. Vackeers wiedział, że odkryłem jego kryjówkę, ale udawał, że nie ma o tym pojęcia, a ta dedykacja to, jak sądzę, świadectwo jego przyjaźni.

– Przecież właśnie to napisał w dedykacji – wtrąciła Keira.

– Tak. – Ivory westchnął. – Dlatego się tu spotkaliśmy.

Zapłacił rachunek i ruszyliśmy razem przez plac. Keira zupełnie nie zwracała uwagi na ruch uliczny i o mało nie wpadła pod tramwaj, chociaż motorniczy wielokrotnie ostrzegał ją dzwonkiem. W ostatniej chwili chwyciłem ją za rękę i zatrzymałem.

Ivory wprowadził nas bocznym wejściem do kościoła, potem przez wspaniałą nawę do transeptu. Gdy podziwiałem grobowiec admirała De Ruytera, podszedł do nas mężczyzna w ciemnym garniturze.

– Dziękuję, że pan przyszedł – szepnęła Ivory, nie chcąc przeszkadzać modlącym się w

skupieniu wiernym.

– Był pan jego jedynym przyjacielem. Wiem, że pan Vackeers życzyłby sobie, żebym spełnił pańską prośbę, liczę jednak na

dyskrecję, gdyby ktoś dowiedział się o naszym spotkaniu, miałbym poważne problemy.

– Proszę się nie obawiać – odparł Ivory, poklepując go po ramieniu. – Vackeers bardzo pana cenił i darzył sympatią. Kiedy o panu mówił, wyczuwałem, jak by to powiedzieć... przyjaźń, tak, to najtrafniejsze określenie. Vackeers darzył pana przyjaźnią.

– Tak pan sądzi? – zapytał sekretarz ze wzruszającą szczerością w głosie.

Wyjął z kieszeni klucz i otworzył małe drzwi w głębi kaplicy. Ruszyliśmy w dół schodami, które znajdowały się tuż za tymi drzwiami. Naliczyłem pięćdziesiąt stopni, potem szliśmy długim korytarzem.

– Te podziemia biegną pod placem Dam wprost do pałacu – oznajmił sekretarz. – Jest tu dość ciemno, dalej będzie jeszcze ciemniej, więc proszę się ode mnie nie oddalać.

Słyszeliśmy tylko echo własnych kroków, a im głębiej się zapuszczaliśmy, tym mniej było światła. Wkrótce ogarnęły nas kompletne ciemności.

– To tylko pięćdziesiąt kroków, potem znowu się rozwidni – poinformował nas sekretarz. – Proszę iść środkiem, żeby się nie poślizgnąć. Wiem, że nie jest tu zbyt przyjemnie, ja też nie lubię tędy chodzić.

Przed nami znowu wyrosły schody.

– Proszę uważać, stopnie są śliskie, najlepiej trzymać się konopnej liny, która biegnie wzdłuż muru.

U szczytu schodów zobaczyliśmy drewniane drzwi wzmocnione grubymi żelaznymi okuciami. Sekretarz Vackeersa obrócił dwie masywne klamki, uruchamiając mechanizm, który zwolnił blokadę. Znaleźliśmy się na parterze pałacu. Na posadzce z białego marmuru w ogromnej sali ujrzeliśmy trzy wielkie mapy. Jedna przedstawiała półkulę zachodnią, druga wschodnią, a trzecia zadziwiająco dokładną mapę nieba. Podeszedłem, żeby się jej dokładniej przyjrzeć, bo jeszcze nigdy nie miałem okazji tak łatwo, jednym susem, przeskoczyć od Kasjopei do Andromedy, a przechadzka po galaktykach wydała mi się dość zabawna. Keira odkaslnęła, żeby przywołać mnie do porządku, a Ivory i sekretarz patrzyli na mnie skonsternowani.

– To tam – powiedział nasz przewodnik.

Otworzył drzwi i znowu sprowadził nas do podziemi pałacu. Dopiero po chwili oswoiliśmy się z ciemnością i mogliśmy zobaczyć sieć mostków nad podziemnym kanałem.

– Jesteśmy pod wielką salą – wyjaśnił sekretarz Vackeersa. – Proszę poruszać się bardzo ostrożnie, woda w kanale jest lodowata i nawet nie wiem, jaką osiąga głębokość.

Podeszedł do drewnianego wspornika i opuścił żelazną rączkę. Zobaczyliśmy, jak przesuwają się dwie ścianki, otwierając przed nami drogę ku ścianie w głębi. Dopiero kiedy byliśmy bardzo blisko, zauważyliśmy ukryte w kamiennym murze drzwi, ledwie widoczne w mroku. Mężczyzna wprowadził nas do jakiegoś pomieszczenia. Włączył światło. Metalowy stół i fotel stanowiły całe umeblowanie sali. Na ścianie wisiał płaski ekran, klawiatura komputerowa leżała na stole.

– Proszę. Nic więcej nie mogę już zrobić – powiedział sekretarz Vackeersa. – Jak sami państwo widzą, nie ma tu zbyt wielu rzeczy.

Keira włączyła komputer, ekran rozbłysł.

– Potrzebny jest kod dostępu – powiedziała po chwili.

Ivory wyciągnął z kieszeni kartkę i podał ją Keirze.

– Niech pani wprowadzi ten kod. Kiedyś, grając z nim w szachy u niego w domu, wykorzystalem sytuację i wykradłem mu go.

Keira wprowadziła kod, zatwierdziła go i po chwili mieliśmy już dostęp do komputera Vackeersa.

– Co dalej? – zapytała.

– Tego nie umiem pani powiedzieć – odparł Ivory. – Proszę przejrzeć twarde dyski, może natrafimy na coś, co pomoże nam w odnalezieniu fragmentu.

– Twarde dyski są puste. Widzę tu tylko komunikator. Ten komputer prawdopodobnie służył tylko do wideokonferencji. Nad monitorem jest mała kamera.

– Nie, to niemożliwe – powiedział Ivory. – Proszę szukać dalej, jestem pewien, że tu kryje się klucz do zagadki.

– Przykro mi, ale tu naprawdę nie ma żadnych danych.

– W takim razie proszę wrócić do kodu i wpisać dedykację: *Wiem, że to dzieło Ci się spodoba, niczego bowiem w nim nie brakuje, znajdziesz tu wszystko, nawet świadectwo naszej przyjaźni. Wierny partner rozgrywek szachowych, Vackeers.*

Na ekranie pojawił się napis: „Błędne hasło”.

– Coś tu nie gra – powiedziała Keira. – Proszę spojrzeć: dysk jest pusty, a jednak wolna jest tylko połowa pamięci. Tu gdzieś ukryto partycję. Domyśla się pan drugiego hasła?

– Nie, nic mi nie przychodzi do głowy – odparł Ivory.

Keira spojrzała na starego profesora, pochyliła się nad klawiaturą i wystukała „Ivory”. Otworzyło się nowe okienko na ekranie.

– Sądzę, że znalazłam dowód przyjaźni, o którym pan mówił, ale brakuje hasła.

– Nie znam go – westchnął Ivory.

– Proszę się zastanowić, pomyśleć, co was ze sobą łączyło.

– Nie wiem, łączyło nas wiele spraw, trudno mi wybrać coś konkretnego z natłoku wspomnień. Niech pani wpisze „szachy”.

Na ekranie znów pojawił się napis: „Błędne hasło”.

– Proszę próbować dalej – ponagliła Keira. – Niech pan wymyśli coś bardziej wyszukanego, o czym moglibyście wiedzieć tylko wy dwaj.

Ivory krążył po pokoju. Splótł ręce na plecach i mamrotał coś pod nosem.

– Może chodzi o tę partię, którą rozgrywaliśmy ze sto razy...

– Jaką partię? – zapytałem.

– Sławny pojedynek dwóch wielkich osiemnastowiecznych szachistów, François André Danicana Philidora z kapitanem Smithem. Philidor był mistrzem szachowym, zapewne najwybitniejszym w swojej epoce. Wydał książkę *Analiza gry w szachy*, długo uważaną za wzorcową. Proszę wpisać jego nazwisko.

Hasło nie otworzyło dostępu do komputera Vackeersa.

– Proszę opowiedzieć mi o tym Danicanie Philidorze – odezwała się Keira.

– Zanim osiadł na stałe w Anglii – podjął Ivory – grywał we Francji w kawiarni Régence, a było to miejsce, w którym spotykali się najlepsi szachiści.

Keira wpisała „Régence”, potem „kawiarnia de la Régence”, ale to nic nie dało.

– Był uczniem de Kermeura – ciągnął Ivory.

Keira wklepała „Kermeur”, także bez efektu.

Komputer po raz kolejny odrzucił hasło. Ivory nagle przystanął i uniósł głowę.

– Philidor stał się sławny, kiedy pokonał Syriena Philippe'a Stamma, nie, chwileczkę, prawdziwą sławę zapewniło mu zwycięstwo w turnieju, w którym grał z zasłoniętymi oczyma na trzech szachownicach równocześnie, z trzema różnymi przeciwnikami. Dokonał tego wyczynu w klubie szachowym na St. James Street w Londynie.

Keira wpisała „St. James Street”. Kolejna porażka... jakby grała z arcymistrzem szachowym!

– Może wybraliśmy złą drogę, może trzeba było wpisać nazwisko Smith? Sama nie wiem... Zna pan daty urodzenia i śmierci Philidora?

– Nie jestem pewien, interesowała nas tylko jego kariera szachisty.

– A kiedy dokładnie Smith i Philidor rozegrali tę partię? – zapytałem.

– Trzynastego marca tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego roku.

Keira wpisała sekwencję cyfr „13031790”. Oniemieliśmy z wrażenia. Na ekranie pojawiła się stara mapa nieba. Sądząc z dokładności, a także z błędów, które zauważyłem, musiała pochodzić z XVII lub XVIII wieku.

– Nie wierzę własnym oczom! – zawołał Ivory.

– Jaka piękna rycina – zauważyła Keira. – Ale nie pokazuje nam, gdzie znaleźć to, czego szukamy.

Mężczyzna w ciemnym garniturze spojrział na ekran.

– To ta sama mapa, którą widzieliśmy na posadzce w pałacowym holu na parterze – powiedział. – Są pewne drobne różnice, ale jest do niej bardzo zbliżona.

– Jest pan pewny? – zapytałem.

– Przechodziłem po niej przynajmniej tysiąc razy, pracowałem u pana Vackeersa dziesięć lat, a on często umawiał się ze mną w gabinecie na pierwszym piętrze.

– Gdzie pan zauważył te różnice? – zapytała Keira.

– Rysunek jest nieco inny – powiedział – a linie, które łączą gwiazdy ze sobą, nie są usytuowane identycznie.

– Kiedy został zbudowany ten pałac? – zapytałem.

– Ukończono go w roku tysiąc sześćset pięćdziesiątym piątym – odpowiedział sekretarz Vackeersa.

Keira szybko wpisała cztery cyfry. Mapa widoczna na ekranie zaczęła się obracać, a my usłyszeliśmy głuchy pomruk dobiegający jakby z sufitu.

– Co jest nad nami? – zapytała Keira.

– Burgerzaal, wielka sala, w której znajdują się te mapy na marmurowej posadzce – odpowiedział sekretarz.

Wszyscy czworo ruszyliśmy szybko do drzwi. Sekretarz przypomniał nam, że musimy ostrożnie iść po labiryncie z desek ułożonych kilka centymetrów nad taflą wody podziemnego kanału, po których niemal biegliśmy. Pięć minut potem byliśmy już w holu pałacu. Keira pierwsza zatrzymała się przy mapie ukazującej niebo, teraz obracającej się w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Kiedy mapa zatoczyła półokrąg, znieruchomiała. I nagle jej środkowa część uniosła się kilka centymetrów nad posadzkę. Keira wsunęła dłoń w szczelinę, która powstała w tym miejscu, i z triumfalną miną wydobyla trzeci fragment podobny do naszych dwóch.

– Błagam – jęknął sekretarz, rozluźniając krawat – trzeba to wszystko przywrócić do właściwego stanu. Jeżeli jutro po otwarciu pałacu ktoś zobaczy zniszczoną posadzkę, skutki będą dla mnie tragiczne.

Ale nasz przewodnik już wkrótce odetchnął z ulgą, bo ledwie zamknął usta, pokrywa wymyślnej skrytki opadła, mapa obróciła się i wszystko wróciło do poprzedniego stanu.

– A teraz – odezwał się Ivory – powiedzcie mi, gdzie jest ten czwarty fragment, który przywieźliście z Rosji?

Keira i ja spojrzeliśmy na siebie – oboje byliśmy bardzo zakłopotani.

– Nie chciałbym psuć państwu zabawy – wtrącił sekretarz – gdybyście jednak mogli omówić te sprawy poza pałacem, byłbym szczerze zobowiązany. Muszę jeszcze zamknąć gabinet pana Vackeersa. Wkrótce przyjdą tu ochroniarze, naprawdę musicie już iść.

Ivory wziął Keirę za rękę.

– On ma rację, wyjdźmy stąd, mamy całą noc na rozmowy.



Po powrocie do hotelu Krasnapolsky Ivory zaprosił nas do swojego pokoju.

– Okłamaliście mnie, prawda? – zapytał, zamykając drzwi. – Och, bardzo proszę, nie traktujcie mnie, jakbym był głupcem, przecież widziałem przed chwilą wasze miny. Wcale nie przywieźliście z Rosji tego fragmentu.

– Nie, nie przywieźliśmy – odpowiedziałem rozwścieczony. – Byliśmy zaledwie kilka metrów od niego. Nikt nas jednak nie uprzedził, nie ostrzegł, że grozi nam niebezpieczeństwo ze strony szaleńców, którzy deptają nam po piętach, odkąd wysłał nas pan na poszukiwanie tych kawałków, proszę więc nie oczekiwać od nas przeprosin!

– Jesteście kompletnie nieodpowiedzialni! Przychodząc tu, zmusiliście mnie do przesunięcia pionka, który do ostatniej chwili powinien zostać na miejscu. Wydaje się wam, że nikt nie zauważy naszej wizyty? Komputer, do którego się włamaliśmy, jest połączony z bardzo nowoczesną i doskonale kontrolowaną siecią. W tej chwili dziesiątki informatyków powiadają swoich zwierzchników, że terminal Vackeersa włączył się sam w środku nocy, a nie sądzę, żeby ktoś wierzył w powrót jego ducha!

– Do diabła, kim są ci ludzie?! – krzyknąłem Ivory'emu w twarz.

– Uspokójcie się obaj, nie czas na głupie porachunki – wtrąciła się Keira. – Wrzaskiem nic nie wskóramy. Właściwie nie okłamaliśmy pana tak do końca, to ja namówiłam Adriana, żeby odegrać tę komedię. Mam nadzieję, że trzy fragmenty dadzą nam dość wiedzy, żeby zrobić kolejny krok w badaniach, więc może zamiast się kłócić, po prostu je połączymy?

Keira zdjęła wisior, ja wyjąłem z kieszeni drugi fragment, rozłożyłem chusteczkę, w którą był zawinięty, i połączyliśmy je z tym odkrytym pod posadzką pałacu przy placu Dam.

Wszyscy troje przeżyliśmy ogromne rozczarowanie, bo niebieskawe światło, które mieliśmy ujrzeć, tym razem wcale się nie pojawiło. Co gorsza, przyciąganie magnetyczne, które dotąd powodowało zbliżenie fragmentów, zniknęło, wszystkie elementy leżały obok siebie jak najzwyczajniejsze kamienie.

– Rzeczywiście, zrobiliśmy wielki krok! – wybuchnął Ivory.

– Jak to możliwe? – zdziwiła się Keira.

– Podejrzewam, że nasze kolejne prezentacje doprowadziły w końcu do wyczerpania ich

energii – powiedziałem.

Ivory wyszedł z salonu, a po chwili usłyszeliśmy, jak trzasnął drzwiami sypialni. Zostaliśmy sami.

Keira zabrała wszystkie fragmenty i wyciągnęła mnie na hotelowy korytarz.

- Jestem głodna – oświadczyła. – Schodzimy do restauracji czy zamawiamy coś do pokoju?
- Zamawiamy – odparłem bez namysłu.



Keira wylegiwała się w wannie. Ułożyłem fragmenty na biurku w naszym pokoju i obserwowałem je, zadając sobie dziesiątki pytań. Może poddać je działaniu silnego źródła światła, żeby się naładowały? Jaka energia może rozbudzić siłę, która powoduje wzajemne przyciąganie? Czuję, że coś mi się wymyka. Przyjrzałem się bliżej fragmentowi z pałacu. Był trójkątny i podobny do dwóch pozostałych, dokładnie tej samej grubości. Obracałem go, kiedy pewien szczegół na krawędzi przyciągnął moją uwagę. Na jej skraju było horyzontalne, biegnące dookoła nacięcie, jakby rowek, zbyt równy, żeby mógł powstać przypadkowo. Przyszła mi do głowy pewna myśl. Wysunąłem szufladę i znalazłem to, co było mi potrzebne – ołówek i notes. Wyrwałem kartkę, położyłem na fragmentach i połączyłem je. Obwiodłem grafitem zewnętrzną krawędź całości. Kiedy wysunąłem fragmenty i spojrzałem na kartkę, zobaczyłem trzy czwarte obwodu koła.

Pobiegłem do łazienki.

- Włóż szlafrok i chodź.
- Co się stało? – zapytała Keira.
- Pospiesz się!

Przyszła po kilku minutach, owinięta ręcznikiem w pasie, w turbanie z drugiego na mokrych włosach.

- Popatrz – powiedziałem, pokazując jej rysunek.
- Prawie ci się udało narysować kółko, to wzruszające i godne podziwu, ale czy musiałeś mnie wyciągać z wanny, żeby się pochwalić?

Wziąłem fragmenty i ułożyłem je odpowiednio na kartce.

- Nic nie widzisz?
- Że brakuje jeszcze jednego?
- A to już bardzo cenna informacja, bo dotąd nie wiedzieliśmy, z ilu elementów składa się ta mapa, patrząc jednak na kartkę, jak sama powiedziałaś, upewniamy się, że brakuje tylko jednego, a nie dwóch, jak zakładaliśmy.

– Co nie zmienia faktu, że jednego nam brakuje, a te, które mamy, utraciły moc, więc może wróć do wanny, zanim woda całkiem wystygnie?

- Tylko to zauważyłaś?
- Długo jeszcze zamierzasz bawić się w zgaduj-zgadulę? Nie. Widzę tylko linię narysowaną ołówkiem, więc bądź tak łaskaw i powiedz, co mi umyka, bo najwyraźniej górujesz nade mną intelektem!

– Najciekawsze w mapie nieba jest nie to, co nam pokazuje, ale to, czego nie pokazuje, i to, czego się domyślamy!

- Mógłbyś to przełożyć na prostszy język?

– Skoro te fragmenty już nie reagują, to zapewne brak im przewodnika, czyli piątej części układanki! W komplecie musiał być jakiś pierścień, przewód, którym płynął prąd.

– To dlaczego dwa pierwsze tak długo się rozświecwały?

– Ponieważ zakumulowały energię po uderzeniu pioruna. Łącząc je, wyczerpaliśmy te rezerwy. Zasada działania tego

obiektu jest prosta, zgodna z prawami dotyczącymi wszelkiego rodzaju prądu, wymiany jonów dodatnich i jonów ujemnych, które muszą mieć możliwość przepływu.

– Powiedz jaśniej – powiedziała Keira, siadając przy mnie – bo jestem ignorantką w tej dziedzinie.

– Prąd elektryczny to przemieszczanie się elektronów w materii będącej przewodnikiem. Bez względu na to, czy chodzi o prąd bardzo silny, czy o najslabszy, polega na przemieszczaniu elektronów. Nasze fragmenty już nie reagują, ponieważ brak przewodzenia. A przewodnikiem jest piąta brakująca nam część, czyli pierścień, który ma otaczać obiekt jako całość. Ci, którzy rozdzielili fragmenty, zapewne go połamali. Musimy znaleźć sposób, żeby wykonać nowy pierścień, idealnie dopasowany do nacięcia na krawędzi fragmentów. Jestem pewien, że wtedy odzyskają zdolność świecenia.

– Ale kto i gdzie ma wykonać taki pierścień?

– Na przykład ktoś, kto zajmuje się konserwacją sfer armilarnych! Najpiękniejsze wykonano w Antwerpii, ale osobiście znam w Paryżu kogoś, kto może nam pomóc, a przynajmniej udzielić porady.

– Powiemy o tym Ivory'emu? – zapytała Keira.

– Oczywiście. A poza tym nie możemy stracić z oczu faceta, który był z nami w pałacu, może się okazać bardzo przydany, choćby dlatego, że nie mówimy po holendersku.

Musiałem przekonać Keirę, żeby zrobiła pierwszy krok. Zadzwoiła do Ivory'ego i powiedziała, że mamy dla niego ważną informację. Stary profesor zdążył się już położyć, mimo to zgodził się spotkać z nami za chwilę w swoim apartamencie.

Przedstawiłem mu swoje rozumowanie i osiągnąłem przynajmniej jedno – poprawiłem mu nastrój. Uznał, że lepiej będzie, jeżeli nie skorzystam z pomocy antykwariusza z Marais, o którym myślałem. Czas naglił, Ivory obawiał się, że lada moment znów zaczniemy mieć kłopoty. Zgodził się na podróż do

Antwerpii, bo jego zdaniem, im częściej się przemieszczaliśmy, tym bardziej byliśmy bezpieczni. Choć był środek nocy, zadzwonił do sekretarza Vackeersa i poprosił o znalezienie dla nas rzemieślnika, który potrafiłby naprawić bardzo stary przyrząd astronomiczny. Sekretarz obiecał poszukać odpowiedniej osoby i skontaktować się z nami nazajutrz.

– Nie chciałabym być niedyskretna, ale czy ten człowiek ma jakieś nazwisko albo chociaż imię? – wtrąciła Keira. – Skoro mamy się z nim jutro spotkać, wolałabym coś więcej o nim wiedzieć.

– Na razie proszę zapamiętać, że to Wim. Za kilka dni najprawdopodobniej będzie się nazywał „Amsterdam”, a my nie będziemy już mogli liczyć na jego pomoc.

Nazajutrz spotkaliśmy się z mężczyzną zwanym Wim. Był w tym samym garniturze i krawacie co poprzedniego dnia. Siedząc z nami w hotelowej kawiarni, powiedział, że nie musimy jechać do Antwerpii, ponieważ w Amsterdamie istnieje bardzo stara pracownia zegarmistrzowska, której właściciel jest ponoć potomkiem Erasmusa Habermela.

- Kto to jest Erasmus Habermel? – zainteresowała się Keira.
- Najśłynniejszy wytwórca przyrządów naukowych w szesnastym wieku – odparł Ivory.
- Skąd pan to wie? – zapytałem.
- Może pan nie słyszał, że jestem profesorem. Przepraszam, że mam pewne wykształcenie.
- Cudownie, że poruszył pan tę kwestię – wtrąciła Keira. – Już dawno chciałam zapytać, jaką dziedziną się pan zajmuje? Zastanawialiśmy się nad tym z Adrianem.

– Cieszę się, że oboje interesujecie się moją karierą zawodową, ale powiedzcie mi najpierw, czy szukamy teraz konserwatora starych przyrządów astronomicznych, czy może wolicie poświęcić dzień mojemu *curriculum vitae*? Dobrze... Wróćmy więc do Erasmusa Habermela... Skoro Adriana tak dziwi moja erudycja, oddajmy mu głos i przekonajmy się, czy dobrze się przygotował!

– Przyrządy wyrabiane w pracowniach Habermela są niezrównane zarówno ze względu na perfekcyjne wykonanie, jak i na piękno – powiedziałem, piorunując Ivory'ego spojrzeniem. – Jedyna sfera armilarna, którą odnaleziono i przypisano jemu, znajduje się w Paryżu, jeśli się nie mylę, w zbiorach Zgromadzenia Narodowego. Habermel utrzymywał bliskie kontakty z najwybitniejszymi astronomami swoich czasów, Tychonem Brahem i jego asystentem Johannesem Keplerem, a także z wielkim szwajcarskim zegarmistrzem Jostem Bürgim. Zapewne współpracował też z Gualterusem Arseniusem, którego pracownia znajdowała się w Leuven. Razem uciekli z miasta, gdy wybuchła epidemia dżumy w roku tysiąc pięćset osiemdziesiątym. Stylistyczne podobieństwo przyrządów Habermela i Arseniusa jest wręcz uderzające, toteż...

– Dobrze, mój pilny Adrianie. Wygłosił pan bezbłędny referat – przerwał mi Ivory – ale nie spotkaliśmy się tu, żeby słuchać pańskich popisów. Interesuje nas właśnie bliska współpraca Habermela z Arseniusem. Dzięki Wimowi dowiedziałem się, że potomek Habermela mieszka w Amsterdamie, jeśli więc nie macie nic przeciwko temu, proponuję zakończyć wykłady i dyskusje i jak najszybciej odwiedzić jego pracownię. Idźcie po palta i spotkajmy się za dziesięć minut w holu.

Poszliśmy do pokoju.

- Skąd wiedziałeś tak dużo o tym Habermelu? – zapytała Keira, kiedy wsiedliśmy do windy.
- Przejrzałem pewną książkę, którą kupiłem u antykwariusza z Marais.
- Kiedy?
- Tego dnia, kiedy tak uprzejmie zostawiłaś mnie na lodzie, żeby spędzić wieczór z Maksem, i kiedy nocowałem w hotelu, pamiętasz? Miałem na tę lekturę całą noc!



Wszyscy czworo pojechaliśmy taksówką na stare miasto. Wsiedliśmy przy wąskiej uliczce. W pobliskim zaułku znajdował się sklep zegarmistrzowski... Za dużą szybkość wydzielono w nim pracownię. Z dziedzińca widzieliśmy pochylonego nad stołem starego człowieka, który naprawiał zegar. Mechanizm, który składał z wielką precyzją, tworzyła przyprawiająca o zawrót głowy ilość drobnych części leżących przed nim w idealnym porządku. Kiedy pchnęliśmy drzwi, rozbrzmiał dzwonek. Mężczyzna uniósł głowę. Miał niesamowite okulary, które powiększały jego oczy i upodobały go do dziwnego zwierzęcia. Sklepek pachniał drewnem i kurzem.

– Czym mogę służyć? – zapytał.

Wim wyjaśnił mu, że chcemy zamówić część do bardzo starego przyrządu.

- O jaką część chodzi? – zapytał zegarmistrz, zdejmując okulary.
- Kółko z miedzi lub mosiądzu – odparłem.

Mężczyzna zwrócił się do mnie po angielsku. Mówił z lekkim akcentem niemieckim.

- O jakiej średnicy?
- Nie potrafię tego dokładnie określić.
- A czy może mi pan pokazać ten stary przyrząd, który chce pan naprawić?

Gdy Keira ruszyła w stronę lady, rzemieślnik wznosił ręce ku niebu, prawie krzycząc:

- Nie tędy, kobieto, wszystko mi pani zniszczy. Proszę za mną do tego stolika, o, tu. – Wskazał środek pracowni.

Nigdy nie widziałem tylu instrumentów astronomicznych w jednym miejscu. Mój antykwariusz z Marais pobladałby z zazdrości. Astrolabia, sfery, sekstansy, teodolity leżały na półkach, czekając, aż ręce mistrza przywrócą im dawną świetność.

Keira położyła na stoliku trzy fragmenty, połączyła je i cofnęła się o krok, pozwalając staremu rzemieślnikowi im się przyjrzeć.

- Dziwny przyrząd – stwierdził zegarmistrz. – Do czego służy?
- To pewien rodzaj astrolabium – wyjaśniłem, podchodząc bliżej.
- Pierwszy raz w życiu zdarza mi się widzieć coś takiego. Ten kolor i ten materiał! Wygląda jak onyks, ale tylko w pierwszej chwili. Kto go wykonał?

- Nie wiadomo.
- Dziwni z was klienci, nie wiecie, kto go wykonał ani z czego, nie wiecie nawet, do czego służy, ale chcecie go naprawić... tylko jak naprawić przyrząd, nie wiedząc, jak działa?

– Chcemy, żeby był kompletny – powiedziała Keira. – Jeżeli przyjrzy mu się pan dokładniej, zauważy pan wgłębienie na krawędzi wszystkich części. Jesteśmy pewni, że potrzebna jest obręcz, w którą się je wkłada, prawdopodobnie stop będący dobrym przewodnikiem i scalający przyrząd.

- Być może – rzekł mężczyzna, coraz bardziej zaciekawiony. – Popatrzmy... – dodał, unosząc głowę.

Na długich sznurkach wisiały pod sufitem najróżniejsze narzędzia.

- Nie wiem już, gdzie kłaść cały sprzęt, więc wprowadziłem pewne innowacje. O, właśnie tego szukałem!

Rzemieślnik chwycił długi kompas o teleskopowych ramionach, między którymi biegł łuk z podziałką w stopniach. Włożył okulary i znowu pochylił się nad naszym obiektem.

- Jakie to zabawne – powiedział.
- Co się stało? – zapytała Keira.
- Średnica wynosi trzydzieści jeden i czterysta piętnaście tysięcznych centymetra.
- Ale co w tym zabawnego?
- To dokładna wartość liczby pi, pomnożona przez dziesięć. Pi to liczba niewymierna, wie pani o tym? – zapytał stary zegarmistrz. – Stosunek między polem koła a kwadratu opisanego na jego promieniu jest stały. Innymi słowy, między obwodem koła a bokiem kwadratu.

- Chyba wagarowałam, kiedy nas tego uczyli – westchnęła Keira.
- To nie jest takie istotne – powiedział zegarmistrz – ale jeszcze nigdy nie spotkałem się z przyrządem o dokładnie takiej średnicy. To genialne. Nie domyślcie się nawet, do czego to mogło służyć?

– Nie! – odpowiedziałem, hamując zrywy szczerości, do których przyzwyczaiła mnie Keira.
– Zrobienie takiej obręczy to nic trudnego, przypuszczam, że wykonam tę pracę za jakichś dwieście florenów, czyli za...

Mężczyzna wysunął szufladę i wyjął kalkulator.

– ...dziewięćdziesiąt euro. Przepraszam, ale wciąż nie mogę się przyzwyczaić do tych nowych pieniędzy.

– Na kiedy pan to zrobi? – zapytałem.

– Muszę skończyć naprawę zegara, nad którym pracowałem, kiedy państwo przyszli. Musi wrócić na kościelną wieżę, a proboszcz dzwoni do mnie dzień w dzień, żeby się dowiedzieć, kiedy będzie gotowy. Poza tym mam do naprawy jeszcze trzy stare zegarki, więc do tego zabiorę cię pod koniec miesiąca. Może być?

– Tysiąc florenów, pod warunkiem że zacznie pan natychmiast! – zaproponował Ivory.

– Aż tak się wam spieszy? – zapytał rzemieślnik.

– Bardzo – odpowiedział Ivory. – Jeżeli skończy pan dziś wieczorem, podwoję stawkę!

– Tysiąc florenów zupełnie wystarczy. Poza tym inne zamówienia są już tak opóźnione, że jeden dzień więcej nie zrobi różnicy... Proszę przyjść około osiemnastej.

– Wolelibyśmy poczekać u pana, jeśli pan pozwoli...

– No cóż, jeżeli nie będziecie mi przeszkadzali... W sumie... trochę towarzystwa też mi nie zaszkodzi.

Stary rzemieślnik natychmiast zabrał się do pracy. Dość długo szperał w szufladach i w końcu wybrał mosiężny pręt, który wydawał się odpowiedni. Obejrzał go uważnie, porównał jego grubość z rowkiem na elementach i oznajmił nam, że wszystko powinno pasować. Położył pręt na stole i zaczął go formować. Krążkiem wyciskowym zrobił rowek po jednej stronie, a kiedy odwrócił pręt, zobaczyliśmy wypukłość, która tam powstała. Wszyscy troje z podziwem patrzyliśmy, jak precyzyjnie i sprawnie wykonuje swoją pracę. Rzemieślnik sprawdził, czy wypukłość pasuje do wgłębienia na krawędzi fragmentów, i jeszcze raz przesunął krążkiem po rowku, pogłębiając go. Potem zdjął wiszący na sznurze wzornik i małym młotkiem doginał do niego metalowy pręt.

– Czy naprawdę jest pan potomkiem Habermela? – zapytała Keira.

Mężczyzna uniósł głowę i się uśmiechnął.

– Czy to coś zmienia? – odpowiedział pytaniem.

– Nie, ale ma pan w pracowni tyle starych narzędzi...

– Jeżeli chcecie, żebym zdążył to zrobić do wieczora, nie rozpraszajcie mnie. O moich przodkach możemy pogadać potem.

A więc czekaliśmy w kąciku, nic już nie mówiąc i tylko obserwując fascynującą zręczność mistrza. Przez dwie godziny siedział pochylony nad warsztatem, a narzędzia stawały się w jego palcach tak precyzyjne, jakby operował nimi chirurg. W pewnej chwili obrócił fotel i spojrzał na nas.

– Wydaje mi się, że mamy to, o co chodziło – powiedział. – Mogą państwo podejść?

Pochyliliśmy się nad warsztatem – obręcz była idealna, wypolerowana metalową szczotką, którą wprawiał w ruch mały silniczek. Potem zegarmistrz przetarł ją miękkim gałgankiem.

– Zobaczmy, czy wszystko pasuje – powiedział, sięgając po pierwszą część.

Ułożył obok drugą, a wreszcie trzecią.

– Wyraźnie brakuje jeszcze jednej, ale napiąłem obręcz tak, żeby utrzymała pozostałe blisko siebie, nie przygniatając ich.

– Tak, jednego elementu brakuje – odpowiedziałem, z trudem ukrywając, że stanowi to duży problem.

Wbrew moim oczekiwaniom nie zaszło żadne zjawisko elektryczne.

– Wielka szkoda – podjął zegarmistrz – naprawdę chciałbym zobaczyć ten aparat w całości; mówił pan, że to astrolabium, tak?

– Owszem – powiedział Ivory, przekonująco kłamiąc.

Stary profesor położył na stole pięćset euro i podziękował.

– Domyślcie się może, kto to wykonał? – zainteresował się zegarmistrz. – Nie przypominam sobie, żebym się kiedyś zetknął z takim przyrządem.

– Jest pan świetnym fachowcem – zmienił temat Ivory – ma pan złote ręce, z pewnością polecę pana znajomym, którzy będą potrzebowali naprawić coś cennego.

– Oby tylko nie byli tak niecierpliwi jak pan. Chętnie witam nowych klientów – odpowiedział zegarmistrz, odprowadzając nas do drzwi pracowni.

– A teraz – rzucił Ivory, gdy znaleźliśmy się na ulicy – powiedzcie, czy macie inny pomysł na wydanie moich pieniędzy,

bo jak dotąd nie zobaczyłem żadnej transcendencji!

– Potrzebny nam laser – oznajmiłem. – I na tyle silny, żeby mógł dostarczyć energii, która zdoła naładować całość i doprowadzić do pojawienia się mapy. Kto wie, czy mając trzeci fragment, nie dowiemy się czegoś ważnego?

– Silny laser... cóż, to drobiazg! Gdzie, do diabła, można coś takiego znaleźć?!

Wim, który dotąd nie odezwał się jeszcze ani słowem, wyszedł o krok do przodu.

– Jeden taki mają na Uniwersytecie Vrije, w LCVU, dla wydziałów fizyki, chemii i astronomii.

– LCVU? – zapytał Ivory.

– Laser Center of Vrije University – wyjaśnił Wim. – Założył je profesor Hogervorst. Studiowałem na tym wydziale i dobrze znam Hogervorsta. Przeszedł już na emeryturę, ale mogę się z nim skontaktować i poprosić, żeby pomógł państwu w uzyskaniu zgody na wykorzystanie lasera.

– W takim razie na co pan czeka? – ponaglił go Ivory.

Wim sięgnął po notes i zaczął go nerwowo przeglądać.

– Nie mam jego numeru, ale zadzwonię na uniwersytet, na pewno wiedzą, gdzie go szukać.

Wim spędził przy telefonie pół godziny, na próżno dzwoniąc i szukając Hogervorsta. W końcu wrócił do nas zmartwiony.

– Udało mi się zdobyć jego domowy numer, chociaż to nie było takie proste. Niestety, jego asystent nie mógł mi pomóc. Hogervorst jest w Argentynie, został zaproszony na kongres i wróci dopiero w przyszłym tygodniu.

Jeżeli coś raz się udało, ma wszelkie szanse udać się znowu – przypomniałem sobie, jakiego wybiegu użył Walter, kiedy chcieliśmy skorzystać z lasera na Krecie. Powołał się na Akademię. Wziąłem od Ivory'ego telefon i natychmiast zadzwoniłem do przyjaciela. Powitał mnie ponurym głosem.

– Co się stało? – zapytałem.

- Nic!
- Przecież słyszę, że coś jest nie tak, Walterze, może mi powiesz, o co chodzi?
- O nic, już ci mówiłem.
- Tak łatwo się nie poddam, słyszę, że jesteś nie w sosie.
- Chyba nie dzwonicz, żeby pogadać o gotowaniu.
- Walterze, nie bądź infantylny, zwykle się tak nie zachowujesz, co ci jest? Piłeś?
- A gdyby nawet? Chyba mam prawo robić, co mi się podoba?
- Dopiero siódma, gdzie jesteś?
- W pracy!
- Zalałeś się w pracy?
- Wcale się nie zalałem, jestem tylko lekko podchmielony! I przestań mnie ciągle pouczać, nie mam ochoty tego słuchać.

– Nie zamierzałem cię pouczać, ale nie rozłączę się, dopóki mi nie powiesz, co wprawilo cię w taki nastrój.

Zapadła cisza i przez chwilę słyszałem tylko oddech Waltera, potem ze słuchawki dobiegło coś, co brzmiało jak zdławiony szloch.

- Walterze, ty płaczesz?
- A co cię to obchodzi? Żałuję, żeśmy się poznali i zaprzyjaźnili!

Nie miałem pojęcia, co doprowadziło Waltera do takiego stanu, ale jego uwaga mocno mnie zraniła. Zapadła cisza, którą znowu przerwał szloch. Tym razem Walter głośno wydmuchał nos.

- Przepraszam, nie chciałem tego powiedzieć.
- Ale powiedziałeś. Co takiego zrobiłem, że masz do mnie tak wielki żal?
- Ty? Ty? Zawsze tylko ty! O nikim innym nie myślisz. Walter to, Walter tamto, jestem na

każde twoje zawołanie. Teraz

też na pewno nie dzwonicz, żeby zapytać, co się stało, tylko dlatego, że czegoś ode mnie chcesz. Nie próbuj mi wmawiać, że się mylę!

- Chcę się dowiedzieć, co słyhać, ale na próżno, i to już od paru minut.

Znowu zapadła cisza, Walter myślał.

- Masz rację – westchnął.
- Powiesz mi wreszcie, co cię tak gnębi?

Ivory zaczynał się niecierpliwie, wymachiwał rękami, ponaglając mnie, więc odszedłem na bok, zostawiając go z Keirą i Wimem.

– Twoja ciotka wyjechała na Hydrę i jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak samotny – wyrzucił z siebie jednym tchem, a potem rozszochał się na dobre.

- Ale weekend był udany? – zapytałem, modląc się w duchu, żeby tak było.

– Cudowny, to była istna idylla, idealna harmonia.

- W takim razie powinieneś być w siódmym niebie, nie rozumiem cię.

– Adrianie, tęsknię za nią, nawet sobie nie wyobrażasz, jak mi jej brakuje. Jeszcze nigdy nie przeżywałem czegoś takiego. Dopóki nie spotkałem Eleny, moje życie uczuciowe było jak pustynia, na której z rzadka pojawiały się oazy, ale zawsze okazywało się, że to tylko złudzenie. Z nią wszystko stało się prawdą, wszystko istniało.

- Obiecuję, że nie powiem Elenie, iż porównałeś ją do palmiarni. To zostanie między nami.

To zapewnienie na pewno wywołało uśmiech na ustach mojego przyjaciela, poczułem, że jego

nastrój się poprawił.

– Kiedy się znowu spotkacie?

– Nie ustaliliśmy tego. Kiedy odprowadziłem Elenę na lotnisko, trudno mi było o tym mówić, bo była potwornie zdenerwowana. Wydaje mi się, że w samochodzie płakała, ale wiesz, jaka jest nieśmiała i skryta, przez cały czas patrzyła w okno. Ale zauważyłem, że się czymś gryzie.

– I nie ustaliliście daty następnego spotkania?

– Nie. Przy pożegnaniu, tuż przed wejściem na pokład samolotu, powiedziała mi, że nasz związek nie ma przyszłości. Ona ma swoje życie na Hydrze przy twojej matce. Właśnie tak powiedziała. Że ma swój sklep, a ja mieszkam i pracuję w Londynie, w tym ponurym biurze w Akademii. Że dzieli nas dwa i pół tysiąca kilometrów.

– No nie, Walterze! I to ty uważałeś mnie za niezdarę?! Nie rozumiesz, co naprawdę oznaczają te słowa?

– Że woli zakończyć naszą znajomość i nigdy więcej się ze mną nie spotkać – zaszlochał Walter.

Przeczekałem ten przyływ rozpacz i pozwoliłem przyjacielowi trochę się uspokoić.

– Wręcz przeciwnie! – krzyknąłem w słuchawkę, żeby do niego dotrzeć.

– Jak to „wręcz przeciwnie”?

– No, po prostu, wręcz przeciwnie. Te słowa miały dać ci do zrozumienia, że chce, żebyś jak najprędzej przyjechał na wyspę, że będzie cię wypatrywała co rano, kiedy do portu zawinie pierwszy prom.

Po raz czwarty – jeśli nie pomyliłem się w rachunkach – zapadła cisza.

– Jesteś pewien? – zapytał Walter.

– Owszem.

– Dlaczego?

– Jeżeli mnie pamięć nie myli, to moja ciotka, nie twoja.

– Bogu dzięki! Przecież nie mógłbym romansować z własną ciotką, nawet tak cudowną. To by był skandal.

– No jasne!

– Adrianie, co ja mam robić?

– Sprzedaj samochód i kup bilet lotniczy na Hydrę.

– Genialny pomysł! – krzyknął Walter głosem, który nareszcie brzmiał znajomo.

– Dziękuję, Walterze.

– Kończymy rozmowę, wracam do domu, idę spać, nastawiam budzik na siódmą rano i jadę sprzedać samochód, a zaraz potem idę do biura podróży.

– Ale przedtem wyświadczy mi drobną przysługę, Walterze.

– Mów śmiało.

– Pamiętasz nasz mały wyjazd na Kretę?

– I ty jeszcze pytasz! To był niesamowity pościg, jeszcze dziś na samo wspomnienie chce mi się śmiać. Gdybyś widział swoją minę, kiedy walnąłem tego strażnika...

– Jestem w Amsterdamie i muszę dostać się do takiego urządzenia jak wtedy na Krecie. Mają coś odpowiedniego na Uniwersytecie Vrije. Myślisz, że mógłbyś mi ułatwić wejście do ich laboratorium?

– Zadzwoń za pół godziny, zobaczę, co da się zrobić.

Podszedłem do Keiry. Ivory podziękował Wimowi za pomoc i pożegnaliśmy się z nim. Potem profesor zaproponował, żebyśmy zjedli razem kolację w hotelu. Keira zapytała, co słycać u Waltera, ale ograniczyłem się do zdawkowego – wszystko w porządku, wręcz doskonale. Podczas kolacji wróciłem na chwilę do pokoju, zostawiając Keirę i Ivory'ego samych. Musiałem zadzwonić do Waltera i zajęło mi to sporo czasu, bo telefon był zajęty. Kiedy w końcu udało mi się połączyć, powiedział:

– Jutro o dziewiątej trzydzieści jesteś umówiony przy De Boelelaan w Amsterdamie. Bądź punktualny. Możesz korzystać z lasera przez godzinę, ani minuty dłużej.

– Jak dokonałeś tego cudu?

– Nie uwierzysz!

– Powiedz!

– Zadzwoń na Uniwersytet Vrije, poprosiłem o połączenie z dyżurującym w rektoracie, podałem się za prezesa

Akademii i powiedziałem, że muszę skontaktować się pilnie z ich dyrektorem generalnym i że bardzo zależy mi na tym, aby niezwłocznie przekazano mu, iż proszę o pilny kontakt. Podałem numer Akademii i mój wewnętrzny, żeby mógł sprawdzić, że to nie żart, i żeby połączono go ze mną. Reszta to już bułka z masłem. Dyrektor z Amsterdamu, niejaki profesor Ubach, zadzwonił do mnie po godzinie. Grzecznie przeprosiłem, że zakłócam mu spokój o tak późnej porze, i wyjaśniłem, że dwoje naszych znakomych uczonych przebywających obecnie w Holandii finalizuje prace godne przedstawienia do Nagrody Nobla i że do weryfikacji pewnych parametrów potrzebny jest im laser.

– I zgodził się go nam udostępnić?

– Tak, ale dodałem, że w zamian za tę drobną przysługę Akademia podwoi liczbę miejsc dla holenderskich studentów. Nie zapominaj, że rozmawiał przecież z prezesem Brytyjskiej Akademii Nauk! Świetnie się bawiłem.

– Jak ja ci się odwdzięczę, Walterze?!

– Podziękuj lepiej butelce burbona, którą dziś opróżniłem, bo na trzeźwo nie byłbym w stanie tak dobrze odegrać roli prezesa! Adrianie, uważaj na siebie i wracaj jak najszybciej, bo ciebie też mi bardzo brakuje.

– Z wzajemnością, Walterze. Tak czy inaczej, jutro wyciągam ostatniego asa z rękawa, jeżeli mój plan się nie powiedzie, będziemy musieli zrezygnować.

– Wprawdzie nie życzę ci porażki, ale nie zamierzam ukrywać, że czasami mam nadzieję, iż to się wreszcie skończy.

Po tej rozmowie wróciłem do restauracji, żeby przekazać Keirze i Ivory'emu dobrą wiadomość.

Londyn

Ashton wstał od stołu, żeby odebrać telefon, o którym powiadomił go kamerdyner. Przeprosił gości i przeszedł do gabinetu.

– Co nowego? – zapytał.

- Spędzają wieczór we troje, są w hotelu. Zostawiłem tam swojego człowieka, siedzi w samochodzie, na wypadek gdyby chcieli jeszcze wyjść tej nocy, w co wątpię. Spotkam się z nimi jutro rano i zadzwonię, kiedy się czegoś dowiem.
 - Tylko proszę nie tracić ich z oczu.
 - Może pan na mnie liczyć.
 - Żałuję, że nie poparłem pańskiej kandydatury, już od pierwszego dnia w nowej roli wykonał pan świetną robotę.
 - Dziękuję, sir Ashtonie.
 - Nie ma za co, Amsterdam, życzę miłego wieczoru.
- Ashton odłożył słuchawkę, zamknął drzwi gabinetu i wrócił do gości.

Uniwersytet Vrije, Amsterdam

Wim czekał na nas przed drzwiami LCVU o dziewiątej dwadzieścia pięć. Choć wszyscy tu mówili biegle po angielsku, miał być naszym tłumaczem, gdyby zaszła taka potrzeba. Dyrektor generalny uniwersytetu powitał nas osobiście. Zaskoczył mnie wiek profesora Ubacha, który miał najwyżej czterdzieści lat. Wzbudził moje zaufanie szczerym uściskiem dłoni i bezpośredniością. Odkąd zaczęła się ta przygoda, rzadko spotykałem życzliwych ludzi, więc postanowiłem podać mu cel eksperymentów, które miałem nadzieję przeprowadzić w tutejszym laboratorium. Powiedziałem mu wprost, co zamierzam zrobić i na jaki liczę efekt.

– Mówi pan poważnie? – zapytał zdumiony. – Gdyby nie osobista rekomendacja prezesa Akademii, to muszę przyznać, że wziąłbym pana za nawiedzonego. Jeśli to, co pan mówi, zostało potwierdzone, rozumiem, dlaczego prezes wspominał o Nagrodzie Nobla! Proszę za mną. Laser znajduje się na tyłach budynku.

Keira patrzyła na mnie zaintrygowana, ale dałem jej znak, żeby się nie odzywała. Szliśmy długim korytarzem, a obecność dyrektora w rejonie sal wykładowych nie wzbudzała ani zdziwienia, ani większego zainteresowania pracowników i studentów, których mijaliśmy.

– To tu – powiedział, wpisując kod na klawiaturze przy drzwiach. – Biorąc pod uwagę to, co mi pan powiedział, przeprowadzimy eksperyment w jak najwęższym gronie. Sam zajmę się obsługą lasera.

Na widok tak nowoczesnego laboratorium uczeni z innych europejskich ośrodków badawczych zzielenieliby z zazdrości. Laser, który dano nam do dyspozycji, był ogromny. Wyobrażałem sobie jego moc i chciałem jak najszybciej zobaczyć go w działaniu.

Kąt padania wiązki zależał od ustawienia aparatu. Keira pomogła mi umieścić na podstawie obręcz trzymającą fragmenty.

- Jaki promień wiązki jest państwu potrzebny? – zapytał Ubach.
- Pi razy dziesięć – odpowiedziałem.

Profesor pochylił się nad pulpitem i wprowadził podane przeze mnie wartości. Ivory stał obok niego. Laser zaczął się wolno obracać.

- Jaka moc?
- Maksymalna!
- Ta próbka może się stopić w ułamku sekundy, nie znam materii zdolnej oprzeć się

najwyższej mocy.

- Proszę mi zaufać!
- Wiesz, co robisz? – zapytała szeptem Keira.
- Mam nadzieję.
- Proszę przejść za osłony – polecił Ubach.

Laser zaczął trzeszczeć, energia elektronów pobudzała atomy gazu zamknięte w szklanej tulei. Zaczął się rezonans fotonów uwięzionych między dwoma lustrami na końcach tulei. Zjawisko nasilało się, wiedziałem, że tylko sekundy dzielą nas od chwili, gdy wiązka osiągnie wystarczającą moc, żeby przejść przez półprzezroczystą powierzchnię zwierciadła. Oznaczało to, że zaraz dowiem się, czy miałem rację, czy też popełniłem błąd.

– Gotowi? – zapytał Ubach, który tak jak my z niecierpliwością czekał na efekt eksperymentu.

– Tak – potwierdził Ivory. – Jesteśmy w pełni gotowi. Nie wyobraża pan sobie, jak długo czekaliśmy na tę chwilę!

– Chwileczkę! – krzyknąłem. – Czy ma pan aparat fotograficzny?

– Mam znacznie więcej – odparł Ubach. – Sześć kamer rejestruje wszystko, co dzieje się przed laserem, gdy ten pracuje. Możemy zaczynać?

Ubach przesunął dźwignię i laser wypuścił wiązkę o tak wielkiej mocy, że niczym bicz uderzyła we wszystkie trzy części. Obręcz zaczęła się topić, fragmenty stały się niebieskie, ale ten kolor nigdy dotąd nie był aż tak intensywny. Ich powierzchnia migotała, mieniła się, luminescencja przybierała na sile z sekundy na sekundę, aż nagle miliardy punktów pojawiły się na ścianie na wprost lasera. Wszyscy rozpoznaliśmy bezkresne niebo i ten widok nas oczarował.

W odróżnieniu od pierwszej projekcji, której ja i Keira byliśmy świadkami, ten wszechświat wirował, obracał się spiralnym ruchem, zwijając się wolno. Leżące na podstawce fragmenty obracały się z ogromną prędkością wewnątrz pierścienia.

- To niesamowite! – szepnął Ubach.
- I niepojęte – dodał Ivory, w którego oczach wezbrały łzy.
- Co to jest? – zapytał dyrektor generalny uczelni.
- Tak wyglądały pierwsze chwile wszechświata – odpowiedziałem.



Ale to nie był jeszcze koniec objawienia. Blask fragmentów przybierał na sile, rosła szybkość, z jaką wirowały. Sklepienie niebieskie wciąż zwijało się w sobie i zatrzymało tylko na krótką chwilę. Miałem nadzieję, że dokończy ten bieg, ukazując nam widok pierwszej rozbłyskującej gwiazdy, czasu zero, który tak gorąco pragnąłem odkryć, ale zobaczyłem coś zupełnie innego. Rzutowany obraz rósł z sekundy na sekundę. Niektóre gwiazdy znikaly, jakby zepchnięte na boczne ściany, a my mieliśmy wrażenie, że się przemieszczamy. Ten efekt wizualny był niesamowity – jakby dane nam było odbyć podróż przez galaktyki. Zbliżaliśmy się do jednej z nich. Rozpoznałem ją, ledwie spojrzawszy.

– Znaleźliśmy się na naszej Drodze Mlecznej – powiedziałem do moich kompanów. – Ale podróż wciąż trwa.

- Dokąd zmierzamy? – zapytała zaskoczona Keira.
- Jeszcze nie wiem.

Trzy części gwiazdnej mapy z coraz większą prędkością obracały się na podstawie i z ostrym świstem cięły powietrze. Gwiazda, w której stronę przesuwała się projekcja, wciąż rosła i rosła. W centrum pojawiło się nasze Słońce, potem zobaczyliśmy Merkurego.

Szybkość, z jaką dokonywały się te wszystkie zmiany, robiła ogromne wrażenie, a fragmenty, mimo że trzymająca je obręcz dawno się stopiła, wydawały się nierozłączną całością. Znowu zmieniły kolor – teraz z niebieskiego na indygo. Zwróciłem oczy na ścianę. Podążaliśmy niewątpliwie w stronę Ziemi, teraz wyraźnie widać już było oceany i trzy kontynenty. Projekcja skoncentrowała się na rosnącej w oczach Afryce. W zawrotnym tempie zbliżaliśmy się ku wschodniej części kontynentu. Przejmujący świst obracających się elementów był tak dotkliwy, że Ivory zatkał uszy. Ubach trzymał dłonie na konsoli, gotów w każdej chwili przerwać pracę lasera. Kenia, Uganda, Sudan, Erytrea i Somalia zniknęły z pola widzenia, zmierzaliśmy w kierunku Etiopii. Elementy mapy obracały się nieco wolniej, obraz był coraz wyraźniejszy.

– Nie mogę pozwolić, żeby laser pracował dłużej z taką mocą, muszę go wyłączyć! – jęknął Ubach.

– Nie teraz! – krzyknęła Keira. – Patrzcie!

Małe czerwone punkty pojawiły się pośrodku obrazu. Im bardziej się do niego zbliżaliśmy, tym intensywniejsza stawała się jego barwa.

– Czy wszystko, co widzimy, jest rejestrowane? – zapytałem.

– Wszystko – zapewnił Ubach. – Mogę już wyłączyć sprzęt?

– Jeszcze chwilę – poprosiła Keira.

Świst ustał, fragmenty mapy znieruchomiały, czerwony punkt na ścianie się nie poruszał. Obraz był ustabilizowany. Ubach, już nie pytając, wyłączył laser, wiązka zniknęła. Obraz na murze przetrwał jeszcze kilka sekund, potem się rozplynął.

Wszyscy byliśmy wstrząśnięci, ale chyba najbardziej Ubach. Ivory już się nie odzywał. Patrząc na niego, miałem wrażenie, że gwałtownie się postarzał, choć twarz, do której przywykłem, nie wyglądała młodo. Teraz jednak jego rysy wyraźnie się zmieniły.

– Od trzydziestu lat marzyłem o tej chwili – powiedział, patrząc na mnie. – Czy pan to rozumie? Gdyby pan wiedział, ile poświęciłem dla tych kamieni... Nawet jedynego przyjaciela. To dziwne, powinienem doznać ulgi, zrzucić z siebie ogromny ciężar, ale tak nie jest. Wiele bym dał, żeby mieć kilka lat mniej, jeszcze kilka lat życia przed sobą, aby doczekać końca tej przygody, dowiedzieć się, czym jest ten czerwony punkt, który zobaczyliśmy, i co ma nam przekazać. Czy pan rozumie, że po raz pierwszy w życiu boję się śmierci?

Odszedł na bok, żeby usiąść, i ciężko westchnął. Nie oczekiwał mojej odpowiedzi. Spojrzałem na Keirę, która wciąż wpatrywała się w białą ścianę.

– Co robisz? – zapytałem.

– Próbuję zapamiętać – odparła. – Chcę utrwalić te chwile, które przeżyliśmy. Przecież pokazała się nam Etiopia. Nie widziałam zarysów regionu, który dobrze znam, ale to nie było złudzenie, jestem pewna, że widziałam Etiopię. Widziałeś to samo co ja?

– Tak, ostatni obraz ukazywał wybrzeża Afryki. Udało ci się rozpoznać miejsce, które wskazywał ten punkt?

– Nie mam pewności, coś mi chodzi po głowie, ale nie wiem, czy to moje pragnienie, czy rzeczywistość.

– Możemy się o tym bardzo szybko przekonać – powiedziałem, odwracając się do Ubacha. –

Gdzie jest Wim? – zapytałem Keirę.

– Chyba nie wytrzymał napięcia, źle się poczuł i wyszedł zaczerpnąć powietrza.

– Może nam pan wyświetlić ostatnie obrazy zarejestrowane przez kamery? – zapytałem Ubacha.

– Tak, oczywiście – powiedział, wstając. – Muszę tylko włączyć projektor, a ta cholerna maszyna działa, kiedy chce.

Londyn

– Co nowego?

– To, co zobaczyłem, jest po prostu niewiarygodne – oznajmił Wim.

Amsterdam przedstawił sir Ashtonowi wyczerpującą relację z wydarzeń, których był świadkiem w pracowni laserowej Uniwersytetu Vrije. Drobiazgowo opisał mu obrazy ukazujące się na ścianie.

– Wysłałam panu ludzi – rzekł Ashton. – Najwyższy czas położyć temu kres, wkrótce może być za późno.

– Nie, bardzo mi przykro, ale dopóki przebywają na terytorium Holandii, ponoszę za nich pełną odpowiedzialność. I tylko ja w stosownym momencie zainterweniuję.

– Ma pan zbyt małe doświadczenie na swoim stanowisku, żeby zwracać się do mnie tym tonem, Amsterdam!

– Sir Ashtonie, przykro mi, ale zamierzam pełnić swoje funkcje samodzielnie, bez żadnych ograniczeń i ingerencji ze strony zaprzyjaźnionego państwa czy też jednego z jego przedstawicieli. Zna pan zasady: zjednoczeni, ale niezależni! U siebie każdy prowadzi sprawy na własny sposób.

– Uprzedzam, że kiedy tylko wyjadą, użyję wszelkich środków, jakimi dysponuję, żeby ich powstrzymać.

– I przypuszczam, że nie zamierza pan informować o tym rady. Jestem pana dłużnikiem, więc na pana nie doniosę, ale też nie będę pana krył. Jak był pan łaskaw zauważyć, mam zbyt małe doświadczenie, żeby na samym początku narażać się na kompromitację.

– Nie wymagam od pana aż takich poświęceń. Tylko proszę się nie bawić w ucznia czarownika z tymi naukowcami. Amsterdam, nie zdaje pan sobie sprawy z konsekwencji, jakie może pociągnąć za sobą ich sukces, a już teraz zaszli za daleko. Co pan zamierza z nimi zrobić, skoro trzyma ich pan w garści?

– Doprowadzę do konfiskaty materiałów i deportacji do krajów, których są obywatelami.

– A co z Ivorym? Bo sądzę, że jest z nimi?

– Owszem, mówiłem panu o tym, ale cóż mam zrobić, przecież niczego nie możemy mu zarzucić, wolno mu podróżować po całym świecie.

– Mam do pana drobną prośbę, proszę uznać to za swoiste podziękowanie za stanowisko, które, jak mi się wydaje, tak pana cieszy.

Uniwersytet Vrije

Ubach włączył zawieszony pod sufitem projektor. Wysokiej jakości obrazy zarejestrowane przez kilka kamer zostały zapisane na uniwersyteckim serwerze i musieliśmy czekać kilka godzin, zanim poddano je odpowiedniej obróbce. Oboje z Keirą poprosiliśmy, aby skupić się przede wszystkim na ostatnich sekwencjach projekcji. Ubach pochylił się nad klawiaturą, żeby przesłać instrukcje do komputera centralnego. Programy graficzne wykonywały pracę, a my czekaliśmy.

– Proszę o cierpliwość – powiedział Ubach – to nie potrwa długo. Dziś rano system jest dość obciążony, dlatego działa nieco wolniej, ale, niestety, nie jesteśmy tu sami.

Wreszcie oko projektora ożyło i rzuciło na ścianę ostatnie siedem sekund nagrania z naszego eksperymentu.

– Proszę zatrzymać – zwróciła się Keira do Ubacha.

Obraz na ścianie znieruchomiał, spodziewałem się, że będzie mniej wyraźny, jak zwykle, kiedy zatrzymujemy emisję, ale tak się nie stało. Teraz już rozumiałem, dlaczego musieliśmy tak długo czekać nawet na siedem sekund zapisu. Ilość danych, jakie poddawano obróbce dla każdej sekwencji, musiała być olbrzymia. Keira, lekceważąc te ważne dla mnie szczegóły techniczne, podeszła do ściany i wpatrzyła się w obraz.

– Rozpoznaję te zakola – powiedziała. – Ta wijąca się wstęga i ten kształt przypominający głowę, prosta linia i cztery pierścienie to niemal na pewno rzeka Omo, ale coś mi tu nie pasuje...

– Zawiesiła głos. – O, w tym miejscu – dodała, wskazując czerwony punkt.

– A o co chodzi? – zapytał Ubach.

– Jeżeli to ten odcinek Omo, o którym myślę, po prawej stronie powinno być jezioro.

– Rozpoznajesz to miejsce? – zapytałem, patrząc na Keirę.

– Oczywiście, że tak, przecież spędziłam tam trzy lata! Miejsce, w którym widnieje punkt, to mała polana w lesie nad brzegiem rzeki Omo. Prawdę mówiąc, zamierzaliśmy prowadzić tam poszukiwania, ale stanowisko było zbyt wysunięte na północ, za bardzo oddalone od trójkąta Ilemi. Wiem, że to, co mówię, nie ma sensu, bo gdyby to było to miejsce, zobaczylibyśmy jezioro Dipa.

– Keiro, fragmenty, które znaleźliśmy, tworzą nie tylko mapę. Całość tworzy rodzaj dysku, na którym prawdopodobnie zapisano miliardy danych, a ta część, której nam brakuje, i na tym polega pech, zawiera sekwencje z mojego punktu widzenia najważniejsze, ale na razie musimy na tym poprzestać. Ten dysk pokazał nam zapis ewolucji kosmosu od początku po epokę, w której powstał. Być może w tych odległych czasach jezioro Dipa jeszcze nie istniało.

Ivory podszedł do nas i także uważnie przyjrzał się obrazowi na ścianie.

– Adrian ma rację, musimy ustalić ściśle dane tego miejsca. Czy ma pan w systemie szczegółową mapę Etiopii? – zapytał Ubacha.

– Przypuszczam, że mogę ściągnąć odpowiednią z Internetu.

– W takim razie proszę to zrobić i spróbować nałożyć na ten obraz.

Ubach wrócił do klawiatury. Znalazł mapę Etiopii i spełnił prośbę Ivory'ego.

– Poza lekkim odchyleniem koryta rzeki idealnie do siebie przystają! – powiedział. – Proszę podać współrzędne tego miejsca.

– Pięć stopni dziesięć minut dwie i sześćdziesiąt siedem setnych sekundy szerokości geograficznej północnej i trzydzieści sześć stopni dziesięć minut jedna i siedemdziesiąt cztery setne sekundy długości geograficznej wschodniej.

Ivory spojrział na nas.

– Wiecie, co teraz robić... – powiedział.

– Muszę zwolnić pracownię – przerwał nam Ubach. – Już i tak przesunąłem zajęcia dwóch badaczy, żebyście mogli spokojnie skończyć. Przyznam, że tego nie żałuję, ale nie mogę dłużej blokować tej sali.

Gdy Ubach wyłączył projektor, do sali wszedł Wim.

– Czy coś przeoczyłem?

– Nie. – Ivory pokręcił głową. – Właśnie zamierzaliśmy wyjść.

Ubach zaprosił nas do gabinetu, ale kiedy tam szliśmy, Ivory źle się poczuł. Zrobiło mu się słabo, miał zawroty głowy. Ubach chciał wezwać lekarza, lecz Ivory się na to nie zgodził, jego zdaniem nie było powodu do niepokoju, zapewnił, że jest po prostu zmęczony. Zapytał, czy bylibyśmy tak mili, żeby odwieźć go do hotelu. Chciał trochę odpocząć, był pewien, że to mu pomoże. Wim zaproponował, że zawiezie nas swoim autem.

Żegnając się z nim, Ivory podziękował mu i zaprosił go do nas na popołudniową herbatę. Wim obiecał wpaść i zostawił nas samych. Odprowadziliśmy profesora do pokoju, Keira zdjęła z łóżka narzutę, a ja pomogłem mu się położyć. Ivory splótł ręce na piersi i ciężko westchnął.

– Dziękuję – powiedział.

– Proszę pozwolić mi wezwać lekarza, przecież to dziecinada.

– Nie, ale moglibyście wyświadczyć mi drobną przysługę? – zapytał Ivory.

– Tak, oczywiście – powiedziała Keira.

– Wyjrzyjcie przez okno, ale dyskretnie, odsuńcie lekko firankę i powiedzcie mi, czy ten idiota Wim naprawdę pojechał.

Keira spojrzała na mnie, pytająco unosząc brwi, i spełniła prośbę.

– Tak... myślę, że tak, bo przed hotelem nikogo nie ma.

– A czarny mercedes z dwoma goryłami, ten, który parkuje na wprost hotelu, ciągle tam jest?

– Owszem, widzę jakiś czarny samochód, ale nie wiem, czy ktoś w nim siedzi.

– Może mi pani uwierzyć na słowo! – odparł Ivory, podrywając się z łóżka.

– Powinien pan leżeć...

– Ani przez moment nie wierzyłem w nagłe pogorszenie samopoczucia Wima podczas eksperymentu i nie sądzę, żeby on uwierzył w moje zaśląbnięcie, dlatego zostało nam niewiele czasu.

– Myślałem, że Wim jest po naszej stronie? – zdziwiłem się.

– Był, dopóki nie otrzymał nominacji. Dziś rano nie rozmawialiśmy z byłym sekretarzem Vackeersa, ale z jego następcą. Wim jest ich nowym Amsterdamem. Nie mam czasu wam tego tłumaczyć. Biegnijcie się spakować, a ja tymczasem zamówię wam bilety. Kiedy będziecie już gotowi, przyjdźcie, i pospieszcie się, musicie opuścić miasto, zanim pułapka się zamknie. Mam nadzieję, że jeszcze nie jest za późno.

– Dokąd jedziemy? – zapytałem.

– A dokąd by pan chciał? Oczywiście do Etiopii!

– Nie ma mowy! To zbyt niebezpieczne. Jeżeli ci ludzie, o których wciąż nie chce nam pan nic powiedzieć, ścigają nas, nie pozwolę narażać Keiry na niebezpieczeństwo i proszę nawet nie próbować mnie przekonywać!

– O której odlatuje samolot? – zapytała Keira, nie zwracając na mnie uwagi.

- Nie pojedziemy tam! – zaprotestowałem.
- Obietnic trzeba dotrzymywać. Jeżeli miałeś nadzieję, że o niej zapomniałam, byłeś w błędzie. Pospieszmy się!



Pół godziny później Ivory wyprowadził nas przez hotelową kuchnię.

- Nie kręćcie się po lotnisku, idźcie do odprawy paszportowej, a potem oddzielnie możecie pochodzić po sklepach wolnocłowych. Nie sądzę, żeby Wim okazał się tak bystry i rozszyfrował naszą grę, ale pewności mieć nie mogę. I obiecajcie mi, że się odezwiecie, kiedy tylko będzie to możliwe.

Ivory wręczył mi kopertę i kazał przyrzec, że nie zajrzę do niej przed odlotem. Kiedy taksówka ruszała, pomachał nam ręką.



Na lotnisku Schiphol wszystko przebiegło normalnie. Nie usłuchaliśmy rad Ivory'ego i usiedliśmy w kawiarni, żeby mieć tę chwilę dla siebie. Skorzystałem z okazji i opowiedziałem Keirze o rozmowie z profesorem Ubachem. Tuż przed wyjściem poprosiłem go o jeszcze jedną przysługę: w zamian za obietnicę, że będzie informowany o postępach naszych prac, zgodził się otoczyć wszystko tajemnicą do czasu publikacji wyników badań. Miał zachować zapis wykonany w pracowni i wysłać Walterowi jego kopię na dysku. Przed odlotem zadzwoniłem do Waltera, aby poprosić go o trzymanie pod kluczem paczki, którą otrzyma z Amsterdamu, i nieotwieranie jej pod żadnym pozorem do naszego powrotu z Etiopii. Dodałem, że gdyby coś nam się stało, pozostawiam mu decyzję, co z nią zrobić. Walter nie chciał słuchać tych ostatnich instrukcji, a zanim odłożył słuchawkę, powiedział, że nie dopuszcza do siebie myśli, iż mogłoby nas spotkać coś złego.

W samolocie Keirę ogarnęły wyrzuty sumienia – zapomniała skontaktować się z siostrą i uprzedzić ją o kolejnej podróży. Obiecałem, że zadzwonimy do Jeanne zaraz po lądowaniu.

Addis Abeba

Lotnisko w Addis Abebie przypominało ul albo mrowisko. Kiedy uporaliśmy się z formalnościami paszportowymi i celnymi, zacząłem szukać stanowiska małej prywatnej kompanii, z której usług już korzystałem. Jeden z pilotów zgodził się zabrać nas do Jinka za sześćset dolarów. Keira patrzyła na mnie z oburzeniem.

- To szaleństwo, jedźmy tam samochodem, przecież jesteś prawie bez grosza, Adrianie.
- Wydając ostatnie tchnienie w pokoju hotelowym w Paryżu, Oskar Wilde oświadczył: „Umieram ponad stan”. Skoro sami pchamy się w niesamowite tarapaty, pozwól, żebym i ja zachował godność!

Wyjąłem z kieszeni kopertę, w której znalazł się plik zielonych banknotów.

- Skąd masz te pieniądze? – zapytała Keira.
- To prezent od Ivory'ego, dał mi kopertę przy pożegnaniu.
- I ty ją wziąłeś?
- Kazał mi obiecać, że nie otworzę jej przed startem samolotu. Przecież nie mogłem

wyrzucić tych pieniędzy przez okno na dziesięciu tysiącach metrów nad ziemią...



Wylecieliśmy z Addis Abeby piperem. Maszyna nie wzniosła się zbyt wysoko. Pilot pokazał nam podążające na północ stado słoń, potem żyrafy na rozległej sawannie. Po godzinie samolot podszedł do lądowania. Krótki pas na lotnisku w Jinka był tuż przed nami. Pilot wysunął podwozie, dotknęliśmy ziemi, samolot zatrzymał się i zawrócił na końcu pasa. Przez okno zobaczyłem gromadę biegnących ku nam dzieci. Siedzący na starej beczce chłopak, starszy od reszty, patrzył na samolot zbliżający się do krytej słomą chaty, która pełniła funkcję terminalu.

– Wydaje mi się, że znam tego dzieciaka – powiedziałem do Keiry, wskazując go palcem. – To on pomógł mi cię odszukać, kiedy tu po ciebie przyjechałem.

Keira przytknęła twarz do okna. Zobaczyłem, jak łzy wzbierają w jej oczach.

– Ja też go znam, i to bardzo dobrze – szepnęła.

Pilot zatrzymał maszynę. Keira wysiadła pierwsza. Przecisnęła się przez gromadę krzyczących i podskakujących wokół dzieciaków, które nie dawały jej przejść. Chłopak zeskoczył z beczki i odszedł.

– Harry! – krzyknęła na cały głos. – Harry, to ja.

Harry odwrócił się i stanął jak wryty. Keira podbiegła do niego, pogłaskała po wzburzonych włosach i mocno przytuliła.

– Widzisz – powiedziała, szlochając. – Dotrzytałam słowa.

Harry uniósł głowę.

– Długo kazałaś na siebie czekać!

– Robiłam, co mogłam – odparła. – Ale teraz już jestem.

– Twoi przyjaciele wszystko zrekonstruowali, teraz jest lepiej niż przed huraganem. Tym razem zostaniesz?

– Nie wiem, Harry, jeszcze nie wiem.

– A kiedy wyjeżdżasz?

– Dopiero przyjechałam, a ty pytasz, kiedy wyjeżdżam?

Chłopak wyrwał się z objęć Keiry i odszedł. Po chwili wahania pobiegłem za nim i zatrzymałem go.

– Posłuchaj mnie, mały. Nie było dnia, żeby o tobie nie mówiła, nie zasnęła, nie myśląc o tobie. Nie sądzisz, że zasłużyła sobie na miłsze powitanie?

– Skoro jest teraz z tobą, po co tu wróciła? Przyjechała do mnie czy chce znowu grzebać w ziemi? Wracajcie do domu, ja mam robotę.

– Harry, możesz w to nie wierzyć, ale Keira cię kocha, to szczerą prawdą. Kocha cię i nawet sobie nie wyobrażasz, jak za tobą tęskniła. Nie odwracaj się od niej. Proszę jak facet faceta, nie odtrącaj jej.

– Zostaw go w spokoju – szepnęła Keira, podchodząc do nas. – Rób, co chcesz, Harry, rozumiem cię. To, czy masz do mnie żal, czy nie, nie zmieni tego, że cię Kocham.

Keira zabrała torbę i poszła w stronę chaty, nawet się nie odwracając. Harry zawahał się, ale po chwili ją dogonił i zagroził jej drogę.

– Dokąd idziesz?

– Nie wiem, Harry, muszę jakoś skontaktować się z Erikiem i resztą, potrzebuję ich pomocy.

Chłopak wsadził ręce do kieszeni i kopnął kamień.

- Tak, jasne... – mruknął.
- Co jest jasne?
- Nie potrafisz się beze mnie obejść.
- Tak, mały, i wiem o tym od dnia, w którym cię poznałam.
- Chcesz, żebym ci pomógł tam dotrzeć, tak?

Keira uklękła i spojrzała mu prosto w oczy.

- Chciałabym, żebyśmy wcześniej zawarli pokój – powiedziała, wyciągając ręce.

Harry po krótkim namyśle podał jej dłoń, ale ona schowała swoją za plecami.

- Nie tak. Chcę, żebyś mnie ucałował.
- Na to jestem już teraz za dorosły – powiedział z wielką powagą.
- Owszem, ale ja nie. Przytulisz się do mnie czy nie?
- Muszę się zastanowić. A tymczasem chodź ze mną, musicie gdzieś przenocować. Jutro ci

powiem, co zdecydowałem.

- Niech będzie. – Skinęła głową.

Harry spojrzał na mnie zadziornie i ruszył przodem. Zabraliśmy torby i poszliśmy za nim drogą wiodącą do wioski.

Mężczyzna w postrzępionej koszulce, który stał przed chatą, poznał mnie i zaczął machać rękami.

- Nie wiedziałam, że jesteś taki popularny – zadrwiła ze mnie Keira.
- Może to dlatego, że kiedy przyjechałem tu po raz pierwszy, przedstawiłem się jako twój przyjaciel...

Mężczyzna, który nas przyjął, zaoferował nam dwie maty do spania i jedzenie. Przy posiłku Harry siedział naprzeciwko Keiry i nie spuszczał jej z oczu. Potem, dość nieoczekiwanie, wstał i poszedł w stronę drzwi.

- Przyjdę jutro – powiedział, wychodząc z chaty.

Keira wybiegła za nim, ja ruszyłem jej śladem, ale chłopak był już dość daleko.

- Daj mu trochę czasu – poradziłem.
- Tego akurat mamy niewiele – odpowiedziała, z ciężkim sercem wracając do chaty.



Obudził mnie warkot silnika, coraz głośniejszy i bliższy. Wyszedłem na próg i zobaczyłem, jak w tumanach kurzu nadjeżdża samochód terenowy. Zahamował tuż obok mnie i wtedy poznałem dwóch Włochów, którzy pomagali mi, kiedy byłem tu po raz pierwszy.

– Co za niespodzianka! Co pana sprowadza? – zapytał masywniejszy z nich dwóch, wysiadając z auta.

Fałsz pobrzmiwiający w tym przyjacielskim powitaniu wzbudził moją nieufność.

– To samo co pana: ukochanie kraju. Każdemu, kto raz go odwiedzi, trudno oprzeć się chęci powrotu.

Keira stanęła obok mnie w progu domu i zarzuciła mi rękę na szyję.

– Widzę, że odnalazł pan przyjaciółkę – powiedział drugi Włoch, podchodząc do nas. – Wcale się nie dziwię, że gotów był pan na wszystko, żeby odszukać tak piękną dziewczynę.

- Co to za ludzie? – zapytała szeptem Keira. – Znasz ich?

- Za dużo powiedziane. Spotkałem ich, szukając waszego obozu, i trochę mi pomogli.
- Czy w tej okolicy jest ktoś, kto ci wtedy nie pomógł?
- Nie bądź wobec nich agresywna, o nic więcej nie proszę.

Włosi podeszli bliżej.

– Nie zaprosicie nas do środka? – zapytał ten pierwszy. – Jeszcze wcześniej, ale robi się potwornie gorąco.

– Nie jesteśmy u siebie, a panowie nawet się nie przedstawili – powiedziała Keira.

– To jest Giovanni, a ja mam na imię Marco. Czy teraz możemy wejść?

– Już powiedziałam, że nie jesteśmy u siebie – zaproponowała nieco łagodniej.

– To przecież drobiazg – powiedział ten o imieniu Giovanni i się uśmiechnął. – A co ze sławną afrykańską gościnnością? Moglibyście zaproponować nam odrobinę cienia i coś do picia. Konam z pragnienia.

Mężczyzna, który nas przyjął na noc, wyszedł na próg i zaprosił wszystkich do środka. Postawił na skrzyni cztery szklanki

i nalał nam kawy, a potem nas pożegnał – musiał iść w pole.

Włoch noszący imię Marco gapił się na Keirę w sposób, który bardzo mi się nie podobał.

– Jeśli się nie mylę, jest pani archeologiem? – zapytał.

– Jest pan doskonale poinformowany – odpowiedziała. – A skoro już mowa o mojej pracy, to musimy iść, czeka nas sporo zajęć.

– Cóż, nie jest pani zbyt gościnna, ale mogłaby pani być dla nas odrobinę miłsza, bo w końcu pomogliśmy pani przyjacielowi, kiedy pani szukał parę miesięcy temu. Nie wspominał o tym?

– Owszem, ale wszyscy w tej okolicy mu w tym pomagali, chociaż wcale się nie zgubiłam. A teraz proszę mi wybaczyć, że powiem to bez ogródek: naprawdę musimy już iść – oznajmiła tonem nieznoszącym sprzeciwu i wstała.

Giovanni poderwał się z miejsca i zagroził jej drogę, ja natychmiast stanąłem między nimi.

– Czego naprawdę od nas chcecie?

– Niczego, chcemy tylko pogadać, po prostu rzadko mamy okazję widywać Europejczyków.

– Skoro już zamieniliśmy parę słów, zejdźcie mi z drogi – powiedziała Keira.

– Siadajcie! – rozkazał Marco.

– Nie przywykłam do wypełniania niczyich rozkazów – rzuciła Keira.

– Obawiam się, że będzie pani musiała zmienić przyzwyczajenia. A teraz niech pani siada i milczy.

Tym razem chamstwo faceta przekroczyło już wszelkie granice i zamierzałem się z nim rozprawić, ale był szybszy – wyciągnął z kieszeni pistolet i wycelował w Keirę.

– Nie baw się w bohatera – powiedział, odbezpieczając broń. – Zachowujcie się grzecznie, a wszystko będzie dobrze.

Za trzy godziny przyleci samolot. Wszyscy czworo wyjdziemy z tej chałupy i wsiądziemy na pokład. Nie będziecie robili żadnych głupstw. Zajmiecie miejsca, pożegnajcie się z wami, a Giovanni będzie was eskortował. Sami widzicie, że to zupełnie proste.

– A dokąd poleci ten samolot? – zapytałem.

– Przekonacie się, kiedy przyjdzie pora. Ale teraz mamy jeszcze dużo czasu, więc żeby go jakoś wypełnić, opowiedzcie, po co przyjechaliście.

– Żeby spotkać dwóch dupków, którzy grożą nam pistoletem! – rzuciła Keira.

– Dziewczyna ma charakterek! – zaśmiał się Giovanni.

– Ta „dziewczyna” ma na imię Keira – obruszyłem się. – Może pan sobie darować to prostactwo.

Przez dwie godziny siedzieliśmy, patrząc na siebie. Giovanni czyścił sobie zęby zapałką, Marco z niezmaconym spokojem obserwował Keirę. W dali rozległ się warkot silników. Marco wstał i wyszedł przed chatę.

– Jadą dwie terenówki – powiedział. – Macie grzecznie siedzieć w chacie, dopóki się nie oddalą, i niech mi żadne nie próbuje ujadać. Jasne?

Pokusa, żeby coś zrobić, była bardzo silna, ale Marco trzymał Keirę na muszce. Samochody były coraz bliżej, usłyszeliśmy, jak hamują o parę metrów od chaty. Silniki umilkły, potem trzasnęły drzwi... Wysiadło kilka osób. Giovanni podszedł do okna.

– Cholera, idzie tu z dziesięciu facetów.

Marco wstał i zbliżył się do Giovanniego, wciąż celując w Keirę. Drzwi chaty otworzyły się z impetem.

– Eric? – szepnęła Keira. – Nawet nie przypuszczałam, że twój widok może mnie tak ucieszyć!

– Masz kłopoty? – zapytał archeolog.

Eric, którego zapamiętałem, nie był aż tak barczysty, ale w tej chwili z zachwytem stwierdziłem, że wspomnienia czasem wypaczają rzeczywistość. Wykorzystałem zaskoczenie Marca, który się odwrócił, i kilka razy kopnąłem go w krocze. Z natury nie jestem gwałtowny, ale gdy ktoś wyprowadzi mnie z równowagi, przestaję się kontrolować. Tracąc oddech, Włoch wypuścił pistolet, a Keira odrzuciła go na drugi koniec chaty. Giovanni nie zdążył zareagować, bo walnąłem go pięścią w twarz, co okazało się równie bolesne dla mojej ręki, jak dla jego szczęki. Marco już się podnosił, ale Eric chwycił go za gardło i pchnął pod ścianę.

– Co to za zabawy? I co tu robi pistolet?! – wrzasnął.

Marco nie bardzo mógł odpowiedzieć na te pytania, dopóki Eric trzymał go za gardło; widząc, jak blednie, poradziłem naszemu wybawicielowi, żeby przestał nim tak mocno potrząsać i żeby dał mu choć trochę odetchnąć, choćby dla nabrania kolorów.

– Dostyc, zaraz wam wszystko wyjaśnię – jęknął Giovanni. – Pracujemy dla włoskiego rządu, powierzono nam zadanie odwiezienia tych dwojga intruzów do granicy. Nie zrobimy im nic złego.

– Cóż my mamy wspólnego z włoskim rządem?! – zdziwiła się Keira.

– Nie mam pojęcia i wcale mnie to nie obchodzi, wczoraj wieczorem otrzymaliśmy instrukcje i nie wiem nic ponad to, co wam powiedziałem.

– Narobiliście jakichś głupstw we Włoszech? – zapytał Eric, zwracając się do nas.

– Przecież nawet tam nie byliśmy, ci ludzie wciskają nam jakieś bzdury! A poza tym skąd mamy wiedzieć, czy naprawdę są tymi, za których się podają?

– Czy zrobiliśmy wam cokolwiek złego? Myślicie, że siedzielibyśmy tu i czekali, gdyby naszym zamiarem było was zabić? – wyrzucił z siebie Marco między dwoma napadami kaszlu.

– Tak jak zrobiliście z wodzem wioski nad jeziorem Turkana? – zapytałem.

Eric kolejno zwracał oczy na każde z nas – Giovanniego, Marca, Keirę i na mnie. Potem spojrział na jednego z kolegów z zespołu i polecił mu przynieść liny z samochodu. Chłopak

wyszedł i po chwili pojawił się z linami.

– Zwiążcie tych dwóch i wynosimy się stąd – polecił Eric.

– Posłuchaj, Ericu – próbował go powstrzymać jeden z kolegów – jesteśmy archeologami, nie policjantami. Jeżeli ci ludzie naprawdę są przedstawicielami włoskich władz, to po co mamy pakować się w tarapaty?

– Nie martwcie się – powiedziałem – biorę to na siebie.

Marco próbował jeszcze uniknąć losu, jaki go czekał, ale Keira podniosła z ziemi pistolet i wepchnęła mu go w brzuch.

– Zupełnie nie potrafię się obchodzić z takimi rzeczami – powiedziała. – Jak pan przed chwilą słyszał z ust mojego kolegi, jesteśmy tylko archeologami, więc posługiwanie się bronią palną nie musi być naszą mocną stroną.

Kiedy Keira trzymała go na muszce, ja i Eric skrzepowaliśmy Giovanniego i Marca. Znaleźli się na podłodze, leżeli plecami do siebie, przywiązani za ręce i nogi. Keira wsunęła broń za pas, przyklękła i pochyliła się nad Markiem.

– Wiem, że to paskudne, może mnie pan uznać za tchórze, nie będę miała o to żalu, ale i tak mam panu coś do powiedzenia przed pożegnaniem...

I wymierzyła mu policzek z taką siłą, że obrócił się na ziemi.

– Teraz możemy już iść.

Kiedy opuszczaliśmy chatę, myślałem o tym biedaku, który przyjął nas pod swój dach. Po powrocie zastanie dwóch rozwścieczonych gości...



Wsiedliśmy do jednego z samochodów. Harry już tam na nas czekał.

– Widzisz, że jestem ci potrzebny – powiedział do Keiry.

– Powinniście mu podziękować, to on przybiegł i powiedział nam, że macie problemy.

– Ale skąd o tym wiedziałeś? – zapytała Keira, patrząc na Harry'ego.

– Poznałem ich samochód, we wsi nikt ich nie lubi. Podeszedłem do okna i zobaczyłem, co się dzieje. No i pobiegłem po twoich przyjaciół.

– Jak ci się udało tak szybko dotrzeć na teren wykopalisk?

– Obóz jest niedaleko stąd, Keiro. Po twoim wyjeździe przenieśliśmy się na inny teren – wyjaśnił Eric. – W dolinie Omo nie patrzono na nas przychylnie po tym, co spotkało starego wodza, wiesz, co mam na myśli. A zresztą tam, gdzie zaczęłaś kopać, niczego nie znaleźliśmy. Brak poczucia bezpieczeństwa i ogarniające wszystkich zniechęcenie spowodowały, że przenieśliśmy się dalej na północ.

– O – zdziwiła się Keira – widzę, że naprawdę przejąłeś kierowanie pracami.

– Długo nie dawałaś znaku życia, nie interesowałaś się tym, co się tu dzieje. Nie próbuj mnie teraz ani pouczać, ani karcić.

– Ericu, proszę cię tylko o jedno: nie traktuj mnie, jakbym była idiotką. Zmieniając teren poszukiwań, zatarłaś ślad mojej pracy i teraz tylko tobie przypisano by zasługi za odkrycia, których moglibyście dokonać.

– Nawet mi to nie przyszło do głowy, za to ty chyba masz poważne problemy z własnym ego, Keiro. A teraz może nam w końcu wyjaśnisz, czego chcieli od was ci Włosi?

Po drodze Keira zrelacjonowała Ericowi nasze przygody od chwili wyjazdu z Etiopii.

Opowiedziała mu o tym, co spotkało nas w Chinach, o tym, co odkryliśmy na wyspie Narcondam,

pominięła pobyt w więzieniu w Gatar, mówiła o poszukiwaniach na Man-Pupu-Nyor i wnioskach, do jakich doszła w sprawie wędrówek podjętych przez Sumerów. Nie rozwodziła się ani nad tragicznym epizodem, który doprowadził do naszego wyjazdu z Rosji, ani nad niebezpieczną podróżą Koleją Transsyberyjską, za to szczegółowo opisała zadziwiający spektakl, jaki widzieliśmy w pracowni laserowej Uniwersytetu Vrije.

Eric zatrzymał samochód i spojrzał na Keirę.

– Co ty pleciesz? Zapis pierwszych chwil wszechświata liczący czterysta milionów lat? Co jeszcze? Jak ktoś tak wykształcony jak ty może opowiadać takie bzdury? Czy ten twój dysk zapisały jakieś tetrapody z dewonu? To groteskowe.

Keira nie podejmowała dyskusji z Erikiem i powstrzymała mnie porozumiewawczym spojrzeniem od włączania się do rozmowy. Dotarliśmy do obozu.

Spodziewałem się, że zespół powita ją radośnie, że współpracowników ucieszy jej powrót. Myliłem się. Chyba wciąż mieli do niej żal o to, co się wydarzyło podczas naszej wyprawy nad jezioro Turkana. Jednak Keira była urodzonym przywódcą. Cierpliwie czekała, aż ten dzień minie. Kiedy archeolodzy zakończyli pracę, wstała i poprosiła swój stary zespół, żeby zebrał się w jednym z namiotów, chciała bowiem oznajmić wszystkim coś ważnego. Eric nawet nie starał się ukryć, że ten jej pomysł go rozwścieczył, więc przypomniałem mu szeptem, że dotacja, dzięki której wszyscy mogli podjąć poszukiwania w dolinie Omo, została przyznana Keirze, a nie jemu. Gdyby Fundacja Walsh dowiedziała się o odsunięciu Keiry od badań, hojny sponsor mógłby ponownie rozważyć, czy ma w dalszym ciągu finansować projekt i wypłacać pieniądze archeologom. Eric zamilkł i pozwolił Keirze odbyć to spotkanie.

Keira czekała, aż słońce zniknie za horyzontem. Kiedy zrobiło się wystarczająco ciemno, wyjęła trzy fragmenty naszego obiektu i zbliżyła je do siebie. Złączone natychmiast rozbłysły błękitem, który tak nas zachwycał. Wrażenie, jakie ten pokaz robił na archeologach, działało więcej niż wszelkie wyjaśnienia, jakich mogłaby im udzielić. Nawet Eric był poruszony. Gdy inni jeszcze wymieniali szeptem różne uwagi, on pierwszy zaczął bić brawo.

– To piękny okaz – powiedział – gratuluję magicznej sztuczki. Ale koleżanka jeszcze nie wszystko wam powiedziała, a mnie próbowała już wmówić, że ta świetlista zabawka ma, bagatela, czterysta milionów lat!

Jedni zaczęli się drwiąco śmiać, inni milczeli. Keira wskoczyła na skrzynkę.

– Czy ktoś z was w przeszłości dostrzegł we mnie choćby ślad irracjonalnych zachowań i skłonności do zmyślania? Kiedy godziliście się przybyć do doliny Omo, opuścić na wiele miesięcy rodziny i przyjaciół, sprawdziliście, za kim podążacie? Czy jest wśród was ktoś, kto wątpił w moją wiarygodność i mimo to wsiadł do samolotu? Uważacie, że wróciłabym, żeby marnować wasz czas i ośmieszyć się przed wami? Kto was wybrał, kto zachęcał do współpracy, jeśli nie ja?

– Ale czego teraz od nas oczekujesz? – zapytał jeden z archeologów Wolfmayer.

– Ten przedmiot o zadziwiających własnościach jest także mapą – podjęła Keira. – Wiem, że trudno w to uwierzyć, gdybyście jednak byli świadkami tego, co widzieliśmy, zrozumielibyście. Przez kilka ostatnich miesięcy musiałam się nauczyć wątpić we wszystko, czego byłam kiedyś pewna. To prawdziwa lekcja pokory! Pięć stopni dziesięć minut dwie i sześćdziesiąt siedem

setnych sekundy szerokości geograficznej północnej i trzydzieści sześć stopni dziesięć minut jedna i siedemdziesiąt cztery setne sekundy długości geograficznej wschodniej, oto punkt, który wskazuje. Proszę, żebyście mi zaufali. To potrwa najwyżej tydzień. Proponuję zapakować do dwóch samochodów nieodzowny sprzęt i jechać ze mną jutro na poszukiwania.

– A co chcesz znaleźć? – zaprotestował Eric.

– W tej chwili jeszcze nie wiem – wyznała Keira.

– Właśnie! Jakby ci było mało, że doprowadziłaś do przepędzenia nas z doliny Omo, teraz, wielka pani archeolog, prosisz, żebyśmy zmarnowali cały tydzień pracy i żebyśmy, choć Bóg mi świadkiem, że nasz czas jest bezcenny, pędzili nie wiadomo dokąd i szukali nie wiadomo czego! I kto tu z kogo drwi?

– Chwileczkę, Ericu – włączył się Wolfmayer. – Co właściwie mamy do stracenia? Od miesiący grzebiemy w tej ziemi, a nie znaleźliśmy jeszcze nic szczególnego. Poza tym Keira ma rację w jednym. To ona nas tu sprowadziła i jestem przekonany, że nie narażałaby się na ośmieszenie, ciągnąc nas w jakieś miejsce bez powodu.

– Niech ci będzie. Ale może mi powiesz, czy znasz powody, dla których to robi? – obruszył się Eric. – Nie potrafi nam nawet powiedzieć, co ma nadzieję znaleźć. Wiecie, ile kosztuje tydzień pracy naszej ekipy?

– Jeżeli masz na myśli pensje – wtrącił się Karvelis, także archeolog – to tydzień nikogo chyba nie zrukuje. Poza tym, jeśli się nie mylę, to ona ponosi odpowiedzialność za wykorzystanie dotacji. Odkąd wyjechała, udajemy, że nic się nie stało, ale pamiętaj, że to Keira zainicjowała te wykopaliska. Nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy nie dać jej tych paru dni.

Normand, jeden z Francuzów z ekipy, poprosił o głos.

– Keira podała nam bardzo precyzyjne współrzędne. Nawet gdybyśmy mieli przeszukać pięćdziesiąt metrów kwadratowych, nie musimy niczego tu demontować. Potrzeba nam niewiele sprzętu, a to znacznie ogranicza wpływ tej tygodniowej przerwy w pracy na to, co tu robimy.

Eric pochylił się nad Keirą i poprosił o chwilę rozmowy w cztery oczy. Odeszli razem kilka kroków od namiotu.

– Brawo, widzę, że masz dar przekonywania, jestem niemal skłonny iść za tobą. Właściwie dlaczego nie? Ale ja jeszcze nie powiedziałem ostatniego słowa, mogę podać się do dymisji, zmusić ich do wybierania między tobą a mną albo, przeciwnie, poprzeć cię.

– Mów, o co ci chodzi, Ericu, mam za sobą długą podróż i jestem bardzo zmęczona.

– Cokolwiek znajdziemy, zakładając, że coś jednak znajdziemy, to ma być wspólne odkrycie nas dwojga. Nie oszczędzałem się przez długie miesiące, kiedy ty podróżowałaś sobie po całym świecie, i nie robiłem tego wszystkiego tylko po to, żeby teraz dać się zredukować do roli zwykłego asystenta. Zastąpiłem cię, kiedy nas zostawiłaś. Od twojego wyjazdu to ja wszystkim się tu zajmuję. Tylko mnie zawdzięczasz, że zastałaś zgraną, zdolną do pracy ekipę, i nie pozwolę ci nagle wtargnąć na terytorium, za które teraz odpowiadam, nie dam ci się zepchnąć na dalszy plan.

– I ty śmiałaś mi mówić o ego? Jesteś bezczelny, Ericu. Jeśli dokonamy wielkiego odkrycia, będzie to zasługa całego zespołu i będziesz miał w nim swój udział, obiecuję ci to. Ale będzie to też zasługa Adriana, ponieważ bardziej niż ktokolwiek inny przyczynił się do wszystkiego, co już osiągnęliśmy, nawet do tego, że mogłam tu wrócić. Czy mogę liczyć na twoją pomoc? Jesteś

zadowolony?

– Daję ci, Keiro, tydzień, a jeśli zmarnujemy przez ciebie ten czas, zabierzesz manatki i swojego chłopaka i oboje się stąd wyniesiecie.

– Tylko zechciej osobiście powiedzieć o tym Adrianowi, jestem pewna, że będzie zachwycony...

Keira wróciła do nas i znowu weszła na skrzynkę.

– Miejsce, o którym mówię, znajduje się trzy kilometry na zachód od jeziora Dipa. Jeśli wyruszymy jutro o wschodzie słońca, możemy tam dotrzeć przed południem i natychmiast wziąć się do pracy. Będę wdzięczna wszystkim tym, którzy ze mną pójdą.

I znów rozległy się szepty. Karvelis jako pierwszy odłączył od grupy i stanął przed Keirą. Alvaro, Normand i Wolfmayer uczynili to tuż po nim. Keira wygrała tę partię, bo wkrótce zebrała się przy niej cała ekipa, a Eric nie odstępował jej na krok.



Załadowaliśmy sprzęt tuż przed świtem. Wczesnym rankiem dwie terenówki wyjechały z obozu. Keira prowadziła jedną, Eric drugą. Po trzech godzinach jazdy szlakiem zostawiliśmy samochody pod lasem, który musieliśmy przemierzyć, niosąc sprzęt na plecach. Przodem szedł Harry, wycinając maczetą gałęzie, które utrudniały wędrówkę. Chciałem mu pomóc, ale powiedział, żebym zostawił to jemu, bo nie mam wprawy i mógłbym się skaleczyć!

Po jakimś czasie zobaczyliśmy polanę, o której opowiadała mi Keira – krąg ziemi o średnicy ośmiuset metrów, wtulony w zakole rzeki Omo i uderzająco podobny do ludzkiej czaszki.

Karvelis trzymał w ręku GPS. Zaprowadził nas na środek polany.

– Pięć stopni dziesięć minut dwie i sześćdziesiąt siedem setnych sekundy szerokości geograficznej północnej, trzydzieści sześć stopni dziesięć minut jedna i siedemdziesiąt cztery setne sekundy długości geograficznej wschodniej: jesteśmy na miejscu – oznajmił.

Keira uklękła i dotknęła ręką ziemi.

– Niewiarygodna podróż, która w końcu doprowadziła mnie znowu w to miejsce! Gdybyś wiedział, jak potwornie się boję.

– Ja też – przyznałem.

Alvaro i Normand zaczęli wytyczać obszar poszukiwań, a tymczasem inni ustawiali namioty w cieniu rozłożystych drzew. Keira zwróciła się do Alvara.

– Nie warto niczego wytyczać, skupimy się najwyżej na dwudziestu metrach kwadratowych, ale musimy kopać bardzo głęboko.

Alvaro zwinął sznur i pracował zgodnie z instrukcjami Keiry. Do wieczora udało się wydobyć trzydzieści metrów sześciennych ziemi. W miarę postępu prac coraz wyraźniej widziałem zarysy fasady, ale przed zachodem słońca niczego nie znaleźliśmy. Trzeba było przerwać kopanie, gdy zrobiło się ciemno. Do pracy powróciliśmy tuż po świcie.

O jedenastej Keira zaczęła się denerwować. Podeszedłem do niej.

– Przed nami jeszcze cały tydzień.

– Nie sądzę, żeby to była kwestia czasu, mamy przecież bardzo dokładne współrzędne i albo są prawdziwe, albo fałszywe, innego wyjścia nie ma. A poza tym brak nam odpowiedniego sprzętu, żeby kopać poniżej dziesięciu metrów.

– Jak głęboko jesteśmy?

- W połowie drogi.
- W takim razie sprawa nie jest jeszcze przegrana, jestem pewien, że im głębiej dotrzemy, tym większe są nasze szanse.
- Ale jeżeli się pomyliłam, poniesiemy totalną klęskę. – Keira westchnęła.
- Ja myślałem, że straciłem już wszystko tamtego dnia, kiedy samochód wpadł do Żółtej Rzeki – powiedziałem, odchodząc.

Popołudnie nie przyniosło żadnej niespodzianki. Keira poszła trochę odpocząć w cieniu wrzosów. O szesnastej Alvaro, który dawno temu zniknął w głębokim wykopie i pracował bez wytchnienia, wydał z siebie przenikliwy, słyszalny w całym obozie okrzyk. Po chwili krzyknął również Karvelis. Keira wstała i zamarła w bezruchu.

Potem ruszyła wolno przez polanę, a z dołu wysunęła się głowa Alvara. Chyba jeszcze nigdy nie widziałem takiego uśmiechu na twarzy dorosłego mężczyzny. Keira przyspieszyła kroku, w końcu zaczęła biec, ale cichy głos przywołał ją do porządku.

– Ile razy mówiło się, że nie wolno biegać po terenie wykopalisk? – powiedział Harry, podchodząc do niej.

Wziął ją za rękę i zaprowadził nad wykop, gdzie zbierała się już cała ekipa. Na dole Alvaro i Karvelis znaleźli kości. To były niemal kompletne i bardzo stare szczątki ludzkie.

Keira zeszła do swoich dwóch kolegów i uklękła. Kości wyłaniały się z ziemi. Trzeba było jeszcze wielu godzin, żeby uwolnić szczątki pogrzebanego tu człowieka z pokrywającej go warstwy.

– Dałeś mi trudną zagadkę, ale w końcu cię odnalazłam – mówiła Keira, delikatnie dotykając palcami widocznej już czaszki. – Teraz trzeba ci nadać imię, ale zanim to zrobimy, musisz nam powiedzieć, kim jesteś, a przede wszystkim, ile masz lat.

– Coś mi tu nie pasuje – powiedział Alvaro – jeszcze nigdy nie widziałem ludzkich kości w takim stopniu skamieniałych. Może to dziwnie zabrzmie, ale ten szkielet osiągnął za wysoki stopień ewolucji jak na swój wiek...

Pochyliłem się nad Keirą i poprosiłem, żeby odeszła ze mną na tyle daleko, żeby móc spokojnie porozmawiać.

– Myślisz, że obietnica, którą ci złożyłem, spełniła się i że ten szkielet jest tak stary, jak przypuszczamy?

– Nie potrafię jeszcze nic powiedzieć, to się wydaje nieprawdopodobne, a jednak... Dopiero po przeprowadzeniu dokładnych analiz można będzie stwierdzić, czy marzenie stało się rzeczywistością. Ale zapewniam cię, że jeśli tak jest, to właśnie dokonaliśmy największego odkrycia w historii ludzkości.

Keira wróciła do wykopu, gdzie jej koledzy kontynuowali pracę. Przerwali poszukiwania o zmierzchu, by powrócić do nich rano, lecz teraz nikt nie zamierzał już odliczać dni.



Koniec naszych problemów najwyraźniej jeszcze nie nadszedł. Trzeci dzień przyniósł wielką niespodziankę. Od rana obserwowałem pracę Keiry i podziwiałem jej niewyobrażalną precyzję. Milimetr po milimetrze, operując pędzelkiem, jakby zdobijała miniaturami stary manuskrypt, oczyszczała szkielet z warstw ziemi. Nagle jej dłoń zatrzymała się w pół ruchu. Keira wiedziała, co oznacza lekki opór wyczuwalny na końcu pędzelka. Niczego nie należało robić na siłę,

wyjaśniła mi. Trzeba okrążyć wypukłość, na którą się trafia, odsłonić jej kształt. Ale tym razem nie potrafiła powiedzieć, na co się natknęła.

– Bardzo dziwne... – szepnęła. – To wygląda na coś kulistego, jak rzepka... Ale rzepka w środku krtani, to przecież niemożliwe...

Upał stał się nieznośny, pot spływający z jej czoła czasami skapywał na kości, nad którymi pracowała. Wtedy zaczynała się złościć.

Alvaro wrócił po krótkiej przerwie w pracy i zaproponował, że ją zastąpi. Keira była wyczerpana, więc skorzystała z oferty, ale błagała kolegę, żeby zachował maksymalną ostrożność.

– Chodź – powiedziała do mnie – rzeka jest niedaleko stąd, przejdziemy tylko przez ten lasek. Muszę się wykąpać.

Brzeg Omo był piaszczysty. Keira rozebrała się i wskoczyła do wody, nie czekając na mnie. Zdjąłem koszulę i spodnie, wszedłem do rzeki i wziąłem moją panią archeolog w ramiona.

– Te romantyczne pejzaże są wprost wymarzone na schadzki zakochanych – powiedziała. – I nie myśl, że brak mi chęci, ale jeżeli nie przestaniesz się tak miotać, za chwilę nie będziemy tu sami.

– A kto się tu zjawi?

– Na przykład wygłodzone krokodyle. Chodź, w tej rzece lepiej nie przesiadywać zbyt długo, chciałam się tylko trochę ochłodzić. Osuszmy się na brzegu, a potem wrócimy do pracy.

Do dziś nie wiem, czy ta historyjka z krokodylami była prawdziwa, czy może był to tylko pretekst, by jak najszybciej wrócić do pracy, która stała się dla niej najważniejsza. Kiedy doszliśmy do wykopu, Alvaro już na nas czekał, a właściwie – czekał na Keirę.

– Co my właściwie odkopaliśmy? – zapytał szeptem, żeby inni nie słyszeli. – Wiesz coś na ten temat?

– Dlaczego robisz takie miny? Jesteś zdenerwowany?

Alvaro podsunął jej coś wyglądającego jak duża kulka z agatu albo łupku.

– Czy na to się natknęłam, zanim poszliśmy się wykąpać? – zapytała Keira.

– Znalazłem to dziesięć centymetrów od pierwszych kręgów piersiowych.

Keira wzięła kulkę w palce i otarła ją z kurzu.

– Przynieś trochę wody – poprosiła zaintrygowana.

Alvaro podał jej swoją manierkę.

– Zaczekaj, nie tu, wyjdźmy z wykopu.

– Wszyscy nas zobaczą... – szepnął Alvaro.

Keira wyskoczyła z wykopu, chowając kulkę w dłoni. Alvaro poszedł za nią.

– Polewaj ją ostrożnie – poleciła.

Nikt nie zwracał na nich uwagi. Z daleka wyglądali, jakby myli ręce, używając wody z butelki.

Keira delikatnie pocierała kulkę, odklejając pokrywający ją osad.

– Jeszcze trochę – poprosiła Alvara.

– Co to może być? – zapytał równie poruszony znaleziskiem jak Keira.

– Wracamy do wykopu.

Z dała od innych Keira oczyściła kulkę i dokładnie się jej przyjrzała.

- Jest przejrzysta – powiedziała. – Tam w środku jeszcze coś jest.
- Pokaż! – błagał Alvaro.

Wziął kulkę w palce i uniósł ją tak, żeby padały na nią promienie słoneczne.

– Teraz widać dużo lepiej – powiedział. – To chyba jakaś żywica. Myślisz, że to mógł być wisiołek? Jestem zdezorientowany, nigdy czegoś takiego nie widziałem. Do diabła, Keiro, ile lat może mieć ten szkielet?

Keira zabrała mu kulkę i także obejrzała ją w słońcu.

– Podejrzewam, że ten drobiazg może dać nam odpowiedź na twoje pytanie – rzuciła, uśmiechając się do kolegi. – Przypominasz sobie sanktuarium San Gennaro, świętego Januarego?

Pokręcił głową.

– Nie, podaj jakieś szczegóły, nie pamiętam.

– Święty January był biskupem Benewentu, zginął jako męczennik około roku trzechsetnego w okolicy Puzzuoli za czasów prześladowań Dioklecjana. Oszczędzę ci szczegółów i pominię legendę świętego. Został skazany na śmierć przez Tymoteusza, prokonsula Kampanii. Nie tknął go ogień stosu, nie rozszarpały lwy, którym go rzucono. W końcu został ścięty. Kat ściął mu głowę i obciął palec. Zgodnie z panującym wówczas zwyczajem jedna z krewnych zebrała jego krew i napełniła nią dwie fiołki, które podczas ostatniej odprawianej przez niego mszy zawierały oleje. Ciało świętego kilkakrotnie przenoszono. Na początku czwartego wieku, kiedy relikwie biskupa trafiły do Antignano, krewna, która przechowywała fiołki, zbliżyła je do zwłok. Zasnęta krew znów stała się płynna. To samo stało się w roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym drugim, gdy zwłoki sprowadzono do świątyni San Gennaro i złożono w kaplicy. Odtąd owo ożywienie krwi świętego jest czczone każdego roku mszą, w której uczestniczy arcybiskup Neapolu. Neapolitańczycy upamiętniają także dzień jego egzekucji. Wysuszona krew, przechowywana w hermetycznych ampułkach, jest pokazywana tysiącom wiernych: przytykana do relikwiarza głowy świętego zawsze staje się płynna, czasem nawet się burzy.

– Skąd to wiesz? – zapytałem, patrząc z podziwem na Keirę.

– Kiedy ty czytałeś Szekspira, ja połykałam Aleksandra Dumasa.

– I myślisz, że tak jak w przypadku świętego Januarego, ta przejrzysta kulka zawiera krew spoczywającego tu człowieka?

– Być może czerwona grudka, którą widać w środku kulki, to krew, ale jeżeli tak jest, to mamy do czynienia z cudem. Moglibyśmy przecież dowiedzieć się prawie wszystkiego o życiu tego człowieka: ile miał lat, jakie były jego biologiczne cechy. Jeżeli zdobylibyśmy jego DNA, nie miałby przed nami tajemnic. Teraz musimy zabrać tę kulkę w bezpieczne miejsce i wysłać jej zawartość do analizy w specjalistycznym laboratorium.

– Komu zamierzasz powierzyć to zadanie? – zapytałem.

Keira patrzyła na mnie tak wymownie, że nie miałem już nawet cienia wątpliwości.

– Bez ciebie się stąd nie ruszę! – odparłem, uprzedzając ją. – Wybij to sobie z głowy!

– Adrianie, nie mogę zdać się na Erica, a jeśli ponownie zostawię ekipę, już mi tego nie wybaczą.

– Nic mnie nie obchodzą twoi współpracownicy, twoje poszukiwania, ten szkielet, a nawet ta kulka! Gdyby coś ci się stało, nie wybaczyłbym ani sobie, ani tobie! Nawet dla najwspanialszego odkrycia w dziejach świata nie wyjadę stąd bez ciebie!

– Adrianie, proszę!

– Keiro, posłuchaj uważnie, bo to, co ci teraz powiem, dla mnie też jest trudne, więc nie będę tego powtarzał. Poświęciłem lata życia na obserwację galaktyk, szukanie najdrobniejszych śladów tego, co działo się w pierwszych chwilach istnienia wszechświata. Myślałem, że jestem w tej dziedzinie najlepszy, najbardziej awangardowy, najsprytniejszy, myślałem, że nie można mnie prześcignąć, i byłem z siebie dumny. Ale kiedy wydawało mi się, że cię straciłem, całymi nocami wpatrywałem się w niebo i nie potrafiłem nawet przypomnieć sobie, jak nazywają się te cholerne gwiazdy. Co mnie obchodzi to, od jak dawna leży tu ten trup, co mnie obchodzi, czy dzięki niemu dowiemy się czegoś o gatunku ludzkim. Gdyby miało ci się coś stać, wszystko mi jedno, czy te kości liczą sto czy czterysta milionów lat.

Zupełnie zapomniałem, że mówię to w obecności Alvara, który odkaszlnął nieco zakłopotany.

– Nie chciałbym się wtrącać w wasze sprawy – powiedział – ale po odkryciu, które ci zawdzięczamy, nawet po pół roku możesz tu wrócić i zażądać, żebyśmy urządzili wyścig w workach dookoła Machu Picchu, a idę o zakład, że wszyscy, ze mną na czele, spełnią twoją prośbę.

Czułem, że Keira się waha, zapatrzona w leżące w ziemi kości.

– *Madre de Dios!* – jęknął Alvaro. – Słyszałaś, co ci powiedział ten facet, a wolisz spędzać noce z tym truposzem? Rzuć to wszystko, jedź i wracaj szybko, bo chcę się dowiedzieć, co kryje ta żywiczna kulka!

Keira wyciągnęła do mnie rękę, żebym pomógł jej wyjść z wykopu. Podziękowała Alvarowi.

– Jedź, mówię ci! Poproś Normanda, żeby odwiózł cię do Jinka, możesz mu zaufać, jest dyskretny. Reszcie wyjaśnię, dlaczego wyjechałaś, kiedy cię już nie będzie.

Kiedy pakowałem nasze rzeczy, Keira poszła pogadać z Normandem. Na szczęście inni opuścili obóz, żeby się wykapać w rzece. We troje powędrowaliśmy przez las, a kiedy dotarliśmy do samochodów, zobaczyliśmy, że Harry już tam czeka. Stał oparty o maskę, z rękami splecionymi na piersi.

– Znowu chciałaś wyjechać bez pożegnania? – powiedział, mierząc Keirę spojrzeniem.

– Nie, wyjeżdżam najwyżej na kilka tygodni. Wkrótce wrócę.

– Ale tym razem nie zamierzam już czekać na ciebie w Jinka, bo nie wrócisz i ja to wiem – odparł Harry.

– Obiecuję, że wrócę, Harry, nigdy cię nie zostawię. Następnym razem zabiorę cię ze sobą.

– A cóż ja miałbym robić w twoim kraju? Tracisz czas na szukanie zmarłych, więc powinnaś wiedzieć lepiej niż ja, że moje miejsce jest tu, gdzie pogrzebano moich prawdziwych rodziców. To moja ziemia. A teraz już idź.

Keira zbliżyła się do Harry'ego.

– Nienawidzisz mnie?

– Nie, ale jestem smutny, a nie chcę, żebyś patrzyła na mnie, kiedy się tak czuję, więc idź sobie.

– Harry, mnie też jest smutno, musisz mi zaufać, przecież wróciłam i wrócę znowu.

– W takim razie będę czasami zaglądał do Jinka.

– Pocałujesz mnie?

– W usta?

– Nie, Harry, w policzek – odpowiedziała, śmiejąc się głośno.

– Na to jestem za stary, ale możesz mnie mocno przytulić.

Keira wzięła Harry'ego w ramiona i pocałowała w czoło.

Potem chłopak pobiegł w stronę lasu, nie oglądając się za siebie.

– Jeżeli dobrze pójdzie – powiedział Normand – będziemy w Jinka przed samolotem pocztowym. Możecie nim lecieć, znam pilota. Powinniście dotrzeć do Addis Abeby wystarczająco wcześnie, żeby zdążyć na lot do Paryża, a jeśli nie, to zostaje wam jeszcze Frankfurt, startuje zawsze jako ostatni. Na ten rejs na pewno zdążycie.

Po drodze odwróciłem się do siedzącej z tyłu Keiry, bo pewne pytanie nie dawało mi spokoju.

– Co byś zrobiła, gdyby nie poparł mnie Alvaro?

– Dlaczego o to pytasz?

– Bo kiedy widziałem, jak patrzysz to na mnie, to na szkielet, zastanawiałem się, który z nas dwóch bardziej ci się podoba.

– Siedzę w tym samochodzie, to mówi samo za siebie.

– Może i tak – burknąłem, odwracając głowę.

– Co ma znaczyć to „może”... czyżbyś miał jakieś wątpliwości?

– Ależ skąd!

– Gdyby Alvaro się nie wtrącił, być może zostałabym w obozie, ale dziesięć minut po twoim wyjeździe błagałabym, żeby ktoś odwiózł mnie na lotnisko drugim samochodem, i dogoniłabym cię. Czy teraz jesteś zadowolony?

Paryż

Tylko dzięki szaleńczej gonitwie udało nam się złapać samolot do Paryża. Kiedy dopadliśmy do stanowiska Air France, kończono odprawę. Na szczęście zostało dziesięć wolnych miejsc, a miła pracownica linii pozwoliła nam przejść przez bramki kontroli bezpieczeństwa poza kolejnością, choć tłoczyło się tam wielu pasażerów innych lotów. Kiedy samolot kołował, zdążyłem jeszcze zadzwonić na chwilę do Waltera, którego obudziłem w środku nocy, a potem do Ivory'ego, który nie spał. Zapowiadając nasz powrót do Europy, zapytałem obu o to samo – gdzie znaleźć najlepsze laboratorium, aby przeprowadzić pełne badania DNA?

Ivory poprosił, żebyśmy przyjechali do niego prosto z lotniska. O szóstej rano taksówką udaliśmy się z lotniska Charles de Gaulle na Wyspę Świętego Ludwika. Ivory otworzył drzwi w szlafroku.

– Nie wiedziałem dokładnie, kiedy tu będziecie, i zasnąłem już prawie nad ranem – wyjaśnił.

Poprosił, żebyśmy poczekali w salonie, a sam wszedł do kuchni zaparzyć kawę. Wrócił, niosąc tacę, i usiadł w fotelu na wprost nas.

– Mówcie, co znaleźliście w Afryce. To przez was nie przespałem nocy. Po waszym telefonie trudno mi było zmrużyć oko.

Keira wyjęła z kieszeni kulkę i pokazała ją profesorowi. Ivory poprawił okulary i uważnie przyjrzał się znalezisku.

– Czy to bursztyn?

– Na razie jeszcze nie wiem, ale te czerwone plamki w środku to prawdopodobnie krew.

– Istny cud! Gdzie to znaleźliście?
– Dokładnie w miejscu, które wskazały nam współrzędne – odparłem. – No i nasze fragmenty.

– W krtani szkieletu, który odgrzebaliśmy – dodała Keira.

– Ależ to wielkie odkrycie! – krzyknął Ivory.

Podszedł do sekretarzyka, wysunął szufladę i wyjął z niej kartkę.

– To ostatni mój przekład gyyzyjskiego tekstu, przeczytajcie.

Wzięłem od Ivory'ego kartkę, którą wymachiwał mi pod nosem, i przeczytałem głośno:

Rozdzielilem dysk pamięci, powierzyłem mistrzom kolonii części, które łączył. Pod trygonami gwiazd kryją się cienie bezkresu. Niechaj nikt się nie dowie, gdzie znajduje się hipogeum. Noc jednego jest strażniczką początku. Niechaj nikt jej nie budzi, połączenie czasów wyobrażeń zapoczątkuje kres przestrzeni.

– Wydaje mi się, że nasza zagadka nabrała wreszcie sensu, prawda? – powiedział profesor. – Dzięki pomysłowości Adriana w Amsterdamie kazaliśmy przemówić dyskowi, a on wskazał nam usytuowanie grobu. To hipogeum, gdzie prawdopodobnie został znaleziony w czwartym tysiącleciu. Ludzie, którzy zrozumieli wagę tego odkrycia, podzielili dysk i ponieśli jego fragmenty w cztery strony świata.

– Ale po co? – dziwiłem się. – Dlaczego podjęli te wędrówki?

– Żeby nikt nie odnalazł zwłok, które odkopaliście, a przy których znaleźli dysk pamięci. *Noc jednego jest strażniczką początku* – dodał Ivory, krzywiąc się.

Twarz starego profesora pobladła, pot zrosił mu czoło.

– Źle się pan czuje? – zapytała Keira.

– Poświęciłem temu całe życie, a wy w końcu to odnaleźliście. Nikt nie chciał mi wierzyć. Czuję się doskonale, nigdy w życiu nie było mi tak dobrze – powiedział, starając się opanować grymas twarzy.

Po chwili jednak stary profesor położył rękę na sercu i usiadł w fotelu. Był blady jak płótno.

– To nic – uspokajał nas – to tylko zmęczenie. Powiedzcie, jaki on jest?

– Kto? – zapytałem.

– Do diabła, ten szkielet, przecież to jasne!

– Całkowicie skamieniały i zadziwiająco dobrze zachowany – odparła Keira, coraz bardziej zaniepokojona stanem Ivory'ego.

Profesor jęknął i zgiął się wpół.

– Wezwę pogotowie – powiedziała Keira.

– Niech pani nikogo nie wzywa – sprzeciwił się profesor. – Powtarzam, zaraz mi przejdzie. Posłuchajcie, mamy mało czasu. Laboratorium, które przeprowadzi analizy, znajduje się w Londynie, zapisałem adres w notesie, który leży w przedpokoju. Zachowajcie teraz wzmożoną ostrożność, bo jeżeli się dowiedzą, co odkryliście, nie pozwolą wam zakończyć pracy i nie cofną się przed niczym. Przykro mi, że naraziłem was na niebezpieczeństwo, ale teraz jest już za późno.

– Kim są ci ludzie? – zapytałem.

– Mam za mało czasu, żeby wam to wyjaśnić, inne sprawy są pilniejsze. W szufladce sekretarzyka jest drugi tekst.

Ivory osunął się na dywan. Keira chwyciła telefon stojący na niskim stoliku i wybrała numer pogotowia, ale Ivory wyrwał przewód z kontaktu.

– Idźcie stąd, proszę!

Keira uklękła przy nim i wsunęła mu poduszkę pod głowę.

– Nie ma mowy, żebyśmy pana tak zostawili, słyszy pan?

– Jesteś wspaniała, Keiro, bardziej uparta niż ja. Po prostu zostawcie otwarte drzwi i wezwijcie pogotowie, kiedy już was tu nie będzie. Boże, jak to strasznie boli – jęknął, przyciskając ręce do piersi. – Proszę, dokończcie to, czego ja nie mogłem już zrobić, jesteście prawie u celu.

– Jakiego celu, Ivory?

– Moja droga, dokonałaś najbardziej sensacyjnego odkrycia, o jakim można marzyć. Wszyscy będą ci zazdrościć. Znalazłaś człowieka „zero”, pierwszego z nas. Ta kulka z krwią to potwierdzi. Ale przekonasz się, jeśli oczywiście nie jestem w błędzie, że to jeszcze nie koniec niespodzianek. Nie zapomnijcie wziąć z szuflady tego drugiego tekstu. Adrian go już zna, wkrótce oboje go zrozumiecie.

Ivory stracił przytomność. Keira, nie słuchając jego ostatnich zaleceń, wezwała pogotowie z mojej komórki.

Gdy wychodziliśmy z kamienicy, ogarnęły nas wyrzuty sumienia.

– Nie powinniśmy byli zostawiać go samego.

– Przecież wyrzucił nas z domu.

– Żeby nas chronić. Chodź, wracamy na górę.

Z oddali dobiegło nas wycie karetki. Z każdą chwilą stawało się coraz bliższe.

– Posłuchaj go chociaż teraz, nie traćmy czasu – powiedziałem, patrząc na Keirę.

Zobaczyłem jadącą bulwarem d'Orléans taksówkę. Zatrzymałem ją i poleciłem jechać na Gare du Nord. Keira spojrzała na mnie zdziwiona, a ja pokazałem jej kartkę wyrwaną z notosu Ivory'ego tuż przed wyjściem. Widniał tam londyński adres laboratorium Brytyjskiego Towarzystwa Badań Genetycznych przy Hammersmith Grove numer 10.

Londyn

Uprowadziłem o naszym powrocie Waltera. Wyjechał po nas na dworzec St. Pancras. Czekał przy ruchomych schodach, trzymając ręce splecione na plecach.

– Humor ci nie dopisuje? – zapytałem, zerknąwszy na niego.

– Wyobraź sobie, że kiepsko spałem, i chyba nawet wiesz, czyja to wina!

– Przepraszam, że cię obudziłem.

– Wy oboje też nie wyglądacie kwitnąco – powiedział, uważnie nam się przyglądając.

– Całą noc spędziliśmy w samolocie, a przez kilka ostatnich tygodni raczej nie wypoczywaliśmy. No dobrze, może już pójdziemy? – ponagliła nas Keira.

– Odszukałem adres, który was interesuje – oznajmił Walter, prowadząc nas na postój taksówek. – Mam nadzieję, że nie zmarnowałem tej nocy na próżno i że było to warte pewnego trudu.

– Nie masz już samochodu? – zapytałem, wsiadając do black caba.

– W przeciwieństwie do niektórych, i nie zamierzam wytykać nikogo palcami, słucham rad moich przyjaciół. Sprzedałem go i mam dla was niespodziankę, ale o tym później. Hammersmith Grove dziesięć, proszę – rzucił pod adresem taksówkarza.

– Jedziemy do Brytyjskiego Towarzystwa Badań Genetycznych, tak jak chcieliście.

Postanowiłem schować kartkę od Ivory'ego w kieszeni i nie wspominać o niej Walterowi.

– I co? – zapytał. – Możesz mi wyjaśnić, po co tam jedziemy? Chodzi o test na ojcostwo?

Keira pokazała mu kulkę, której uważnie się przyjrzał.

– Ładny drobiazg – powiedział. – Ale co to jest, ta czerwona grudka wewnątrz?

– Krew – wyjaśniła Keira.

– Fe!

Walterowi udało się umówić nas z doktorem Poincaro, szefem pracowni paleogenetycznej. Skoro Brytyjska Akademia uprawniała do wstępu niemal wszędzie, należało z tego korzystać – dodał drwiącym tonem.

– Pozwoliłem sobie ujawnić, czym zajmuje się każde z was, ale nie obawiajcie się, nie opowiadałem o charakterze waszych prac. Żeby szybko załatwić sprawę, musiałem powiedzieć, że przyjechaliście z Etiopii z niezwykłym znaleziskiem do analizy. Zresztą niewiele mógłbym do tego dodać, bo Adrian nie zechciał mi nic powiedzieć!

– Już zamykali drzwi samolotu, miałem dosłownie chwilę, a poza tym, jeśli mnie pamięć nie myli, wyrwałem cię ze snu...

Walter obrzucił mnie wrogim spojrzeniem.

– Powiecie mi w końcu, co odkryliście w tej Afryce, czy mam umrzeć w nieświadomości? Zadałem sobie tyle trudu, że mam chyba prawo do odrobiny informacji. Nie jestem gościem, szoferem ani listonoszem...

– Znaleźliśmy niesamowity szkielet – powiedziała Keira, niemal czule klepiąc go po nodze.

– I to wprawilo was w taki zachwyt? Jakież kości? Powinniście w następnym wcieleniu zostać psami, a może już nimi byliście? Prawdę mówiąc, Adrianie, jest w tobie trochę podobieństwa do spaniela, przynajmniej z pyska... Zauważyłaś, Keiro?

– A ja może przypominam teriera, co? – rzuciła, grożąc mu zwiniętą w rulon gazetą.

– Nie wkładaj mi w usta słów, których nigdy nie wypowiedziałem!

Taksówka zatrzymała się przed Brytyjskim Towarzystwem Badań Genetycznych. Budynek był nowoczesny, wnętrza wręcz luksusowe. Długie korytarze prowadziły do doskonale, wręcz przesadnie, wyposażonych pracowni. Pipety, centryfugi, mikroskopy elektronowe, chłodnie – długo można by wymieniać. Przy tym nowoczesnym sprzęcie pracowały całe gromady ludzi w czerwonych fartuchach, a wszędzie panował imponujący spokój. Poincaro oprowadził nas po swoim królestwie, objaśniając, jak funkcjonuje jego pracownia.

– Prowadzimy badania wykorzystywane w różnych dziedzinach nauki. Arystoteles powiedział: „Żywe jest to, co się odżywia, rośnie i ginie samodzielnie”, ale można to ująć inaczej: „Żywe jest wszystko, co zawiera w sobie programy, swoiste oprogramowanie”. Organizm musi mieć zdolność rozwoju, unikać chaosu i anarchii. Żeby zbudować coś spójnego, trzeba mieć plan. Gdzie życie ukrywa swój? W DNA. Wystarczy otworzyć dowolne jądro komórkowe, żeby znaleźć łańcuch DNA, który zawiera wszelkie informacje genetyczne o osobniku w bogatym, zakodowanym przesłaniu. DNA to nośnik dziedziczności. Prowadząc zakrojone na dużą skalę badania polegające na pobieraniu komórek od różnych populacji na

naszej planecie, stwierdziliśmy istnienie zaskakujących pokrewieństw na przestrzeni wieków, odtwarzaliśmy ślady wielkich migracji ludzi. Badania DNA tysięcy osobników pomogły nam rozszyfrować proces

ewolucji w okresie tych migracji. DNA przenosi informacje z pokolenia na pokolenie, program ewoluuje i powoduje ewolucję człowieka. Wszyscy pochodzimy od jednej istoty, prawda? Dotarcie do niej równa się odkryciu źródła życia. U Inuitów odnajdujemy dziedziczne związki z ludami północnej Syberii. W ten sposób dowiadujemy się od jednych i drugich, skąd wyruszyli ich odlegli przodkowie... Ale badamy także DNA owadów i roślin. Ostatnio dzięki temu przemówiły liście magnolii sprzed dwudziestu miliardów lat. Dziś potrafimy uzyskać DNA z próbek, w których jeszcze niedawno nikt nie przypuszczałby jego przetrwania.

Keira wyciągnęła z kieszeni kulkę i podała ją Poincarno.

– To bursztyn? – zapytał.

– Nie sądzę, raczej sztuczna żywica.

– Jak to „sztuczna”?

– To długa historia... czy mógłby pan zbadać to, co jest w środku?

– Pod warunkiem że uda nam się przebić przez materię, w której jest to zamknięte. Proszę ze mną! – powiedział Poincarno, z coraz większym zdziwieniem patrząc na kulkę.

W laboratorium panował półmrok, przez okna sączyło się różowawe światło. Poincarno włączył lampy neonowe. Usiadł na taborecie i umieścił kulkę w małej tulei. Próbował naciąć powierzchnię skalpelem, ale bezskutecznie, więc sięgnął po diamentowe ostrze, które nie zdołało nawet zarysować kulki. Przeszliśmy do innego pomieszczenia, aby zmienić technikę pracy – tym razem doktor poddał kulkę obróbce laserowej, ale to również nie dało żadnego rezultatu.

– No dobrze – westchnął. – Na ciężkie przypadki mamy inne sposoby. Chodźmy!

Weszliśmy do śluzu, gdzie doktor polecił nam włożyć dziwne kombinezony, które okrywały nas od stóp do głów, tak że nawet paznokciec nie pozostał odsłonięty.

– Czy będziemy kogoś operowali? – zapytałem przez maskę osłaniającą mi twarz.

– Nie, ale nie wolno nam skazić tego DNA nawet śladem obcego DNA, na przykład pańskiego. Wchodzimy do sterylnej komory.

Poincarno usiadł na taborecie przed hermetycznie zamkniętym pojemnikiem. Umieścił kulkę w pierwszej komorze i ją zamknął. Potem wsunął ręce w gumowe rękawy i z zewnątrz manipulował tak, żeby przenieść kulkę do komory drugiej, już po wstępnym oczyszczeniu. W końcu umieścił ją na podstawce i obrócił małą gałkę. Przezroczysty płyn wypełnił komorę.

– Co to jest? – zapytałem.

– Ciekły azot – odparła Keira.

– Minus sto dziewięćdziesiąt pięć i siedemdziesiąt dziewięć setnych stopnia Celsjusza – dodał Poincarno. – Bardzo niska temperatura azotu uniemożliwia działanie enzymów, które mogłyby uszkodzić DNA, RNA lub białka, które chcemy wyizolować. Rękawice, którymi się posługuję, dają izolację chroniącą przed oparzeniami. Wkrótce powłoka kuli powinna zacząć pękać.

Niestety, nic takiego się nie stało, jednakże Poincarno, którego ta materia coraz bardziej intrygowała, nie zamierzał się poddawać.

– Radykalnie obniżyć temperaturę, używając helu trzy. Ten gaz pozwala zbliżyć się do zera

absolutnego. Jeżeli kulka oprze się takiemu szokowi termicznemu, poddam się, bo nic więcej nie mogę zrobić.

Poincarno odkręcił mały kranik, ale nic się nie działo.

– Gaz jest niewidoczny – wyjaśnił. – Zaczekajmy kilka sekund.

Walter, Keira i ja z zapartym tchem wpatrywaliśmy się w pojemnik. Nie mogliśmy pogodzić się z myślą, że teraz, po tylu wysiłkach, jesteśmy bezradni wobec odpornej powłoki, która więziła cenną dla nas próbkę. Ale nagle na przejrzystej ścianie pojawiła się maleńka rysa. Drobne pęknięcie rozszerzało się na kulce. Poincarno pochylił się nad mikroskopem elektronowym i zaczął manipulować cienką igłą.

– Mam waszą próbkę! – krzyknął, odwracając się do nas. – Teraz będziemy mogli przeprowadzić analizy. To zajmie kilka godzin, zadzwonię, kiedy coś uzyskamy.

Zostawiliśmy go w laboratorium i wyszliśmy przez sterylną komorę, zdjawszy kombinezony. Zaproponowałem Keirze powrót do domu, ale przypomniała mi o przestrożach Ivory'ego i zapytała, czy uważam, że to rozsądne. Walter zaoferował nam gościnę, ja jednak marzyłem o prysznicu i czystym ubraniu. Rozstaliśmy się na ulicy, Walter pojechał metrem do Akademii, a ja i Keira taksówką na Cresswell Place.

W domu było pełno kurzu, lodówka świeciła pustkami, pościel w sypialni nie zachęcała, bo pozostawiliśmy ją w pośpiechu brudną. Byliśmy tak zmęczeni, że dość szybko zrezygnowaliśmy z porządków i po prostu zasnęliśmy, tuląc się do siebie.



Obudził nas dzwonek telefonu. Przez chwilę po omacku szukałem aparatu, a kiedy wreszcie odebrałem, podekscytowany Walter niemal na mnie nakrzyczał.

– Do diabła, co wy tam wyprawiacie?!

– Wyobraź sobie, że odpoczywaliśmy, a ty nas obudziłeś, i już jesteśmy kwita.

– Wiesz, która godzina? Od czterdziestu pięciu minut czekam w laboratorium, więc nie miej pretensji, że obudziłem was telefonem!

– Pewnie nie słyszałem komórki, a dlaczego to aż takie pilne?

– No właśnie. Doktor Poincarno nie chce mi nic powiedzieć, dopóki was nie ma, ale dzwonił do mnie do Akademii, prosząc, żebyśmy jak najszybciej przyszli do laboratorium, więc ubierzcie się i natychmiast przyjeżdżajcie.

Walter rozłączył się bez słowa pożegnania. Obudziłem Keirę i powiedziałem, że niecierpliwie czekają na nas w laboratorium. Wskoczyła w spodnie i sweter i czekała na ulicy, kiedy zamykałem jeszcze okna. Około siódmej byliśmy na Hammersmith Grove. Poincarno krążył po opustoszałym holu laboratorium.

– Kazaliście na siebie czekać – powitał nas gniewnie. – Chodźmy do mojego gabinetu, musimy porozmawiać.

Posadził nas przed białą ścianą, zaciągnął story, zgasił światło i włączył projektor.

Pierwsze zdjęcie, które nam pokazał, wyglądało jak kolonie siedzących na pajęczynie pajaków.

– To, co zobaczyłem, jest straszliwym absurdem i muszę się dowiedzieć, czy to próba gigantycznego oszustwa, czy żart w złym guście. Dziś rano zgodziłem się państwa przyjąć ze względu na wasze osiągnięcia badawcze, a także rekomendację Akademii. Jednak to przekracza

wszelkie granice, a ja nie zamierzam narażać własnej reputacji, potwierdzając tezy dwojga oszustów, którzy marnują nasz czas.

Ani Keira, ani ja nie potrafiliśmy zrozumieć gwałtownej reakcji Poincaro.

– Co pan ustalił? – zapytała Keira.

– Zanim pani odpowiem, chciałbym się dowiedzieć, gdzie i w jakich okolicznościach znaleźliście tę żywiczną kulkę.

– W grobie odkrytym na północy doliny Omo. Wyjęliśmy ją z krtani skamieniałego szkieletu ludzkiego.

– Niemożliwe, kłamie pani!

– Panie doktorze, proszę mnie posłuchać. Podobnie jak pan nie zamierzam marnować czasu, ale skoro uważa nas pan za oszustów, to nie będę pana przekonywała, że jest inaczej! Adrian jest znanym i cenionym astrofizykiem, a ja również mam na koncie pewne osiągnięcia, więc proszę powiedzieć, na jakiej podstawie rzuca pan tak ciężkie oskarżenia!

– Droga pani, może pani wytapetować ściany mojego gabinetu swoimi dyplomami, a ja i tak nie zmienię zdania. Co pani widzi na tym zdjęciu? – powiedział, wyświetlając drugi obraz.

– Mitochondria i łańcuch DNA.

– Owszem, ma pani rację.

– A dla pana to jakiś problem? – zapytałem.

– Dwadzieścia lat temu udało nam się pobrać i zbadać DNA wołka zbożowego uwięzionego w bursztynie. Owad pochodził z Libanu, znaleziono go między Jezzine a Dar el-Beida, gdzie utknął w żywicy. Skamieniałe odnoże przetrwało nieuszkodzone. Ten owad liczy sto trzydzieści milionów lat i do dziś pozostaje najstarszym świadectwem istnienia złożonych organizmów żywych.

– Gratuluję panu – przerwałem – ale co nas to obchodzi?

– Adrian ma rację – poparł mnie Walter. – Nie rozumiem, w czym tkwi problem.

– Problem, panowie – podjął ostrym tonem Poincaro – polega na tym, że DNA, które oddalście do badania, wydaje się trzy razy starsze, a w każdym razie tak wynika ze spektroskopii. Może mieć nawet czterysta milionów lat!

– Ależ to fantastyczne odkrycie – rzuciłem z entuzjazmem.

– Tak też myśleliśmy wczesnym popołudniem, chociaż część moich kolegów, z którymi natychmiast się skontaktowałem, okazywała powątpiewanie. Mitochondria widoczne na trzecim zdjęciu są w tak dobrym stanie, że aż wzbudza to podejrzenia. Ale dobrze, załóżmy, że ta niezwykła żywica, której

dotąd nie zdołaliśmy zidentyfikować, chroniła je przez cały ten czas, choć nie chce mi się w to wierzyć. Teraz proszę uważnie przyjrzeć się temu obrazowi, to powiększenie poprzedniego spod mikroskopu elektronowego. Podejdźcie do ściany, bardzo proszę, nie możecie teraz niczego przeoczyć.

Keira, Walter i ja spełniliśmy prośbę Poincaro.

– Co widzicie?

– To chromosom X, pierwszy człowiek był kobietą! – oznajmiła zbulwersowana Keira.

– Tak, najwyraźniej szkielet, który znaleźliście, to szczątki kobiety, a nie mężczyzny; ale nie podejrzewajcie, że wpadłem w gniew z tego powodu, mizoginia jest mi obca.

– Wciąż nie rozumiem – szepnęła Keira. – To fantastyczne, pojmujesz: Ewa urodziła się

przed Adamem – dodała z uśmiechem.

- Męskie ego dozna silnego wstrząsu – roześmiałem się.
- To dobrze, że żartujecie – ciągnął Poincaro – ale nie to jest najzabawniejsze! Przyjrzyjcie się jeszcze dokładniej temu obrazowi i powiedzcie, co widzicie.
- Doktorze, nie mam ochoty na zgadywanki. To odkrycie jest niesamowite, a dla mnie stanowi zwieńczenie dziesięciu lat pracy i wyrzeczeń, proszę więc powiedzieć, co pana irytuje, wszyscy oszczędzimy sporo czasu, a wydawało mi się, że pański jest bardzo cenny.
- Proszę pani, to odkrycie byłoby wspaniałe, gdyby ewolucja dopuszczała zasadę cofania się, ale podobnie jak ja wie pani, że natura wymaga postępu... a nie regresji. A tymczasem chromosomy, które tu widzimy, są znacznie bardziej rozwinięte od pani i moich!
- Od moich też? – zapytał Walter.
- Osiągnęły wyższy poziom ewolucji niż chromosomy współczesnego człowieka.
- O! Na jakiej podstawie pan tak twierdzi? – zapytał Walter.
- Na podstawie tej małej cząstki, o tu, zwanej allelem. To geny zlokalizowane na każdym członie pary chromosomów homologicznych. Były genetycznie zmodyfikowane i wątpię, żeby coś takiego było możliwe czterysta milionów lat temu. Jeżeli teraz wyjaśnicie mi, w jaki sposób udało się wam zrobić ten żart, to może nie musiałbym zwracać się bezpośrednio do rady administracyjnej Akademii?

Oszołamiona Keira usiadła na krześle.

- W jakim celu zmodyfikowano te geny? – zapytałem.
- Wprawdzie dziś nie planowałem dyskusji o modyfikacjach genetycznych, ale odpowiem na pańskie pytanie. Prowadzimy tego rodzaju eksperymenty na chromosomach, aby zapobiegać chorobom genetycznym albo niektórym nowotworom, prowokować mutacje i umożliwiać nam radzenie sobie z warunkami życia, które ewoluują szybciej niż my. Ingerencje na poziomie genetycznym to w pewnym sensie korekcja algorytmu życia, porządkowanie nieładu, także tego, który sami spowodowaliśmy; krótko mówiąc, potrzeby medyczne są ogromne, ale nie to nas dziś interesuje. Ta kobieta, którą znaleźliście w dolinie Omo, nie może równocześnie należeć do zamierzchłej przeszłości i mieć w swym DNA śladów przyszłości. Powiedzcie mi teraz, po co to oszustwo? Oboje marzyliście o Noblu i liczyliście na moje poparcie, naciągając mnie w tak prostacki sposób?

– To nie jest żadne oszustwo – rozgniewała się Keira. – Rozumiem pańskie podejrzania, ale niczego nie zmienialiśmy, przysięgam panu. Tę kulkę, którą panu powierzyliśmy, przedwczoraj wyjęliśmy z ziemi i proszę mi wierzyć, że stopień, w jakim kości były skamieniałe, nie mógłby zostać sfabrykowany. Gdyby pan wiedział, ile kosztowało nas odnalezienie tego szkieletu, ani przez moment nie wątpiłby pan w naszą szczerłość.

– Zdaje sobie pani sprawę, co by się mogło stać, gdybym wam uwierzył? – zapytał doktor.

Poincaro przybrał teraz inny ton i wydawał się skłonny nas wysłuchać. Usiadł przy biurku i włączył światło.

– To oznacza – odpowiedziała Keira – że Ewa pojawiła się na świecie przed Adamem, a przede wszystkim, że matka ludzkości jest znacznie starsza, niż sobie wyobrażamy.

– Nie, droga pani, nie tylko to. Jeżeli mitochondria, które badałem, mają naprawdę czterysta milionów lat, wynika z tego wiele innych wniosków, które niewątpliwie wyjaśnił pani współnik, astrofizyk. Podejrzewam, że zanim tu przyszliscie, dopracowaliście każdy szczegół tej

mystyfikacji.

– To nie jest żadna mistyfikacja – powiedziałem, wstając. – Jaką teorię ma pan na myśli?

– Dość tego, proszę nie uważać mnie za głupszego, niż jestem. Badania, które prowadzi się w każdej z interesujących nas dziedzin, czasami mają punkty styczne, doskonale pan o tym wie. Wielu uczonych zgadza się, że życie na Ziemi mogło się zrodzić w efekcie uderzeń meteorytów, prawda, kolego astrofizyku? Teoria ta zyskała na popularności po wykryciu śladowych ilości glicyny w ognie komety, na pewno pan o tym słyszał?

– Odnaleziono roślinę w ognie komety? – zapytał zdumiony Walter.

– Nie, Walterze, nie chodzi o glicynie, tylko o glicynę, najprostszy aminokwas, który miał zasadnicze znaczenie dla pojawienia się życia. Sonda Stardust pobrała takie próbki z ogona komety Wild dwa, która przechodziła w odległości trzystu dziewięćdziesięciu milionów kilometrów od Ziemi. Proteiny, które tworzą narządy, komórki i enzymy organizmów żywych, są zbudowane z łańcuchów aminokwasowych.

– Ku wielkiej radości astrofizyków to odkrycie potwierdzało hipotezę o pozaziemskim pochodzeniu życia na Ziemi i istnieniu tego życia w kosmosie na szerszą skalę, niż chciano dotąd zakładać, chyba nie przesadziłem? – podjął Poincarno, wpadając mi w słowo. – Ale od tego do wmówienia mi poprzez mętne manipulacje, że Ziemię zasiedliły istoty równie rozwinięte jak my, droga jest bardzo daleka. To szaleństwo.

– Co pan sugeruje? – zapytała Keira.

– Już powiedziałem. Ta wasza Ewa nie może należeć do przeszłości, mając zarazem komórki genetycznie zmodyfikowane, chyba że zamierzacie mi wmówić, że pierwsi ludzie czy też pierwsza kobieta przybyła do doliny Omo z innej planety.

– Nie chciałbym się wtrącać w nie moje sprawy – odezwał się Walter – ale gdyby pan powiedział mojej prababce, że z Londynu do Singapuru można będzie dotrzeć w parę godzin, wznosząc się na pułap dziesięciu tysięcy metrów w jakiejś puszczy na konserwy, która waży ponad pięćset ton, natychmiast pobiegłaby do lekarza ze swojej wsi, a ten już by się postarał, żeby trafił pan do szpitala dla wariatów, i to bardzo szybko! Nie wspomnę już nawet o podróżach z prędkością ponaddźwiękową czy lądowaniu na Księżycu, a tym bardziej o tej sondzie, która pobrała próbki aminokwasów z ogona komety trzysta dziewięćdziesiąt milionów kilometrów od Ziemi! Dlaczego największym uczonym musi tak bardzo brakować wyobraźni?

Walter wpadł w gniew. Chodził po gabinecie i w tej chwili nikt z nas nie odważyłby się mu przerwać. Zamilkł nagle i oskarżycielskim gestem wskazał na Poincarno.

– Wy, uczeni, marnujecie czas na wciąż nowe pomyłki. Stale analizujecie błędy kolegów, a czasem nawet własne. Proszę mi nie zaprzeczać, zbyt dużo włosów wyrwałem sobie z głowy, próbując zrównoważyć budżet, żeby tacy jak pan mieli pieniądze na przerabianie w kółko tego samego. Mimo to zawsze, gdy pojawia się nowatorska myśl, słyszę tę samą litanię: niemożliwe, niemożliwe, niemożliwe! Aż trudno uwierzyć! I o co chodzi? O to, że sto lat temu nikomu się nie śniło, iż będzie można modyfikować geny? A czy ktokolwiek uwierzyłby panu i dał złamany grosz na badania jeszcze na początku dwudziestego wieku? Na pewno nie nasz zarząd! Po prostu uznaliby pana za nawiedzonego i odprawili. Genialny panie doktorze genetyki, znam Adriana od wielu miesięcy i zabraniam panu... rozumie pan? Zabraniam zarzucać mu nieuczciwość i oszustwo! Człowiek, który przed panem siedzi, jest uczciwy do granic... naiwności! Poincarno patrzył na nas.

– Chyba minął się pan z powołaniem, myślę, że zamiast zarządzać finansami Akademii Nauk, powinien pan błyszczeć jako adwokat! Dobrze, zgoda, nie zwrócę się do waszej rady administracyjnej, będziemy kontynuowali badania tej krwi. Potwierdzą to, co odkryliśmy, ale tylko to. W raporcie zamieszczę wzmiankę o anomaliach i niespójnościach, jednakże powstrzymam się od wysuwania jakichkolwiek hipotez czy popierania jakichś teorii. Waszą sprawą jest, co opublikujecie, ale poniesiecie za to pełną odpowiedzialność. Jeżeli przeczytam w waszych pracach choćby słowo podważające moje wnioski lub powołujące się na mój autorytet, natychmiast przejdę do kontraktacji. Czy jest jasne?

– Nie prosiłam pana o tak dużo – odparła Keira. – Jeżeli zgodzi się pan potwierdzić wiek komórek, sprawdzić metodami naukowymi, że liczą czterysta milionów lat, uznam to za ogromny wkład. I proszę się nie niepokoić, jest jeszcze o wiele za wcześnie na planowanie jakichkolwiek publikacji. Musi pan zrozumieć, że podobnie jak pan, jesteśmy zaskoczeni tym, czego się dowiedzieliśmy, i na razie nie potrafimy wyciągnąć z tego wniosków.

Poincarno odprowadził nas do drzwi laboratorium i obiecał skontaktować się z nami za kilka dni.



Tego wieczoru w Londynie padał deszcz. Walter, Keira i ja staliśmy na mokrym chodniku Hammersmith Grove. Było ciemno i zimno, a my wszyscy czuliśmy się bardzo zmęczeni po ciężkim dniu. Walter zaproponował, żebyśmy wybrali się na kolację do pobliskiego pubu – nie wyobrażaliśmy sobie, że w tej chwili moglibyśmy zostawić go samego.

Siedząc przy stoliku blisko okna, dosłownie zasypał nas pytaniami dotyczącymi podróży do Etiopii, a Keira opowiedziała mu o tej wyprawie, nie pomijając żadnego szczegółu. Walter aż podskoczył, kiedy opisywała, jak doszło do odkrycia szkieletu. Mając tak wybornego słuchacza, rozwinęła narratorski talent, toteż mój przyjaciel dosłownie drżał z wrażenia. Miał w sobie coś z dużego chłopca i właśnie to jednało mu sympatię Keiry. Patrząc, jak się śmieją, zapomniałem o kłopotach i przykrościach ostatnich miesięcy.

Zapytałem Waltera, co miał na myśli, kiedy oświadczył Poincarno, że moja uczciwość graniczy często z naiwnością.

– Tylko to, że dziś znowu ty zapłacisz za kolację! – zbył mnie, zamawiając mus czekoladowy. – I nie bądź zbyt pompatyczny, zastosowałem chwyt na miarę sytuacji, broniąc dobrej sprawy.

Poprosiłem Keirę, żeby dała mi wisior, wyjąłem z kieszeni dwa pozostałe fragmenty i wręczyłem Walterowi.

– Dlaczego mi to dajesz? To wasza własność – powiedział zażenowany.

– Ponieważ moja uczciwość graniczy z naiwnością – odparłem. – Jeżeli nasze prace przyniosą efekt godny publikacji, ze swej strony wystąpię w imieniu Akademii, do której należę, i chcę, żebyś i ty pojawił się wśród osób, które miały w nich swój udział. Może dzięki temu zdołasz wreszcie naprawić ten dach nad swoim gabinetem. A tymczasem przechowaj to w bezpiecznym miejscu.

Walter schował nasze znaleziska do kieszeni, a z jego oczu wyczytałem, że jest głęboko wzruszony.

Z tej niesamowitej przygody zrodziła się miłość, której nie

oczekiwałem, i prawdziwa przyjaźń. Lwią część życia spędziłem w najodleglejszych zakątkach świata, wpatrując się w niebo i poszukując we wszechświecie dalekiej gwiazdy, a teraz, w starym pubie przy Hammersmith, słuchałem, jak ukochana kobieta rozmawia i śmieje się z moim najlepszym przyjacielem. Tego wieczoru uświadomiłem sobie, że tych dwoje, tak mi bliskich, odmieniło moje życie.

Każdy z nas ma w sobie coś z Robinsona – swój nowy ład do odkrycia i Piętaszka, którego musi spotkać.

Pub już zamykano, wyszliśmy jako ostatni. Pierwszą przejeżdżającą taksówkę zostawiliśmy Walterowi, bo Keira chciała się jeszcze przejść.

Neon za nami zgasł. Na Hammersmith Grove panowała cisza, w uliczkach nie było żywego ducha. Dworzec o tej samej nazwie znajdował się parę kroków stąd, więc liczyliśmy, że ze złapaniem taksówki nie będzie problemów.

Ciszę przerwał warkot silnika półciężarówki, która parkowała przy chodniku. Kiedy nas mijala, otwarły się boczne drzwi i czterech ludzi w kominiarkach wyskoczyło na ulicę. Ani Keira, ani ja nie zdążyliśmy się zorientować, co się dzieje. Mężczyźni brutalnie nas schwytali, Keira krzyknęła, ale było już za późno – wrzucono nas do samochodu, który natychmiast ruszył.

Na próżno próbowaliśmy się bronić – udało mi się przewrócić jednego z napastników, Keira o mało nie wybiła oka temu, który usiłował utrzymać ją na podłodze. Po chwili byliśmy związani i zakneblowani. Zasłonięto nam oczy, potem poczułem gaz usypiający. To było nasze ostatnie wspomnienie z wieczoru, który zaczął się tak dobrze.

W nieznanym miejscu

Kiedy odzyskałem przytomność, zobaczyłem twarz Keiry. Pochylała się nade mną i blado się uśmiechała.

- Gdzie jesteśmy? – zapytałem.
- Nie mam pojęcia – odpowiedziała.

Rozejrzałem się – cztery betonowe ściany, żadnego okna, tylko zbrojone drzwi. Neonówka pod sufitem syczyła zimne światło.

- Co się stało? – zapytała Keira.
- Nie usłuchaliśmy rad Ivory'ego.
- Chyba spaliliśmy bardzo długo.
- Dlaczego tak sądzisz, Keiro?

– Bo masz brodę, Adrianie. Golileś się tuż przed wyjściem do laboratorium, przy kolacji nie miałeś śladu zarostu.

- Pewnie masz rację, musimy tu być od dawna, bo chce mi się jeść i pić.
- Ja też jestem spragniona. – Skinęła głową. Wstała i zaczęła walić w drzwi.
- Dajcie nam chociaż coś do picia! – krzyknęła.

Odpowiedziała nam głucha cisza.

- Nie marnuj sił. Kiedyś w końcu przyjdą.
- Albo nie!
- Nie pleć głupstw, nie dadzą nam skonać z pragnienia i głodu w tej piwnicy.

– Nie chciałabym cię martwić, ale pamiętaj, że przeznaczone dla nas kule, te w pociągu transsyberyjskim, nie były z gumy. Ale dlaczego, dlaczego aż tak się na nas zawzięli? – jęknęła, siadając na ziemi.

– Chodzi o to, co znalazłaś, Keiro.

– Czy szkielet, choćby najstarszy, uzasadnia takie mordercze szaleństwo?

– To nie jest zwyczajny szkielet. Wydaje mi się, że nie do końca zrozumiałaś powody wzburzenia Poincarno.

– Ten dureń oskarża nas o sfałszowanie DNA, które oddaliśmy mu do analizy.

– Właśnie tak myślałem... nie rozumiesz doniosłości i konsekwencji swojego odkrycia.

– To odkrycie nie jest moje, tylko nasze!

– Poincarno próbował ci wytłumaczyć, przed jakim dylematem stanął, gdy poznał wyniki analiz. Każdy żywy organizm składa się z komórek, od jednej w przypadku najprostszych po ponad dziesięć miliardów u człowieka, i każda z tych komórek zbudowana jest zgodnie z tym samym modelem z dwóch substancji: kwasów nukleinowych i protein. Te cegiełki życia same są efektem zachodzących w wodzie reakcji chemicznych kilku pierwiastków: węgla, azotu, wodoru i tlenu. To pewniki w dziedzinie „dlaczego” życia, ale jak to się zaczęło? Tu uczeni biorą pod uwagę dwa scenariusze: albo życie pojawiło się na Ziemi po serii złożonych reakcji, albo materia pochodząca z kosmosu zapoczątkowała proces życia na naszej planecie. Wszystkie istoty żywe podlegają ewolucji, ale nie cofają się w rozwoju. Jeżeli DNA twojej etiopskiej Ewy zawiera genetycznie zmodyfikowane allele, to jej organizm osiągnął, by to tak ująć, wyższy poziom ewolucji niż nasze organizmy, co jest niemożliwe, chyba że...

– Chyba że co?

– Chyba że ta Ewa umarła na Ziemi, ale się tu nie urodziła.

– To niewiarygodne!

– Gdyby usłyszał to Walter, rozgniewałby się na ciebie.

– Adrianie, nie poświęciłam dziesięciu lat pracy, szukając zaginionego ogniwa, żeby teraz tłumaczyć współczesnym, że pierwszy znany człowiek pochodzi z innego świata.

– Kiedy tu rozmawiamy, sześciu astronautów siedzi w kapsule gdzieś pod Moskwą, przygotowując się do podróży na Marsa. Nie zmyślam. Tu nie chodzi o wystrzelenie rakiety, tylko o eksperymenty prowadzone obecnie przez Europejską Agencję Kosmiczną i Rosyjski Instytut Biomedyczny, czyli o testowanie zdolności człowieka do odbywania dalekich podróży kosmicznych. Zakończenie prac nad projektem zwanym Mars pięćset ma nastąpić za czterdzieści lat, ale cóż znaczą cztery dekady w historii ludzkości? Sześciu astronautów polecą na Marsa w roku dwa tysiące pięćdziesiątym, niespełna sto lat po tym, jak pierwsi ludzie dotknęli stopami powierzchni Księżyca. Teraz wyobraź sobie następujący scenariusz: gdyby któryś z nich zmarł na Marsie, co zrobiliby twoim zdaniem jego koledzy?

– Zjedliby jego podwieczorek!

– Keiro, błagam, bądź poważna chociaż przez chwilę!

– Przykro mi, ale zamkniecie źle na mnie działa!

– To dodatkowy powód, żebyś pozwoliła mi zająć cię czymś innym.

– Nie mam pojęcia, co by zrobili inni! Pewnie by go pochowali!

– No właśnie! Nie sądzę, żeby mieli ochotę wracać na Ziemię z rozkładającymi się zwłokami. Dlatego by go pochowali. Ale pod warstwą pyłów na Marsie znaleźliby lód, tak samo

jak w przypadku sumeryjskich grobów na Man-Pupu-Nyor.

– Niezupełnie – poprawiła mnie Keira – oni zostali pogrzebani, ale na Syberii jest wiele lodowych grobów.

– Dobrze, niech będzie, jak na Syberii... w nadziei, że kolejna misja dotrze na Marsa, astronauta zostawiają przy ciele sygnalizator i próbkę krwi.

– Po co?

– Z dwóch różnych powodów. Żeby umożliwić lokalizację, a wiadomo, że huragany mogą zmienić krajobraz, i żeby można było zidentyfikować zwłoki w sposób niepozostawiający wątpliwości... tak jak to zrobiliśmy. Załoga odlatuje, jak astronauta, którzy jako pierwsi lądowali na Księżycu. W tym, co powiedziałem, nie ma żadnych naukowych ekstrawagancji, przecież w ciągu jednego stulecia nauczyliśmy się tylko odbywać dalsze podróże w kosmosie. Ale między pierwszym lotem Adera, który pokonał parę metrów nad ziemią, a pierwszym krokiem Armstronga na Księżycu upłynęło zaledwie osiemdziesiąt lat. Postęp techniczny i wiedza, jaką trzeba było zdobyć, żeby od tego lotu przejść do umiejętności wystrzelenia wielotonowej rakiety, która przewycięża przyciąganie ziemskie, jest niewyobrażalny. Idźmy dalej... Nasza załoga wraca na Ziemię, jeden z jej członków leży pod lodem na Marsie. Wszechświat nic sobie z tego wszystkiego nie robi, jego ekspansja trwa, planety Układu Słonecznego obracają się wokół swojej gwiazdy, która stale je ogrzewa. Za kilka milionów lat, a w historii wszechświata to niewiele, Mars się ogrzeje, podziemne lody zaczną topnieć. Wtedy zamrożone ciało naszego astronauty zacznie się rozkładać. Mówi się, że wystarczy kilka ziarenek, żeby wyrósł las. Jeżeli DNA twojej etiopskiej Ewy znalazło się w wodzie, gdy nasza planeta wychodziła z epoki lodowcowej, to proces rozsiewania życia zaczął się na Ziemi. Program zapisany w każdej komórce wystarczał, żeby dokonała się reszta. Trzeba było jeszcze tylko kilkuset dodatkowych milionów lat, żeby ewolucja stworzyła istoty tak złożone jak Ewa, która dała wszystkiemu początek... *Noc jednego jest strażniczką początku*. Inni przed nami zrozumieli to, co ci właśnie powiedziałem...

Neon nad nami zgasł.

Znaleźliśmy się w kompletnych ciemnościach.

Wziąłem Keirę za rękę.

– Jestem tu, nie bój się, jesteśmy razem.

– Adrianie, czy ty sam wierzysz w to, co mi powiedziałeś?

– Nie wiem, Keiro. Jeżeli zapytasz, czy taki scenariusz jest możliwy, powiem: tak. Pytasz, czy jest prawdopodobny? W świetle dowodów, które odkryliśmy, odpowiedź brzmi: dlaczego nie. Jak w każdym śledztwie albo projekcie badawczym trzeba zacząć od hipotezy. Już w starożytności ludzie, którzy dokonywali największych odkryć, mieli w sobie wiele pokory, dość, żeby inaczej spojrzeć na świat. Mój nauczyciel przyrody z liceum powtarzał nam: „...żeby coś odkryć, trzeba wyjść poza własny system. Od wewnątrz niewiele widać, a w każdym razie nie to, co dzieje się na zewnątrz”. Gdybyśmy byli wolni i mogli opublikować takie wnioski poparte dowodami, które mamy, wywołałybyśmy różne reakcje: zarówno zainteresowanie, jak i niedowierzanie, nie mówiąc już o zazdrości, która spowodowałaby, że wielu uczonych okrzyknęłoby nas heretykami. A jednak tylu ludzi ma wiarę, Keiro, tylu ludzi wierzy w Boga, choć nie mają żadnego dowodu na jego istnienie. Wiedząc to, co przekazały nam fragmenty dysku, szkielet odkryty w Dipa i fantastyczne wyniki analiz DNA, mamy prawo zadawać sobie

najrozmaitsze pytania o to, jak pojawiło się życie na Ziemi.

- Chce mi się pić, Adrianie.
- Mnie też się chce pić.
- Myślisz, że zostawią nas tak, żebyśmy umarli?
- Nie wiem, ale to trwa już zbyt długo.
- Podobno śmierć z pragnienia jest straszna, po pewnym czasie zaczyna puchnąć język, człowiek się dusi.

- Nie myśl o tym.
- Żałujesz?
- Że jestem tu zamknięty? Tak, ale nie żałuję ani chwili z tych, które spędziliśmy razem.

– Ale i tak znalazłam pramatkę ludzkości – westchnęła Keira.

– Możesz nawet powiedzieć, że znalazłaś jej prapraprababkę, a ja nie zdążyłem ci jeszcze pogratulować.

- Adrianie, kocham cię.

Chwyciłem Keirę w ramiona, odnalazłem w ciemności jej usta, pocałowałem. Z godziny na godzinę coraz wyraźniej słabliśmy.

- Walter pewnie się już niepokoi.
- Przyzwyczał się do naszych nagłych zniknięć.
- Nigdy nie wyjeżdżaliśmy bez uprzedzenia.
- Tym razem może się jednak o nas martwić.

– I nie tylko on, nasza praca nie pójdzie na marne, wiem o tym – szepnęła Keira. – Poincaro będzie prowadził analizy, moja ekipa sprowadzi szkielet Ewy.

- Naprawdę chcesz ją tak nazwać?

– Nie, zamierzałam nadać jej imię Jeanne. Walter ukrył fragmenty w bezpiecznym miejscu, zespół z Vrije obejrzy nagranie. Ivory uutorował nam drogę, my poszliśmy jego śladem, inni będą pracować po nas. Prędzej czy później ktoś ułoży te puzzle.

Keira zamilkła.

- Nic nie mówisz?
- Jestem zmęczona, Adrianie.
- Nie zasypiaj, walcz.
- Ale po co?

Może miała rację – śmierć we śnie byłaby łatwiejsza.



Zabłysnął neon. Nie wiedziałem, jak długo leżeliśmy nieprzytomni. Światło raziło mnie w oczy, nie mogłem się z nim oswoić.

Przy drzwiach stały dwie butelki wody, obok leżała czekolada i ciastka.

Potrząsnąłem Keirą, zwilżyłem jej usta, wziąłem w ramiona i kołysałem, błagając, żeby otworzyła oczy.

- Przygotowałeś śniadanie? – szepnęła.
- Można tak powiedzieć, ale pij bardzo wolno.

Spragniona i głodna po chwili rzuciła się na czekoladę. Potem razem jedliśmy ciastka. Nabraliśmy trochę siły, Keira nie była już taka blada.

- Myślisz, że zmienili zdanie? – zapytała.
- Wiem tyle samo co ty, musimy czekać.

Drzwi się otworzyły. Najpierw weszli dwaj mężczyźni w kominiarkach, potem trzeci z odsłoniętą twarzą, w doskonale skrojonym tweedowym garniturze.

- Wstańcie. Idziemy – powiedział.

Wyszliśmy z celi i poszliśmy za nim długim korytarzem.

– Tam – mężczyzna wskazał drzwi – są prysznice dla personelu. Doprowadźcie się do ładu, chyba najwyższa pora. Moi ludzie przyprowadzą was do mojego gabinetu, kiedy będziecie gotowi.

- Mogę wiedzieć, z kim mamy przyjemność? – zapytałem.

– Jest pan arogancki, ale mnie się to podoba – odparł mężczyzna. – Nazywam się Edward Ashton. Do zobaczenia.



Wkrótce odzyskaliśmy prawie normalny wygląd. Ludzie Ashtona poprowadzili nas przez okazałą rezydencję, która leżała gdzieś w sercu Anglii, na wsi. Piwnica, w której byliśmy zamknięci, znajdowała się w podziemiach budynku, tuż obok dużej szklarni. Przemierzyliśmy doskonale utrzymany park, po schodach doszliśmy do drzwi wejściowych i wprowadzono nas do ogromnego salonu o ścianach obitych boazerią. Sir Ashton czekał, siedząc przy biurku.

- Długo spędzaliście mi sen z powiek.
- Muszę przyznać, że pan nam również – powiedziała Keira.
- Widzę, że i pani nie brak poczucia humoru.
- Nie widzę nic zabawnego w tym, co przez pana przeszliśmy.
- Proszę nie traktować tego tak osobiście, próbowaliśmy udzielać wam przestróg, ale najwyraźniej nic nie mogło was skłonić do przerwania poszukiwań.
- A dlaczego mielibyśmy je przerwać? – zapytałem.
- Gdyby to zależało wyłącznie ode mnie, nie miałby pan już okazji pytać o to, ale nie podejmuję tego typu decyzji samodzielnie.

Sir Ashton wstał i okrążył biurko. Kiedy wcisnął przełącznik, listwy boazerii na ścianach okrągłego salonu przesunęły się, odsłaniając około piętnastu ekranów, które rozbłysły równocześnie. Na każdym pojawiła się czyjaś twarz. Rozpoznałem wśród nich znajomego z Amsterdamu. Ludzie ci nosili imiona zapożyczone od miast – Ateny, Berlin, Boston, Istambuł, Kair, Madryt, Moskwa, New Delhi, Paryż, Pekin, Rzym, Rio, Tel Awiw, Tokio.

- Kim pan właściwie jest? – zapytała Keira.
- Jako oficjalni przedstawiciele naszych państw prowadzimy dotyczącą was sprawę.
- Jaką sprawę? – zainteresowałem się.

Jedyna kobieta w tym gronie zwróciła się do nas pierwsza. Miała na imię Isabel i zadała nam nieco dziwne pytanie:

- Gdybyście mieli dowód na to, że Bóg nie istnieje, czy jesteście pewni, że ludzie chcieliby go poznać? I czy potraficie ocenić skutki ujawnienia takiej nowiny? Na tej planecie żyje na skraju ubóstwa około dwóch miliardów ludzi. Połowa populacji wegetuje, odmawiając sobie wszystkiego. Czy zastanawialiście się, co utrzymuje w harmonii tak niedoskonały, pełen niesprawiedliwości świat? To nadzieja! Nadzieja na istnienie wyższej, życzliwej siły, nadzieja na

lepsze życie po śmierci. Możecie nazwać tę siłę Bogiem albo wiarą, to niczego nie zmienia.

– Pani wybaczy, ale ludzie od wieków nieustannie mordują się w imię Boga. Dając im dowód na jego nieistnienie, na zawsze uwolniłoby się ich od nienawiści do innych. Proszę pomyśleć, ilu ludzi oddało życie w wojnach religijnych, ile ofiar pochłaniają one jeszcze dziś, ile dyktatur wspiera się na religii.

– Ludzie nie potrzebują wiary w Boga, żeby się wzajemnie zabijać – odparła Isabel. – On jest im potrzebny, żeby łatwiej im było żyć, robić to, co nakazuje natura, i zapewnić przetrwanie gatunku.

– Zwierzęta robią to samo, a nie wierzą w Boga – zareplikowała Keira.

– Ale człowiek jako jedyna z istot żyjących na tej Ziemi ma świadomość własnej śmierci, droga pani, i on jeden się jej boi. Czy pani wie, kiedy pojawiły się pierwsze oznaki religijności?

– Sto tysięcy lat temu, w okolicach Nazaretu – odparła Keira. – *Homo sapiens* dokonał, zapewne po raz pierwszy w historii ludzkości, pochówku zwłok dwudziestoletniej kobiety. U jej stóp złożono ciało sześciolatniego dziecka. Odkrywczy grobu znaleźli przy ich szkieletach ślady ochry i rytualne przedmioty.

Oba ciała ułożono w pozycji modlącego się. Widoczne jest, że cierpieniu, które wynika z utraty najbliższych, towarzyszyła już przemożna potrzeba oddawania czci śmierci... – zakończyła, powtarzając niemal słowo w słowo to, co usłyszała od Ivory'ego.

– Sto tysięcy lat – podjęła Isabel – tysiąc wieków wierzeń... Gdybyście dali ludziom naukowe dowody na to, że Bóg nie stworzył życia na Ziemi, nasz świat ległby w gruzach. Półtora miliarda istot ludzkich żyje w nieopisanej, haniebnej, potwornej nędzy. Który mężczyzna, która kobieta, które dziecko, cierpiąc, godziliby się ze swym losem, gdyby odebrano im nadzieję? Kto zdołałby ich powstrzymać przed zabiciem bliźniego i zagarnięciem tego, czego im brak, gdyby nie sumienie kierujące się transcendentnymi normami? Religia zabijała, ale wiara ocaliła niezliczone istnienia i dała ogrom siły najuboższym. Nie możecie zagasić tego płomyka. Dla was, uczonych, śmierć jest koniecznością, nasze komórki umierają, żeby inne mogły żyć, każdy z nas umrze, by ustąpić miejsca tym, którzy przyjdą po nas. Rodzić się, rozwijać, a następnie umierać. Taka jest kolej rzeczy, ale dla większości śmierć stanowi tylko etap, przejście na tamten świat, lepszy świat, w którym będzie to, czego tu nie ma, w którym czekają ci, którzy odeszli pierwsi. Nie zaznaliście ani głodu, ani pragnienia, ani nędzy. Mogliście urzeczywistniać własne marzenia bez względu na własne zasługi, mieliście możliwość się spełnić, dane było wam to szczęście. Czy jednak pomyśleliście o tych, którzy aż tyle szczęścia nie mieli? Stać was na dość okrucieństwa, żeby im powiedzieć, że droga przez mękę na Ziemi ma jeden jedyny cel: ewolucję?

Podszedłem do ekranów, żeby włączyć się do rozmowy z naszymi sędziami.

– Ta smutna rozprawa przypomina mi sąd nad Galileuszem. Ludzkość i tak w końcu poznała prawdę, którą jego przeciwnicy chcieli ukryć, a mimo to świat nie zamarł w bezruchu! Wręcz przeciwnie, kiedy człowiek, uwolniony od swych lęków, postanowił iść w stronę horyzontu, horyzont cofnął się przed nim. Kim byśmy teraz byli, gdyby wierzący tamtych czasów zdołali zamknąć usta prawdzie? Wiedza stanowi element ewolucji człowieka.

– Jeżeli ujawnicie wasze odkrycie, pierwszy dzień pochłonie setki tysięcy ofiar śmiertelnych w czwartym świecie, a pierwszy tydzień miliony w trzecim świecie. W drugim tygodniu zaczną się największe migracje w dziejach ludzkości. Miliardy wygłodniałych istot przemierzać będą kontynenty, przeprawią się przez morze, żeby zagarnąć wszystko, czego im brak. Każdy będzie

próbował przeżyć w terażniejszości to, co odkładał na przyszłość. Piąty tydzień rozpocznie pierwszą noc.

– Skoro nasze odkrycia są tak groźne, to dlaczego nas uwolniono?

– Nie mieliśmy zamiaru tego robić, dopóki nie usłyszeliśmy waszej rozmowy w celi. Kiedy jednak dowiedzieliśmy się, że już nie tylko wy znacie prawdę, zrozumieliśmy, że wasze nagłe zniknięcie skłoni badaczy, z którymi pracowaliście lub mieliście kontakt, do podjęcia przerwanych przez was badań. Teraz tylko wy możecie ich powstrzymać. Możecie odejść. Do was należy decyzja o dalszych działaniach i wyłącznie na was ciąży za nie odpowiedzialność. Od chwili gdy udało się rozszczepić jądro atomowe, żaden mężczyzna i żadna kobieta nie dźwigali na swych barkach tak wielkiej odpowiedzialności.

Ekran kolejno gasły. Sir Ashton wstał i podszedł do nas.

– Samochód jest do waszej dyspozycji. Kierowca odwiezie was do Londynu.

Londyn

Spędziliśmy kilka dni w domu. Keira i ja nigdy jeszcze nie byliśmy tak wyciszeni. Kiedy nawet któreś z nas otwierało usta, żeby powiedzieć coś zupełnie banalnego, zaraz milkło. Walter nagrał wiadomość na automatyczną sekretarkę, był wściekły, że zniknęliśmy, nie uprzedzając go o tym. Sądził, że jesteśmy w Amsterdamie, a może nawet w Etiopii. Próbowałem się z nim skontaktować, ale bez skutku.

Na Cresswell Place panowała przytłaczająca atmosfera. Kiedyś usłyszałem fragment rozmowy Keiry z Jeanne i przekonałem się, że teraz trudno się jej dogadać nawet z rodzoną siostrą. Uznałem, że lepiej będzie zmienić klimat i wyjechać na Hydrę. Trochę słońca mogło nam naprawdę dobrze zrobić.

Grecja

Prom z Aten przybił do brzegu o dziesiątej rano. Już z nabrzeża zobaczyłem ciotkę Elenę. Ubrana w fartuch zamasyżycie wywijała pędzlem, malując na niebiesko fasadę sklepu.

Postawiłem walizki i poszedłem ku niej, żeby zrobić jej niespodziankę, kiedy... Walter wyszedł ze sklepu wyczerpany w kraciaste szorty, śmieszny kapelusz i dwa razy za duże okulary przeciwsłoneczne. W ręku trzymał szpachelkę i zdrapywał nią farbę z drewna, śpiewając na cały głos – i potwornie fałszując – *Greka Zorbę*. Zobaczył nas i wybiegł nam naprzeciw.

– Gdzie się podziewaliście? – prawie krzyknął, będąc już blisko.

– Siedzieliśmy zamknięci w piwnicy! – odpowiedziała Keira, padając mu w ramiona. – Tęskniliśmy za tobą, Walterze.

– Ale co ty robisz na Hydrze w środku tygodnia? Nie powinieneś być w Akademii? – zapytałem.

– Kiedy spotkaliśmy się w Londynie, powiedziałem ci, że sprzedałem samochód i mam dla ciebie niespodziankę. Ale ty mnie nigdy nie słuchasz!

– Doskonale to pamiętam – zaprotestowałem. – Ale nie powiedziałeś mi, co to za niespodzianka.

– No cóż... postanowiłem zmienić pracę. Powierzyłem resztę moich drobnych oszczędności Elenie i, jak sam widzisz, remontujemy sklep. Powiększymy przestrzeń handlową i mam nadzieję, że zdołamy podwoić zyski, i to już w najbliższym sezonie. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

– Jestem szczęśliwy, że ciotka nareszcie znalazła odpowiedniego zarządcę, który ją wesprze – powiedziałem, klepiąc przyjaciela po ramieniu.

– Powinniście iść do matki i przywitać się z nią, na pewno już wie, że przyjechaliście, bo Elena rozmawia przez telefon...



Kalibanos pożyczył nam dwa osły, podobno szybkie. Mama powitała nas zgodnie z panującymi na wyspie obyczajami. Wieczorem, nie pytając nas o zdanie, urządziła w domu wielkie przyjęcie. Walter i Elena siedzieli obok siebie, co przy stole mojej matki oznaczało, że są dla siebie kimś znacznie bliższym niż zwykli sąsiedzi.

Pod koniec posiłku Walter wyciągnął Keirę i mnie na taras. Wyjął z kieszeni niewielką paczuszkę owiniętą w chusteczkę do nosa i przewiązaną sznurkiem i oddał ją nam.

– To należy do was. W moim życiu zaszły zmiany. Akademia Nauk należy już do przeszłości, moja przyszłość roztacza się przed wami – powiedział, wyciągając ręce ku morzu. – Zróbcie z tym, co chcecie. A, jeszcze jedno – dodał, patrząc na mnie. – Zostawiłem w sypialni list. Pisałem go do ciebie, Adrianie, ale wolałbym, żebyś zaczekał tydzień lub nawet dwa i dopiero wtedy go przeczytał...

Powiedziawszy to, odwrócił się na pięcie i wrócił do Eleny. Keira wzięła paczuszkę i poszła schować ją w szufladzie nocnego stolika.



Nazajutrz rano poprosiła, żebym udał się z nią nad zatokę, w której kąpaliśmy się podczas jej pierwszego pobytu. Usiedliśmy na końcu długiej kamiennej ostrogi wbijającej się w morze. Keira podała mi zawiniątko i długo patrzyła mi w oczy. Była bardzo smutna.

– Weź to. Bardzo wiele znaczy dla nas obojga to odkrycie. Nie wiem, czy ci ludzie mówią prawdę, czy ich obawy są uzasadnione, ale nie mam w sobie dość mądrości, żeby to osądzić. Dla mnie ważne jest tylko to, że cię kocham. Gdyby decyzja o ujawnieniu naszego odkrycia miała stać się przyczyną śmierci choćby jednego dziecka, nie mogłabym spojrzeć w twarz ani tobie, ani sobie, i nie mogłabym żyć u twego boku, choćbym miała konać z tęsknoty. Podczas tej niesamowitej podróży powtarzałeś wiele razy, że decyzja należy do nas obojga. Dlatego zabierz wszystkie te części i zrób z nimi, co chcesz. Bez względu na to, co postanowisz, zawsze będę cię szanowała.

Oddała mi paczuszkę i odeszła, zostawiając mnie samego.



Po odejściu Keiry podszedłem do łodzi, która stała na piasku nad zatoką, zepchnąłem ją do wody i powiosłowałem na morze.

O milę od brzegu rozwiązałem sznurek, rozwinąłem chusteczkę Waltera i długo patrzyłem na fragmenty naszego dysku. Przed oczyma stanęły mi obrazy przypominające o tysiącach

kilometrów, które przemierzaliśmy. Zobaczyłem jezioro Turkana, Wyspę Środka, świątynię na Hua Shan, klasztor w Xi'an i łamę, który ocalił nam życie. Usłyszałem warkot silnika samolotu lecącego nad Birma, ryżowisko, na którym wylądowaliśmy, żeby uzupełnić paliwo, pilota, który mrugnął okiem, kiedy dotarliśmy do Port Blair, rejs na wyspę Narcondam; byłem znowu w Pekinie, w więzieniu w Gatar, w Paryżu, w Londynie i Amsterdamie, w Rosji i wysoko na Man-Pupu-Nyor, patrzyłem na przepiękne barwy doliny Omo i tam ujrzałem twarz Harry'ego. Ale w każdym z tych wspomnień najpiękniejszym widokiem była dla mnie zawsze twarz Keiry. Spojrzałem na fragmenty dysku...



Kiedy płynąłem do brzegu, zadzwonił telefon. Poznałem rozmówcę po głosie.

- Podjął pan rozważną decyzję i pragniemy panu za to podziękować – powiedział sir Ashton.
- Ale skąd pan o tym wie, przecież dopiero przed chwilą...
- Od wyjazdu ani przez moment nie znaleźliście się poza zasięgiem broni naszych ludzi.

Może kiedy... ale proszę mi wierzyć, jeszcze na to za wcześnie, musimy dokonać wielkiego postępu.

Rozłączyłem się bez słowa i z wściekłością cisnąłem komórkę daleko do morza, a potem na grzbiecie osła wróciłem do domu.

Keira czekała na tarasie. Oddałem jej pustą chusteczkę Waltera.

- Myślę, że ucieszy się, jeżeli to ty mu ją oddasz.

Keira złożyła chusteczkę, wyciągnęła do mnie rękę i poprowadziła do sypialni.

Pierwsza noc

Dom spał, więc oboje robiliśmy wszystko, żeby wymknąć się bezszelestnie. Na palcach zbliżaliśmy się do osłów, żeby je odwiązać. Matka stanęła na ganku, rozejrzała się i podeszła do nas.

- Jeżeli wybieracie się na plażę, co o tej porze roku jest czystym szaleństwem, to weźcie przynajmniej te ręczniki, piasek jest mokry, przeziębicie się.

Podążyła nam także dwie latarki i wróciła do domu. Niedługo potem usiedliśmy nad brzegiem morza. Była pełnia. Keira położyła mi głowę na ramieniu.

- Nie żałujesz? – zapytała.

Popatrzyłem w niebo i pomyślałem o Atakamie.

– Każda istota ludzka zbudowana jest z miliardów komórek, na tej planecie żyją miliardy ludzi i jest ich coraz więcej, we wszechświecie są miliardy i miliardy gwiazd. A gdyby ten wszechświat, o którym sądziłem, że znam jego granice, sam był tylko drobną cząstką znacznie większej całości? Gdyby nasza Ziemia była tylko komórką w łonie matki? Narodziny wszechświata przypominają narodziny każdego życia, wciąż powtarza się ten sam cud, w wymiarze nieskończenie wielkim i w tym nieskończenie małym. Wyobraź sobie niesamowitą podróż do oka tej matki, żeby zobaczyć przez jej źrenicę, jaki jest jej świat.

Życie to niezwykły program.

- Ale kto opracował ten bliski doskonałości program, Adrianie?

Epilog

Iris urodziła się dziewięć miesięcy później. Nie ochrzciliśmy jej, ale w dniu jej pierwszych urodzin, gdy po raz pierwszy zabraliśmy ją do doliny Omo, gdzie poznała Harry'ego, podarowaliśmy jej wisiołek...

Nie wiem, co postanowi zrobić ze swoim życiem, ale kiedy będzie duża i przyjdzie do mnie, żeby zapytać, co wyobraża ten dziwny przedmiot, który nosi na szyi, przeczytam jej kilka linijek starego tekstu przekazanego mi przez pewnego profesora.

Istnieje legenda, według której dziecko w łonie matki zna całą tajemnicę Stworzenia, od początku świata do jego końca. Kiedy dziecko się rodzi, przy kołysce staje posłaniec i kładzie palec na ustach, aby nigdy nie zdradziło powierzonej mu tajemnicy życia. Ten palec usuwa wszystko z pamięci dziecka, zostawiając jedynie znak. Taki znak wszyscy mamy nad górną wargą – oprócz mnie.

W dniu, kiedy się urodziłem, posłaniec zapomniał złożyć mi wizytę i dlatego ja pamiętam wszystko...

Ivory'emu z wyrazami głębokiej wdzięczności,
Keira, Iris, Harry i Adrian.

Dziękuję

Pauline. Louisowi.

Susannie Lei i Antoine'owi Audouardowi.

Emmanuelle Hardouin.

Raymondowi, Daniele i Lorraine Levy.

Nicole Lattes, Leonellowi Brandoliniemu, Antoine'owi Caro, Elisabeth Villeneuve, Anne-Marie Lenfant, Ariému Sberro, Sylvie Bardeau, Tine Gerber, Lydie Leroy, Joëlowi Renaudatowi i całemu zespołowi Wydawnictwa Robert Laffont.

Pauline Normand, Marie-Ève Provost.

Leonardowi Anthony'emu, Romainowi Ruetschowi, Danielle Melconian, Katrin Hodapp, Marie Garnero, Markowi Kesslerowi, Laurze Mamelok, Lauren Wendelken, Kerry Glencorse, Moïnie Macé.

Brigitte i Sarah Forissier.

Kamel, Carmen Várela.

Igorowi Bogdanowowi.